

TRACY ANNE
WARREN

Miłosna pułapka

Przekład
Agata Kowalczyk

1

Londyn, lipiec 1816

Ja, Adrian Philip George Stuart Fitzhugh, biorę cię, Jeannette Rose, za małżonkę...

Violet czuła, że zaraz zemdleje, tutaj, przed ołtarzem, w obecności Adriana i arcybiskupa. W obecności niemal całej socjety - wszystkich, którzy zgromadzili się w katedrze Świętego Pawła, żeby być świadkami ślubu uznanego za wydarzenie roku.

Nawy wypełniało chyba z tysiąc osób. Dwa tysiące oczu wpatrywało się z nabożnym zachwytem w Jeannette Brantford, królową tego sezonu - jak i poprzedniego zresztą - patrząc, jak składa przysięgę małżeńską Adrianowi Winterowi, szóstemu księciu Raeburn, uważanemu za najlepszą partię w Anglii.

Tylko że panną młodą nie była wcale Jeannette Rose Brantford.

Panną młodą była jej siostra bliźniaczka, Jannette Violet Brantford - lub po prostu Violet, jak nazywała ją rodzina. I w tej chwili myślała, że chyba postradała zmysły.

Wbijała wzrok w niebieskie jedwabne pantofelki, studiowała skomplikowane wzory wykute na marmurowej posadzce, otoczona migotliwą mgiełką blasku. Kilka drobinek kurzu połykiwało w świetle świec, pomieszanych z jasnymi promieniami

słońca, wpadającymi przez kolorowe witraże w intensywne odcieniach ciemnego błękitu i zieleni.

Zapach ogromnych bukietów białych róż i kremowych gardenii, którymi przystrojono wnętrze na czas ceremonii, wypełniał jej nozdrza; ich przesłodzony aromat pogarszał jeszcze jej samopoczucie. Przełknęła ślinę, ale gardło miała suche jak piasek pustyni. Kropelka potu popłynęła między łopatkami; Violet miała ochotę poruszyć ramionami, by pozbyć się denerwującego łaskotania.

Powinam być druzną panną młodą, pomyślała w panice, od której aż zakręciło jej się w głowie. W tej chwili powinna stać z boku wraz z resztą druhen. A zamiast tego tkwiła tutaj, u boku Adriana, przed dwiema barokowymi kolumnami ze spiralami z czarnego marmuru i matowego złota, pod główną kopułą katedry, wznoszącą się dziewięćdziesiąt metrów nad jej głową. Malowane postacie ze scen z żywota świętego Pawła spoglądały na nią ze sklepienia; wyobrażała sobie, że z pogardą obserwują każdy jej ruch.

Siłą woli zmuszała się do spokoju.

Spokój?!

Jakże mogła być spokojna, skoro popełniała właśnie najohydniejsze oszustwo swego życia? Wciąż spodziewała się, że ktoś zauważy, kim naprawdę jest, że wyciągnie oskarżycielski palec i krzyknie: „Oszustka!”

Ale, jak trafnie przewidziała jej siostra, ludzie widzieli to, co spodziewali się zobaczyć. Z pewnością było tak z jej rodzicami i służącymi, którzy jeszcze przed ceremonią uznali ją za Jeannette, gdy zaprezentowała się w eleganckiej sukni ślubnej swojej siostry - połyskliwej kreacji z lodowatobłękitnego jedwabiu, z rękawami do łokci, z wierzchnią spódnicą ze śnieżnobiałej organdy i ze stanikiem wyszywanym setkami perełek we wzór pnących róż. Nikt nie wątpił w jej tożsamość, nawet kiedy doprowadziła garderobianą siostry do paniki, oznajmiając, że musi mieć „nową” fryzurę; służąca po raz drugi przystąpiła do mozolnego przetykania perełkami i maleńkimi szafirami spiętrzonych koafiury.

Boże miłosierny, denerwowała się Violet po raz setny, jakże ja się wplątałam w tę kabałę?

Kiedy zbudziła się tego ranka, wszystko było tak cudownie zwyczajne. To znaczy na tyle, na ile zwyczajny może być dzień ślubu, kiedy cały dom miota się gorączkowo. I ona sama byłaby o wiele bardziej zaniepokojona, gdyby zdawała sobie wtedy sprawę, że to dzień jej ślubu - a nie siostry. Żałowała teraz, że nie odpuściła sobie jajek i wędzonych śledzi, które zjadła na śniadanie. Posiłek nieprzyjemnie ciążył jej w żołądku.

Och, ależ była głupia! To nie mogło jej ujsć na sucho!

Dłoń dziewczyny drżała w dłoni księcia, tak silnej i męskiej, tak ciepłej w zetknięciu z jej lodowatą skórą. Od kiedy podeszli nawą do ołtarza, ledwie zerknęła na pana młodego, zbyt zdenerwowana, by ośmielić się spojrzeć mu w twarz. Ale cały czas czuła jego obecność u swego boku, jego wysoką potężną postać, ciemnowłosą i piękną, olśniewającą w eleganckim stroju ślubnym.

Czy wie? - zastanawiała się. Czy coś podejrzewa? Boże drogi, a jeśli tak? Czy zdemaskuje ją tu, w obecności towarzystwa, czy poczekają, aż będą mogli porozmawiać w cztery oczy, i zażąda unieważnienia małżeństwa? Tak czy inaczej, jakże zdoła mu się wytłumaczyć?

Co może powiedzieć kobieta, której tożsamość zostaje podważona?

Cóż w nią wstąpiło tego ranka? Jak mogła pozwolić, by Jeannette namówiła ją na ten przerażający manerw? Czy nie dlatego wiele lat temu poprzysięgła sobie nigdy więcej nie zamieniać się rolami ze swoją starszą bliźniaczką? Bo to zawsze sprowadzało kłopoty - na nią, na Violet!

Dlaczegóż, ach, dlaczegóż dała się zwabić na tę zdradliwą ścieżkę?

Czy dlatego, że Jeannette postanowiła odtrącić swojego bogatego, przystojnego, wpływowego narzeczonego zaledwie dwie godziny przed ceremonią? Jej postępek wywołałby skandal tak katastrofalny, że cała rodzina już nigdy nie podźwignęłaby się z upokorzenia i wstydu.

Czy dlatego, że Adrian zapłacił Jeannette za małżeństwo dwadzieścia tysięcy funtów, które rozeszły się jak woda na pokrycie ogromnych długów ich ojca i młodszego brata Darrina, skończonego utracjusza?

A może dlatego, że kochała Adriana Wintera? Kochała go od pierwszego spotkania na balu debutantek, który odbył się dwa sezony temu. I kochała go wciąż bolesną i nieodwzajemnioną miłością nawet po tym, jak oświadczył się jej siostrze - choć wydarzenie to pozostawiło krwawiącą ranę w jej sercu, którym nieświadomie zawałdnęła.

- Hm... milady - szepnął arcybiskup. - Teraz pani kolej.

- Co? Och, przepraszam. T-tak, oczywiście - odparła cicho, zażenowana, że przyłapano ją na bujaniu w obłokach.

Spojrzała w górę i dostrzegłszy błysk zdumienia i zaciekawienia w oczach Adriana, natychmiast odwróciła wzrok.

Arcybiskup wyrecytował słowa, które miała wypowiedzieć.

- Ja, Jannette Vi... hm. - Odchrząknęła i zakaszła. Co się z nią dzieje? Jeśli nie weźmie się w garść, sama się zdradzi, i nikt nie będzie musiał jej w tym pomagać. Spróbuj jeszcze raz, pomyślała rozgorączkowana, skup się. Wzięła głęboki oddech. - Ja, Jeannette Rose, biorę ciebie, Adrianie Philipie George'u... - Nagle poczuła, że ma pustkę w głowie. Wielkie nieba, jak brzmiał ciąg dalszy?

- Stuarcie Fitzhugh...- podpowiedział dyskretnie arcybiskup.

- ..Stuarcie Fitzhugh, za małżonka.

Arcybiskup wyrecytował kolejny werset.

Słuchała uważnie i powtarzała słowa, kiedy przychodziła jej kolej.

...by odtąd być z tobą... na dobre i na złe, w bogactwie i w ubóstwie... - Znów uniosła głowę i napotkała spokojne spojrzenie wymownych, czarnych oczu Adriana. - ... w zdrowiu i w chorobie... - Jej zdenerwowanie odrobinę zelżało. Wiedziała, że każde słowo wypowiada szczerze. - ..by cię kochać i szanować, dopóki śmierć nas nie rozdzieli... - Naprawdę go kochała. I właśnie

przysięgła, że będzie go kochać przez wszystkie dni swego życia. Co do szacunku i posłuszeństwa... cóż, obawiała się, że te obietnice już złamała, ale zamierzała postarać się z całych sił, by wynagrodzić mu to w przyszłości. - ...według świętego Bożego postanowienia, co ci dziś uroczyste ślubuję.

Arcybiskup znów przemówił. Tym razem do Adriana, który uniósł lewą dłoń Violet i wsunął cienką złotą obrączkę obok ogromnego pierścionka ze szmaragdami i brylantami, który Jeanette wcisnęła jej na palec niecałą godzinę temu. To był teraz jej pierścionek.

- Ta obrączką zaślubiam cię... - zaintonował Adrian z powagą głębokim, aksamitnym głosem - ..wielbię cię moim ciałem, majątkiem ziemskim wspieram: w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

- Módlmy się. -Arcybiskup w pobożnym geście uniósł modlitewnik.

Czując, że drżącej nogi, Violet uklękła obok człowieka, który prawie stał się już jej mężem. Skłoniwszy głowę, zamknęła oczy i zmówiła własną modlitwę, prosząc Boga, by jej przebaczył. Była słabą istotą ludzką, ale kochała tego mężczyznę u swego boku mocniej, niż sobie wyobrażał i kiedykolwiek będzie wyobrażał. Czyż oszustwo, którego się dopuściła, może być wielkim grzechem, skoro jej serce przepełniało tak niezachwiane i szczere uczucie?

Wydawało jej się, że Bóg wysłuchał cichego błagania, pozwalając arcybiskupowi zakończyć ceremonię bez przeszkód.

- Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza.

Adrian pomógł żonie wstać, trzymając mocno jej dłoń w swojej. Poczowała dreszcz, gdy otoczył ręką jej kibić i przyciągnął ją do siebie.

- Wasza Książęca Mość - powiedział z uśmiechem arcybiskup - może pan pocałować pannę młodą.

Violet nie potrafiła odczytać wyrazu twarzy Adriana o rzeźbionych, marsowych rysach, gdy pochylił się ku niej blisko, bardzo blisko.

Przedtem została pocałowana tylko raz, było to cmoknięcie w usta w cieniu jabłoni, skradzione przez jednego z kuzynów Brantfordów, gdy miała dwanaście lat. Stwierdziła wtedy, że myśl o pocałunku jest o wiele bardziej podniecająca niż sam pocałunek.

Usta Adriana dotknęły jej warg. Ciepłe i gładkie, twarde, a zarazem delikatne. Dowiodły jej, że tak naprawdę nigdy jeszcze nie była całowana. Słodki szum wypełnił jej uszy, krew zagrała w żyłach niczym wezbrana rzeka, gdy świat wokół rozpułynał się - goście, arcybiskup, wszyscy. Instynktownie rozchyliła wargi, by dać mu więcej. Przez króciutki moment skorzystał z zaproszenia, przyciskając usta mocniej, aż zabrakło jej tchu, a wszelkie myśli uleciały z głowy.

I nagle było po wszystkim. Adrian wyprostował się i wsunął jej rękę pod swoją, a potem ruszyli wzdłuż nawy.

- Uśmiechnij się, moja droga - powiedział tak, by tylko ona usłyszała. - Jesteś blada jak śmierć. Choć pocałunek przywrócił twoim liczkom odrobinę koloru.

Na wzmiankę o pocałunku jej rumieniec się pogłębił. Ponieważ prosił, uśmiechnęła się promiennie do gości. Wyglądaj na szczęśliwą, powiedziała sobie. Wyglądaj jak Jeannette. Zaczęła więc grać komedię, robiąc co w jej mocy, by opanować dreszcze.

Żwawym krokiem pokonali długie prezbiterium, mijając kolejne rzędy uśmiechniętych gości siedzących w rzeźbionych ławkach z ciemnego dębu, aż weszli w tłum zgromadzony w szerokim transepcie katedry, zwieńczonym kopułą.

Adrian trzymał ją tuż przy sobie, a ona przywierała z wdzięcznością do jego ramienia, starając się uśmiechać i rozmawiać, zamiast ukryć się we wstydlwym milczeniu, jak pragnęła.

Na szczęście wkrótce ich uwolniono. Jeden z diakonów odciągnął młodą parę na bok, wypowiedziawszy najpierw kilka cichych słów do księcia. Słów, których nie była w stanie dosłyszeć. Nie zareagowała, gdy odprowadził ich do cichego, odosobnionego pomieszczenia i uprzejmie, lecz ze śmiertelnie poważną miną poinformował, że arcybiskup wkrótce się zjawi.

Po czym zamknął drzwi, pozostawiając ich samych.

Violet posłała swemu świeżo poślubionemu mężowi szybkie spojrzenie spod rzęs, próbując wyczytać z jego twarzy jakąś wskazówkę, dlaczego tutaj przyszli. Nie wyglądał na zagniewanego ani wzburzonego. Choć przecież doskonale potrafił skrywać swe uczucia, kiedy chciał. Przez ostatnich kilka miesięcy poznała go dość dobrze, by to wiedzieć.

Czy domyślił się prawdy? A może arcybiskup ją odgadł? Czy dlatego zostali odprowadzeni tutaj, by czekać na duchownego? Bo poznał prawdę? Bo wszyscy poznali?

Czując, że uginają się pod nią kolana, ze spoconymi dłońmi osunęła się na krzesło — jedno z dwóch, ustawionych naprzeciw masywnego orzechowego biurka z aniołami wyrzeźbionymi na froncie i po bokach oraz cherubinami na nogach. Ledwie mogła rozróżnić szczegóły; bez okularów z bliska widziała niewiele prócz rozmazanych, zamglonych kształtów.

Kiedy indziej pochyliłaby się, by dokładniej obejrzeć okazałe biurko. Musiała jednak oddać okulary siostrze tego ranka. Jeanette, oczywiście, nie potrzebowała szkieł; wzrok miała doskonały.

Ale bez okularów Violet nie mogła w pełni podziwiać wspaniałego mebla -wielka szkoda, biorąc pod uwagę jej zamiłowanie do sztuki. Malarstwo, rzeźba, architektura... wszelkie wyjątkowe wytwory geniuszu wywoływały w niej zachwyty. Sztuki piękne, muzyka i literatura zaliczały się, jej zdaniem, do tych niewielu ziemskich spraw, które naprawdę pozwalały człowiekowi wznieść się ponad samego siebie, ku niebiosom.

Jednak w tej chwili miała o wiele ważniejsze troski. Na przykład ta, by jej nie zdemaskowano.

- Boziu - powiedziała, naśladując swoją siostrę - strasznie tu gorąco, czyż nie?

- Taka ewentualność była brana pod uwagę, o ile sobie przypominam, kiedy omawialiśmy plany weselne — odparł Adrian. - To ty zdecydowałaś, by ceremonia odbyła się w połowie lipca.

„Uparłaś się” byłoby bardziej odpowiednim słowem. Violet przypomniała sobie ten incydent i załamywanie rąk wszystkich domowników, zwłaszcza matki. Każda kobieta może być czerwcową panną młodą, oświadczyła Jeannette, ale tylko kobieta naprawdę wyjątkowa zdoła przekonać socjetę do pozostania w mieście po zakończeniu sezonu. Jej ślub zapadnie wszystkim w pamięć, obiecywała. Będzie najbardziej spektakularnym wydarzeniem od ostatniego wesela w rodzinie królewskiej.

Adrian napełnił dwa kieliszki winem z kryształowej karafki stojącej na stoliku i podał jej jeden.

- Proszę, moja droga, odnoszę wrażenie, że dobrze ci to zrobi. - Gdy przyjęła kieliszek, sam napił się ze swojego. - Czy dobrze się czujesz? - zapytał lekkim tonem.

- To znaczy?

- Przez chwilę podczas ceremonii wydawałaś mi się bliska omdlenia. Czułem, jak drżysz od stóp do głów.

Violet zaczęła gorączkowo szukać w głowie odpowiedzi; zdecydowała się na tę, która była najbliższa prawdy.

- Nerwy panny młodej, skoro już musisz wiedzieć. Cały ranek byłam trochę nieswoja. Nie mogłam jeść, a w nocy ledwie zmrzyłam oczy. Ale już prawie doszłam do siebie. - Posłała mu krótki, uspokajający uśmiech.

- Cóż, miło mi słyszeć, że to nic poważnego. Kiedy się dziś spóźniałaś, przyszło mi do głowy, że może się rozmyśliłaś.

Violet przełknęła pośpiesznie ślinę i omal się nie zakrztusiła łykiem wina. Czy Adrian odgadł, że Jeannette zmieniła zdanie? Wydawał się o wiele bardziej spostrzegawczy, niż jej siostra była skłonna przyznać. Dlatego ona, Violet, miała tak poważne wątpliwości co do powodzenia tego szalonego planu.

- Co masz na myśli? - zapytała bez tchu.

- Zastanawiałem się po prostu, czy nie masz zamiaru porzucić mnie przed ołtarzem.

I cóż miała na to odpowiedzieć? Walcząc z narastającą paniką, roześmiała się, odrzuciwszy głowę do tyłu.

- Cóż za głupstwa. Oczywiście, że nie miałam zamiaru cię porzucić. Dlaczego miałabym to zrobić?

Adrian upił kolejny łyk wina, najwyraźniej nie do końca przekonany.

- Chodziło o moje włosy - ciągnęła odważnie.

- O włosy?

- Tak. Jacobs... moja garderobiana, wiesz... nie mogła poradzić sobie z uczesaniem. Zająłoby jej to całe godziny, a wszak musiałam poczekać, aż moja koafiura będzie idealna. Przecież nie mogłam pokazać się na własnym ślubie, nie wyglądając doskonale, prawda?

Przez długą chwilę patrzył jej w oczy; Violet wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź.

- Nie, oczywiście, że nie mogłaś, i efekt wart był wysiłku. Wyglądasz wspaniale. Jesteś piękna. - Podeszedł bliżej i uniósł jej dłoń. - Najpiękniejsza panna młoda, o jakiej może marzyć mężczyzna.

Przycisnął usta do jej nadgarstka, w miejscu, gdzie delikatne, błękitnawe żyły przebiegały tuż pod skórą. Zadrżała, ale tym razem nie miało to nic wspólnego ze zdenerwowaniem.

Drzwi stanęły otworem i do sali wkroczył arcybiskup w szatach łożopoczających wokół kostek.

- Proszę o wybaczenie, że kazałem Waszym Książęcym Mościom czekać. Wiem, że jak najszybciej chcielibyście wrócić do radosnych obowiązków w tym wyjątkowym dniu. W sąsiednim pokoju mam przygotowaną księgę ślubów. Trzeba jeszcze tylko złożyć podpisy i nasze sprawy tutaj będą szczęśliwie zakończone.

Księga ślubów? Violet pojęła, że ona i Adrian będą musieli wpisać się do księgi, by ich związek nabrał mocy urzędowej. Ach, Boże! No cóż, musi po prostu sfałszować imię Jeannette, i tyle.

A jednak, gdy Adrian podpisał się pierwszy i przysłała jej kolej, by podejść do księgi, zawahała się. Ciężka, pergaminowa stronica przed nią była jedynie niewyraźną, białą plamą. Violet ledwie widziała, co napisał Adrian w kolumnie obok tej, gdzie ona miała się wpisać. Teraz boleśniej niż kiedykolwiek odczuła brak okularów.

Gdy przystępowała do złożenia podpisu za siostrę, wpadła jej do głowy niepokojąca myśl. Jeśli wpisze imię bliźniaczki, to czy z prawnego punktu widzenia nie będzie to oznaczało, że Adrian rzeczywiście jest mężem Jeannette? Mimo iż tak naprawdę to ona, Violet, brała udział w uroczystości? Boże drogi, nie miała pojęcia. Nie była prawnikiem.

Nagle poczuła ogromną niechęć do ostatecznego wyrzeczenia się własnej tożsamości. Nawet gdyby miało to oznaczać ogromne ryzyko.

Tylko jedna litera odróżniała jej pierwsze imię od imienia siostry. Malutkie „e”, które nadawało imieniu Jeannette elegancką, francuską wymowę i bez którego jej własne brzmiało tak zwyczajnie i nudno. Może jeśli z pierwszego imienia zrobi nieporządny bałgrogł i zupełnie pominie drugie, podpis będzie miał wystarczającą moc prawną. Zakładając oczywiście, że zdoła dostatecznie wyteńczyć wzrok i dostrzec, gdzie ma przyłożyć pióro.

Żałowała, że nie może udać analfabetki i po prostu postawić krzyżyka. Ale niestety, nawet Jeannette - którą trudno nazwać wykształconą - nie była aż taką ignorantką.

Wiedząc, że nie powinna zwlekać ani chwili dłużej, pochyliła się i nabazgrała na stronicie swoje własne nazwisko - „Jannette Brantford”. Pomyślała ze smutkiem, że być może zrobiła to ostatni raz.

- Gotowe, Wasza Książęca Mość?

Obróciła się na pięcie.

- Tak, tak, gotowe - odparła, starając się nie zdradzić, jak bardzo wystraszyło ją niewinne pytanie arcybiskupa.

Czekała, z sercem łomoczącym ze strachu, czy duchowny odczyta podpis, czy zauważy różnicę. Ale arcybiskup zerknął tylko pobieżnie, oprószył stronicę piaskiem, by wysuszyć atrament, strzepnął ziarenka i zamknął księgę.

- Proszę pozwolić, że będę pierwszy, który złoży najserdeczniejsze życzenia przyszłego szczęścia, Wasza Książęca Mość. - Duchowny zwrócił się do niej z uśmiechem, ujmując jej dłonie. - Niech wam Bóg błogosławi.

I znów to usłyszała.

Wasza Książęca Mość.

Jakże dziwnie to brzmiało. Jak przerażająco. Co ona wiedziała o obowiązkach księżnej? Jak sobie poradzi? Dlaczego zgodziła się na nieprzemyślaną intrygę Jeannette? Bóg świadkiem, że to oszustwo mogło doprowadzić jedynie do katastrofy.

Ale w tej chwili spojrzała na Adriana, który czekał kilka kroków dalej, i przypomniała sobie, dlaczego.

Kochała go. Oby nigdy się nie dowiedziała, kim naprawdę jest.

2

Resztę przedpołudnia i długie popołudnie przeżyła spowita nierealną mgłą. Niektóre chwile ciągnęły się w nieskończoność, inne pędziły szaleńczo - a z każdą uściśniętą dłonią, z każdym uśmiechem, z każdym niewyraźnie wymruczanym podziękowaniem za życzenia spodziewała się, że zostanie rozpoznana.

Ale nikt jej nie rozpoznał.

A im dłużej to trwało, lepiej jej szło.

Jako dzieci ona i Jeannette czasem zamieniały się rolami. Choć różniły się temperamentem, takie udawanie dla zabawy przychodziło im bez trudu. Ośmielone sukcesami, zuchwale wypróbowywały swoje sztuczki na rodzicach, guwernantce, służących, a nawet na przyjaciółkach, i potrafiły oszukać każdego. Potem siadały razem w pokoju dziecięcym i chichotały, zachwycone psotą.

Wracając myślą do tych niemal zapomnianych czasów, Violet przywołała dawne umiejętności, stare sztuczki - mające inny wymiar teraz, gdy ona i Jeannette nie były już dziećmi, choć nadal pozostały bardzo podobne. Było to dziwne, ale ułatwiało zadanie.

Mimo wszystko drżała ze strachu, lecz starała się emanować elegancką żywiołowością, jak robiłaby to jej siostra. Uśmiechając się i szczebiocząc, wymieniała całusy i komplementy z setkami osób. Na całe szczęście jako panna młoda mogła krążyć od grupki do grupki, niby majestatyczny motyl, zatrzymując się tylko na moment, by się przywitać, po czym odtruwała w nowe, bezpieczne miejsce.

Najgorsza była chwila, kiedy najlepsza przyjaciółka Jeannette, Christabel Morgan, złapała ją pomiędzy rozmowami i odciągnęła na bok na szybką pogawędkę sam na sam. Zalotna i modna Christabel była ulubienicą towarzystwa i zyskała uznanie za błyskotliwość i język ostry niczym rapier. Violet wiedziała, że dziewczyna potrafi być szczodra i miła, wręcz kochana. Ale tylko wtedy, gdy kogoś lubiła i uznawała za godnego swych względów. Jednak Christabel nie popierała młodych kobiet pokroju Violet, które znajdowały przyjemność w zdobywaniu wiedzy i mądrości. Dziedziny te, jej zdaniem, były z natury przypisane mężczyznom. Przyjęcia i stroje, zakupy i kobiece rozrywki - oto pole do popisu dla dam.

Violet uznała więc za prawdziwą ironię losu, że nadzwyczajna panna Morgan zapragnęła odbyć z nią poufną dziewczęcą pogawędkę.

Gdybyż Christabel znała prawdę!

- Oooch! - pisnęła dziewczyna, biorąc Violet pod rękę i kierując w stronę zacisznego miejsca obok gęstej palmy w donicy. - Dosłownie usycham z zazdrości. Jakaż musisz być szczęśliwa! Zostałaś żoną najprzystojniejszego mężczyzny w całym kraju, a na dodatek księżną. I wyglądasz dziś tak pięknie, mówiłam ci to już? Zapewne będę teraz musiała zwracać się do ciebie per „Wasza Księżęca Mość”. To dopiero zabawne.

Violet spojrzała na przyjaciółkę siostry. Zwalczyła nieprzepar-tą chęć wyrwania ręki z jej uścisku. Wysunęła podbródek, dosko-nale udając Jeannette. Uniosła brew.

- Oczywiście, że masz się do mnie zwracać „Wasza Księżęca Mość”, ale tylko w towarzystwie. - Uśmiechnęła się szeroko, by złagodzić wymowę wyniosłego stwierdzenia.

Christabel odpowiedziała uśmiechem; najwidoczniej nie spodziewała się innych słów.

- Spójrz tylko na to. - Wskazała ruchem głowy wysokiego, bladego i chudego jak patyk mężczyznę w drugim końcu sali.

Violet rozpoznała go natychmiast nawet bez okularów.

Ferdy Mickelstone, słynny męski kapelusznik, znany zarówno ze swoich częstych katastrofalnych gaf, jak i z sięgających po same skronie kołnierzyków, które uparcie nosił. I dziś nie zrobił wyjątku, rogi jego kołnierzyka wznosiły się na dobrych dwadzieścia centymetrów, upodabniając go do konia wyścigowego w klapkach na oczy.

- Och, wylał poncz na lorda Chumleya - szepnęła bez tchu Christabel. - Zapewne zupełnie zniszczył mu ubiór.

Violet patrzyła, jak Ferdy gorączkowo wyciera plamę na gorsie swego rozmówcy. Wyraźnie zde gustowany starszy dżentelmen - wybitny członek parlamentu - niecierpliwie odsunął ręce Ferdy'ego, uczynił jakąś kąśliwą uwagę i oddalił się zagniewany. Ferdy poczerwieniał niczym burak i tak się przygarbił, że jego broda schowała się w fular.

- Cóż za głupi człowieczek - powiedziała Christabel. - Powinien chodzić ze słowem „niebezpieczeństwo” wyhaftowanym na klapie, nie sądzisz?

Violet zachichotała, bo wiedziała, że Christabel tego się po niej spodziewa. Ale w głębi duszy było jej żal Ferdy'ego. Wiedziała, jak to jest być wyśmiewanym. Znała to uczucie, kiedy zamknięcia i skłonności wyróżniają człowieka z tłumu.

Przez następnych kilka minut Christabel z ożywieniem relacjonowała jakąś smakowitą plotkę, którą zasłyszała, lecz nagle urwała i lekko trąciła Violet łokciem.

- Spójrz na drugi koniec sali - szepnęła. - To twoja siostra z tą przemądrzałą abnegatką, Elizą Hammond. Co też Violet widzi w tej dziewczynie? Ja na twoim miejscu zakazałabym jej tej znajomości. Kobieta o twojej pozycji nie powinna tolerować tak

niesmacznych aliansów. Pomyśl tylko, jak to może rzutować na twoje plany zostania patronką*.

Violet zacisnęła zęby. Chciała bronić przyjaciółki, ale tylko przełknęła słowa, które wypływały na usta. Wiedziała, że jej siostra, niestety, zgodziłaby się z Christabel. Niezliczoną ilość razy Jeannette i matka wyrażały podobne odczucia, besztając Violet za przyjaźń z niemodnie ubraną Elizą. Ostrzegwały, że zadawanie się z takim zerem nie przyniesie nic dobrego, a na pewno odstraszy ewentualnych konkurentów. Ona jednak ignorowała je uparcie i nie zrywała znajomości z przyjaciółką. Lubiła Elizę, niezależnie od modnych czy niemodnych sukien, i to jej wystarczało.

- Oho, czy mnie oczy nie mylą? - rzuciła Christabel. - Ale zdaje się, że Violet właśnie daje tej okropnej pannie Hammond właściwą odprawę. Może, widząc, jak wspaniałą partię dziś zdobyłaś, nareszcie odzyskała rozsądek.

Niedoczekanie, pomyślała Violet, patrząc bezradnie, jak siostra odwraca się lekceważąco od jej najlepszej przyjaciółki i odchodzi. Na twarzy Elizy odmalowały się konfuzja i uraza.

Miała ochotę rzucić się przez całą salę i pocieszyć przyjaciółkę. Chciała wyjaśnić Elizie, że to Jeannette z nią rozmawiała, nie ona.

Ale nie mogła do niej podejść, nie mogła niczego wyjaśnić, aż nazbyt świadoma, jak niebezpieczne byłoby ujawnienie oszustwa, nawet przed kimś tak godnym zaufania jak Eliza. Najmniejsze potknięcie i domek z kart, który zbudowały razem z Jeannette, zawaliłyby się im na głowy. Obiecała sobie, że któregoś dnia wynagrodzi to Elizie. Znajdzie sposób, by uzyskać wybaczenie za afront Jeannette.

Christabel westchnęła.

- To doprawdy przezabawne. Nie uważasz?

* Patron - w dawnym kościele anglikańskim osoba mająca prawo polecenia duchownego na dane beneficjum, np. probostwo, do zatwierdzenia przez biskupa (przyp. tłum.).

Violet czuła, że powinna skinąć głową i roześmiać się, udzielić dowcipnej odpowiedzi. Nie mogła jednak, zbyt zasmucona, zdobyć się choćby na pozór rozbawienia. Patrzyła tylko w przejrzyste, błękitne oczy Christabel.

Cóż za okropną jędzą, pomyślała. Powoli wyswobodziła rękę spod ramienia Christabel, niezdolna dłużej ścierpieć jej dotyku. Odsunęła się, jakby chciała uciec od gładziego uścisku Meduzy.

Christabel zmarszczyła brwi, przyglądając się jej uważnie.

- Czy coś się stało? Nagle zrobiłaś taką dziwną minę. Nie jesteś chyba chora, co?

Chwilowa brawura opuściła Violet; język niemal skamieniał w ustach. W milczeniu pokręciła głową, zmuszając się do uśmiechu, pewna, że jeśli spróbuje przemówić, natychmiast się zdradzi.

Christabel wciąż się w nią wpatrywała, najwyraźniej nieprzekonana, gdy nagle u boku Violet wyrósł jak spod ziemi Adrian.

- Przepraszam, że przerywam, drogie panie - rzekł kordialnym tonem. - Mam nadzieję, że pani się nie obrazi, panno Morgan, ale muszę porwać moją młodą żonę. Już pora, byśmy rozpoczęli tańce. - Obdarzył obie czarującym uśmiechem.

Christabel dygnęła z ociąganiem, wymieniła z Adrianem poźegnalne skinienie.

Violet, skrywając westchnienie ulgi, obróciła się ku niemu i pozwoliła poprowadzić na środek sali. Nawet nie miał pojęcia, jak nieocenioną przysługę oddał jej przed chwilą.

W tańcu zatoneła w jego ciepłych, silnych ramionach i się odprężyła. Była bezpieczna po raz pierwszy od chwili, kiedy tego ranka szła nawą, prowadzona przez ojca. Śmieszna myśl, zadzwiała w duchu z samej siebie, skoro to właśnie przy Adrianie musiały cały czas mieć się na baczności. Ten człowiek, gdyby odkrył jej prawdziwą tożsamość, był w stanie zmiażdżyć jej serce i duszę. A jednak była jego żoną.

Jego żoną.

Jakie cudowne, nieprawdopodobne słowa. Aż do dzisiejszego poranka, do tych niewiarygodnych chwil wstrząsu, negacji,

wątpliwości i nadziei, gdy Jeannette oznajmiła, że nie poślubi Adriana, Violet nawet nie śmiała marzyć, że coś takiego jest możliwe. Nigdy nie pozwalała sobie choćby śnić, że on mógłby być jej mężem.

Sięgnęła pamięcią do sekund tuż po tym, jak Jeannette bez *ogródek* oświadczyła, że nie wyjdzie za Adriana. Przypomniała sobie, jak zabrakło jej tchu i otworzyła usta ze zdumienia. I jak po chwili, kiedy wróciła do równowagi, zaczęła się sprzeciwiać. Choć szczerze nienawidziła samej myśli, że jej siostra ma poślubić człowieka, którego ona darzyła miłością, natychmiast pojęła konsekwencje zerwania zaręczyn.

Jednak mimo wszelkich próśb o ponowne przemyślenie tej sprawy, Jeannette pozostała nieugięta.

Jej szczęście, oznajmiła, jest zbyt ważne, by miała się martwić o przyziemne drobnostki w rodzaju pieniędzy czy ograniczeń narzucanych przez społeczeństwo. Przez moment wydawało jej się, że jest zakochana w Raeburnie, ale błędnie oceniła swoje uczucia. Uważa go za nieczułego tyrana i nie zamierza dać się do niego przykuć na całe życie, ciągnęła, dramatyzując. Nie pozwoli się wykorzystać przez rodzinę, jak jakaś niewolnica wystawiona na targ.

I w końcu wypowiedziała słowa, które na zawsze odmieniły ich losy.

„Skoro tak ci zależy, by wszystkich ratować, skoro chcesz się bawić w męczennicę i dać się złożyć w ofierze na ołtarzu rodziny, to sama za niego wyjdź”.

Zdanie to zawisło między nimi niczym kula armatnia zatrzymana w locie.

Wyjść za Adriana? Boże drogi, Violet niczego bardziej nie pragnęła! Ale oszukać go? Zwieść, zamieniając się miejscami z siostrą? Skazać na odgrywanie przez całe życie kłamiwej komedii?

Nie, pomyślała rozsądnie. To byłoby podłe. Ohydne przestępstwo, jakiego nie dopuściłaby się żadna przyzwoita osoba,

a już z pewnością młoda, nieśmiała dama jak ona. Cóż znowu, sam pomysł zasługiwał na potępienie. Nikt by *nie* uwierzył, że byłaby zdolna do popełnienia tak bezczelnego oszustwa.

Ale właśnie to czyniło je tak doskonałym, dzięki temu było wykonalne, przekonywała Jeannette. Bo komu przyszłoby do głowy cokolwiek podejrzewać?

Mimo oporów, mimo strachu przed zdemaskowaniem, mimo przekonania, że byłby to zły postępek, Violet nie umiała się oprzeć. Trafiała się jej jedyna okazja, jedyna szansa na związek z człowiekiem, którego uwielbiała. Jakżeby mogła ją odrzucić? Wiedziała, że jeśli teraz odmówi, Adrian Winter zniknie z jej życia - było to tak pewne, jak twierdzenie, że wieczorem słońce zajdzie za horyzont.

Jakie to ma znaczenie, że będzie ją uważał za Jeannette, jeśli będzie mogła żyć u jego boku?

Przemyślała jeszcze raz swoją decyzję teraz, gdy tańczyli, i uśmiechnęła się, spoglądając w jego piękne, wyraziste oczy. To jest warte wszystkiego, stwierdziła, choćby nawet miało nie potrwać długo.

Jakimś cudem przeżyła resztę dnia, zapewne dzięki Adriano- wi, który trwał przy jej boku niczym skała. Miała nadzieję, że jej potknięcia przypisywał zdenerwowaniu wywołanemu niezwykłym dniem. Bo choć robiła wszystko co w jej mocy, by zachowywać się jak siostra, bała się, że jej gra jest jedynie marnym naśladownictwem. Ze wypadała blado jak szklane błyskotki ułożone obok brylantów.

Nareszcie, po wielu długich godzinach, po tańcach, konwersacjach o niczym i po wystawnej kolacji - właściwie przesuwała tylko jedzenie po talerzu, niezdolna niczego przełknąć - pozwolono jej pójść na górę i przebrać się w strój podróżny.

- Tu jesteś, kochanie, widzę, że już prawie gotowa do wyjazdu. - Jej matka, hrabina Wightbridge, weszła dostojnym krokiem do sypialni. Dwie pokojówki krzątały się gorliwie po pokoju, pakując ostatnie niezbędne drobiazgi. Matka była przekonana, że

Violet to Jeannette. Teraz nie mogła się załamać. Musiała do końca mydlić мамie oczy. Jeszcze tylko kilka minut, powiedziała sobie, czując, jak mdłości wzbierają w jej żołądku. - Och, tak trudno będzie mi się z tobą rozstać, moje kochane dziecko - żaliła się matka. - Jakże będziemy wszyscy za tobą tęsknić!

- Ja też będę tęsknić za wami - odparła Violet, siląc się na lekki ton, jakiego zapewne użyłaby Jeannette. - Ale kobieta musi się nauczyć godzić z tego rodzaju sprawami, gdy wyjdzie już za mąż i założy własny dom.

- Jesteś mężatką, a do tego księżną. - Matka splotła z zachwytem dłoń. - Oboje z ojcem jesteście tacy dumni. A ślub... naprawdę, trudno wyobrazić sobie piękniejszą ceremonię.

- Prawda?

- Choć wciąż uważam, że Raeburn postąpił okrutnie, odwołując waszą podróż za granicę. Wiem, jaka jesteś zdruzgotana. Tak bardzo się cieszyłaś, że zobaczysz kontynent... Francję i Holandię, i Belgię... teraz, kiedy ten okropny Napoleon został narazie pokonany i siedzi pod kluczem. Problemy z posiadłością! Phi! Jestem pewna, że są o wiele mniej poważne, niż utrzymuje. Ale cóż, mężczyźni są uparci w takich kwestiach. Nigdy nie rozumieją, jak istotne dla kobiety są takie wydarzenia, jak podróż poślubna. A uważają się za mądrzejszych!

Violet wiedziała wszystko o odwołanej podróży do Europy. Wiedzieli wszyscy w domu Brantfordów, aż po ostatnią posługaczkę. Jeannette płakała, zawodziła i dąsała się przez cały zeszły tydzień; osuszyła oczy w samą porę na ślub.

Tyle że to nie Jeannette wzięła ślub.

Violet przycisnęła dłoń do żołądka, starając skupić się na słowach matki, na roli, którą miała grać.

- Jesteś pewna, że chcesz oddać Jacobs swojej siostrze? - ciągnęła matka, mówiąc o długoletniej garderobianej Jeannette. - Przecież wiesz, że Violet zupełnie wystarczy jej własna pokojówka. Zawsze wystarczała. Ja nie mogłabym oddać mojej drogiej panny Phillips.

Violet nabrała powietrza i pospiesznie rozpoczęła przemowę, którą wcześniej ułożyły z siostrą. Jeannette najwyraźniej także nie potrafiła się rozstać ze swoją służącą.

- Tak, to będzie wielka strata, masz rację — przyznała. - Ale Jacobs jest tak świetnie obznajmiona ze zwyczajami na kontynencie. A skoro Violet za kilka dni wyjeżdża do Włoch z cioteczną babką Agathą, będzie potrzebowała jej pomocy o wiele bardziej niż ja. Nie czułabym się dobrze, zostawiając ją na łasce jakiejś zagranicznej pokojówki. Bóg jeden wie, jakie kłopoty mogłyby z tego wynikać. - Wykonała ruch ręką, naśladując królewski gest, którego ostatnio nauczyła się Jeannette. - Postanowiłam więc, że oddam jej Jacobs w prezencie. Ślubny podarek, jeśli można to tak nazwać, od siostry dla siostry. Ja wezmę sobie Agnes. Jest nowa w domu, ale bardzo miła. Powinna sobie świetnie poradzić jako pokojówka damy, kiedy się ją odpowiednio wyszkoli.

Prawdę mówiąc, Jacobs została hojnie wynagrodzona, co pomogło przyglądzić jej nastroszone piórka. Nie była zachwycona, gdy dowiedziała się, że jednak nie zostanie garderobianą księżnej Raeburn.

- Och, jakaś ty kochana, Jeannette! - wykrzyknęła matka. - Jaka szczodra i troskliwa. To prawdziwe błogosławieństwo dla Violet, że ma taką siostrę. - Hrabina wyprostowała się i spojrzała na drzwi. - A w ogóle to gdzie się podziewa ta dziewczyna? Jak słowo daję, nigdy jej nie ma, kiedy jest potrzebna.

Violet skrzywiła się w duchu, ale powstrzymała się od komentarza.

- Tu jestem, mamó. - Prawdziwa Jeannette weszła skromnie do pokoju, ubrana w kremową jedwabną suknię druhny, którą nosiła od chwili zamiany, uzbrojona w okulary i pełne rezerwy spojrzenie. Violet bezwiednie gapiła się na nią przez chwilę, nim odwróciła wzrok.

Cóż za dziwne uczucie, widzieć siebie tak, jak zapewne widzą cię inni. Zupełnie jakby patrzeć w trójwymiarowe lustro; tyle że w oczach siostry igrał psotny błysk niczym złośliwy chochlik.

- Widziałaś może szczotkę do włosów siostry? - zapytała matka, zwracając się do prawdziwej Jeannette. - Wiesz, tę z perłową rączką. Pokojówki mówią, że nigdzie nie mogą jej znaleźć, a twoja siostra potrzebuje tej szczotki w podróży. Chyba nie wzięłaś jej i nie zostawiłaś gdzie bądź? - Hrabina zmierzyła córkę spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

Jeannette splotła dłonie przed sobą.

- Nie, mam, ja... nie używałam tej szczotki. O ile sobie przypominam, leżała rano na toalecie, kiedy Jeannette przygotowywała się do ceremonii. Od tamtej pory jej nie widziałam.

Matka prychnęła drwiąco.

- Cóż, niewielki z ciebie pożytek. W takim razie pożegnaj się z siostrą, skoro za chwilę wyjeżdża. Raeburn nie będzie czekał w nieskończoność. Wiesz, jak mężczyźni nie lubią, gdy kobiety się spóźniają. A ja zapytam Phillips - ciągnęła na wprost do siebie. - Może ona będzie umiała wyjaśnić tę zagadkę. - Płynąc niczym łabędź na fali szeleszczącej spódnicy, hrabina wyszła, pozostawiając córki same.

Jeannette przeszła przez pokój, zamknęła drzwi i przekreśliła klucz w zamku.

Violet spojrzała siostrze w oczy.

- Zapewne ty ją masz.

- Oczywiście, że mam. To moja szczotka.

- No więc, lepiej niech nikt jej u ciebie nie zobaczy. Będziesz się miała z pyszna, jeśli cię przyłapią.

Jeannette podeszła bliżej i opadła na fotel.

- Mam w nosie, co sobie pomyślą. Nigdy mnie to nie obchodziło. To ty zawsze byłaś małą nieśmiałą łanią, bojącą się własnego cienia.

Violet zacisnęła zęby, słysząc tę niepochlebną uwagę na swój temat. Jeannette nie rozumiała, co mogła czuć siostra, bo to ona zawsze była ulubienicą, nianczoną i rozpieszczaną przez oboje rodziców. A Violet była po prostu „drugą” córką.

Przez dwadzieścia lat życia często się nad tym zastanawiała i nigdy nie zdołała zrozumieć, co robiła źle. Dlaczego rodzice tak nierówno obdzielali względami swe córki.

Fizycznie były nie do odróżnienia. Miały takie same jasne włosy, brzoskwińsiowomleczną cerę, identyczne promienne niebieskozielone oczy. Obie miały zadarte noski, pełne różane wargi i wysokie kości policzkowe w idealnie owalnych twarzach. Figury zaokrąglone w biodrach i biuście, i powabnie szczupłe gdzie indziej. Nawet ich głosy brzmiały dokładnie tak samo. Różniły się jedynie sposobem ubierania i mówienia. Były niczym dwa wiosenne groszki w strączku, jak mawiał o nich wuj Albert.

A jednak ich osobowości różniły się diametralnie - i było tak od dnia narodzin, jak to lubiła podkreślać matka. Być może pod uroczą powierzchownością inni dostrzegali coś, czego sama Violet nie widziała. Jakaś istotną cechę, skazę charakteru, która sprawiała, że od urodzenia dziewczyna była nic nie warta. Spędziła wiele godzin, pytając o to Boga. Wiele godzin szukała w swoim odbiciu w lustrze oznak tego tajemniczego braku.

- Mimo to - Violet wyjaśniała cicho siostrze - kradzież szczerki byłaby niezgodna z moim kodeksem. I fakt, że ją masz, mógłby wzbudzić czyjeś podejrzenia, co nie byłoby wskazane. Wszak teraz masz być mną.

Jeannette wzruszyła ramionami.

- Wiem, wiem. Nie przejmuj się tym aż tak bardzo. Nie dam się przyłapać. Nikt niczego nie podejrzewa. I muszę cię pochwalić. Odegrałaś wspaniałe przedstawienie. Mówiłam ci, że nikt się nie zorientuje, jeśli tylko się trochę postarasz. Ale jest jeszcze coś, co muszę ci powiedzieć.

Violet zmarszczyła brwi. Ilekroć Jeannette miała jej coś do przekazania na osobności, zwykle kończyło się to kłopotami.

- Cóż takiego? - zapytała z rezygnacją.

- Nie twierdzą, że na pewno tak się stanie, ale gdybyś otrzymała korespondencję od osoby podpisującej się K., masz przesłać ją bezpośrednio do mnie, nie czytając, oczywiście.

Mars na czole Violet się pogłębił.

- A któż to jest K. i dlaczego mam przekazywać ci listy od tej osoby?

- Bo cię o to proszę. Bo jesteś moją siostrą i mnie kochasz. Więc zrobisz to czy nie?

Czy ta osoba była mężczyzną, czy kobietą? Violet nie miała pewności, czy chce wiedzieć. Bała się zapytać. Czyżby Jeannette z kimś się związała? Z kimś innym niż Adrian? Czy to dlatego postanowiła odwołać ślub? Och, to zbyt skandaliczne, nawet by o tym myśleć!

Chciała odmówić Jeannette, ale czuła, że doprowadziłoby to jedynie do kłopotów. A czyż nie miała dość zmartwień w tej chwili, bez dokładania sobie nowych? Zdecydowała, że jeśli rzeczywiście przyjdą takie listy, zawsze może je wyrzucić.

Skinęła głową.

- Tak, zgoda.

Jeannette sięgnęła po uroczy słomkowy kapelusik, który wykonano na zamówienie do jej podróźnej kreacji z perłoworóżowego jedwabiu, teraz należącej do Violet. Strój uzupełniał lekki, zapinany płaszcz z białej bawełnianej kory. Włożywszy modny kapelusik na głowę siostry, Jeannette zawiązała pasiastą wstążkę w zalotną kokardkę, stylowo przesuniętą na bok podbródka.

Violet poczekała, aż Jeannette odsunie się o kilka kroków, by ocenić swoje dzieło.

- Idealnie - stwierdziła siostra. - Szkoda, że sama nie mogłam choć raz włożyć tego stroju. Raeburn z pewnością uzna, że wyglądasz uroczo.

- Tak sądzisz?

- Och, z całą pewnością.

Violet obróciła się, by spojrzeć na swe odbicie w lustrze toaletki; musiała zmrużyć oczy, by cokolwiek dostrzec.

- Chciałabym mieć okulary - mruknęła cicho. - Wszystko jest tak irytująco zamazane.

- Cóż, lepiej do tego przywyknij. Bóg mi świadkiem, że nigdy bym ich nie założyła, gdybym nie musiała. - Jeannette wska-

zała okulary na swoim nosie. - Trochę o tym myślałam. I przyszło mi do głowy, że „Violet” może wkrótce zmienić zdanie na temat noszenia okularów. Prawdę mówiąc, może wkrótce zmienić zdanie na temat bardzo wielu rzeczy. Ta podróż do Włoch będzie mieć na nią bardzo pozytywny wpływ.

Zaniepokojona Violet chwyciła siostrę za ramię.

- Och, Jeannette, nie rób niczego zbyt pochopnie.

Jeannette uwolniła rękę z uścisku Violet,

- Bez obaw. „Violet” będzie się zmieniać stopniowo. Nikt niczego nie zauważy.

Żołądek Violet wykonał niebezpieczne salto, nowa fala niepokoju spadła na dziewczynę niczym rozszalała burza. Poczwała, że ma spocone dłonie.

- Może jednak nie powinniśmy tego robić. Jeszcze jest czas, by wszystko odwrócić.

Gdy wypowiedziała te słowa, serce jej się ścisnęło. To by oznaczało, że na zawsze straci szansę bycia z Adrianem. Ale okłamywanie byłoby jeszcze gorsze.

Rysy Jeannette stwardniały.

- Nie ma mowy o ponownej zamianie. Jesteś teraz księżną Raeburn. Ty wzięłaś ślub, nie ja. Jeśli chcesz być tak głupia, by teraz zdradzić, co zrobiłyśmy proszę bardzo. Ale wiedz, że wszystko odbije się na tobie. Skandal, hańba i kara. Mama i papa najprawdopodobniej cię wydziedziczą. A w najlepszym wypadku zostaniesz odesłana w jakieś okropne, odludne miejsce, do Szkocji czy Irlandii, i nikt o tobie więcej nie usłyszy.

Miała rację. Właśnie tak zareagowałiby rodzice, właśnie tak by postąpili. Jeannette nic by się nie stało; przebiegła i zwinna jak kot, zawsze lądowała na czterech łapach. Nie - to ona, Violet, będzie musiała ponieść całą odpowiedzialność za oszustwo. To ona zostanie uznana za winną przez sam fakt, że zgodziła się wziąć w tym udział.

Kiedy rano włożyła suknię ślubną Jeannette i zaczęła udawać siostrę, przypieczętowała swój los. Dokonała wyboru, od którego nie było już odwrotu. I nigdy nie będzie.

- Więc ucisz sumienie i okaż choć trochę hartu ducha - naciśkała Jeannette. - Wszystko idzie dobrze i będzie tak szło, dopóki nie zaczniesz paplać. A teraz chodź. Jak powiedziała mama, konie Wintera na pewno robią się niespokojne, a jemu samemu spieszno do odjazdu.

Violet, próbując się zmobilizować, wzięła głęboki wdech. Dam sobie radę, uspokajała się w duchu. Wszystko będzie dobrze. Siłą opanowała drżenie dłoni i sięgnęła do klamki.

Nieco dalej w korytarzu stał Adrian i rozmawiał ze swoim bratem, Christopherem. Jego słowa dobiegły jej uszu.

- ...skoro nie ujrę cię już przed twoim wyjazdem na uniwersytet. Życzę ci udanego semestru, i nie rób głupstw. Pamiętaj, że jedziesz tam studiować, a nie pić i hulać.

- Nie martw się, bracie - mruknął młodszy, ciemnowłosa mężczyzna. - Będziesz ze mnie dumny.

- Postaraj się o to - zakończył rozmowę głosem, w którym nie słyszało się pewności.

Mężczyźni odwrócili się ku nadchodzącym siostram.

Tak jak i Violet, Adrian zmienił strój ślubny na ubranie bardziej odpowiednie do podróży - żakiet i spodnie z najcieńszego granatowego sukna, białą koszulę i beżową kamizelkę zdobną w skromne złote prążki; do tego fular, zawiązany w fascynująco skomplikowany węzeł, i lśniące botforty*. Wyrafinowany, wytworny, zapierający dech w piersiach.

Violet przełknęła ślinę, staczając kolejną walkę z własnym sumieniem.

Był tak piękny - o wiele dla mnie za piękny, myślała. Cóż ja wyprawiam, na litość boską?

- Nareszcie gotowa, moja droga. - Adrian podszedł, by wziąć ją za rękę.

Powiedzieć mu czy nie? - wahała się. To była jej ostatnia, na prawdę ostatnia szansa na szczerłość.

* Botforty - buty z długimi cholewami, wyższymi z przodu, dziś używane wyłącznie do konnej jazdy.

Ale ostatecznie, jak zapewne uczyniłaby to Jeannette, posłała mu uśmiech, szeroki i pewny siebie. Przybrała kokieteryjną pozę, rozkładając ręce, by popisać się swoją elegancją.

- Czy warto było czekać, Wasza Książęca Mość? - Zakołysała biodrami, by wprowadzić w ruch spódnice.

Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów; na jego usta powoli wypłynął uśmiech. Schylił się, by ucałować jej dłoń.

- Bez wątpienia, moja droga. Bez wątpienia.

Wygodny powóz pędził z imponującą prędkością południowo-wschodnim gościńcem z Londynu, zaprzężony w elegancką czwórkę koni -jednych z najlepszych w całej Anglii. W powozie Adrian Winter, książę Raeburn, położył długie nogi na przeciwległym obitym satyną siedzeniu i patrzył na swoją świeżo poślubioną śpiącą żonę.

Była wykończona. Stało się to oczywiste, gdy już odjechali, żegnani machaniem, wiwatami i gratulacjami członków rodziny i przyjaciół obecnych na przyjęciu. Kołysanie powozu i nerwy napięte przez cały dzień wreszcie pokonały Violet; jej ręce spoczęły bezwładnie na kolanach, powieki stały się ciężkie jak ołów, aż w końcu nie zdołała dłużej walczyć z ogarniającym ją snem.

Adrian przyglądał się jej już niemal pół godziny. Zastanawiał się, czy słusznie postąpił, choć wiedział, że i tak jest za późno na żale, jeśli popełnił błąd. Zgodnie ze słowami przysięgi małżeńskiej on i Jeannette byli teraz związani ze sobą na całe życie, na dobre i na złe, póki śmierć ich nie rozłączy. Ta myśl nie należała do dodających otuchy.

Jeannette zaskoczyła go dzisiaj, zwłaszcza podczas przyjęcia, zachowując się spokojniej i z większą niż kiedykolwiek rezerwą.

Słuchała z cierpliwym zainteresowaniem, kiedy jego kuzyn Bertram, zwykle nieotwierający ust, przez całe pięć minut jąkał najlepsze życzenia na nowej drodze życia. Większość ludzi zaczynała się wiercić, gdy tylko biedny Bertie otwierał usta. Błądzili oczyma i kierowali uwagę na coś innego zaledwie po minucie, najwyżej dwóch.

A jednak dziś Jeannette była uosobieniem łaskawej uprzejmości i wyrozumiałości wobec każdego, z kim rozmawiała. Może powaga kroku, który oboje uczynili, również ją sprowadziła na ziemię.

Mógł jedynie mieć nadzieję.

Ostatnio, przez kilka miesięcy ich narzeczeństwa, targały nim wątpliwości, czy aby mądrze wybrał sobie przyszlą żonę. Jej zachowanie zdawało mu się czasami irytująco dziecinne. I tak, na przykład, dąsała się cały dzień z powodu burzy, która uniemożliwiła im wyjazd na piknik. Albo innym razem odmówiła przejażdżki po parku, bo nie dostarczono na czas nowego kapelusza do jej ulubionej spacerowej kreacji. Do tego wszystkiego dochodziło nieposkromione zamiłowanie do przyjęć i rozrywek. Któregoś dnia aż zaniemówiła z oburzenia na jego sugestię, by zrezygnowali z pójścia na bal maskowy i zamiast tego spędzili razem spokojny wieczór. Nigdy więcej nie proponował już czegoś podobnego.

O wiele poważniejszej natury były jego podejrzenia, że Jeannette spotyka się z innym mężczyzną. Ale choć się starał, nigdy nie zdołał jej przyłapać czy zdobyć jakiegokolwiek namacalnego dowodu. Wiedział doskonale, że przypuszczenia niczego nie dowodzą. Jako dżentelmen, mimo wszelkich swoich wątpliwości, nie mógł odwołać zaręczyn, nie mając niepodważalnego dowodu jej zdrady.

W okresie zalotów Jeannette zdawała się tak uroczo pełna życia, choć gdy się jeszcze raz nad tym zastanowił, jej matka nieczęsto zostawiała ich samych. Dopiero po ogłoszeniu zaręczyn zaczął dostrzegać jej drugie oblicze.

Szczególnie wyraźnie tkwił mu w pamięci ostatni tydzień, kiedy oznajmił, że oczekiwana przez nią z taką niecierpliwością podróż po Europie musi zostać odłożona na kilka miesięcy z powodu kłopotów w Winterlea, jego głównej posiadłości w Derbyshire. Gdy przekazał Jeannette tę nowinę, twarz jej poczerwieniała i przez chwilę myślał, że będzie świadkiem nieeleganckiego wybuchu płaczu w wyłożonym jedwabiem salonie jej matki. A kiedy zamiast tego zaproponował tydzień nad morzem w jednej ze skromniejszych posiadłości w Dorset, otworzyła usta i wpatrywała się w niego, jakby poprosił ją o spędzenie miesiąca miodowego w pustelniczej grocie. Adrian niemal spodziewał się, że jego narzeczona natychmiast odwoła ślub. I być może w głębi duszy miał taką nadzieję.

Mógł wybrać Brighton, by ją ugłaskać i poprawić stosunki, skoro, jak mówiono, księżę regent za dzień czy dwa zamierzał przenieść się z dworem do tej popularnej nadmorskiej miejscowości. Ale Adrian nie chciał jechać do Brighton, do którego zapewne zjedzie połowa socjety, by spędzić ostatnie miesiące letniej nudy. Pragnął odosobnienia, chciał oderwać się od towarzyskich obowiązków; myślał, że w spokojniejszym miejscu będą mieli trochę czasu, by lepiej się poznać.

Jeannette poruszyła się po drugiej stronie siedzenia; jej kapelusik zsunął się na bok i wstążka pod brodą zaczęła uwierać ją w policzek. Nie wyglądała na odprężoną. Litując się nad żoną, Adrian pochylił się i rozwiązał kokardę, swobodnie puszczając końce wstążki. Wówczas ułożyła się wygodniej, a jej oddech stał się równiejszy.

Nie do końca uwierzył w wyjaśnienia dotyczące spóźnienia do kościoła tego ranka. Z pewnością chodziło o coś więcej niż tylko źle ułożona fryzura, ale postanowił nie drażnić tej kwestii. Wypełniła swoje zobowiązanie, nie przyniosła mu wstydu przed towarzystwem - a czyż nie tego właśnie się spodziewał?

Wykonywania obowiązków i odpowiedniego zachowania.

Powóz wjechał na korzeń, podrzucając nimi gwałtownie mimo doskonałych resorów. Jeannette przebudziła się na chwilę

i krzyknęła cicho, przestraszona. Jej powieki zatrzepotały i znów opadły; oparła głowę o poduszki w niewygodnej pozycji.

Nie potrafił jej tak zostawić. Ułożenie głowy pod takim kątem groziło niechybnie bolesną sztywnością karku, która mogła nie ustąpić przez wiele dni. Jego wargi drgnęły na widok dość komicznej pozy dziewczyny; w końcu jednak chwycił ją i podciągnął delikatnie, tak by siedziała prosto. Jeannette opadła na niego, mrużąc coś przez sen. Brzeg eleganckiego słomkowego kapelusza wbił mu się boleśnie w szyję.

Zręcznymi palcami, nawykłymi do oswobodzania kobiet z ubrań, zdjął małeńki kapelusik i rzucił go na przeciwległe siedzenie z niewielkim szacunkiem dla jego modnej linii. Usadowił się ponownie w swoim kącie, przygarnął Jeannette do siebie, by jego ramię mogło jej służyć za podparcie.

Spojrzał w dół i zachwycił się bladozłotymi rzęsami, spoczywającymi na gładkich i jasnych niczym porcelana policzkach. Jej wargi, w kolorze czerwieni zachodzącego słońca, były lekko rozchyłone, zapraszające do pocałunku. Zaledwie kilkanaście centymetrów, a jego usta mogłyby na nich spocząć, wykradać najpierw delikatne całusy, potem stopniowo coraz bardziej gorące, aż obudziłyby się w jego ramionach. Ale nie wiedział, co mogłoby się zdarzyć, gdyby teraz poddał się pokusie. A nie chciał, by ich pierwszy raz miał miejsce w powozie, nawet tak wygodnym jak ten. Później będzie czas na namiętność, pocieszył się. Mnóstwo czasu.

Jakby wyczuwając jego wzrok, otworzyła oczy, przejrzyste niczym najpiękniejsze szafiry. Wciąż mocno zaspana, utkwiała w nim spojrzenie.

- Adrian? Co ty tutaj robisz?

Uśmiechnął się do niej pobłażliwie.

- Jadę z tobą, moja droga, w naszą podróż poślubną.

Zmarszczyła lekko czoło, jakby nie zrozumiała. I nagle uniosła dłoń do jego policzka, i przesunęła nią po jego skórze, w dół i w górę. Pieszczota sprawiała, że jego ciało zapłonęło z pożądania.

- Szorstkie. Musisz się ogolić - zauważyła z zaciekawieniem, jakby wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że rośnie mu zarost.

Adrian uśmiechnął się szerzej na tę dziwnie niewinną uwagę.

- Zrobię to później, moja droga. A teraz zamknij oczy. Wciąż śpisz.

Teraz ona się uśmiechnęła.

- Oczywiście, to musi być sen - powiedziała. - Jakże inaczej mogłabym to zrobić? - Musnęła kciukiem jego dolną wargę. Musiał się powstrzymać, by nie ucałować jej palca i nie wziąć go do ust. - Jesteś taki piękny - wymruczała i z głębokim westchnieniem opuściła rękę na podołek. Znowu ukryła twarz na jego ramieniu i mocno zasnęła.

Zesztywniały z pożądania Adrian wsparł głowę o poduszki i z jękiem zamknął oczy. Trzymał Violet w objęciach przez kolejne dwie godziny, aż powóz nareszcie się zatrzymał.

Zachód słońca zabarwił horyzont pomarańczową i różaną poświatą. Po drugiej stronie niewielkiego dziedzińca wznosił się wiejski budynek z czerwonej cegły, o ścianach porośniętych gęstą zasłoną dzikiego wina. Dom należał do przyjaciela Adriana, który pozostał w Londynie i bez wątpienia wciąż szalał na weselu, kąpiąc się w szampanie. Możliwość skorzystania z domu była jego prezentem ślubnym - tutaj mieli spędzić pierwszą noc.

- Jeannette - powiedział Adrian. - Zbudź się. - Potrzęsnał ją delikatnie. - Jeannette. - Żadnej reakcji. - Zbudź się, moja droga. - Tym razem posadził ją prosto obok siebie. - Jesteśmy na miejscu.

Zamrugła i otworzyła oczy.

- Hm? Na miejscu? Na jakim miejscu?

Znowu się uśmiechnął. Jeśli cały czas będzie się tak zachowywać, ten tydzień może się okazać zaskakująco zabawny.

- W naszej kwaterze na tę noc. No chodź.

Zamrugła jeszcze raz, potrzęsnała lekko głową, jakby chciała otrzeźwieć, i nagle spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- Wasza Książęca Mość?

- Tak?

- Proszę mi łaskawie powiedzieć, jak się nazywam?

Jego usta drgnęły w uśmiechu.

- Jak się nazywasz? Chyba jednak nie powinienem być ci pozwolnić na tak długi sen. A jakże, według ciebie, miałybyś się nazywać?

Zmarszczyła jasne brwi.

- Niech Wasza Księżęca Mość powie mi pierwszy, a ja zdecyduję, czy się zgadzamy.

Adrian podjął zabawę.

- Dobrze więc. Nazywasz się Jeannette Brantford Winter, księżna Raeburn. Czy to cię satysfakcjonuje, śpiochu?

Wstrząsnął nią wyraźny dreszcz. Po krótkiej chwili przywołała na usta uśmiech, tak promienny, że zdawał się niemal sztuczny.

- Oczywiście. Chciałam to tylko usłyszeć z twoich ust. Dziewczyna nie co dzień zostaje księżną.

Jego uśmiech przygasł nieco na tę pyszałkowatą uwagę, ale postanowił dać temu spokój. Wsiadł z powozu i odwrócił się, wyciągając rękę.

- Chodźmy, Wasza Księżęca Mość. Przed nami wieczór.

Młoda żona w milczeniu podała mu dłoń i wysiadła z powozu.

Zasiedli do lekkiej kolacji w małej, ale przytulnej jadalni w tylnej części domu. W pomieszczeniu porozstawiano srebrne kandelabry z woskowymi świecami, by rozpraszały mrok. Z uroczego angielskiego ogrodu, leżącego tuż za uchylonymi oknami, docierał oszałamiający zapach róż. Przytłumione głosy nocnych stworzeń kołysły zmysły muzyką natury.

Violet wpatrywała się w wazę z ogórkowym chłodnikiem; napięte do ostateczności nerwy ledwie pozwalały zauważać przyjemną atmosferę panującą wokół.

To była jej noc poślubna.

Na tę myśl na sekundę zacisnęła powieki. Miała nikłe pojęcie, czego może oczekiwać i czego spodziewa się Adrian. In-

tymne zbliżenia między mężczyzną a kobietą były dla niej niemal całkowitą tajemnicą. Choć przez ostatnie lata przeczytała kilka intrygujących fragmentów w greckich i łacińskich tekstach pobudzających jej wyobraźnię - dziełach, do których dobrze wychowane kobiety nie powinny mieć dostępu - przeważnie jednak po lekturze tych ksiąg rodziło się w niej więcej pytań niż odpowiedzi.

Matka oczywiście nie poruszała z nią tak delikatnych kwestii ani dawniej, ani dziś; wszak żadna z nich nie przypuszczała, że będzie to dzień ślubu Violet. W tym względzie więc, a także w innych przez większość życia była pozostawiona samej sobie.

Zbesztawszy się ostro w duchu, zdołała zmusić dłoń, by nie drżała, gdy unosiła łyżkę do ust. Zupa oblepiła jej język, nim zdołała ją przełknąć. To nie była wina kucharki ani potrawy. Po prostu nie miała apetytu. Z grzeczności zjadła jeszcze odrobinę i odłożyła łyżkę.

Wiedziała, że powinna coś powiedzieć do Adriana, uśmiechnąć się, uczynić interesującą uwagę. Jeannette z pewnością paplałaby jak najęta, opowiadając jedną ze swoich najnowszych dowcipnych historyjek. Ale jej, Violet, mimo starań, nie przychodziło na myśl nic pozornie ciekawego i obawiała się, że w najlepszym wypadku wydusi z siebie jedynie kilka niezręcznych zdań. Uznała więc, że najbezpieczniej będzie po prostu się nie odzywać.

Adrian dokończył zupę, skinął na stojącego nieopodal lokaja, by sprzątnął nakrycia i wniósł następne danie.

Podano prześlicznie przyrządzoną rybę z kremowym sosem koperkowym i delikatnymi letnimi warzywami. Violet pozwoliła nałożyć sobie porcję dania i przystawki i zapatrzyła się w talerz, jakby liczyła na to, że znajdzie na nim odwagę, której tak potrzebowała. Dlaczego nie potrafię być tak swobodna jak Jeannette? - zapytywała się żałośnie w duchu. Dlaczego tak trudne było dla niej to, co większości ludzi przychodziło z łatwością?

- Może turbot bardziej przypadnie ci do gustu niż zupa - powiedział Adrian.

Uniosła pospiesznie oczy i napotkała jego spojrzenie. Zakłęta w duchu, czując, że rumieniec wypływa jej na policzki.

- O, zupa była bardzo smaczna. Prawdę mówiąc, p-prze-pyszna.

- Tak przepyszna, że zjadłaś aż dwie łyżki, jak zauważyłem. - Żartobliwy ton złagodził wymówkę.

Znów się zarumieniła.

- Przyznaję, że nie mam dziś zbyt wielkiego apetytu.

- Czy i ja mogę się do czegoś przyznać?

Skinęła głową.

- Ja również nie jestem głodny. Mimo to uważam, że oboje powinniśmy zjeść choć odrobinę tego wspaniałego posiłku, nad którym kucharka Armitage'a tak się napracowała. Bo inaczej, obawiam się, rano służba nie obdarzy nas swą łaską.

Violet otworzyła szeroko oczy. Była tak zdumiona tą uwagą, że odprężyła się nieco, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Jeanette, oczywiście, nie tolerowałaby żadnej bezczelności ze strony służących, a już na pewno nie przejmowałyby się ich uczuciami. Lecz Adrian, jak się wydawało, nie lekceważył tego typu kwestii, więc może nie uzna za dziwne, jeśli jego żona będzie postępować podobnie.

- Sądysz, że kucharka może nam przygotować zimną herbatę? - zaryzykowała.

- O, z pewnością. I przypalone babeczki, chyba że teraz postaramy się sprawić jej przyjemność.

Violet zastanowiła się nad jego słowami i podniosła widelec.

- W takim razie spróbujmy, zanim wystygnie.

Adrian poszedł w jej ślady.

- Święte słowa.

Zdołała zjeść większą część porcji ze swego talerza. Był to pierwszy posiłek od wczesnego ranka, gdyż na przyjęciu zjadła tylko jeden kęs tortu, który wmusiła w siebie przez wzgląd na tradycję. Tymczasem Adrian wciągnął ją w lekką, swobodną konwersację. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że dotrzymuje mu kroku,

a nawet zdarza jej się wtrącić własny komentarz. Na chwilę zapominała o niepokojach i po prostu cieszyła się jego towarzystwem.

Zabrano talerze. Podano kawę i kieliszek koniaku dla Adriana. Oboje odmówili zjedzenia niezwykle smakowicie wyglądającego deseru, który przyniesiono na stół.

W jadalni zrobiło się cicho, gdy rozmowa nagle się urwała. Adrian rozsiadł się wygodniej na krześle, obserwując żonę w zamysleniu.

Powinniśmy dogadywać się zupełnie dobrze, dumał, czując, jak łyk alkoholu rozgrzewa mu gardło. Przyznawał, że jej nie kocha. I nie spodziewał się, że ona będzie kochać jego. Ale to nic. Miłość jest śmiechu warta - to samolubne, niszczące uczucie, które lepiej zostawić głupcom i na wpół szalonym poetom. Czyż jego rodzice nie byli tego najlepszym przykładem?

Pobrali się z miłości i dwadzieścia lat małżeńskiego życia spędzili, skacząc sobie do gardeł, kłócąc się zawzięcie o każdy najdrobniejszy szczegół - słusznie lub niesłusznie - aż do przedwczesnej śmierci ojca po upadku z konia, gdy Adrian miał dwiętnaście lat.

W młodzieńczych latach nieustannie wysłuchiwał utyskiwań matki na niedyskretne romanse ojca, na jego bolesną niewierność. Ojciec zaś zrzędził, że matka jest zimna i bez serca, że więcej uczucia wykrzesalby z głazu. Cóż pozostaje mężczyźnie, jeśli nie szukanie pocieszenia gdzie indziej? - bronił się ojciec. A jednak jakimś cudem zdołali dorobić się szóstki dzieci: Adriana, jego czterech sióstr, a na końcu brata Christophera.

Wszystkie siostry były zamężne. Szczęśliwie czy nie - nie potrafił powiedzieć. W każdym razie okazywały na wszelkie sposoby, że stan małżeński im odpowiada. Przez ostatnich kilka lat mężczyły go bez litości, prawiąc kazania, że dawno już powinien znaleźć sobie żonę i mieć własne dzieci. W wieku trzydziestu dwóch lat nareszcie im uległ. Skoro jego rodzice byli w stanie wychować tyle dzieci, nienawidząc się tak bardzo, to i on, jak sądził, zdoła wypełnić swój obowiązek małżeński, z miłością czy bez.

Jeannette była piękna, co do tego nie miał wątpliwości. Przyglądał jej się, gdy siedziała naprzeciw niego, rozświetlona złocistą poświatą świec. Pochodziła z dobrego rodu, jej ojcem był hrabia Wightbridge, którego parantele można było wywieść od samego Wilhelma Zdobywcy. Prawdę mówiąc, miała lepsze koneksje niż Adrian. Jego matka była Francuzką, córką pomniejszego hrabiego, który wykazał dość rozumu, by opuścić Francję na kilka lat przed rewolucją.

Jeannette, mimo braku rodzinnej fortuny, była wspaniałą partią, o której marzyli wszyscy mężczyźni przez ostatnie dwa sezony. Adrian zapragnął jej i udało mu się ją zdobyć. Zapewniał sam siebie, że fizyczne pożądanie wystarczy. Wiedział, że wystarczało większości ludzi z jego klasy. A gdy żona da mu dziedzica, będzie mogła pójść swoją drogą, dyskretnie oczywiście, jeśli takie będzie jej życzenie. A on pójdzie swoją.

Tymczasem zaczął się obawiać, że zafundował sobie jazdę na mocno narowistym koniu. Jego narzeczona, jak z wolna dostrzegał, potrafiła być rozhukana i nieprzewidywalna niby burza z piorunami. Czemu na przykład miała służyć dzisiejsza rezerwa, tak dla niej nietypowa? Przypominała bardziej swoją bliźniaczkę niż siebie. Może powinien był wyświadczyć sobie przysługę i poślubić drugą siostrę.

Skąd taka myśl? - zdumiał się.

Violet - urocze imię, pasujące do skromnej, bezpretensjonalnej młodej kobiety, która je nosiła. Za skrywającymi urodę okularami była równie piękna jak siostra bliźniaczka. Ale przy tym tak nieśmiała i pełna dystansu, że spotykając się z nim, była w stanie wydusić z siebie jedynie słowa powitania.

Udało mu się trochę ją poznać podczas swojego narzeczeństwa z Jeannette. Przy jednej czy dwóch okazjach zdołał ją nieco ośmielić. Odkrył, że ma bystry umysł i czułe serce. Któregoś popołudnia ostatniej wiosny znalazł ją na brzegu rzeki, wyznaczającej granicę wiejskiej posiadłości jej rodziców. Płakała nad workiem utopionych kociąt. Próbowwała tchnąć życie w jedno

z nich, już prawie nieżywe, wdmuchując powietrze w jego małe pyszczki i zimny różowy nosek; nie brzydziła się dotknąć go własnymi ustami. Ten widok ścisnął mu serce; sam czuł odrazę do okrucieństwa wszelkiego rodzaju, zwłaszcza wyrządzonego zwierzętom lub dzieciom. Biedne kocię wydało ostatnie tchnienie chwilę później. Adrian pomógł jej pochować go wraz z rodzeństwem pod pobliskim drzewem, a potem dał jej swoją chusteczkę, by mogła osuszyć łzy. W milczącym porozumieniu wrócili razem do domu.

W tamtej chwili polubił ją ogromnie. Ale nawet gdyby nie był zaręczony, małżeństwo z nią nie wchodziło w grę. Potrzebował kobiety pewnej siebie. Potrafiącej zachować się w wytwornym towarzystwie. Zdolnej panować nad sobą i innymi. Potrzebował kobiety, która stanie u jego boku jako księżna, a nie będzie chować się lękliwie po kątach. Nie, Violet Brantford, choć urocza, zwyczajnie nie nadawała się na księżną.

Spojrzał na Jeannette, swoją żonę. Odpowiedziała mu uśmiechem; wyglądało na to, że doszła już do siebie. Dokonałem najlepszego wyboru, powiedział sobie, niezależnie od wszelkich zastrzeżeń. Skarcił się za swoje myślowe wycieczki. Co mu strzeliło do głowy, by tak bujać w obłokach? Absolutnie nie powinien żywić do Violet żadnych uczuć prócz braterskiej miłości. Byli teraz bratem i siostrą. W przyszłości postara się, by jego myśli nigdy już nie zbłądziły w tym kierunku.

Jeannette ukradkiem ziewnęła.

- Wybacz.

- Nie, to zupełnie naturalne, moja droga. To był długi dzień, pełen wrażeń. Może udasz się już na spoczynek. Ja posiedzę tu jeszcze i dokończę koniak. - Uniósł kieliszek i zakręcił ciemnym, bursztynowym płynem, spoglądając na nią wymownie spod zmrużonych powiek. - Dołączę do ciebie za chwilę.

Nerwy Violet znów dały o sobie znać, budząc się nagle do życia niczym struny harfy, szarpnięte gwałtownie, aż zawibrowały w jej duszy. Jeśli miała jeszcze jakieś wątpliwości co do tego,

gdzie Adrian zamierzał dziś spać, to w tej chwili zniknęły. I oczywiście to nie kwestia spania najbardziej ją martwiła. Chodziło o tę tajemniczą „drugą rzecz”, która wprawiała ją w drżenie. Ale wszak kochała go, więc czy może być aż tak źle?

Na uginających się nogach wstała od stołu, przeprosiła cicho i wyszła z jadalni.

Pół godziny później siedziała przed niewielką toaletką z lustrem w wesołej sypialni z obiciami w białe i zielone pasy. Jej długie włosy były starannie wyszczotkowane i opadały na plecy, związane gładką białą wstążką. Koszula nocna również była biała. Ale jeśli szwaczka zamierzała uzyskać efekt dziewiczej niewinności, to potrzebowała okularów znacznie bardziej niż Violet.

Uszyta z przezrystego jedwabiu, bez rękawów, sięgała do kostek, ale mimo swej długości niewiele skrywała. Najbardziej nieskromny był stanik z delikatnej irlandzkiej koronki, która przylegała do nagich piersi, miękka i przezroczysta niczym światło wczesnego poranka. Violet nie mogła wprost uwierzyć, że Jeanette kupiła tak skandaliczny strój i że matka jej na to zezwoliła.

Zażenowanie było jej pierwszą reakcją, gdy pokojówka Agnes uniosła koszulę i podała do włożenia. Violet zorientowała się, że widzi służącą przez materiał. Omal nie odmówiła włożenia stroju, ale zdrowy rozsądek szybko powrócił. Gdyby dłużej się opierała, mogła ściągnąć na siebie uwagę pokojówki. A wiedziała, jak bardzo służba lubi plotkować. Zaciekawieni, mogliby zacząć zauważać inne drobiazgi. Drobiazgi, które odróżniały ją od siostry - nimby się obejrzała, jej sekret zostałby wykryty.

Na szczęście Agnes była nowa. Służących Adriana Violet również nie znała, podobnie jak oni jej. Mimo to wszyscy muszą

żyćwie przekonanie, że ona to Jeannette, od majordomusa po najmłodszego dzierżawcę. A robienie zamieszania w noc poślubną i odmawianie włożenia koszuli nocnej, którą sama wybrała, musiałyoby wzbudzić podejrzenia.

Widząc więc, że Agnes czeka, by pomóc jej włożyć żenujący nocny strój, Violet odsunęła na bok obiekcje i posłusznie uniosła ręce. Gdy się już ubrała -jeśli można było to tak nazwać - usiadła, by Agnes mogła wyszczotkować i ułożyć jej włosy. Kilka minut później pokojówka wyszła z sypialni; drzwi stuknęły złowieszczo za plecami Violet.

Zaczęła niespokojnie przemierzać pokój. Nie mogła przecież pozwolić, by Adrian tak ją zobaczył. Co sobie pomyśli? Czyż nie będzie równie zgorzony jak ona? Toż chyba nawet ładacznica nie chciałaby się pokazać w takiej kreacji. Choć z drugiej strony, niewiele wiedziała o ładacznicach. Być może, kiedy takie kobiety były z mężczyznami, w ogóle nie miały nic na sobie. Policzki zapłonęły jej ogniem na tę szokującą myśl. Przyspieszyła kroku.

Na szczęście koszula miała do kompletu peniuar. Uszyty z tego samego przejrzystego materiału, niewiele przysłaniał, ale miał przynajmniej rękawy i guziki. Nagle coś jeszcze przyszło Violet do głowy. Przecież Jeannette spakowano zapewne więcej niż jedną koszulę. Może któraś z pozostałych jest skromniejsza. Może znajdzie się jakaś z ładnego, nieprzejrzystego batystu, podobna do tych, które ona zwykle wkładała do snu.

Jednak pospieszna rewizja kufra zgasiła jej nadzieje; wszystkie koszule w nim ułożone były równie fatalne jak ta, którą miała na sobie. A jedna z nich była nawet gorsza — więcej koronki, mniej jedwabiu - w odcieniu czerwieni, na którego widok zarumieniłby się sam diabeł.

Otuliwszy się szczelniej peniuarem, Violet rozejrzała się po sypialni. Jej niespokojny wzrok padł na wielkie łożo z baldachimem, stojące po prawej stronie, z zapraszająco odwinętą kołdrą. Czy powinna do niego wejść i tam czekać na Adriana? Czy może wyda mu się to zbyt śmiałe? A może powinna usiąść na małej

sofce przy kominku i spróbować przybrać swobodną pozę? Żaden z tych pomysłów nie przypadł jej do gustu. Za kogóż ona się uważała? Za Caro Lamb* czekającą na lorda Byrona?

W zwykłych okolicznościach oddałaby się lekturze, dopóki nie poczułaby się senna. Ale egzemplarz książki, którą akurat czytała, został na jej nocnym stoliku w domu. Jaka szkoda! Zapewne nigdy się nie dowie, jak skończyła się powieść - kolejna niezwykle zajmująca historia pomysłowej Jane Austen. Było z góry wiadome, że Jeannette nie wykaże najmniejszego zainteresowania książką. Najprawdopodobniej zgubi ją gdzieś między Portsmouth a Rzymem, traktując wyłącznie jak praktyczny rekwizyt, który będzie ze sobą nosić, a potem zostawi przez nieuwagę na stole czy siedzeniu powozu.

Violet chodziła w tę i z powrotem, w tę i z powrotem po miękkim wełnianym dywaniku, który miała pod stopami, w domowych pantoflach. Co ona zrobiła? Jak zdoła podtrzymywać tę maskaradę? Czy Adrian zorientuje się, że jest oszustką, gdy ją dziś zobaczy? Pocałuje? Czy rozpozna, że nie jest kobietą, którą miał poślubić? Czy zda sobie sprawę, że ona nie jest Jeannette?

Oto był prawdziwy powód jej strachu. Powód, dla którego drżała z lęku nawet w tej chwili. Nie tyle bała się tego, co Adrian zrobi jej dziś w łóżu - choć i to mocno ją niepokoiło - ile przede wszystkim obawiała się, co może odkryć.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi łączących pokoje, których wcześniej nie zauważyła. Otworzyły się bezszelestnie i do środka wszedł Adrian.

Czas samotnych rozmyślań dobiegł końca.

Przez moment straciła oddech, gdy zamknął drzwi i odwrócił się do niej. Odziany w długi szlafrok z ciemnobrazowego aksamitu, którego kolor był niemal identyczny jak kolor jego oczu, stał, wysoki i potężny, wspaniały jak grecki posąg. Jego gęste,

* Lady Caroline Lamb (1785-1828) była znana głównie ze swego burzliwego romansu z Byronem (przyp. tłum.).

czarne, krótko przycięte włosy były wyszcotkować i wilgotne na końcach po myciu. Twarz miał świeżo ogoloną, po raz trzeci tego dnia. Był tak przystojny, że od samego patrzenia na niego Violet czuła bolesne ściskanie w sercu.

Opuściła wzrok ku podłodze i ujrzała ze zdumieniem, że jego stopy są bosc. Długie i kształtne, z ładnie przyciętymi paznokciami, z kilkoma cienkimi czarnymi włoskami wyrastającymi na grzbietach dużych palców; pierwsze dorosłe, męskie stopy, jakie widziała w życiu. Nawet jej brat czy ojciec nie chodzili przy niej boso - zawsze w pończochach, pantoflach albo butach. Widok stóp Adriana, tak męskich, tak nagich, rozpałił w niej ulotną zmysłową iskrę, połączoną z dziwnym poczuciem intymnej bliskości.

Violet przełknęła z trudem ślinę i spłótła przed sobą dłonie. W następnej chwili skrzyżowała ręce na piersiach, przypominawszy sobie o swoim skąpym stroju. Przystąpiła niespokojnie z nogi na nogę, modląc się, by Adrian nie zauważył nieprzyzwoitej przejrzystości jej negliżu.

- Jeannette - powiedział, wyciągając rękę. - Podejdz tutaj.

Jego ton był miękki, łagodny; takim głosem człowiek mógłby wabić płochliwe zwierzątko. Czyżby domyślał się, że jest przerażona? Czy jej wrodzona nieśmiałość za chwilę zdradzi tajemnicę? Wątpiła, by prawdziwa Jeannette odczuwała jakieś wahania. Ale skąd miała wiedzieć, jak jej siostra zachowałaby się po raz pierwszy sam na sam z mężczyzną?

Czy dzisiejsza noc byłaby pierwszym razem dla Jeannette? Violet zawstydziła się tej niegodziwej myśli, ale nie potrafiła całkowicie jej odrzucić. Szczególnie w świetle dzisiejszej prośby o przekazywanie listów od tajemniczej lub tajemniczego K. Jeśli owa osoba rzeczywiście była mężczyzną - a Violet odważyłaby się założyć o swoją roczną pensję, że tak - to ten potajemny romansik nie należał do pierwszych, w jaki była zaangażowana Jeannette.

Odrzucając podejrzenia, podeszła do Adriana i wsunęła swe drobne zimne palce w jego dużą i ciepłą dłoń.

Uniósł jej rękę do ust, ucałował wewnątrz dłoni, a potem spód nadgarstka, jak uczynił to już wcześniej tego dnia.

- Ty drżysz - zauważył.
- Tak - przyznała z lekkim oporem.

Jej wzrok padł na fragment ciała widoczny ponad klapami jego szlafroka i kilka ciemnych włosów w miejscu, gdzie stykały się poły. Czy niżej pod szlafrokiem było więcej takich włosów? Co on tam jeszcze chował? Zaczerwieniła się na tę myśl. Boże!

- Nie ma powodu tak się denerwować. Wszystko będzie dobrze. - Umilkł i zaczął pieścić jej dłoń, składając leniwe pocałunki na kostkach palców, co bynajmniej nie zmniejszyło ich drżenia. Jego bliskość sprawiała, że Violet czuła się słaba, rozdygotana. Pachniał tak cudownie liściem laurowym i jeszcze czymś, mrocznym i męskim, charakterystycznym dla niego. Palce jej nóg podwinęły się w pantoflach. - Pomyślałem sobie, że może chciałabyś mi coś powiedzieć - ciągnął.

Zmarszczyła brwi, zdziwiona.

- Nie. Ja... nie wiem, co masz na myśli.
- Daj spokój, na pewno się domyślasz. Czyż to nie jest prawdziwy powód całej tej twojej niewinnej wstydlivosti? Tych niespodziewanych napadów zdenerwowania, które odczuwałaś przez cały dzień?

Na te słowa panika rozpaczliwie ścisnęła jej serce. Boże drogi, więc on jednak wiedział. Ale jakim cudem? I od jak dawna? A skoro wiedział, dlaczego czekał? Po co ta gra, udawanie, że pojął ją za żonę? Skąd ta intymność między nimi w tej chwili?

Czyżby postanowił zemścić się na niej tej nocy? Wymierzyć jej jakąś fizyczną karę? Czy może - wielkie nieba, cóż za myśl - postanowił zadrwić z niej, a potem posiadać ją zamiast siostry? A rano porzucić, by odesłano ją do domu we wstydzie i hańbie?

Adrian nie wydawał się zdolny do zrealizowania tak haniebnego planu, choćby był nie wiadomo jak zagniewany. Gdyby miał całkowitą pewność, kim ona jest, to czy nie powiedziała by jej tego wprost, w oczy, zamiast bawić się w podchody niczym wielki kot igrający

z myszką? Może nie był pewien prawdziwości swych podejrzeń i po prostu czekał, aż ona z własnej woli przyzna się do winy.

Ujął w dłoń podbródek Violet i dotknął wargami jej ust w delikatnym, a zarazem władczym pocałunku. Jęknęła cicho i nie chcąc stracić równowagi, chwyciła kurczowo jego nadgarstek, solidny i mocny pod jej dłonią.

Kiedy przerwał pocałunek, odsunął usta jedynie na tyle, by móc przemówić; jego oddech owiał słodkim ciepłem twarz dziewczyny. Wbił wzrok w jej oczy.

- Lepiej bądź szczerą - ostrzegł jedwabistym, cichym głosem. - Jestem skłonny wybaczyć ci wszelkie wykroczenia w przeszłości pod warunkiem, że mi je teraz wyznasz.

- W-wykroczenia? - Otworzyła szeroko oczy.

- Nie próbuj mi wmawiać, że jesteś nietknięta. Słyszałem plotki, niepokojące plotki, a dziś w nocy i tak dowiem się prawdy, moja pani. Dowiem się jej niezależnie od tego, czy wyjdzie ona z twoich ślicznych ust, czy też będę musiał poczekać i sam się przekonać, kiedy zabiorę cię do łóża. Wolałbym jednak usłyszeć ją od ciebie.

Omam nie zemdleła, taką poczuła ulgę. On myślał, że nie była dziewczicą - czy raczej, że nie była nią Jeannette. Wciąż nie domyślał się, z kim naprawdę ma do czynienia. Chwilowo jej sekret pozostawał bezpieczny.

Jednak to uczucie ulgi było krótkotrwałe. Jego dłoń zsunęła się niżej, delikatnie otoczyła jej szyję, kciuk musnął obojczyk.

- Powiedz mi - powtórzył tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- N-naprawdę, Wasza Księżęca Mość, nie mam nic do powiedzenia. Nie było żadnych wykroczeń, cokolwiek słyszałeś. - W każdym razie ona, Violet, nie popełniła żadnych. Nie wierzył jej. Wyczytała to w jego oczach. - Nie było nikogo - zaczęła, próbując przybrać pozę urażonej dumy, jak uczyniłaby Jeannette. - Nie wiem, kto mógł rozpowszechnić takie kłamstwa na mój temat. I nie wiem, jak mogłeś uwierzyć w tak oczywistą nieprawdę.

Uniósł brew.

- Więc zamierzasz ciągnąć tę grę? Upierać się przy swojej pannieńskiej czystości?

Wytrzymała jego atak, opanowała strach.

- Tak.

- Nie sądź, że zdołasz mnie omamić sztuczkami - odparł z groźnym marsem na czole. - Nic z nich nie będzie, bo wiem, co zrobiłaś. Masz ostatnią szansę. Obiecuję, że nie będę się gniewał, jeśli tylko postarasz się być szczerą.

Violet wyprostowała ramiona, choć raczej miała ochotę wymknąć się stąd chyłkiem.

- Powiedziałam prawdę. Przysięgam *ci*, Wasza Książęca Mość, że nie było nikogo innego. Nie dotknął mnie dotąd żaden mężczyzna.

Jego spojrzenie stwardniało.

- Dobrze. Widzę, że będę musiał się uciec do bardziej bezpiecznych metod. Zaczniemy więc.

Wyciągnął rękę i bez dalszych subtelności rozpiął, jeden po drugim, guziki jej peniuaru. Violet nie opuściła głowy; stała prosto, potulnie poddając się jego dłoniom i z trudem opanowując drżenie. Adrian zdjął z niej negliż i rzucił bez ceregieli na podłogę. Wpatrywała się w punkt nad jego ramieniem, gdy on omiótł wzrokiem jej ciało i przejrzystą koszulę; płonęła ze wstydu na myśl o tym, co widział.

Adrian wciągnął chrapliwie powietrze na widok dojrzałego piękna, które rozkwitło przed jego oczami. Pożądanie poraziło go jak grom. Dobry Boże, wyglądała jak wcielona pokusa. Jak duch zmysłowości powołany do życia. Biała koronka przylegała do jej piersi niczym egzotyczna druga skóra. Spod bieli wyglądały różowe sutki, drażniąc i wabiąc. Przezroczyta tunika poniżej, zwiewna niczym mgiełka, spływała po jej brzuchu i biodrach, wzdłuż długich, apetycznych nóg, ledwie przesłaniając kuszący trójkącik złotych loczków między udami.

Widok jej ciała, tak wspaniale i po mistrzowsku wyeksponowanego, jeszcze wzmógł jego gniew. Podsycił pragnienie prze-

darcia się przez fałsz, przy którym się upierała. Niewinna? Ha, była równie niewinna jak on.

Nie zamierzała jej tego wyrzucać. Mówił sobie, że wszak kobiety to też istoty ludzkie, wystawione na takie same cielesne pokusy jak mężczyźni. Wolno im było popełniać błędy. Wolno było poddawać się pragnieniom ciała czy to w uświęconym związku małżeńskim, czy też poza nim.

A jednak, gdy siedział na dole, popijając koniak, sam na sam z własnymi myślami, wciąż przypominał sobie jej powściągliwość w ciągu dnia, milczącą rezerwę przy kolacji. Te nieśmiałość, lekko zaniepokojone spojrzenia, jakie mu rzucała. Wyciszoną konwersację. Wyrazny napad dziewiczego zdenerwowania, gdy przypominał, że będzie jej towarzyszył tej nocy. To właśnie wtedy ogarnęła go irytacja i zaczęła narastać wraz z ponurymi podejrzeniami.

A jeśli istniał ukryty powód jej lęklivego zachowania? Jakiś inny motyw tak nietypowej dla niej nieśmiałości? Powód, który kazał jej za wszelką cenę dowodzić niewinności? Owszem, to mogło być zwyczajne poczucie winy; od dobrze urodzonej kobiety wymagano, by do małżeńskiego łóżka wchodziła jako dziewica. Mogła się czuć zawstydzona. Ale jeśli było to coś więcej, jakaś haniebna tajemnica?

Czy była w ciąży?

Na tę myśl niemal dostał mdłości. Nie chciał przecież, by cudzy bękart urodził się jako jego dziedzic. Oczywiście mógłby jej nie tykać. Poczekać kilka miesięcy, by mieć pewność, że nie jest przy nadziei. Ale gdyby tak zrobił, ludzie zaczęliby gadać. Rozniosłaby się plotka o ich separacji, choćby ze wszystkich sił próbował ukryć prawdę. No i oczywiście pozostawały jeszcze proste obliczenia. Każdy domyśliłby się, co oznaczają narodziny zdrowego, silnego dziecka zaledwie po sześciu czy siedmiu miesiącach małżeństwa.

A po tym wszystkim, niezależnie od okoliczności, ona zostanie jego żoną. Jeśli się okaże, że go oszukała, będzie musiał

się z nią rozwieść. Wywlec tę całą obrzydliwą sprawę przed sąd, przed oczy socjety i całego świata.

Nie, sam dowie się prawdy dziś w nocy. Całej prawdy. A potem podejmie konieczne działania.

Obserwował ją z ponurą miną. Wolałby, aby nie była tak piękna, tak godna pożądania.

- Nikt cię nigdy nie tknął. Tak powiedziałaś, zgadza się?

To pytanie jakby ją wystraszyło. Skinęła głową.

- Nie. Nigdy.

- Więc czeka cię niemały szok, moja droga, ale bez obaw. Obiecuję, że nie sprawię ci bólu... - powoli, z rozmysłem zsunął białą wstążkę z jej włosów, pozwalając im rozsypać się swobodnie po ramionach - ..nie więcej, niż będę musiał.

Jej oczy rozszerzyły się na te słowa. Przekłęła w duchu swoją siostrę za to, że wpędziła ją w takie tarapaty. Ze pozostawiła na jej barkach konsekwencje czynów, których ona, Violet, nie dopełniła. Pragnęła Adriana. Ale nie chciała, by brał ją w gniewie, w kłamstwie, w rozczarowaniu. Ale nie miała czasu pomyśleć nic więcej, gdyż jego usta opadły na jej usta, tłumiąc wszelki protest czy opór.

Gdy zgniótł jej wargi swoimi, poczuła się, jakby rzucono ją w głęboki wir, z którego nie było ucieczki. Namiętny, niecierpliwy, niepomny jej rzekomych dziewiczych oporów. Zadrzała i poddała się burzy, pozwalając mu robić, co chce. Przycisnął ją mocno do swego twardego ciała, otoczył ramionami, które splotły się za jej plecami jak żelazne sztaby.

- Rozchyl usta - zażądał, odsuwając się odrobinę, by móc przemówić.

Półprzytomna, usłuchała go ślepo, nie mając pojęcia, dlaczego poprosił ją o coś takiego. Zachłysnęła się, gdy jego język wdarł się gorączkowo między jej wargi. Gorący i mokry zaczął igrać z jej językiem w taki sposób, że ciepły, czerwony strumień wezbrał w jej żyłach. Zachłysnęła się ponownie i zadrzała z przyjemności, gdy jego dłoń przesunęła się niżej, otoczyła jej lewą pierś. Zaczął

pieścić jej wypukłość, przeciągając kciukiem po sutku przez koronkowy stanik koszuli. W górę i w dół, w górę i w dół, aż wrażliwe miejsce zmieniło się w twarde, nabrzmiały guzek.

- Oddaj mi pocałunek - nakazał. - Przestań udawać, że nie wiesz, jak to się robi.

Ale Violet nie potrafiła już udawać; była wyłącznie sobą i mogła odpowiedzieć mu jedynie słowami prawdy.

- Ja nie udaję - szepnęła.

Jego oczy błysnęły - irytacją czy pragnieniem, nie potrafiła powiedzieć. Wsunął palce w jej włosy i przytrzymał głowę, by móc się delektować jej ustami. Powoli, z rozmysłem, pochylił głowę. Z początku delikatnie jego wargi zaczęły ocierać się o jej wargi, skubiąc i ssąc. Bawił się nią, na niej, w jej ustach. Ośmielała ją do tańca, który, jak sądził, znała, a którego tak naprawdę dopiero zaczynała się uczyć.

Całował ją na niezliczone sposoby. Mocno i delikatnie. Powoli i szybko. Słodko i ostro. Przy każdej zmianie czekał, by dopasowała się do niego, podchwyciła jego technikę. Myślenie stało się zupełnie niemożliwe, Violet działała wyłącznie instynktownie. Uczyła się rozkoszy i pozwalała, by on doznawał tego samego. I na kilka krótkich chwil zapomniała o wszystkim. Nie istniało dla niej nic poza nimi dwójkiem, gdy on coraz głębiej wciągał ją w tę upojną grę warg, zębów i języków, która zdawała się ciągnąć bez końca. Wypijali z siebie nawzajem długie, rozkoszne łyki pożądania.

Nagle Adrian odsunął się i na nowo wprowadził Violet w osłupienie, pochylając się i biorąc w usta pierś, którą przedtem zajmował się tak starannie. Ledwie mogła oddychać, gdy lizał i ssał jej ciało przez cienką barierę koronki, która wciąż oddzielała jej skórę od jego warg. Plama wilgoci zaczęła się rozchodzić po materiale.

Nigdy nie wyobrażała sobie, że można robić coś takiego. Nigdy nie śniła, że tak cudowna, oszałamiająca przyjemność może istnieć na świecie. Mroczne pragnienie, którego nie rozumiała,

zaczęło rozchodzić się po jej żyłach. Uporczywy ból pożądania, wzbierający między udami, ponaglał ją, żądał więcej. Więcej czego? - pomyślała oszołomiona.

Zamknęła oczy i zacisnęła w palcach materiał szlafroka Adriana. Wrażenia zalewały ją zakazanymi falami, ryczącymi niczym przybój na skałach. Drżała, z trudem chwytając oddech. Jej płuca pracowały jak szalone, aż z jej gardła wyrwał się dźwięk, w którym nie rozpoznała własnego głosu. Nagle Adrian ugryzł ją - skubnął zębami wrażliwy sutek.

- Och! - krzyknęła, sztywniejąc z osłupienia. Zrobiła szybki krok w tył.

Adrian spojrział w jej zarumienioną twarz, w błękitne oczy o źrenicach rozszerzonych od szoku i zbliżającego się cielesnego przebudzenia.

Gdyby nie wiedział, z kim ma do czynienia, pomyślałby, że jest naprawdę zdumiona tym, co zrobił. Jakby nigdy żaden mężczyzna nie dotykał jej w ten sposób. Czyżby mylnie ją ocenił? Czy naprawdę była niewinna, czy tylko odgrywała komedię?

Była namiętna, co do tego nie miał wątpliwości. A jednak niedoświadczona. Jej pełne wahania pocałunki były niewprawne, mimo wyraźnej chęci sprawienia mu przyjemności. Wyczuwał pierwotne pragnienie, które leżało przyzajone w jej wnętrzu, czekając, aż ktoś je uwolni.

I już zdołała sprawić, że pulsował pożądaniem jak niedoświadczony młodzik, gotów połączyć się ze swą pierwszą oblubienicą. Ale nie byłoby dobrze, gdyby teraz stracił kontrolę nad grą. Nie, absolutnie nie byłoby dobrze, gdyby poddał się bezmyślnemu zwierzęcemu instynktowi i zapomniał o swoim prawdziwym celu. Przecież właśnie tego chciała - jeśli go zwodziła. By żądza przesłoniła mu wszystko inne, by zapomniał o jej kłamstwach.

Dość już tych wstępów, uznał. Musi dowiedzieć się prawdy, złej czy dobrej.

Porwał ją na ręce i zaniósł do łóżka. Zdjął z siebie szlafrok i rzucił go na najbliższy fotel, odsłaniając podniecone, nagie cia-

ło. Kiedy odwrócił się znów ku Violet, jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Wyraz twarzy dziewczyny najbardziej przypominał przerażenie.

Jest taki wielki, myślała Violet. Taki męski. Tak zupełnie różny od niej. Nigdy wcześniej nie widziała nagiego mężczyzny. Nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Wydawał się... oszałamiający, wspaniały, jego kończyny były silne i żyłaste od mięśni - kształtne ręce, potężne uda, wąskie biodra. Tak jak podejrzewała, na ciele miał więcej ciemnych włosów, których zapowiedź dostrzegła wcześniej. Płaskie, czarne loczki ocieniały jego mocną pierś, zwęzły się w cienką linię, która niemal zanikała, biegnąc w dół po twardym brzuchu. Niżej znów robiły się gęstsze, w miejscu gdzie otaczały jego... męskie atrybuty.

Nie wiedziała, jak inaczej nazwać tę część jego anatomii. Gdy stanął przed nią, bezwstydnym, otulony jedynie blaskiem świec, jej serce zatrzymało się na długą chwilę. Choć próbowała, nie mogła odwrócić oczu. W jej głowie zapanował chaos, gdy pojawiła się w niej przerażająca myśl. On chyba nie zamierzał... wbić tego w nią? Po pierwsze, nigdy by się nie zmieściło; rozłupałyby ją na dwie połowy, gdyby choć spróbował. Po drugie... cóż, nie miała czasu wymyślić drugiego powodu. Wiedziała tylko, że musi stąd uciec.

Przełknęła głośno ślinę i ślizgając się na poślankach, spróbowała przemknąć na drugą stronę łóżka.

Adrian wyciągnął rękę i przytrzymał Violet za kostkę, po czym położył się obok dziewczyny. Jego długie ciało, jego siła przytłoczyły ją.

- Wybierasz się dokądś? - zapytał.

Pokręciła głową, z rezygnacją akceptując fakt, że nie ma dla niej ucieczki. Wiedząc, że jest w pułapce bez wyjścia, rozpaczliwie powtarzała sobie, kto to jest - Adrian, mężczyzna, którego kocha, jej mąż. Spojrzała mu w oczy i powiedziała sobie, że wszystko będzie dobrze. Cokolwiek zamierzał zrobić, nic jej nie będzie. Prawda?

Adrian przytrzymał jej podbródek w palcach.

- Czyżbyś zmieniła zdanie? Chcesz przyznać się do prawdy, nim zaczniemy?

Violet zadrżała, żałując nagle, że nie może mu powiedzieć tego, co chciał usłyszeć. To byłoby znacznie łatwiejsze. Ale nie chciała kłamać. Nie w tej sprawie. Stawką były jej prawość, uczciwość, honor. Adrian powiedział, że pozna, czy rzeczywiście była nietknięta. Wkrótce więc zrozumie, że mówiła prawdę. Gdybyż tylko nie bała się tak bardzo tego, co musiał zrobić, by się dowiedzieć.

Pokręciła w milczeniu głową, oczyma wyrażając prawdę, której nie była w stanie wypowiedzieć.

Jego rysy stężały. Wyciągnął rękę w stronę rąbka jej koszuli, wsunął pod nią dłoń i zaczął pieścizotliwie sunąć palcami wzdłuż jej uda. Odruchowo zacisnęła nogi w obronie przed jego dotykiem.

- Nie bój się, moja droga - powiedział i lekko ucałował jej usta. - Przecież wiesz, że nie będzie bolało. A ja zadbam, byś miała z tego przyjemność.

Och, nim z nią skończy, nie będzie mogła złapać tchu, obiecał sobie. Będzie się więc z pożądania.

Jej piersi unosił niespokojny oddech. Adrian patrzył na sterzące sutki, różowe niczym płatki kwiatu pod osłoną z cienkiej koronki. Szarpnął za materiał i rozdarł go, by dostać się do jej skóry. Otoczył ustami sutek i wpił się weń, sunąc dłonią coraz wyżej po udzie, aż dotarł do źródła.

Biodra Violet wygięły się łukiem nad materacem. Wypreżyła się, porwana falą odczuć, których nie rozumiała, a których mimo to pragnęła. Zupełnie jakby Adrian objął całkowitą władzę nad jej ciałem. Dosłownie sięgnął po nią i zyskał kontrolę. Jej strach zniknął, zdmuchnięty jak liście porwane z drzewa gwałtowną wichurą.

Obiecował jej przyjemność - i dotrzymywał słowa. Cudowne, ciężkie fale zachwytu. Rozkoszy, jakiej nigdy jeszcze nie za-

znała. Te dźwięki. Te zapachy. Świeży pot i inne wonie, podniecające i zakazane. Powinna czuć się zażenowana. Ale była zbyt rozpalona pożądaniem, by myśleć o takich rzeczach.

Kiedy przeniósł usta na drugą pierś, by obsypać ją takimi samymi pieścizotami, uniosła rękę. Wplotła palce w czarny jedwab jego włosów.

Adrian jęknął i wymruczał z ustami tuż przy jej skórze:

- Dotykaj mnie. Dotykaj.

Posłusznie, chcąc mu sprawić przyjemność, tak jak on sprawiał jej, uniosła drugą rękę i zaczęła go pieścić. Najpierw ramię, potem niżej - gładkie nagie plecy. Zadrżał, jęknął ponownie. Violet rzucała głową po poduszce. Bezwiednie rozsunęła nogi, by tym łatwiej poddać się jego fascynującemu dotykowi.

Ale on nagle się wycofał; odsunął usta i dłonie i unióśł się nad nią. Była gotowa, wiedział to. Wilgotna i rozpalona, na samej krawędzi spełnienia.

Teraz, pomyślał. Teraz będzie krzyczała z rozkoszy.

Krzyknęła, i owszem. Ale nie tak, jak sobie to zaplanował. Z jej ust wyrwał się krzyk nieudawanego bólu, gdy wszedł w nią jednym, mocnym pchnięciem.

Adrian zamarł, nie chcąc uwierzyć w to, co mówiło mu jego ciało. O czym krzyczały jego zmysły.

Dziewica! Słodki Jezu, ona była dziewicą.

5

Adrian drżał, zawieszony nad Violet.

Mówiła mu to. Powtarzała wiele razy. Ale on nie słuchał, nie wierzył. Dziewica. Jak mógł aż tak się pomylić?

A co z plotkami, które słyszał? Co z poufnymi relacjami? Czyż to wszystko były tylko obelżywe kłamstwa? Na to wygląda.

Teraz nie miał już żadnych wątpliwości - wszak rozdarł jej niewinność zaledwie kilka sekund wcześniej.

Łza spłynęła z kącika oka Violet. Może, jeśli nie będę się poruszać, myślała, ból zelżeje. Przecież chyba nie może być gorzej?

- Jeannette... przepraszam.

Nagle zrozumiała, że jednak jest to możliwe; jego słowa były bardziej dotkliwe niż fizyczny ból. Imię jej siostry, wypowiedziane przez niego w momencie, gdy leżał na niej, był w niej. Tego nie mogła znieść. Ale przecież on nie wiedział, kim ona jest.

Jej wina.

Nie wiedział również o niewinności, którą tylko ona mogła mu ofiarować. Znów jej wina, zapewne. Odwróciła twarz na bok, czując kolejną łzę płynącą po policzku.

Adrian osuszył ją pocałunkiem, muskając delikatnie wargami jej zaróżowioną skórę. Jego ciało płonęło gwałtowną, niezaspokojoną żądzą, zawieszona w pół drogi między niebem a piekłem. Pomyślał, że powinien się chyba wycofać, dać jej spokój. Ale nie potrafił się do tego zmusić. Nie teraz. Nie w chwili, kiedy czuł się tak cudownie. Kiedy wiedział, że za chwilę może być jeszcze lepiej.

To moja żona, powiedział sobie. Mam do tego prawo. Ta myśl sprawiła, że zapragnął jej jeszcze bardziej. Poza tym, gdyby zostawił ją teraz, mógłby już nigdy nie zwabić jej do łóżka. Chyba że siłą, a tego nie chciał. Teraz znała tylko ból. Musiał pokazać jej, że jest coś więcej. Musiał pokazać jej, że to może być również przyjemne.

- Rozluźnij się, to ci pomoże - powiedział.

Wydała cichy jęk.

Powoli, delikatnie, wsunął się w nią do końca.

Jęknęła znowu.

- Obejmij mnie nogami - poprosił.

Violet wątpiła, czy zdoła to zrobić. Ale jeśli to miało go zadowolić, jeśli dzięki temu miał skończyć to, co zamierzał, to chyba powinna posłuchać.

Uniosła nogi, oplótła jego biodra. Po chwili zaczął się poruszać. Z początku powolne pchnięcia, potem coraz głębsze. Wyczuwała, że się powstrzymuje, jakby hamował impulsy własnego ciała dla jej dobra.

Przyłgnęła do niego, obejmując go ramionami. Zaczęła gładzić go, ciepłą skórę pleców. Rozkoszowała się płynną grą mięśni, ich prężnością i siłą.

Znów ogarnęło ją pożądanie. Ta sama cudowna fala, której doświadczyła, gdy dotykał jej dłońmi. Narastająca, wzbierająca, sprawiająca, że jej ciało gwałtownie domagało się spełnienia. Cudowne pragnienie rozlewało się w jej wnętrzu. Mrowiło w palcach stóp. Ekspłodowało w mózgu. Ścisnęło bólem pożądania sam rdzeń jej istoty.

Jęknęła.

Tym razem nie z bólu, ale z rozkoszy. Wyuzdanej, nieokiełznanej, dojrzałej. Wysoka, śpiewna nuta wzniosła się pod sufit pokoju.

Oddech Adriana, gorący i ciężki, wibrował w jej uchu, gdy jego ciało poruszało się wraz z nią. Nagle zeszywniało, zadrżało. Jego plecy wygięły się do tyłu, na twarz wypłynął wyraz głębokiej, niemal zwierzęcej satysfakcji. Ciepła wilgoć wypełniła Violet, nim padła na nią, dysząc gwałtownie. Wtulił twarz w jej szyję.

Violet czekała. Czy to koniec? Już po wszystkim? Wydawało jej się, że powinno być coś więcej.

Jakby wyczuwając te myśli, Adrian dźwignął się na łokciach, zmniejszając ciężar, który przytłaczał jej drobne ciało.

- Nie mogłem czekać. Następnym razem będzie lepiej, obiecuję.

Stoczył się z niej. Niecałą minutę później wstał z łóżka.

Violet przykryła się kołdrą po samą brodę.

Czyżby chciał sobie pójść?

Usłyszała szum nalewanej wody, odgłosy poruszeń. Ciche brzęknięcie porcelany o porcelanę. Rozległ się tupot stóp na dywanie, kiedy znów podszedł do łóżka. Stał obok niej, nagi,

bezwstydnym. Obrzuciła go pospiesznym spojrzeniem i odwróciła oczy.

- Wolisz, bym włożył szlafrok?

Nie odpowiedziała. Nie była w stanie.

- Czy mam ci przynieść świeżą koszulę? - zapytał.

Violet przypomniała sobie podarty stanik, poplamiony krwią dół koszuli i pomyślała, że lepiej czułaby się w innej. Dopóki nie przypomniała sobie kolekcji nocnej bielizny w swoim kufrze.

Pokręciła głową.

- Może lepiej peniuar.

Wiedziała, że wiele nie przykryje, ale i tak był lepszy niż pozostałe możliwości.

Adrian najpierw narzucił na siebie szlafrok, po czym przeszedł na środek pokoju i schylił się po zwiewny negligé Jeannette. Bez słowa położył go w nogach łóżka, po czym wrócił do toaletki, by wylać z miski zużyta wodę do wiaderka.

Korzystając, że był dyskretnie odwrócony do niej plecami, Violet zdjęła z siebie zniszczony nocny strój i włożyła cienki peniuar. Zapięła guziki co do jednego - wszystkie pięć - i położyła się z powrotem do łóżka.

Adrian wkrótce powrócił. Podciągnął kołdrę pod szyję Violet, otulił ją szczerze. Odsunął lok włosów z jej policzka.

- Powinienem być cię posłuchać, moja droga. Nie miałem prawa wątpić w twoje słowo. Więcej tego nie zrobię. Przyrzekam.

Teraz ona poczuła się winna. Przepraszał ją za to, że podejrzewał ją o kłamstwo, choć nie kłamała. Ale przecież sama jej obecność tutaj była kłamstwem. Pozwalała mu wierzyć, że jest kimś innym. Wiedziała, że gdyby tej nocy była tu Jeannette, Adrian nie musiałby jej przepraszać. Nie miałby powodu przepraszać jej za cokolwiek.

- Czy wolałabyś, abym resztę nocy spędził w sąsiednim pokoju? - zapytał.

Jeannette bez wątpienia życzyłaby mu dobrej nocy i odwróciła się plecami. Na pewno wolałaby spać sama.

Violet spojrzała mu w oczy. Zobaczyła mężczyznę, którego wciąż kochała. Mężczyznę, którego nadal pragnęła, niezależnie od wszystkiego, co między nimi zaszło. Wyciągnęła rękę i odwinęła kołdrę po pustej stronie pościania.

Zawahał się, po czym niespiesznie obszedł łóżko. Violet otuliła się kołdrą, układając wygodnie głowę na miękkiej puchowej poduszce.

Adrian zgasił kilka palących się jeszcze świec, pograżając pokój w całkowitej ciemności. Słyszała, jak zrzuca szlafrok i kładzie się do łóżka. Materac ugiął się pod jego ciężarem.

Leżeli na wznak, wbijając wzrok w baldachim, prawie niewidoczny w mroku.

Po długiej chwili Violet usłyszała głębokie westchnienie.

- Przepraszam, że zadałem ci ból, moja droga - powiedział Adrian. - Przepraszam, że nie byłem bardziej delikatny wtedy, kiedy mógłbym być. Kiedy powinienem być. Mam nadzieję, że jutro uda nam się zacząć od nowa.

Violet przełknęła gulę w gardle. Przekreśliła się na bok i przysunęła bliżej męża. Otoczyła dłonią jego biceps, przycisnęła policzek do ramienia.

- Śpij już. Jest późno - mruknęła.

Uniósł rękę, by przygarnąć ją do siebie; jej głowa spoczęła na gładkiej, ciepłej piersi Adriana. Jego serce biło spokojnie pod jej uchem. Violet słuchała kojącego, niezwykle odprężającego rytmu.

Zamknęła oczy i pozwoliła, by sen porwał ją w objęcia.

Agnes obudziła ją następnego ranka, rozsuwając zasłony. Świeży, żółty blask poranka wpadł przez okna i niczym słoneczne dłonie strząsnął z Violet resztki snu. Zamruczała i przekreśliła się na drugi bok, wtulając głowę w najbliższą poduszkę.

Poczuła na niej zapach Adriana, męski, odrobinę piżmowy.

Cudowny.

Otworzyła oczy na dobre, gdy wspomnienia ostatniej nocy przypłynęły falą do jej świadomości. Była sama w łóżku. Zastanawiała się, kiedy Adrian wyszedł.

Dzień dobry. Wasza Książęca Mość - powiedziała Agnes. - Przepraszani, że budzę tak wcześnie. Ale książe pan zapowiedział, że chce ruszać w drogę najpóźniej o ósmej.

Violet usiadła i odgarnęła z twarzy potargane włosy.

- Hm.

Dziewczyna spojrzała na nią, jakby spodziewała się, że jej pani będzie się buntować. Jeannette zapewne tak by właśnie zrobiła. Violet wyobraziła sobie, jak siostra pada na łóżko, przekazawszy wiadomość, że książe pan może sobie ruszać w drogę, kiedy mu się podoba, ale ona zamierza się wyspać.

Nie miała jednak dość energii na poranne fochy. Dziecinne napady złości jej siostry zawsze były nieznośne dla otoczenia. Mimo konieczności udawania Jeannette Violet uznała, że począwszy od tego ranka, zacznie eliminować tę cechę „swojego” charakteru. Niech służący sobie myślą, że małżeństwo ją zmieniło, że dzięki niemu dojrzała. Była pewna, że w tym wypadku wszyscy poczują jedynie głęboką ulgę.

- Śniadanie gotowe. Czy Wasza Książęca Mość życzy sobie zjeść w łóżku?

Violet wolałaby usiąść przy małym stoliku pod oknem, wiedziała jednak, że Jeannette nie podejmowała żadnych działań - nawet nie wstawała z łóżka - dopóki nie wypita swojej pierwszej filiżanki herbaty.

- Poproszę do łóżka, Agnes.

Dziewczyna ułożyła poduszki za plecami pani tak, by mogła wygodnie usiąść, i postawiła tacę na jej kolanach. Ani słowem nie skomentowała faktu, że Violet ma na sobie wyłącznie peniuar. Nic też nie powiedziała na widok podartej, zakrwawionej nocnej koszuli. Po prostu wzięła zabrudzony fatałaszek z fotela, na który Violet rzuciła go w nocy, i wyniosła z pokoju.

- Przygotowałam niebieski strój podróżny, Wasza Książęca Mość. Czy będzie odpowiedni?

Violet uniosła oczy znad grzanki posmarowanej kremem cytrynowym - jej ulubionym - i spojrzała na Agnes, skonsternowa-

na. Nie miała najbledszego pojęcia o modzie, a o zawartości kufra siostry wiedziała jeszcze mniej. Gdyby jej kazano cytować Szekspira czy przedyskutować jakiś historyczny fakt, byłaby w swoim żywiole. Ale suknie? Przez moment ogarnęła ją panika, lecz po kilku sekundach znów wzięła się w garść i opanowała emocje.

- Tak, niebieski będzie doskonały, dziękuję. A teraz chciała-
bym skończyć posiłek, jeśli pozwolisz.

- Och, oczywiście, Wasza Księżęca Mość. - Agnes dygnęła. -
Przyjdę za kilka minut pomóc się ubrać Waszej Księżęcej Mości.

Violet skinęła głową, pamiętając, że ma się zachowywać jak Jeannette. Podniosła dzbanek i nalała do filiżanki gorącej herbaty. Gdy tylko drzwi się zamknęły, odstawiła dzbanek, zamknęła oczy i odetchnęła z ulgą.

Jakże ma podtrzymywać tę mistyfikację?

Dzień po dniu, powiedziała sobie. A raczej chwila po chwili.

Niecałe dwie godziny później zeszła na dół w eleganckim chabrowym kostiumie podróznym, wybranym przez Agnes. Strój uzupełniały dodatki w postaci kapelusza, rękawiczek i maleńkich bucików na obcasie, z mięciutkiej kożłęczą skóry. Promieniując nonszalancją, której bynajmniej nie czuła, zachowywała się, jak – by jej spóźnienie nie było niczym istotnym.

Jeannette rzadko zjawiała się gdziekolwiek o czasie.

Punktualne przybycie – szczególnie tego ranka – mogłoby wzbudzić podejrzenia, że Violet, tylko udaje siostrę.

Adrian czekał w holu, gotów do wyjazdu. Dochodziła dziewiąta.

Dziewczyna dostrzegła drobną zmarszczkę na jego czole.

Gdy zauważył żonę, jego twarz się wygładziła; podszedł i z uśmiechem ujął jej dłoń.

- Dzień dobry, moja droga. - Złożył pocałunek na jej nadgarstku, w miejscu, które sobie szczególnie upodobał. - Mam nadzieję, że dobrze spałaś?

Jego dotyk wywołał znane dreszcze, wzmagające się, gdy jej ciało rozpamiętywało wszystkie pocałunki i pieszczoty otrzymane

tej nocy. Potrzebowała całej determinacji, by powstrzymać rumieniec, który niczym pokrzywka zaczął rozlewać się po jej policzkach.

- Tak, całkiem dobrze - odparła. - A ty?

- Ja również.

Ich oczy spotkały się w przeciągłym, wymownym spojrzeniu; oboje przypomnieli sobie uniesienie, które odczuwali w swoich ramionach podczas cichych godzin nocy. Po chwili Adrian wypuścił jej dłoń, podszedł do małego stolika i podniósł parę beżowych skórkowych rękawiczek.

W stroju do konnej jazdy był uosobieniem swobodnej męskiej elegancji. Śnieżnobiała koszula, płowożółte pumpy, kamizelka w czarne i białe prążki, botforty wypolerowane do połysku. Dopasowany ciemnobrązowy żakiet dodatkowo eksponował jego silne, szerokie ramiona.

- Rozumiem, że zamierzasz jechać konno? - upewniła się.

- Nie masz nic przeciwko temu, mam nadzieję?

- Skądże znowu - zaprzeczyła.

Wiedziała, że bez lektury i towarzystwa czekające ją godziny będą długie i nudne. Nie mając okularów, nie będzie mogła nawet rozkoszować się krajobrazem. Ale pocieszała się, że podróż w samotności wyjdzie jej na dobre. Odpocznie od bezustannej gry.

Adrian naciągnął rękawiczki.

- Gotowa?

Wysunęła zadziornie podbródek, jak z pewnością zrobiłaby Jeannette.

- Gotowa.

Poranek upływał powoli, by zmienić się w popołudnie; niewielki orszak posuwał się w kierunku Dorset i południowego wybrzeża Anglii. Adriana ogarnęły wyrzuty sumienia za tchórzliwy unik. Zamiast jechać konno, powinien spędzać czas ze swoją młodą żoną w powozie. Ale po zeszłej nocy potrzebował chwili samotności. Być może ona również.

Jak mógł ją aż tak błędnie ocenić? Był przekonany, że zna prawdę. Jego pewność brała się w przeważającej mierze z poufnych relacji przyjaciela, Theodora Markhama, zwanego Toddym, człowieka, mającego niezwykłą umiejętność dowiadywania się o ludziach rzeczy, których woleliby nie ujawniać.

Większość towarzystwa uważała Toddy'ego za nieszkodliwego fircyka, który wydawał o wiele za dużo pieniędzy na stroje i konie i poświęcał o wiele za mało czasu na rozsądniejsze zajęcia. Niewiele osób wiedziało, że podczas wojny Toddy służył Brytanii jako jeden z najlepszych wywiadowców, zbierając informacje w kraju i za granicą i dostarczając je pracownikom najwyższych szczebli Brytyjskiego Ministerstwa Spraw Wojskowych. Adrian należał do nielicznych wybrańców, którzy pośredniczyli w przekazywaniu tych niezmiernie ważnych informacji.

Po odniesieniu ciężkiej rany podczas pierwszego oblężenia Bajadoz w 1811 roku Adrian był zmuszony złożyć patent oficerski i podjąć służbę na mniej eksponowanym stanowisku. Zamienił gorączkę pola bitwy na chłodną anonimowość ciemnych uliczek i zadymionych pubów. Tam spotykał się potajemnie z różnymi, często podejrzanymi informatorami, którzy byli skłonni sprzedawać informacje w zamian za pieniądze, przysługi - ale czasem również z czystego patriotyzmu. Toddy był jednym z tych szlachetnych, bezinteresownie oddanych służbie dla swego kraju.

Z upływem lat Adriana połączył z Toddym wzajemny głęboki szacunek i przyjaźń. Dlatego też uwierzył, kiedy przyjaciel z zażenowaniem doniósł mu o niepokojących wieściach na temat przyszłej żony. I choć ostrzeżenia Toddy'ego przyszły trochę za późno, Adrian zapewnił go, że poradzi sobie w każdej sytuacji.

Tak, i pięknie sobie poradziłem ostatniej nocy, pomyślał ze zgnębioną miną. Jak mógł się tak pomylić? Jakim cudem informacje Toddy'ego okazały się kompletnie nieprawdziwe?

Merkury, jego wielki siwy wałach, zatańczył pod nim i odskoczył kilka kroków w bok na zwirowym zakręcie, wystraszony przez stadko leśnych gołębi, które poderwały się z niedalekiego

krzaka. Ani na chwilę nie przerywając swoich rozmyślań, Adrian opanował wierzchowca; łagodne uciśnięcie końskich boków kolanami wystarczyło, by uspokoić konia i skierować go z powrotem na drogę.

Zauważył, że Jeannette obserwuje go z okna powozu. Uniósł rękę w pozdrowieniu. Skinęła mu głową, po czym spuściła wzrok i się odwróciła.

Wciąż zirytowana, jak podejrzewał, jego wyborem celu podróży. Kolejny minus w kajecie. Choć, jak się tak zastanowić, nie przypominał sobie, by od ceremonii ślubnej choć raz wyraziła negatywną opinię o wyjeździe do Dorset. Dziwne. Do dnia ślubu wciąż tylko dąsała się i narzekała. Westchnął na wspomnienie jej zachowania. Zupełnie jakby odwołanie podróży na kontynent na zawsze zrujnowało jej życie.

Jednak od czasu, kiedy się pobrali, wyglądało na to, że uległa przemianie, która natchnęła ją zaskakującym spokojem i akceptacją. Być może ojciec odbył z nią poważną rozmowę dzień przed ślubem. Choć znając hrabiego, można było w to wątpić. Wightbridge niezbyt interesował się czymkolwiek poza klubem, hazardem i sportem - polowania skutecznie wypełniały jego wolny czas. Człowiek ten nigdy nie wydawał się Adrianowi szczególnie zaangażowanym rodzicem. Ale przecie i ta ocena mogła być błędna.

Kątem oka obserwował Jeannette; śliczne pióro zdobiące kapelusz podskakiwało, gdy powóz pokonywał nierówny kawałek gościńca.

Dzisiejsza noc będzie inna, przyrzekł sobie. Obejdzie się z nią delikatniej. Spróbuje odzyskać trochę zaufania, które utracił zeszłej nocy. Gdy dziś weźmie ją do łóża, jego żona zazna wyłącznie przyjemności i spełnienia.

Choć ze zgrozą, musiał jednak przyznać, że ostatniej nocy, pod sam jej koniec, stracił swe zwykłe opanowanie; coś takiego nie zdarzyło mu się, od kiedy przestał być niewinnym młodziekiem. Wzbudzała w nim emocje, których nie potrafił sobie wytłumaczyć. Bardzo niepokojące emocje. Mimo że dziś rano bar-

dzo pragnął zbudzić ją pocałunkami, pokazać, że jego reputacja doświadczonego i wyrozumiałego kochanka nie była przesadzona, rozumiał, że potrzebowała krzepiącego snu.

Dziewica. Wciąż nie mógł w to uwierzyć.

Przypomnienie wczorajszej satysfakcji ścisnęło mu trzewia, rozlało się gorącą falą po brzuchu. To nie powinno mieć znaczenia, takie sprawy nigdy wcześniej go nie poruszały. Ajednak świadomość, że był jedynym mężczyzną, którego gościła w łożu, tym bardziej podsycalała jego głód.

Ona także go pragnęła. Mimo swej niewinności nie mogła ukryć namiętności, głęboko zakorzenionej w ognistej duszy. A on ukierunkuje ten żar. Oswoi go. Oswoi ją. Nauczy ją wszystkiego, co powinna umieć, i więcej. Uśmiechnął się. Nie mógł się już doczekać, by wprowadzić swój plan w życie.

Lubieżne myśli sprawiły, że zaczął wiercić się niespokojnie w siodle, poruszać ramionami, by rozgonić niespodziewane napięcie. Marszcząc brwi, zmusił się do myślenia o czymś innym. Prozaicznym i nudnym. Albo kłopotliwym, jak na przykład ostatnie kataklizmy na jego ziemiach.

Wyjątkowo chłodna wiosna i mokre lato, jakie mieli w Derbyshire, spowodowały, że rzeki i strumienie wezbrały i wystąpiły z brzegów. Kilka domostw dzierżawców ucierpiało od powodzi, zmuszając mieszkańców do ucieczki i szukania schronienia u szczęśliwszych sąsiadów i przyjaciół. Trzech gospodarzy musiało patrzeć bezradnie, jak szalejąca woda doszczętnie zmywa ich domy z powierzchni ziemi. Rodziny te, z jego pomocą, pracowały w tej chwili nad odbudową.

Uprawy na polach również ucierpiały, przez co wielu dzierżawcom groziły kiepskie zbiory jesienią. Wszyscy modlili się z nadzieją o szybki powrót dobrej pogody. A jeśli to nie nastąpi, będzie musiał zadbać o byt tych ludzi zimą. Nawet importując zboże, by zrekompenzować straty.

To wszystko sprawiało, że nie mógł wyruszyć w podróż poślubną do Europy, i Jeannette będzie musiała zrozumieć, że obowiązki

bywają ważniejsze od przyjemności. Teraz również i jej obowiązki, skoro została jego żoną, księżną. A wspaniałą podróż odbędą za rok. Odwiedzą wszystkie miejsca, które tak bardzo chciała zobaczyć, i znacznie więcej. Ale na razie będzie musiała uzbroić się w cierpliwość.

Wkrótce ich mały konwój zatrzymał się w gospodzie na zmianę koni i porządny obiad.

Violet wysiadła z powozu na tętniący życiem dziedziniec z ulgą, że będzie mogła rozprostować nogi i przerwać męczącą bezczynność. Dwóch stajennych podbiegło, by zająć się końmi, rzucając pozdrowienia i polecenia do stangreta i forysiów, którzy zeskoczyli na ziemię.

Nudziła się koszmarnie, nie mając żadnego zajęcia poza obserwacją niewyraźnego krajobrazu przemykającego za oknem i własnymi ponurymi rozmyślaniami. Nawet towarzystwo Adriana nie okazało się tak zajmujące, jak oczekiwała. Przez większość drogi jechał przodem, przed powozem. Niemał poza zasięgiem wzroku - a na pewno jej wzroku, tak bardzo osłabionego. Poza tym burczało jej w brzuchu; o śniadaniu składającym się z grzanki i herbaty dawno już zapomniała.

Gospodarz, czujny niczym stróżujący pies, wybiegł przez frontowe drzwi. Jego szczupłe policzki wydymały się w promiennym powitalnym uśmiechu. Był wysoki i chudy jak wierzbowy witek; fartuch, zawinięty na dwa razy wokół wąskiej talii, częściowo przykrywał grubą skórzaną kamizelę. Strzecha rdzawych włosów na jego głowie zdawała się grozić pożarem.

- Dzień dobry, Wasza Księżęca Mość - powiedział. - I dzień dobry pańskiej damie. Witam w moim skromnym przybytku. Mam nadzieję, że dotychczasowa podróż upłynęła wielmożnym państwu przyjemnie.

- Dziękuję, tak było. Ma pan dla nas prywatną salkę, jak prosiłem?

- Oczywiście, oczywiście. Wszystko jest gotowe. Zapraszam tędy, jeśli łaska...

W tej samej chwili rozległ się głośny trzask, a tuż po nim grzmiący okrzyk wściekłości. Z tylnej części gospody wypadł wielki czarno-biały pies. Tuż za nim wybiegł potężny mężczyzna, czerwony na twarzy i wymachujący laską. Pies z pewnością zdołałby umknąć, gdyby, nieszczęsny, nie poślizgnął się na placku błota w najmniej odpowiednim momencie. Nogi rozjechały się pod nim na moment, wystarczająco jednak, by olbrzym zdążył wyciągnąć rękę i złapać zwierzę za obrozę.

Laska spadła na ciało psa z przerażającym głuchym odgłosem. Pies wydał bolesny skowyt, drżąc i kuląc się, choć cały czas próbował uciec. Violet nie zastanawiała się ani sekundy; zareagowała odruchowo, rzucając się w ich stronę. Jej jedyną myślą było położenie kresu bestialstwu, które dokonywało się na jej oczach.

- Proszę przestać! Proszę natychmiast przestać! - zawołała.

Mężczyzna ją zignorował. Wymierzył psu kolejny cios. Zwierzę zaskowyczało i zaczęło ujadać zajadle, obnażając zęby i kłapiąc w stronę dłoni trzymającej laskę.

- Próbujesz mnie ugryźć, ty? - Mężczyzna uniosł laskę wysoko w powietrze.

Nie zważając na zagrożenie, Violet wyciągnęła rękę i chwyciła laskę u nasady.

- Dość, powiedziałam.

Mężczyzna odwrócił się ku dziewczynie; jego oczy błysnęły lodowatą furią na niespodziewaną przeszkodę. Strząsnął dłoń Violet z łatwością, jak komara.

- A tyś co za jedna?! - ryknął. - Poszła stąd. To nie twoja sprawa.

Był z niego kawał brutalnego chłopiska, z rodzaju tych, co chętnie biją i kobiety, nie tylko zwierzęta. Strach ścisnął jej żołądek. Zadrzała, ale nie ustąpiła, "wyprostowała się, zbyt oburzona, by zachowywać ostrożność.

- Teraz już moja. Proszę puścić tego psa.

- Ten drań ukradł mi kolację. Dam mu to, na co zasłużył, i żadne takie nie będą mi tu pyskować.

- Gdyby nie był zagłodzony, na pewno niczego by nie ukradł. - Nawet Violet, mimo słabego wzroku, zauważyła w jakim strasznym stanie jest pies. Kupka sterczących kości, pokrytych napiętą, czarno-białą skórą. Żal było patrzeć.

- To złodziejskie nasienie, i tyle. A ja będę wdzięczny, jeśli będziesz pilnowała swojego nosa, paniusiu. - Znów potrząsnął łaską, tym razem zamierzając się na Violet.

- Mnie też będziesz wdzięczny? - rozległ się głos, gładki i złowrogi, niczym pięść odziana w aksamit.

6

Adrian stanął groźnie nad całą trójką- mężczyzną, kobietą i psem - wspaniały niczym archanioł zemsty. Nawet pies przestał szczekać.

Mężczyzna głośno przełknął ślinę. Schylił głowę.

- Przepraszam, panie, nie zamierzałem nikogo obrazić.

Adrian patrzył na niego z góry takim wzrokiem, jakby przyglądał się wyjątkowo obrzydliwemu insektowi.

- Sama twoja egzystencja mnie obraża. Przepróś moją żonę.

Mężczyzna znów przełknął.

- Proszę wybaczyć, pani.

- Proszę wybaczyć, Wasza Książęca Mość - poprawił Adrian lodowatym tonem.

Mężczyzna wybałuszył oczy. Teraz dopiero zorientował się, z jak ważną osobistością zadarł.

- Proszę wybaczyć, Wasza Książęca Mość.

- A teraz wypuść to nieszczęsne zwierzę - rozkazał Adrian.

Mężczyzna zawahał się przez moment, jakby zbierał się na odwagę, by odmówić. W końcu jednak, z buntowniczym grymasem, którego nie zdołał zamaskować, spełnił żądanie.

Pies pognął przed siebie.

- Teraz łaska - powiedział Adrian.
- Moja łaska? Po cóż Waszej Książęcej Mości moja łaska?
- Podaj mi ją, to ci wyjaśnię.

Brutal z ociąganiem przekazał łaskę Adrianowi.

Niczym nie zdradziwszy swoich intencji, Adrian wziął ją i zrećźnie złamał na pół o uniesione kolano.

Mężczyzna zachłysnął się z oburzenia.

Violet zapatrzyła się na męża.

Adrian nonszalancko oddał kawałki właścicielowi.

- Mam nadzieję, że to ci posłuży jako przypomnienie, że łaska to nie broń. A już z pewnością nie wolno atakować nią bezbronnych.

- Wasza Wysokość złamał moją łaskę. Kosztowała mnie dziesięć funtów.

- O wiele mniej, jak sądzę, niż zapłacisz, jeśli zdecyduję się cię oskarżyć i postać do miejscowego więzienia. Jeśli powiesz jeszcze słowo, mogę się zdenerwować i naprawę to zrobić.

- Za co? Za bicie bezrozumnego zwierzęcia?

- Za groźby pod adresem księżnej Raeburn. Choć kwestię psa też bym poruszył, gdybym sądził, że prawo ukarze cię za to wystarczająco. A teraz zejdź mi z oczu i nie pokazuj się tu więcej.

Mężczyzna poczerwieniał i otworzył usta, jakby chciał dalej protestować. Ale w końcu poszedł po rozum do głowy, odwrócił się na pięcie i oddalił.

Właściciel gospody podbiegł do nich, załamując ręce.

- Och, Wasza Książęca Mość, ogromnie mi przykro z powodu tego niefortunnego incydentu. Nic takiego nie zdarzyło się dotąd w mojej gospodzie. Dopilnuję, by ten człowiek nie był tu więcej obsługiwany.

Adrian skłonił głowę.

- To awanturnik - ciągnął gospodarz. - Żołnierz, jak mi mówiono, niedawno zwolniony ze służby. Ma paskudny charakter. Pewno wojna nauczyła go brutalności.

- Być może. - Groza wojny potrafiła wypaczyć nawet najlepszy charakter. Adrian widział to na własne oczy, widział, jak ludzkie umysły gną się i załamują wśród ponurych, nieubłaganych okropieństw wojny. Nawet on przez wiele lat nie zdołał pokonać koszmarnych snów i bolesnych wspomnień.

- Mimo wszystko - stwierdził głośno -jakikolwiek są problemy tego człowieka, nie mogą być wymówką usprawiedliwiającą katowanie bezbronnego zwierzęcia.

- Nie, w rzeczy samej - przyznał właściciel gospody.

Adrian odwrócił się, zamierzając pomówić z żoną. Ale jej już przy nim nie było. Zaskoczony i poważnie zaniepokojony oparł ręce na biodrach i rozejrzał się po dziedzińcu. W jakie niebezpieczeństwo postanowiła się tym razem wpakować?

Znalazł ją dość łatwo nieopodal stajni, gdzie schronił się pies. Jeden z chłopców stajennych - wyrostek jedenasto-, może dwunastoletni - próbował wygonić zwierzą z wózka z sianem, szturchając go miotłą. Pies, skulony w obronnej postawie, nie zamierzał go słuchać.

- Dostanę go, milady - piszczął chłopak gorliwie.

- Proszę, przestań. Straszysz go tylko jeszcze bardziej. - Schyliła się, okazując niespodziewane lekceważenie dla wszelkich zniszczeń, jakim mógł ulec jej elegancki strój, najwyraźniej pochłonięta wyłącznie tym, by dosięgnąć przerażonego zwierzą. Przemawiała łagodnie, cichym i uspokajającym głosem: - Już dobrze, kochanie. Nikt cię nie skrzywdzi. Nie, nie, już nikt cię nie będzie bił.

Pies nie ruszył się z miejsca, ale przestał się trząść. Jego bursztynowe oczy wzniosły się, by spojrzeć w oczy Violet.

- Właśnie tak. No chodź. Chodź do mnie, piesku. Nic ci nie będzie.

- Jeannette - powiedział Adrian cicho i spokojnie, choć w jego głosie dało się wyczuć stal. - Co ty wyprawiasz? Ten pies jest ranny, poturbowany. Jeśli nie będziesz uważać, ugryzie cię.

- Och, nie ugryzie. To kochany piesek. Prawda, że jesteś kochanym pieskiem? - gruchała do zwierzęcia. - Na pewno je-

steś. - Wyciągnęła ku niemu dłoń ze zwiniętymi palcami, by pokazać, że nie stanowi zagrożenia.

- Jeannette! - Adrian podszedł, by ją odciągnąć, ale wywinęła mu się i wsunęła głębiej pod wóz.

Pies pociągnął nosem, chwytając odległy zapach. Ostrożnie wysunął ciepły różowy język i polizał grzbiet jej dłoni.

- Widzisz? - powiedziała. - Wszystko w porządku. To dobry piesek.

Ogon psiska załomotał o twardą, zakurzoną ziemię, wachlując przyjaźnie w górę i w dół. Pies wciąż lizał jej rękę, wciskając zimny, czarny nos w otwartą dłoń. W końcu powoli dźwignął się na nogi, wymachując cienkim cętkowanym ogonem niczym czarno-białą flagą pokoju. Wyszedł zza wózka i wtulił się w spódnicę dziewczyny.

- Patrzajcie państwo - rzucił zdumiony stajenny.

- Tak, kto by pomyślał. - Adrian rozluźnił się, widząc, że pies, choć taka wielka z niego bestia, nie zagraża jego żonie.

Chudy jak szczapa z niedożywienia, wciąż był jednak ogromny. Szczęki miał tak wielkie, że mógłby pożreć całą delikatną rączkę Jeannette na jeden kęs, gdyby tylko zechciał. Swoją psią głową bez trudu sięgał powyżej jej talii. Zapewne jakaś mieszanka doga niemieckiego, dumął Adrian. A do tego ma obrozę. Widocznie do kogoś należał. Ale do kogo? I gdzie byli jego właściciele?

Chłopiec stajenny, jakby usłyszał rozmyślania Adriana, zaczął opowiadać o zwierzęciu.

- To bezdomny kundel. Lata po okolicy od wiosny. Do tej pory nikomu nie pozwolił podejść. Żre odpadki i inne świństwa. Po nocach grzebie w śmieciach i zostawia po sobie taki gnój, że mój chlebowca, pan Timmons, mówi, że kundel pypcia chce dostać. Widno dzisiaj nabrał rezonu, bo skradł temu jegomościowi placek prosto ze stołu.

- Cóż, moim zdaniem, to bardzo dzielny pies - oznajmiła Jeannette, głaszcząc zwierza po głowie i spiczastych uszach. Pies zmrużył oczy, wpadłszy w oczywisty zachwyt, czując jej pieśczość.

Po nocy spędzonej w ramionach żony Adrian wiedział dokładnie, jak zwierzak musi się czuć.

- Więc jesteś pewien, że on nie ma pana? - zapytał chłopca.

- Nie, milordzie. A przynajmniej ja nie wiem o żadnym. Jak milord chce, to niech se go weźmie.

- Och, tak, Adrianie, zatrzymajmy go. - Jeannette zwróciła ku niemu swe przejrzyste błękitne oczy. Oczy, którym nie mógł się oprzeć, jak to odkrył ostatnio. Miały nad nim niemal magiczną władzę.

- To takie wielkie, niezdarne psisko - zauważył. - Cóż ty z nim poczniesz?

Uśmiechnęła się.

- Podtuczę go, to po pierwsze, a po drugie, wykapię. Trochę czuć go stodołą, nie sądzisz? - Zmarszczyła śliczny nosek, by zilustrować swoje słowa. - Jestem pewna, że będzie z niego prawdziwa piękność, kiedy już dojdzie do siebie. Potrzeba mu tylko miłości i opieki.

- Sądziłbym, że jakiś pokojowy piesek będzie bardziej w twoim guście. Spaniel albo pudelek.

Milczała, jakby rozważała jego słowa. Po chwili wzruszyła ramionami.

- Cóż, bez wątpienia masz rację, gdybym wybierała sobie psa. Ale ten jest tutaj i potrzebuje domu, niezależnie od wielkości i rasy. Nie możemy go teraz zostawić. Przecież ten łajdak może wrócić i mścić się na nim w straszny sposób. Nie mogłabym spać ze zmartwienia o niego, gdybyśmy go zostawili.

- Może uda się przekonać jakąś rodzinę we wsi, żeby go wzięła - podsunął Adrian.

- Słyszałeś, co mówił chłopiec. Błąka się tu od miesięcy. Gdyby chciała go jakaś rodzina, to już by go przygarnęła.

- Księżna słusznie prawi, milordzie - wtrącił się stajenny. - Tutejsze ludzie myślą, że taka wielka bestyja zeżarła by ich razem z całym dobytkiem. Dyc to gorsze, niżli dorobić się czworaczków.

Usta Adriana drgnęły w uśmiechu, gdy usłyszał to barwne porównanie. Spoważniał jednak, zwracając się do żony. Nigdy przedtem nie widział, by Jeannette przejawiała szczególną sympatię do zwierząt. Tę cechę charakteru zauważył raczej u jej siostry, Violet, której miłość do istot niższych była widoczna dla każdego. Ale może znów nie docenił swojej żony. Może miała więcej wspólnego ze swoją siostrą, niż podejrzewał. Po ostatniej nocy nie był już tak skory do osądzania jej z góry.

- Naprawdę byś go chciała? — zapytał.

Jej twarz pojaśniała.

- Och, tak, bardzo bym chciała.

- W takim razie, moja droga, wygląda na to, że sprawiłaś sobie psa.

- Och! Adrianie! - Podeszła do niego i objęła ramionami w pasie.

Przytulił ją do siebie, patrząc w jej promienne oczy.

- Czy to znaczy, że mi wybaczyłaś? - zapytał cichym, pełnym uczucia głosem.

- Wybaczyłam? - Otworzyła szeroko oczy; fala różu zalała jej policzki.

Zrozumiał, że musiała pomyśleć o minionej nocy. Wyprowadził ją z błędu.

- Za to, że zaciągnąłem cię w podróż poślubną na wieś.

Rozluźniła się, oparła o niego wygodniej.

- Cóż - powiedziała powoli - prosisz o bardzo wiele, bo wciąż jestem na ciebie mocno zagniewana. Ale sądzę, że w tych okolicznościach muszę po prostu jak najlepiej wykorzystać to, co los mi daje. Tak, Wasza Książęca Mość. Wybaczyłam ci.

Uśmiechnął się, ujrzał, że jej wargi również rozchylają się w uśmiechu, i omal nie pochylił się, by przykryć je swoimi. Ale nagle przypomniał sobie, że ma widownię. Dość dużą widownię, biorąc pod uwagę, że stali na dziedzińcu. Gdyby to zależało tylko od niego, nie oglądałby się na to, co wypada, a co nie, i pocałowałby

ją. Ale nie wiedział, czy jego żona będzie zadowolona, że tak afiszuje się przy ludziach.

Niechętnie wypuścił ją z objęć i podał jej ramię.

- Wejdzimy do środka, by pokrzepić się posiłkiem?

- Tak, z ogromną przyjemnością. Jestem bardzo głodna. Ale co z Horacym?

- Z Horacym?

- Z naszym psem. Chciałabym na niego wołać Horacy. To takie ładne imię, w sam raz dla dzielnego psa. A on chyba zasługuje na nie po tym, co wycierpiał.

Adrian ukrył uśmiech.

- A więc niechaj będzie Horacy, moja droga. Ale masz rację, nie możemy go tu tak po prostu zostawić. - Kiwnął na stajenno-go. - Chłopcze, przynieś nam sznur czy coś w tym rodzaju, byśmy mogli go użyć jako smyczy.

- W te pędy, milordzie.

- „Wasza Książęca Mość”, Robby- poprawił go pan Timmons, wpadając na dziedziniec. - Ten dżentelmen i ta pani to książę i księżna Raeburn i masz zwracać się do nich jak należy.

Robby przełknął głośno ślinę.

- Przepraszam, milordzie, milady. T... to znaczy Wasze Książęce Moście. To ja pójdę po ten sznur. - Skłoniwszy się szybko, pognął do stajni.

Adrian zanotował sobie w pamięci, że trzeba będzie zostawić chłopcu porządną napiwek za jego wysiłki.

- Poprosimy o coś do jedzenia, panie Timmons - powiedział, zwracając się do gospodarza. - Dla psa również. Pieczeń wołową albo jeden z tych placków, które wywołały całe zamieszanie. Zda- je się, że za nimi przepada.

Do wybrzeża Dorset dojechali wczesnym wieczorem, gdy zachodzące słońce osiadło na najwyższym szczycie. Daleko, na horyzoncie, szerokie klify opadały urwistymi ścianami skalnymi

ku oceanowi. Woda stanowiła mozaikę błękitów i szarości. Promienie słoneczne migotały i połyskiwały na biało-grzywych fałach, toczących się do brzegu. Kanał La Manche w całym swym majestacie i wspaniałości.

Widok zapierał dech.

Nawet bez okularów Violet dostrzegąca, jak piękny jest krajobraz, widziany z powozu jadącego nadbrzeżną drogą prowadzącą do posiadłości Adriana. Pola w głębi ładu pyszniły się żywą zielenią, przetykaną ciemniejszymi kępkami traw falujących na wietrze. Ptaszki przelatywały w wesołym tańcu z drzewa na drzewo, nawołując się śpiewnie i napełniając brzuszki ostatnimi wieczornymi ziarnami. Nad oceanem rozlegały się lamenty ich morskich pobratymców, spragnionych ryb. Mewy zataczały leniwe, szerokie kręgi - pierzaste błyski bieli na tle oślepiającego błękitu.

Horacy ożywił się; biegał od okna do okna we wnętrzu powozu, wywieszając przez nie wielki łeb z otwartą paszczą, i patrzył. Violet również była mocno podekscytowana. Zachwycona jak dziecko, rozkoszowała się orzeźwiającym zapachem słonego powietrza, przyjemnie drażniącego jej nozdrza.

We wcześniej tylko raz, w wieku ośmiu lat, była nad morzem, z wizytą u kuzynostwa matki, Chesterów. Pamiętała ten wyjazd doskonale, bo Jeannette nie pojechała z nimi, zmuszona położyć się do łóżka z grypą. Matka uznała, że jedno chore dziecko w domu to aż nadto.

Tak więc Violet wysłano do Kentu. A ona, zamiast tęsknić za domem, była zachwycona przygodą. Wciąż pamiętała, jak się wtedy czuła. Wspominała tę wolność, gdy pozwalano jej biegać do upadłego w płytkich falach z dziećmi Chesterów, Jeffem i Sarą. Cała trójka wracała do domu po długich, długich godzinach, przypieczona na słońcu, z odzieniem poplamionym i ociekającym wodą, z nogami oblepionymi piaskiem. Chesterowie nie robili im wymówek. Kręcili tylko głowami i odsyłali z nianią do kąpieli

i na kolację. Jeszcze teraz wspomnienie tych kilku krótkich tygodni było jednym z jej ulubionych, które przywoływała, śniąc na jawie w leniwe popołudnia.

Po powrocie Violet do domu Jeannette była śmiertelnie obrażona i oznajmiła, że nie chce nigdy więcej słyszeć ani słowa o angielskim wybrzeżu. Może dlatego tak się zdenerwowała, kiedy Adrian poinformował ją, że miesiąc miodowy spędzą nad morzem. Właściwie nawet nie miesiąc, lecz tydzień.

Ale Violet wiedziała, że czekający ją tydzień stanie się wspólnym przeżyciem. Nawet jeśli nie będzie mogła bawić się w fałach, jak to robiła w dzieciństwie. I dlatego, ostrzegęła się w duchu, musi być dla siebie bardzo surowa, uważać na każdą reakcję, by nie wyjawić niechcący swojej prawdziwej tożsamości. Nie byłoby właściwe, gdyby wyrażała nadmierny podziw dla otoczenia. „Jeannette” mogła wybaczyć Adrianowi wybór miejsca, ale nie oznaczało to jeszcze, że zakochałaby się w tej okolicy.

Z tej samej przyczyny musiała odrobinę ostudzić swój entuzjazm dla Horacego. Obawiała się, że omal się zdradziła w gospodarstwie. Jej siostra tolerowała zwierzęta pod warunkiem, że nie sprawiały kłopotu, ale mimo wrodzonej nienawiści do okrucieństwa nigdy nie walczyłyby o zwierzę, tak jak zrobiła to Violet.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała jedwabisty łeb Horacego. Pies zwrócił ku niej wyraziste ślepia i posłał jej uśmiech zadowolenia, wywieszając różowy język. I ona uśmiechnęła się do niego, i zrobiło jej się lżej na sercu mimo ciężaru zmartwień.

Powóz pokonał długi podjazd z muszli i otoczków i stanął przed okazałym dwupiętrowym domem w stylu georgiańskim, zbudowanym ze złotawego kamienia, pokrytego patyną czasu. Adrian powiedział *jej* tylko, że zatrzymają się w jednym z wielu wiejskich domów, należących do jego rodziny. Ale jego opis zdecydowanie nie oddawał rzeczywistego wyglądu rezydencji.

Po pierwsze, była ogromna - najmniej czterdzieści pokoi. Górowała nad okolicą niczym uśpiony olbrzym. Rzędy okien z błyszczącymi szybami migotały w dojrzałym blasku zachodu.

Wejście dla służby znajdowało się na poziomie parteru. Osłaniały je eleganckie, biegnące na prawo i lewo schody, prowadzące do głównego portyku, zdobnego kolumnami i wykończonego w stylu palladiańskim.

A jednak wszystko to bladło i wydawało się mizerne w porównaniu z różami. Setki tych kwiatów tuliły się do dalszego końca domu, bujne i różowe, pięły się po wysokich białych treliach, jakby chciały dotknąć samego nieba.

Och, i ten zapach! Zupełnie jakby rozlać butelkę najpiękniejszych perfum, jakie kiedykolwiek stworzono. Violet wciągnęła głęboko powietrze i zamknęła oczy, rozkoszując się tymi odczuciami.

To było po prostu najpiękniejsze, najbardziej romantyczne miejsce, jakie widziała w życiu.

Pomyślała, że jej siostra jest zwyczajnie głupia. I nie po raz pierwszy musiała przyznać, że cieszy się z zamiany.

Drzwi powozu się otworzyły. Horacy wypadł na zewnątrz i zaczął szczekać radośnie, biegając w tę i z powrotem po podjeździe. Violet nieco bardziej statecznie poszła w jego ślady, pozwalając Adrianowi podać sobie dłoń i pomóc zejść na ziemię; z ostatniego schodka mąż zdjął ją bez wysiłku, otoczywszy jej talię ramieniem.

— Nareszcie jesteście! - stwierdził, kiedy stała już na nogach. - To był długi dzień w podróży. - Umilkł w odpowiedzi na jej milczenie, jakby obawiał się zadać następne pytanie. - I co sądzisz, moja droga?

Wiedziała, że nie powinna się zdradzać ze swoim zachwytem. Na jej siostrze piękno natury nie zrobiłoby żadnego wrażenia. Dla Jeannette takie rzeczy nie miały wielkiego znaczenia. Ale w takim momencie Violet nie potrafiła skrywać swych prawdziwych uczuć.

- Tu jest po prostu uroczo.

Jego oczy pocieplały, drobniutkie zmarszczki pojawiły się w ich kącikach, kiedy się uśmiechnął. Na prawym policzku ukazał

się dołeczek. Violet zwalczyła pokusę, by musnąć go palcem; jej serce uderzyło mocniej. Poczuła przypływ miłości, wzbierający jak oceaniczne fale, których szum słyszała w oddali.

Okłamała go. Już sama jej obecność tutaj była ohydny oszustwem, za które bez wątpienia kiedyś przyjdzie jej zapłacić. Ale w tej chwili nie żałowała niczego. Był jej mężem i do niej należał.

Jego spojrzenie zmieniło się, powieki opadły, w oczach błysnęły nagle ogień pożądania. Czekwała, czy ją pocałuje, tutaj, na oczach szeregu służących, którzy ustawili się przed głównymi schodami. Ponad dwanaście osób czekało, by powitać pana i panią w domu.

Żałowała, że oni wszyscy nie mogą zniknąć. Żałowała, że ona i Adrian nie są sami.

Nagle podbiegł Horacy i wcisnął między nich swoje wielkie cielsko, wijące się żywołowo. Zepsuł nastrój równie skutecznie, jak surowa ciotka przyzwoitki.

Adrian uniósł brew z rozbawioną rezygnacją.

- Pozwolisz, moja droga?

Przyjęła podane ramię i pozwoliła poprowadzić się w stronę domu.

Najpierw Adrian przedstawił jej stałych opiekunów rezydencji — a więc państwa Grimmów, starsze małżeństwo, będące zupełnym przeciwieństwem swojego nazwiska, uśmiechnięte i pełne ciepłego humoru. Pan Grimm doglądał posiadłości i dbał o jej urodę z pomocą dwóch ogrodników. Pani Grimm pełniła rolę ochmistrzyni i kucharki. Ona również miała własną, dwuosobową załogę: pokojówkę Susie, której nieśmiałość nie pozwoliła na nic więcej prócz piskliwego powitania, i Cynthię, podkuchenną, okrągłutką i śliczną jak świeżo zerwane jabłko. Reszta służby pochodziła z Winterlea. Josephs, stangret. Robert i Harry, forysie. Pan Wilcox, pokojowiec Adriana. Agnes, prywatna pokojówka Violet. I trzy dodatkowe posługaczki, przywożone do pomocy wszędzie tam, gdzie mogły być potrzebne: Tina, Nancy i Leah.

Violet opanowała wrodzoną nieśmiałość. Nie wypadało okazywać lęku przed służącymi. A jednak nie potrafiła zdobyć się na taką królewską wyższość, jaką z pewnością okazałaby Jeannette.

Choć byli jej podlegli, Violet zdawała sobie sprawę, że służący to ludzie mający własne życie i potrzeby, nadzieje i aspiracje, często niezgodne z jej własnymi. W domu była zżyta z wieloma osobami ze służby; u nich mogła liczyć na pobłażliwą akceptację i zrozumienie, jakiego nie okazywała jej własna rodzina. Służący nigdy nie narzekali na jej małomówność, na jej zamyślenie, nigdy nie krytykowali i nie wyśmiewali naukowych zainteresowań historią i językami. Akceptowali ją taką, jaka była, i ona zawsze próbowała odwzajemniać im się tym samym.

Dlatego też, pamiętając o swojej nowej pozycji księżnej, zrobiła co w jej mocy, by przywitać się z nimi ciepło i z szacunkiem. Przyjęła ich życzenia szczęścia na nowej drodze życia, kiwając głową i uśmiechając się uprzejmie.

Wkrótce stało się jasne, że wszyscy uwielbiają Adriana i są skłonni zrobić wszystko, co potrafią, by sprawić mu przyjemność. A on zachowywał się swobodnie i przyjaźnie, choć bił od niego autorytet, jakiego Violet nigdy nie widziała u swojego ojca w kontaktach ze służbą. Wiedziała, że Adrian służył w wojsku podczas wojny. Był odznaczonym wojennym bohaterem, ale sam wolał o tym nie mówić. Była ciekawa, czy podobnie traktował swoich podkomendnych. Czy i oni go szanowali? Sądziła, że tak. Podejrzewała, że chętnie zrobiliby wszystko - poświęciliby nawet życie - dla niego i wspólnej sprawy.

Po zakończonej prezentacji ruszyła z Adrianem ku schodom. Horacy pospieszył za nimi. Violet odwróciła się i poczuła bolesne ukłucie w sercu, kiedy zrozumiała, że nie może zabrać psa do środka. A przynajmniej nie w jego obecnym stanie, gdy był tak zaniedbany.

- Czy ktoś z was zechce zająć się moim psem? - zapytała służących. - Potrzebuje kąpieli i porządnego posiłku. A potem spaceru.

Nastąpiła długa chwila ciszy; wszystkie oczy zwróciły się na psiego olbrzymia, stojącego obok księżnej. Wszyscy zastanawiali się, czy zdołają poradzić sobie z bestią.

Nagle z szeregu wystąpił Robert. Żyłasty, poważny młodzieniec o orzechowych oczach i krótko przyciętych brązowych włosach.

- Ja to zrobię, Wasza Księżca Mość. Lubię psy. Kiedy dorastałem, mieliśmy cztery olbrzymie psiska. Choć nie tak wielkie jak on. - Wskazał Horacego ruchem głowy. - Ale dogadam się z nimjakoś.

- Dziękuję, Robercie.

Foryś podszedł i chwycił Horacego za obrozę. Pies stał nieporuszony, najwyraźniej nie mając ochoty rozstać się z panią.

Violet schyliła się i przygładziła jego uszy.

- Idź z Robertem. Nie musisz się niczego obawiać. Wykąpiesz się, najesz i odpoczniesz, a rano znów się zobaczymy.

Horacy zaskomlał, jakby rozumiał każde jej słowo i czuł się nieszczęśliwy, że rozdzielają go z wybawicielką. Minęła kolejna długa chwila, aż nareszcie, ze spuszczoneym ogonem, ustąpił i pozwolił, by Robert go odprowadził.

Violet wyprostowała się, nagle uświadamiając sobie, co zrobiła. Rozczułała się nad zwierzęciem. Czy Adrian zauważył, że jej zachowanie jest niepodobne do zachowań Jeannette? Uniosła oczy i ujrzała, że on czeka, obserwując ją bez najmniejszych oznak podejrzenia na twarzy.

Wysunęła podbródek.

- Ja poproszę o to samo - oznajmiła. - Kąpiel i kolacja tak szybko, jak da się to urządzić. Jestem mocno znużona podróżą.

Pani *Grimm* podeszła do niej zaafektowana, szybka w ruchach mimo rozłożystych bioder.

- Oczywiście, Wasza Księżca Mość. Wszystko będzie wedle życzenia. Wasza Księżca Mość pozwoli, że zaprowadzę ją do jej pokojów.

Ochmistrzyni ruszyła w górę po schodach. Książę i księżna podążyli za nią.

Violet wykapała się; potem Agnes pomogła jej włożyć nieoficjalną suknię, odpowiednią do kameralnej, domowej kolacji. Strój był wygodny - bladożółty muślin w kropki z wierzchnią spódnicą w kolorze morskiej zieleni, przy którym, jak stwierdziła Agnes, oczy księżnej pani błyszcząły jak klejnoty.

Dołączyła do Adriana w pięknym i eleganckim wieczorowym stroju, który włożył, mimo iż byli na wsi. Kilka chwil rozmawiali o niczym w saloniku, po czym ruszyli do jadalni.

Pani Grimm przeszła samą siebie, przygotowując wieczorny posiłek, stwierdziła Violet, gdy prezentowano im po kolei wystawne dania. Kruchutkie pieczone gołąbki w sosie malinowym. Kurczę z grzybami w delikatnym ptysiowym cieście. Pieczeń wołowa i małe pory w śmietanie. Duszona ryba z cytryną, kaparami i koperkiem. Każde danie podawano z ogromnym wyborem dodatków, wśród których znalazł się nawet suflet z serem i ziołami oraz faszerowane młode bakłażany. Były też sałatki, przysmaki zaostrzające smak i pieczywo. A na deser pani Grimm mądrze wybrała półmisek serów i świeżych owoców.

Inaczej niż poprzedniego wieczoru, Violet jadła z apetytem. Skosztowała więcej, niż miała w zwyczaju, głównie dlatego, że była porządnie głodna, ale również chcąc okazać, iż docenia wysiłek i kulinarny kunszt, jakim wykazała się kucharka, by zadowolić ją i Adriana. Zrobiła co w jej mocy, by spróbować jak najwięcej potraw - i wszystkie wydały jej się równie pyszne.

- Gdzieś ty znalazł tę panią Grimm? - zapytała po kolacji przy kawie, podanej w delikatnych porcelanowych filiżankach. - Jest doskonałą kucharką.

Adrian zjadł kawałek cheddara z Stilton z cieniutkim jak opłatek plasterkiem gruszki.

- Prawdę mówiąc, to ona znalazła mnie - wyjaśnił. - Kiedy kupiłem tę posiadłość, jakieś cztery lata temu, wraz z nią dostali mi się Grimmowie. Zawsze uważałem to za szczęśliwe zrządzenie losu.

- Ciekawa jestem, dlaczego kupiłeś ten dom? To nie jest odpowiednia lokalizacja dla wakacyjnej rezydencji.

Adrian uniósł brew, zjadł kolejny kawałek gruszki.

- Dla jednych odpowiednia, dla innych nie. Prawdę mówiąc, właśnie usytuowanie skłoniło mnie do kupna. Nie popełnię chyba przestępstwa, jeśli ci zdradzę tajemnicę, skoro wojna się już skończyła. Wykonywałem kiedyś pewne zadania... tajne zadania, dla Ministerstwa Spraw Wojskowych. Posiadanie domu takiego jak ten, tuż nad kanałem, niemal z widokiem na Francję, jest korzystne z wielu względów. Plaża jest zaciszna i odosobniona. Doskonale nadaje się do spotkań w ciche, bezksiężycowe noce.

Violet poczuła, że jej oczy robią się okrągłe. Czy on chciał powiedzieć, że był szpiegiem? Jakież to niezwykle, pomyślała; jej umysł wypełniły obrazy potajemnych spotkań i sekretnych kontaktów. Brytyjcy szpiedzy spotykający się na plaży Adriana, przenoszący kluczowe informacje dla działań wojennych. Matka Adriana była Francuzką. Zapewne i on mówił tym językiem jak urodzony Francuz. Musiał być świetnym kandydatem. Godzien zaufania, szanowany były oficer. Arystokrata, który, tak się szczęśliwie składało, miał dom tuż nad brzegiem morza.

Wciąż przetrawiała tę intrygującą rewelację, kiedy nagle zmienił temat.

- Czy na pewno nie zdołam cię zachęcić do zjedzenia ani kęsa tego pysznego deseru? — zapytał.

- Nie, nie, i tak zjadłam już o wiele za dużo. Jeśli skuszę się na coś jeszcze, to nie wiem, czy podniosę się z tego fotela.

- Nie martw się. Jeśli stwierdzisz, że utknęłaś, to pomogę ci się z niego wydostać.

- Wydostać? Czyżbyś sugerował, że jestem za gruba, Wasza Książęca Mość?

- Na Boga, skądże znowu. Wręcz przeciwnie, nie zaszkodziłoby, gdybyś nabrała odrobiny więcej tego ślicznego ciała.

Swobodna atmosfera, pyszny posiłek i rola, którą odgrywała, zdołały dodać jej tupetu.

- Więc nie miałbyś nic przeciwko temu, gdybym przytyła? - Czekwała, nagle zaniepokojona, jaką usłyszy odpowiedź.

- Jeśli nawet zrobisz się tak okrągła i rozłożysta jak nasza szacowna kucharka, to zwyczajnie będę miał więcej piękna do podziwiania. - Uśmiechnął się ciepło, leniwie.

Jej własne wargi wygięły się w uśmiechu, puls przyspieszył niespokojnie.

- Lepiej uważaj - mruknęła. - Wszak wiesz, że da mi to pretekst do zakupu całkowicie nowej garderoby.

Adrian odrzucił głowę i ryknął śmiechem.

Gdy wypili kawę, a służba zebrała nakrycia i zdmuchnęła świece, wieczór płynął dalej, aż nadeszła pora spoczynku. Rozstali się u stóp głównej klatki schodowej; Violet była zanadto zawstydzona, by spytać, czy Adrian będzie jej towarzyszył w łóżu. Siłą woli wstrzymując rumieniec, weszła po schodach do swoich pokoiów.

Agnieszka ubrała ją w kolejną ze skandalicznych koszul nocnych. Różową tym razem, z brzegiem wyciętym w półokrągłe ząbki, i bez koronek- ale równie przejrzystą jak poprzednia. Violet usiadła w bawialni przylegającej do sypialni, na sofce obitej jedwabiem w pastelowym brzoskwińowym kolorze. W zwykłych okolicznościach zachwycałyby się tą barwą. Rozkoszowałyby się atmosferą pokoju, wykończonego tkaninami w łagodnych, kremowych odcieniach. Ale dziś wieczór jej umysł zajmowały inne sprawy.

Czy on przyjdzie? I czy ona chce, by przyszedł?

Godzinę później wciąż biedziła się nad odpowiedzią, gdy Adrian wkroczył nareszcie, ubrany w ten sam szlafrok, który miał na sobie poprzedniego wieczoru.

Wzbrało w niej świeże wspomnienie. Mięśisty, brązowy aksamit pod jej dłońmi. Ciepło i gładkość jego skóry, gdy zdjął z siebie szlafrok.

Spuściła oczy i wstrzymała oddech, gdy podszedł bliżej.

- Masz ochotę zagrać w karty? — zapytał.

Jej spojrzenie frunęło do góry. Czyżby się przesłyszała?

- W karty?

- Hm. - Uniósł talię, którą trzymał w dłoni. - Jeszcze wcześniej. Pomyślałem, że może zechcesz się zozerwać.

- Chcesz grać w karty? - powtórzyła skonsternowana.

- Uhm. Ty wybierasz. Kierki czy wist na dwie osoby?

- Ja... hm... może kierki.

- Doskonały wybór. - Usunął wazon z kwiatami z okrągłego wiśniowego stolika stojącego obok kominka, przynosząc bukiet na wysoką półkę nad paleniskiem. Przystawił dwa małe foteliki, usiadł w jednym z nich i zaczął tasować karty.

- No chodź - ponaglił ją, kiedy nie ruszyła się z kanapy.

Kompletnie zdezorientowana, ukryła niespodziewane ukłucie rozczarowania. Wstała i zajęła miejsce naprzeciw niego. Podniosła swoje karty i zamrugała przerażona, widząc, jak bardzo są niewyraźne.

Okulary. Jak mogła zapomnieć, że będą jej potrzebne? Zupełnie ją zaskoczył. Sądziła jednak, że jeśli trochę przymruży oczy, zdoła odczytać znaki. Na szczęście nie miała kłopotu z rozróżnieniem kolorów, czerwieni i czerni. Łudziła się, że nie pomyli kierów z karo i pików z treflami.

- Coś się stało? - Adrian uniósł ciemną brew.

- Nie, po prostu oglądam swoje karty. - Bardzo uważnie je oglądam, pomyślała.

Jakoś sobie poradziła; gra potoczyła się właściwym rytmem. Choć Adrian wygrał pierwsze dwa rozdania, w trzecim sprawiła mu baty, rozluźniwszy się na tyle, by niemal zapomnieć o swoich trudnościach, i śmiejąc się serdecznie z piekielnie nudnej historyjki, którą opowiedział, o wozie pełnym jabłek i gospodarzu, który próbował zagnać stado głodnych świń na targ.

- Wygrałam - oznajmiła, z szerokim uśmiechem wykładając karty na stół.

- Na to wygląda. - Adrian rzucił na stół karty i podliczył punkty. - Według moich obliczeń prowadzisz o jakieś dwadzieścia punktów. Żądam rewanżu.

- Zgoda.

- Ale najpierw się napijmy. Na co masz ochotę, moja droga?
- Ja dziękuję.

- Musisz się skusić na kieliszeczek. Z samotnego picia nigdy nie wynika nic dobrego.

- Cóż, dobrze więc, skoro nalegasz.

Adrian zniknął za drzwiami łączącymi ich apartamenty. Po krótkiej chwili wrócił, niosąc dwa pękate kieliszki. Postawił jeden przed nią.

Podejrzliwie przyjrzała się bursztynowej cieczy.

- Co to jest?

- Koniak. - Napił się łyeczek ze swego kieliszka i znów zajął miejsce.

- Nigdy nie próbowałam koniaku. Nie mam w zwyczaju pijać mocnych alkoholi.

- Tak też sądziłem. Ale pomyślałem sobie, że może będziesz miała ochotę na mały eksperyment.

Miał rację. Jeannette coś takiego bardzo by się spodobało. Zawsze była chętna poznawać wszystko, co niezwykle czy zakazane. Violet uniosła kieliszek, powąchała ostrożnie jego zawartość. Zapach był słodki, drażniący.

- Nie próbujesz mnie chyba upić, co? - zapytała.

- W tym kieliszku jest ledwie kropelka. Na pewno nie dość, żeby się upić. A poza tym, po cóż miałbym cię upijać?

- Może po to, by wygiąć następne rozdanie.

Adrian roześmiał się, błyskając zębami w zabójczym uśmiechu. Wypił kolejny łyk koniaku, po czym odstawił kieliszek i zaczął tasować karty.

Violet powąchała alkohol jeszcze raz i zakręciła nim w kieliszku, patrząc, jak spływa po wewnętrznych ściankach. Jeannette spróbowałaby go; to było oczywiste. A ona jednak miała udawać siostrę. Od wczoraj była mężatką. Cóż złego może wyniknąć z małego eksperymentu, jak to powiedział Adrian?

Wypiła łyk i zakrztusiła się; jej gardło zapłonęło, jakby ścisnęła je ognista dłoń. Rozkaszała się, z trudem chwytając oddech.

Adrian wyciągnął rękę i poklepał żonę w plecy.

- Pomalutku, nie tak dużo naraz.

- To jest obrzydliwe - wysapała, gdy tylko mogła przemówić. Kaszlnęła jeszcze kilka razy. - Po cóż ty to pijesz?

- Nie jest takie złe. Trzeba się tylko przyzwyczaić. To wymaga trochę praktyki.

- Ha. Więc ja raczej zostawię to praktykowanie tobie.

Adrian ułożył swoje karty i posłał jej spojrzenie udawanego potępienia.

- Przyjmij do wiadomości, że to jeden z najlepszych koniaków, jaki można dostać na świecie. Z piwnic samego Napoleona.

- Więc mogę jedynie stwierdzić, że ty i cesarz macie okropny gust.

Adrian uśmiechnął się i wyciągnął kartę, by rozpocząć kolejną partię.

Violet wygrała pierwsze rozdanie i zwiększyła swoje prowadzenie. Adrian wygrał dwa kolejne i wysforował się naprzód o kilka punktów. Rzucając swego rodzaju wyzwanie sobie — i po trosze Adrianowi - wypiła niewielki łyk koniaku. Alkohol rozszedł się po jej ciele przyjemnym ogniem, rozgrzewając krew, rozluźniając mięśnie. Smak wciąż jej się nie podobał, ale może to jednak nie było takie złe, jak sądziła z początku. Przełknęła kolejny łyk i odstawiła kieliszek na bok.

Gdy przyszła jej kolej, wzięła górną kartę z talii.

- Co wyciągnęłaś? Wyglądasz jak kot, który nachleptał się śmietany.

- Nie powiem ci - rzuciła zadziornie.

Adrian wziął kartę i wyrzucił czwórkę trefl. Wyciągnawszy rękę, przykrył jej dłoń leżącą na stole i zaczął bawić się jej palcami. Skóra zaczęła ją mrowić w miejscu dotknięcia.

Przełknęła ślinę, próbując skupić się na grze. Dobrała kartę i w końcu wyrzuciła tę, którą powinna była zatrzymać.

- Zdaje się, że próbujesz mnie rozproszyć.

- Doprawdy? - wycedził. - A czy to działa?
- Ani trochę.

Ale działało. Jej gra zaczęła kuleć, mimo iż Violet usiłowała ignorować jego miłosne podchody.

Gdy ponownie położyła dłoń na stoliku, znów ją odnalazł i powoli uniósł, by wycisnąć pocałunek na spodniej stronie. A ona nie cofnęła ręki. Jej palce zaczęły się poruszać jakby z własnej woli, głaszcząc jędrną, gładko ogoloną skórę jego podbródka i policzka. Adrian otarł się o nią jak kot i wziął jeden palec w usta.

Zaparło jej dech, poczuła miękkość w kolanach, gdy obwiodł palec językiem. Wbił w jej oczy hipnotyzujące spojrzenie. Bezradnie pozwoliła, by zrobił to samo z następnym palcem. I następnym. Drżała, gdy składał kolejne ciepłe pocałunki. Wrażenia były porażające. Jakby dotykał jej w intymny sposób - wszędzie naraz, a nie tylko dłoni.

Oczarowana, bez tchu, czuła mrowienie w całym ciele. Karty, które trzymała w drugiej dłoni, upadły zapomniane na stół.

- Dokończymy grę? - zapytał ochrypłym głosem.

Przeciagnał koniuszkiem języka po wnętrzu jej dłoni, kończąc namiętym pocałunkiem po spodniej stronie nadgarstka. Jej palce zdrząły konwulsyjnie.

- Jaką grę? - westchnęła.
- Chodź tutaj.

7

Adrian poderwał Violet z fotela; nogi trzęsły jej się, gdy sadzał ją na swoich kolanach.

- Pocałuj mnie, moja droga — rzucił nagląco. — Pocałuj mnie.

Otoczył ją silnym ramieniem, by ją podtrzymać, i czekał.

Violet zamruwała, zaskoczona i niepewna. Spodziewała się, że to on ją pocałuje. Ale najwyraźniej pozostawiał wszystko w jej rękach, mimo oczywistego pożądanego dowodu uciskał jej biodro. Ubiegłej nocy jego fizyczna reakcja wydała jej się mocno niepokojąca. Dziś, rozluźniona i bezpieczna w jego ramionach, z przyjemnym szumem koniaku w głowie, miała jedynie ochotę przyłgnąć mocniej do niego. Dotknąć go, poczuć jego smak, uradowana docierającą do niej powoli świadomością, że Adrian jej pragnie.

Patrzyła na jego piękną twarz, w jego ciemne, hipnotyczne oczy. Jej rzęsy zatrzepotały i opadły, gdy zaczęła się przyglądać jego ustom. Były takie silne i męskie, rozchylone w oczekiwaniu na jej pieśczętę.

Niepewnie, z wahaniem, złożyła na nich swoje usta. Delikatnie jak motyl skrzydłami poruszyła wargami, muskając, dotykając, rozkoszując się drobnymi dreszczami, które przemykały niczym świetliki przez jej ciało.

On pozostał uległy - z głową opartą o zagłówek fotela pozwalając jej badać i odkrywać. Po chwili zapomniała o strachu. Zapomniała o wszystkich powodach, które kazały jej się wahać, i przystała, by sprawy toczyły się własnym torem.

Spragniona kontaktu, wsunęła palce w jego włosy, wijące się pod jej dłoń, jedwabiste, sprężyste, rozkoszne. Zamknęła oczy, rozchyliła usta i przycisnęła je mocniej do jego warg. Czekwała, spodziewając się, że on przejmie inicjatywę, że porwie ją za sobą w wir, jak to zrobił zeszłej nocy - że nad nią zapanuje.

Gdy tego nie zrobił, gdy nie posunął się dalej, niż dyktował mu jej niepewny dotyk, odsunęła się.

- Dlaczego nie odwzajemniasz moich pocałunków?
- Odwzajemniam.
- Nie - szepnęła. - To znaczy, dlaczego nie całujesz mnie tak jak wczoraj?

- A tego właśnie chcesz? Jeśli tak, musisz mi to powiedzieć. Dziś wieczór oddaję się całkowicie pod twoją władzę, miła. Chcę,

żebyś to ty prowadziła, wyznaczała tempo. Jeśli chcesz powoli, będzie powoli. Jeśli chcesz szybko, będzie szybko. Musisz mi dokładnie powiedzieć, czego pragniesz, na co masz ochotę.

- A jeśli ja nie wiem, na co mam ochotę? Czego pragnę?

- Więc kieruj się instynktem. Przekonasz się, że on rzadko się myli.

Violet przełknęła ślinę, próbując uspokoić swe rozedrgane nerwy, które groziły jej paraliżem.

- Pocałuj mnie - rozkazała.

Adrian musnął jej wargi, powoli, leciutko.

- Nie, mocniej - tchnęła.

Pocałował ją mocniej.

- Z otwartymi ustami, jak ostatniej nocy.

Zrobił, jak prosiła, i jej zmysły oszalały. Pamiętając, że on na nią czeka, zmusiła się, by uczynić następny ruch. Dotknęła językiem jego języka. Z początku niepewnie, potem z coraz większą śmiałością, zaczynając mokry, dziki taniec. On odwzajemniał jej poruszenia, dopasowywał się do nich, ich wargi, zęby i języki połączyły się w przedsmaku najbardziej intymnego aktu. Wpijała się w niego; on wpijał się w nią, aż brakło jej tchu. Jej płuca krzyczały o oddech, gdy wreszcie oderwała się od niego. Oparła czoło o jego policzek

- Co jeszcze? - szepnął, muskając jej ucho ciepłym oddechem. - Na co jeszcze miałabyś ochotę?

Obrazy stanęły jej przed oczyma. Cieleśne obrazy, które powinny wywołać rumieniec wstydu, ale tak się nie stało. Otarła się o niego, niespokojna, spragniona.

- Dotykaj mnie - szepnęła.

- Gdzie?

Wiedziała, gdzie, ale nie była w stanie wypowiedzieć tych słów, jeszcze nie, i na pewno nie na głos. Ale mogła mu pokazać. Jej spragnione ciało ponaglało.

Z zamkniętymi oczyma odnalazła jego dłoń i położyła ją na swej piersi.

- Tutaj - szepnęła. - Dotykaj mnie tutaj.

Nakrył wypukłość jej ciała, objął całą, jakby została stworzona specjalnie dla jego dłoni. Głaskał ją. Pieścił. Namiętność narastała w Violet, zakwitała w niej, bujna jak róże, które krzewiły się na ścianach domu. Żar narastał między nimi - bezwstydy, intymny, niosący przyjemność.

Adrian rozpiął peniuar, zsunął go z jej ramion i pozwolił mu opaść na podłogę. Wsunawszy palec pod ramiączko przytrzymujące koszulę, ściągnął wąski pasek materiału w dół.

- Chcesz? - upewnił się.

- Tak - potwierdziła.

Jęknęła, kiedy jego ciepłe palce dotknęły nagiej piersi, rysując ścieżkę na jej skórze. Pocałował ją w usta, skubiąc i podgryzając. Drażniąc się z nią, kusząc. Jego zapach wypełnił jej mózg falą oszałamiającej radości. Po chwili odsunął się, zważył pierś w dłoni. Przeciągnął kciukiem po nabrzmiałym sutku.

- Chcesz?

Rozumiała, o co pytał. Czy chciała, by pocałował ją właśnie tutaj? Skinęła głową; pragnęła tego, i to bardzo.

Odsunął ją od siebie, odepchnął lekko do tyłu, wspierając jej plecy swoim mocnym ramieniem. Objął sutek ustami, zaczął pieścić miłośnie językiem, wargami, zębami. Violet jęknęła, z trudem chwytając powietrze, zachwycając się tą ulotną pieśczołą, gdy jej ciało zalewały nieustępliwe fale żaru i rozkoszy. Spróbowała unieść rękę. Chciała go dotknąć, ale ramiączko zsunięte do łokcia nie pozwoliło jej na ruch.

Wyczuwając jej pragnienie, jej frustrację, Adrian sięgnął w górę, oderwał ramiączko szarpnięciem, po czym z drugim zrobił to samo. Odsunął się na chwilę, by stanik koszuli mógł zsunąć się do pasa, odsłaniając ją przed jego oczyma, jego dotykiem.

Violet zachłysnęła się, zaskoczona i roześmiana. Kilka sekund później jęczała już z zamkniętymi oczyma, gdy pochylił głowę ku drugiej piersi.

Mając wolne ręce, zaczęła głaskać go po głowie, pieścić kark, muszlę ucha, nieświadomie zachęcając go do jeszcze większej

swobody. Sięgnął więc w dół i wsunął dłoń pod rąbek jej koszuli. Kiedy zeszywniała, zatrzymał się i uniósł rozpalone oczy, by uchwycić jej spojrzenie.

- Za wcześnie? - spytał.

Płynnym ruchem przesunął dłoń w górę, na kolano. Znow się zatrzymał, zaczął leniwe, podniecające kręgi, najpierw tuż ponad stawem, potem poniżej, jakby chciał narysować zmysłową ósemkę.

Violet zadrżała i zwiesiła głowę.

- Nie wiem. Tak - szepnęła. Pocałowała go w policzek, posmakowała jego warg. Takie słodkie, takie słodkie, myślała oszłamiona. - To znaczy nie. Nie jest za wcześnie. - Westchnęła tęsknie i poddała się. - To znaczy, zgoda.

W odpowiedzi jego ciałem wstrząsnął ledwie wyczuwalny dreszcz. Zmiażdżył ustami jej wargi, wpił się w nie, porywając ich oboje z prędkością błyskawicy w świat, gdzie istnieli tylko oni. Gdzie zapomniała o wszystkim, prócz wspaniałych odczuć, które w niej budził.

Gdy po wielu godzinach, już w łóżu - nauczywszy ją w cierpliwy, niespieszny sposób miłosnego alfabetu od A do Z - nareszcie pozwolił sobie na spełnienie, wstrząsnęło nim z taką mocą, że nie był w stanie powstrzymać krzyku.

Dryfując po oceanie niebiańskiej błogości, ukrył twarz w wilgotnym zagłębieniu między jej szyją a ramieniem, czekając, aż fale rozkoszy opadną. Dopiero kiedy przestało mu się kręcić w głowie, zorientował się, że zasnęła.

Violet budziła się powoli. Uniosła ręce nad głowę i przeciągnęła z leniwym zadowoleniem w delikatnej, lnianej pościeli. Sięgnęła do Adriana, ale znalazła tylko chłodną pustkę po jego stronie łóżka.

Z ilości światła w pokoju wywnioskowała, że musi być późny ranek. Jak dawno Adrian wstał? — zastanawiała się. Żałowała, że go nie ma. Już za nim tęskniła. Na poduszce wciąż widniało płytkie

zagłębienie w miejscu, gdzie spoczywała jego głowa. Wzięła poduszkę w ramiona i wtuliła w nią twarz. Wdychając jego zapach, pomyślała o ostatniej nocy. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Po pierwszej cudownej porcji miłości zapadła w ciężki sen. Adrian jeszcze dwa razy budził ją w nocy, by się z nią kochać, jakby nie mógł się nią dość nacieszyć. Po raz ostatni posiadał ją, gdy świt rozlewał się już po jaśniejącym niebie świetlistymi odcieniami różu i oranżu. Miała prawo czuć się wyczerpana, a jednak nie pamiętała, kiedy ostatnio zbudziła się tak wspaniale wypoczęta. Jeszcze raz z rozkoszą wciągnęła zapach poduszki i w końcu usiadła.

Drzwi sypialni uchyliły się odrobinę i do pokoju zajrzała Agnes, pytając:

- Czy Wasza Księżęca Mość nie śpi?

Violet pospiesznie podciągnęła prześcieradło, by zakryć nagie piersi.

- Nie, wejdz.

Agnes wkroczyła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Niosła duży miedziany dzban i kilka puszystych ręczników przewieszonych przez ręce.

- Dzień dobry, Wasza Księżęca Mość. Mam nadzieję, że dobrze pani spała. Przyniosłam gorącą wodę. - Odstawiła ciężar obok kominka. - Księżę pan powiedział, że Wasza Księżęca Mość może mieć ochotę na kąpiel. Mam zadzwonić po wannę?

- Tak, z przyjemnością się wykapię.

Agnes pociągnęła za sznur dzwonka, po czym przeszła przez pokój, by rozsunąć zasłony. Sypialnię zalało jasne, ciepłe światło słoneczne.

- Która godzina? - spytała Violet.

- Dopiero minęło południe, Wasza Księżęca Mość.

- Południe! Och, nigdy nie spałam tak długo.

Agnes spojrzała na nią, wyraźnie zaskoczona.

Violet zorientowała się, co powiedziała, i pospiesznie naprawiała swój błąd.

- To znaczy, nigdy nie spałam tak długo na wsi. Tylko w mieście.

Agnes rozluźniła się, ze zrozumieniem kiwnęła głową. Zaczęła krzątać się po pokoju. Podeszła do masywnej orzechowej szafy i otworzywszy jej ciężkie podwójne drzwi, wyjęła dzienny negliż. Przyniosła go Violet.

- Książę pan mówił, że Wasza Książęca Mość jest zmęczona po podróży i mam jej nie budzić.

- Jak to troskliwie z jego strony - mruknęła Violet.

Posłusznie wstała z łóżka i włożyła porannik. Był wspaniały - uszyty z kremowej satyny, bogato haftowany w lilie, tulipany i irysy w wesołych barwach.

Zauważyła, że Adrian okazał swą troskę również w innej kwestii - jej nocna koszula i peniuar wisały starannie przewieszane przez jedno z krzesel. Kieliszki po koniaku i karty zniknęły. Na usta Violet wypłynął nieśmiały, tajemniczy uśmiech, gdy znów przypomniała sobie minioną noc.

- Jego Książęca Mość to uroczy człowiek - powiedziała niepytana Agnes. - Jeśli wolno mi wyrazić własne zdanie. Wszyscy słudzy nie mogą się nachwalić jego dobroci i hojności.

- To prawda. Jestem bardzo szczęśliwą kobietą. - Agnes nie miała pojęcia, jak bardzo szczęśliwą, pomyślała Violet; wszak niewiele brakowało, a nie byłoby jej tu dzisiaj. Jej miejsce zajmowałyby Jeannette.

Agnes właśnie skończyła upinać jej włosy, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Pewnie wanna - powiedziała dziewczyna.

Violet poczekała przy oknie, gdy dwóch służących, Robert i Harry, wносиło dużą, cynową wannę. Mężczyźni odstawili ciężar i wyszli, by po chwili wrócić z czterema wielkimi parującymi wiadrami. Przelali wodę do wanny i odwrócili się, by wyjść.

- Ach, Robercie! - zawołała Violet. - Powiedz, z łaski swojej, jak się dziś miewa mój pies?

Robert zwrócił się ku niej i opuścił oczy przez wzgląd na jej niekompletny strój.

- O, miewa się świetnie, poza tym, że zdałoby mu się przybrać parę kilo. Wyspał się w stajni jak złoto, Wasza Książęca Mość. Zeżarł rano porządne śniadanie i wylizał miskę do czysta.

- Doskonale. - Uśmiechnęła się. - Przyrowadź go, proszę, kiedy się już ubiorę i zjem śniadanie. Wyjdę do was na dwór.

- Oczywiście, Wasza Książęca Mość. Zaraz go wyszykuję. Na pewno się ucieszy na widok Waszej Książęcej Mości.

- A widziałeś dziś może księcia pana?

- Tak, Wasza Książęca Mość. Z rana obchodził posiadłość z panem Grimmem. A potem, zdaje się, wziął Merkurego na przejażdżkę.

- No dobrze, dziękuję wam obu. - Skinęła głową także drugiemu słudze. - Na razie to wszystko.

Mężczyźni ukłonili się z szacunkiem i wyszli, zamykając za sobą drzwi.

- Ten Robert jest okropnie dziwny, że zajmuje się takim wielkim bydłakiem. - Agnes zdała sobie sprawę, co powiedziała, i z przestachu otworzyła szeroko oczy. - Och, błagam o wybaczenie, Wasza Książęca Mość.

- Czyżbyś bała się Horacego? - zapytała zdumiona Violet. - Niepotrzebnie. Dość duży, przyznaję, ale pod swą powierzchownością jest naprawdę słodki i ma dobre, wierne serce. - Z twarzy pokojówki wyczytała, że dziewczyna wcale nie jest o tym przekonana. - Mówiąc szczerze - zażartowała Violet, podchodząc do wanny - pod tym względem przypomina mi księcia pana.

- Księcia pana? - Agnes zachichotała. - Co też pani mówi, Wasza Książęca Mość?

- Cóż, obydwaj są roslými, wywołującymi strach stworzeniami, gdy im ktoś zagrozi. A w głębi duszy kochanymi i słodkimi. Sama powiedziałaś, że książę pan to uroczy człowiek. O czystym, dobrym sercu ze szczerego złota.

O czystym, dobrym sercu, które zwodziła.

Violet odepchnęła od siebie wyrzuty sumienia, które ją ogarnęły, zsunęła porannik i weszła do ciepłej wody. Oparłszy głowę o bok wanny, pozwoliła wodzie obmywać się kojącą fałą.

- Zatrószysz się o moje śniadanie, z łaski swojej - zwróciła się do Agnes. - Zupełnie nie wiem czemu, ale jestem dziś głodna jak wilczyca.

8

Popołudniowe słońce słało ku ziemi promienie tak jasne, że Violet musiała osłonić oczy ręką, gdy półtorej godziny później wyszła z domu. Jej pantofle chrzęściły głośno na podjeździe z tłuczonych muszli; spokojna bryza biegnąca od pobliskiego nabrzeża łagodziła upał gorącego dnia. W powietrzu, ciepłym i aromatycznym, wisiał zapach morza pomieszany ze słodkim, nieczym perfumy aromatem róż.

Violet zamknęła oczy i wciągnęła zapach w płuca, rozkoszując się wiatrem, który brał ją w swe łagodne ramiona i ciągnął psotnymi palcami za włosy i długie spódnice.

Po chwili inna para ramion, tym razem prawdziwych, otoczyła ją od tyłu. Przycisnęły jej plecy do wysokiego, silnego, męskiego ciała. Ciała, które rozpoznała natychmiast, gdyż wtulała się w nie przez całą ubiegłą noc.

- Adrian - westchnęła z uśmiechem.

Pochylił głowę, musnął ustami jej szyję i spód brody.

- Dzień dobry, moja słodka. A właściwie już prawie dobry wieczór.

Położyła dłonie na jego dłoniach.

- Nawet jeśli, to wyłącznie twoja wina. To ty powiedziałeś Agnes, by pozwoliła mi spać.

Przechylił jej głowę, musnął pocałunkami policzek i wargi.

- Pomyślałem, że sen słusznie ci się należy, skoro tak cię wyęczyłem. Spałaś jak dziecko, kiedy wychodziłem.

Obróciła się w jego ramionach.

- Nie powinieneś być wychodzić. Tęskniłam za tobą, kiedy się zbudziłam.

Żar błysnął w jego oczach, głos zabrzmiał głęboko, zmysłowo.

- Obawiałem się, że jeśli zostanę, w ogóle nie wyjdziemy z łóżka. Uznałem, że lepiej nie gorszyć służby.

Violet pogładziła jego pierś, zerkając na niego spod rzęs. Po chwili, ku własnemu zaskoczeniu, powiedziała:

- Myślę, że odrobina zgorszenia by im nie zaszkodziła.

Adrian roześmiał się, błyskając białymi zębami.

- Jeździłeś - zauważyła, chcąc skierować myśli na inny tor. - Pachniesz koniem.

Odsunął się kilkanaście centymetrów, odrobinę sztywniejac.

- Proszę o wybaczenie. Właśnie szedłem do domu, kiedy cię zobaczyłem. Mam iść się przebrać?

Wiedziała, że Jeannette na to by nalegała. Najprawdopodobniej też poszłaby do domu i również się przebrała, skoro się obejmowali. Violet zapewne powinna była zareagować jak jej siostra, ale mierzyła ją już sama myśl, że mogłaby spowodować jakikolwiek dysonans między nimi, szczególnie z tak błahaego powodu. Przecież on z pewnością nie zauważy różnicy.

Ponownie przyciągnęła go do siebie.

- Nie. Podobasz mi się taki, jaki jesteś, Wasza Książęca Mość. Możesz się przebrać lub nie, wedle własnego uznania.

Popatrzył na nią oczyma rozświetlonymi zadowoleniem, po czym schylił się iłożył na jej ustach czuły pocałunek. Przerwał na chwilę i wrócił po więcej, jakby nie był w stanie sobie odmówić. Pocałunek nabrał żaru, pogłębił się, ciała wkrótce przejęły kontrolę nad umysłami.

Ale zanim sytuacja zdążyła wymknąć się spod kontroli, ich czułości przerwało głośne, żywiołowe szczekanie. Odsunęli się od siebie z zalem i ociąganiem, gdy wielka smuga czerni i bieli ruszyła jak wiatr w ich kierunku.

Horacy całym pędem gnał do Violet, łomocząc łapami o podjazd. Zwolnił na kilka sekund, zanim jej dopadł, zbierając się do

skoku, z wielkim mokrym jęzorem wywieszonym z pyska, gotów obsypać jej twarz psimi całusami.

- Horacy, do nogi - rzucił Adrian władczy tonem.

Horacy zatrzymał się; ledwie raz zdążył liźnąć policzek Violet, po czym zaskomlał i przysiadł na tylnych łapach.

W następnej chwili Robert wypadł zza węgła, pędząc na złamanie karku, i zahamował, ślizgając się po trawie, bez tchu, na widok całej grupki.

- Och, proszę wybaczyć, Wasze Książęce Mości - wysapał, gnąc się w pasie, by złapać oddech. - Strasznie mi przykro. Wy-rwał się... smycz mi się wyślizgnęła.

Pozbawiony przyjemności dokładnego wylizania twarzy Violet, Horacy dwukrotnie przeciągnął mokrym jęzorem po jej dłoni. Widziała, jak zerknął ukradkiem na Adriana, by sprawdzić, czy jego nieposłuszeństwo zostało zauważone.

Zostało.

Gdy Violet pogłaskała jego kudłatą głowę, ogon zaczął kiwać się na boki jak wskazówka metronomu.

- Nic nie szkodzi, Robercie - powiedziała. - On po prostu tryska szczenięcą radością. - Robert i książę wymienili znaczące spojrzenia. - Z pewnością potrzeba mu długiego spaceru, by mógł spożytkować nagromadzoną energię - skonkludowała, pochylając się, by starannie wytarł uszy Horacego. Pies zamknął oczy w ekstazie.

- Tak naprawdę - stwierdził Adrian - to potrzeba mu lekcji dobrego wychowania. To zupełny barbarzyńca.

- Nic podobnego. Nie bądź dla niego taki surowy. On po prostu potrzebuje uwagi i troskliwej opieki. Robercie, poproszę o smycz. - Wyciągnęła rękę.

Służący postąpił o krok i położył skórzany pas na jej dłoni. Bez najmniejszej trudności Violet przypięła smycz do obroży Horacego. Pies usiadł, potulny w jej rękach jak baranek.

- Pójdziemy na spacer? - zagruchała do zwierzaka.

Pies wstał i zamachał szybciej ogonem, kręcąc zadem w wyrazie radosnego oczekiwania.

Violet zwróciła się do Adriana.

- Czy Wasza Księżca Mość zechce nam towarzyszyć?

- Ależ oczywiście - odparł Adrian i wyciągnął rękę, by wziąć ją pod łokieć.

Horacy sprawił im obojgu miłą niespodziankę, zachowując się jak dżentelmen, gdy całą trójką leniwym krokiem ruszyli na spacer. Poszli w stronę oceanu, którego powierzchnia błyszczała w oddali niczym szafir bez skazy.

- Pomyślałem sobie, że może miałabyś ochotę wybrać się jutro na przejażdżkę. - Adrian objął ją ramieniem w talii.

- Jaką przejażdżkę?

- Całodzienną wycieczkę do starych ruin, które są uznawane za swego rodzaju atrakcję w tych stronach. Moglibyśmy urządzić sobie piknik, zakładając, że pogoda się utrzyma. Widoki z zamku Corfe są naprawdę wspaniałe o tej porze roku.

- Zamek Corfe? - rzuciła entuzjastycznie bez zastanowienia. - Masz na myśli ten, który król Jan uważał za swoją ulubioną rezydencję i który wiele wieków później został niemal zrównany z ziemią przez wojska parlamentu podczas wojny domowej? Ten zamek Corfe?

Adrian zatrzymał się, zaskoczony, i uniósł brwi.

- W istocie, ten sam. Ale skądże, u licha, wiesz tak dużo o tym miejscu?

Tak, pomyślała Violet, skąd wiem tak dużo? Ostro skarciła się w duchu. Och, ty głupia! Było wiadomo, że Jeannette szczególnie interesowała się historią i ani odrobinę nie obchodziło jej jakieś stare zamczysko, które uległo zniszczeniu przeszło dwieście lat temu. Wątpiła, czy jej siostra miała w ogóle pojęcie, że w Anglii toczyła się wojna domowa, nie mówiąc już o oblężeniach czy bitwach z nią związanych. W przeciwieństwie do Violet, Jeannette nigdy nie była pilną uczennicą. O ile Violet było wiadomo, jej siostra nawet nie zajrzała do książki przez trzy lata od zakończenia lekcji u byłej guwernantki, panny Ha-verhaven.

Więc skąd ona - Jeannette - wiedziała o zamku? Do licha z moim niewyparzonym językiem.

- Cóż - zaczęła z lekceważącym gestem - możesz być pewien, że zdobyłam tę wiedzę absolutnie nie z własnej woli. Otóż Mortimer Landsdowne... wiesz, jakim strasznym potrafi być nudziarzem... dosłownie wbił mi tę informację do głowy podczas przyjęcia weselnego. Osaczył mnie, by złożyć życzenia, a kiedy się dowiedział, że wybieramy się do Dorset w podróż poślubną, zaczął mówić i mówić o tym miejscu, i kompletnie nie mogłam go powstrzymać. Opowiadał, jakie wstrząsające wrażenie wywierają ruiny i że koniecznie musimy je zwiedzić, kiedy tu będziemy. Pod koniec rozmowy toja miałam ochotę zrównać z ziemią jego. Boże drogi.

Boże drogi, w rzeczy samej. Zmuszała się, by nie spanikować, i modliła się, by Adrian wziął jej bajeczkę za dobrą monetę. Zerknęła na niego spod rzęs. Minęło całe pół minuty ciszy. Długo, powolne, przerażające pół minuty, które zdawało się ciągnąć w nieskończoność.

W końcu Adrian wziął głęboki oddech.

- Niezmiernie mi przykro z powodu twoich katuszy, moja droga. - Powoli ruszył dalej. - Mam nadzieję, że nie zniechęcił cię zupełnie do tego miejsca. Zawsze możemy pojechać gdzie indziej, jeśli chcesz.

- Och, nie. Jestem pewna, że jeśli ty uważasz ten zamek za wart wycieczki, to musi tak być. Zwłaszcza jeśli pejzaże są przyjemne. A piknik to rozkoszny pomysł. Może pani Grimm da się przekonać i dołoży do prowiantu kilka tych przepysznych ciasteczek, które przysłała wczoraj z herbatą po naszym przyjeździe.

- Jestem pewien, że uda się ją namówić, by spakowała nam kilka, skoro stały się już twoim przysmakiem. A co powiesz na pieczone kurczę na dodatek?

- Smakowity pomysł.

Zatrzymał się znów i przygarnął ją do siebie.

- A co powiesz na całusa, póki przez chwilę mamy wiatr w plecy? Czy i to ci sprawi przyjemność?

Violet otoczyła jego talię ramieniem, przytuliła się mocniej.

- Całus też brzmi smakowicie.

Jego usta już były na jej ustach, pieszcząc wargi powolnym, żarliwym pocałunkiem, który szybko rozbudził w nich namiętność. Violet poddała się wszechmogącej rozkoszy, pozwalając, by świat wokół nich rozplynął się w nicość.

Ich miesiąc, a raczej tydzień miodowy, przemknął jak na skrzydłach kolibra - kilka krótkich dni, magicznych i pełnych wrażeń. Każdy z nich był przygodą. Każda noc morzem rozkoszy.

Wycieczka do zamku Corfe udała się wspaniale. Violet spacerowała po okolicy z Adrianem u boku, chłonąc historię i atmosferę, choć nie miała zamiaru ujawniać prawdziwych przyczyn swojego zachwytu. Zjedli lunch na trawiastym pagórku w cieniu niewielkiego dębu, owiewani łagodnym wietrzykiem, który schładzał powietrze do przyjemnej temperatury. Posilili się kruchym pieczonym kurczakiem, soczystymi kawałkami owoców, słodyczami i wspaniałymi herbatnikami pani Grimm.

Pojedzeniu Adrian wyciągnął swoje długie ciało na piknikowym kocu, położył głowę na podołku Violet i usnął. A ona siedziała, szczęśliwa, patrząc na niego, gdy śnił. Od czasu do czasu głaskała kilka kosmyków jego gęstych czarnych włosów. Muskała ich koniuszki, które podwijały się lekko w ciepłym i wilgotnym nadmorskim powietrzu. Przebudził się powoli, jego oczy spojrzwały na nią nieprzytomnie, sennie. Jej serce uderzyło mocniej w odpowiedzi, pochyliła się nad nim. Zniewolił jej wargi płomiennym pocałunkiem, od którego z pewnością zamek zająłby się ogniem, gdyby już dawno temu nie popadł w ruinę.

Następne dni były cudowne, wypełnione długimi spacerami i spokojnymi rozmowami. Horacy często im towarzyszył. Jego manieri i zdrowie poprawiały się z dnia na dzień, w miarę jak

przybierał na wadze i robił się coraz bardziej ufny. Violet wciąż była jego ulubienicą, ale Adriana też kochał; długi, cienki psi ogon śmigał w radosnym pozdrowieniu, ilekroć księżę był w pobliżu.

Violet i Adrian urządzili sobie jeszcze dwie całodzienne wycieczki. Jedną, by obejrzeć malownicze, pełne skamieniałości pokłady łupków, tworzące ciemne klify zatoki Kimmeridge. Drugą do małej wioski Lullworth, by zerknąć na kolejny zamek i przepiękną zatoczkę Lullworth z jej dziwnymi formami skalnymi i imponującym kamiennym łukiem.

Jeannette bez wątpienia przeziwałaaby każdą minutę tych prowincjonalnych wypraw krajoznawczych. Ale Violet była nimi zachwycona i dziękowała Bogu, że Adrian nie poznał siostry na tyle dobrze, by zdawać sobie sprawę, co naprawdę sądziłaby o okolicy. Mimo to wciąż miała się na bacności przy nim i przy służbie.

Noc była jedynym czasem, kiedy naprawdę mogła bez ryzyka być do końca sobą. Upajała się ciemnymi, cichymi godzinami, gdy Adrian przychodził do niej, do łóża, pozwalając jej wyrazić całą miłość i namiętność, kipiące w jej wnętrzu. Kiedy się kochali, on jednoczył się z nią, Violet. Każdy dotyk był jej dotykiem. Każdy pocałunek — jej pocałunkiem. Każde odczucie - rzeczywiste i szczere. Każdy krzyk rozkoszy i zachwytu wyrwał się z jej ciała, z jej duszy.

Jedynym ciemnym punktem tych idealnych zjednoczeń były chwile, kiedy on wykrzykiwał imię jej siostry, pozostawiając ołowiany ciężar w piersi Violet, ból w sercu, którego nie potrafiła rozproszyć. Dokonała wyboru. Podszyła się pod siostrę. Teraz musiała żyć z konsekwencjami, czy to radosnymi, czy bolesnymi.

Chciała mu powiedzieć, Czasami musiała gryźć się w język, by prawda nie wypłynęła z jej ust. Zaledwie przez parę dni poznała go tak dobrze, że aż ją to zdumiewało. Rozumiała go, przynajmniej po części. Wiedziała, że poczułby się potwornie zraniony, zagniewany i zdradzony, gdyby wyznała mu prawdę. Teraz, w nocy, spał zwrócony ku niej, we śnie trzymał ją w objęciach.

Nie zniosłaby chyba, gdyby któregoś dnia odwrócił się do niej plecami. Gdyby ją odrzucił, opuścił.

Milczała więc nadal, czując, że musi zachować swoje kłamstwa w tajemnicy. I próbowała zaznać jak najwięcej szczęścia, ile tylko mogła.

- Zdejmij buty.

Adrian zsunął swoje botforty i pończochy. Jego bose stopy zatoneły w ciepłym, miękkim piasku. Ubrany był swobodnie - w białą lnianą koszulę, prostą kamizelkę i parę starych czarnych spodni, które podwinął do kolan.

Jego żona założyła ręce na piersi; jej śliczną, różową spódnicę wydymał ciepły popołudniowy wiatr.

- Nie, dziękuję bardzo. Tak mi zupełnie dobrze.

- Tylko je zniszczysz. Nim przejdiesz kilka metrów, całe będą oblepione piaskiem. Zdejmuj buty, Wasza Książęca Mość.

Dumnie uniosła brew.

- Toteż właśnie. Jestem księżną i nie będę publicznie paradować boso.

- A otóż i błąd w twojej argumentacji. Tu nie ma żadnej publiczności, jesteście zupełnie sami. Jako książę i twój mąż ogłaszam bosonogość całkowicie dozwolonym stanem, odpowiednim podczas dzisiejszej przygody.

- Bosonogość, też coś - odparła przekornie, kręcąc głową. Po chwili jednak usłuchała; zdjęła buty, a pończochy zwinęła w dwie schludne kulki i upchnęła w porzuconym obuwiu.

Adrian wyciągnął do niej rękę.

Podążyła mu dłonią i pozwoliła się poprowadzić.

Dzień był słoneczny i ciepły - najcieplejszy w całym tygodniu. Nastroszony, brązowo-biały brodziec uciekał przed nadciągającą falą, przebierając szybko długimi, cienkimi jak wykałaczki nóżkami. Ptak zawrócił, by gonić cofającą się wodę. Zatrzymał się, szybko wetknął wąski dziób w mokry piasek w poszukiwaniu soczystego ślimaka lub małego skorupiaka. Adrian uśmiechnął

się, widząc, jak ptaszek znów ucieka przed goniącą go falą; ich dziwny taniec zaczął się od nowa.

Odwrócił głowę, by spojrzeć na Jeannette, zadowoloną, idącą w milczeniu u jego boku, mimo wcześniejszych protestów przeciwko spacerowi brzegiem morza. To dziwne, dumął. Nie zliczyłby, ile razy w ciągu kilku ostatnich dni przyłapał ją, jak patrzyła na morze, z jawną przyjemnością przyglądając się spienionym falom i pięknej, krętej linii wybrzeża.

Mimo oczywistego zachwyty nie przejawiała chęci zwiedzenia plaży. Będzie jej gorąco, mówiła. Ubrudzi się. Zniszczy sobie strój. A jednak Adrian wyczuwał, że te wymówki nie są do końca szczere. Że tak naprawdę bardzo pragnie ucieszyć swoje zmysły, wyrwać się z ograniczeń, które sobie postawiła, i zwyczajnie badać świat.

Z początku obawiał się, że będzie potwornie znudzona z dala od socjety i jej nieustannych rozrywek. Przeżył kilka nieprzyjemnych chwil zwątpienia w słuszność własnej decyzji, by zakopać się na wsi, gdzie nie było nic do roboty z wyjątkiem zwiedzania okolicy. Ale Jeannette wcale nie wyglądała na znudzoną. Wręcz przeciwnie. Świetnie się bawiła - był tego pewien, nie udawała radości. W każdym razie on z pewnością nie udawał. Nie potrafił sobie przypomnieć piękniejszego tygodnia i żałował, że ich czas tutaj niemal dobiegł końca.

Wciąż go zaskakiwała. Jej nastroje były zmienne, trudne do przewidzenia, od łagodności do wyniosłości, od psotnej radości po drażliwość. Nigdy nie wiedział, czego się po niej spodziewać. Dziwne, ale czasami odnosił wrażenie, że ma do czynienia z dwiema kobietami. Towarzyska królowa balu, do której zalecał się w Londynie; kobieta, która uwielbiała przyjęcia i ludzi, i o wiele za bardzo przejmowała się swoją aparycją. I nieśmiało niewiniątko. Dziewczyna, która naraziła się na niebezpieczeństwo, by ratować bezdomnego psa. Którą w zupełności zadowalało trzymanie za rękę i spokojne wieczory spędzane na leniwych rozmowach. Która całowała go z tak słodkim, żarliwym oddaniem, że serce chciało wyskoczyć mu z piersi z czystej radości.

Którą kobietą będzie dzisiaj?

- Chodźmy pobrodzić - ponaglił ją. Chwyciwszy ją za rękę, pociągnął za sobą i wprowadził w toczące się ku brzegowi fale.

- Och, moja suknia. Zobacz, co zrobiłeś. Jest zupełnie zniszczona, ty paskudny. - Dół jej sukni z różowego muślinu zawirował w cofającej się fali; gdy woda opadła, na rąbku pozostał szeroki pas mokrego piasku.

- Nie przejmuj się. Kupię ci drugą. Uważaj, nadciąga kolejna fala.

Morze dopadło ich z głośnym szumem, zalewając oboje po kolana.

Wyrwała się, wyszła na suchy brzeg. Jej spódnica była mokra i ciężka, lgnęła do kostek. Jeannette pochyliła się i wycisnęła z niej tyle wody, ile zdołała.

- I co ja mam teraz zrobić? - zapytała gniewnie, rozpaczliwym gestem wskazując spódnicę i swoje kłopotliwe położenie.

- Zdejmij.

- Ze co proszę?

- Zdejmij suknię. Zostań w halce i podwiń jej dół między nogami, żebyś mogła pobawić się w falach.

Jej policzki zapłonęły czerwienią.

- Adrianie, nie mogę tego zrobić.

Schylił się, by podnieść muszlę i odrzucił ją z powrotem, gdy stwierdził, że połowa jest odłamana.

- Oczywiście, że możesz. Nikt cię tu nie zobaczy.

- A służba? Albo miejscowi wieśniacy? Albo żeglarze na statku? - Wskazała otwarte morze. - Nie wiadomo, kto się może natoczyć.

- Służba nie będzie nas tu szukać. Najbliższa wioska jest cztery kilometry stąd i żadni miejscowi nie zapuszczają się w tym kierunku. A co do żeglarzy... - Uniósł rękę, by osłonić oczy i rozejrzał się po dalekim horyzoncie. - Nie widać ani jednego statku. Dopóki nie zechce tędy przepłynąć fregata z kapitanem za-

opatrzonym w bardzo mocną lunetę, sędzę, że twoja skromność nie zostanie zdeptana.

- A czy fregaty często zapuszczają się na te wody?

- Niezbyt, od kiedy skończyła się wojna. Odwróć się, pomogę ci z guzikami.

Minęła długa chwila, nim się poddała.

- Zamieniam się przy tobie w istną wszetecznicę - burczała, prezentując mu plecy.

- I dobrze - mruknął, pochylając się, by pocałować ją w szyję. - Dopóki jesteś moją wszetecznicą i niczyją inną.

- Nie ma nikogo innego. Nikogo prócz ciebie.

Ich oczy spotkały się na długą, wymowną chwilę. Serce mocno zabiło mu w piersi, w gardle zaczęło coś dławić, jakby źle przełknął.

Moja, pomyślał. Jest cała moja.

I zniszczyłby każdego mężczyznę, który spróbowałby mu ją odebrać. Ten gwałtowny przypływ zaborczości zaskoczył go, zaniepokoił; było to uczucie całkowicie obce jego naturze. Kiedyś myślał, że to wszystko nie jest ważne - czystość, wierność. Ale teraz, zaledwie po tygodniu małżeństwa, przekonał się, że jednak jest.

Było tak ważne, że aż go to zdumiewało.

Czyżby się zakochawał? Ta myśl nim wstrząsnęła.

Nie, skarcił się w duchu, zmuszając swe nagle rozdygotane palce do manipulowania przy jej guzikach. Tego rodzaju uczucie było niemożliwe. Pragnął jej. Co do tego nie miał wątpliwości. Brał ją co noc i przez większość ranków, od kiedy przyjechali. Budził ją w aksamitnej ciemności tuż przed świtem. Uwielbiał słuchać jej słodkich westchnień, gdy blade światło wsączało się zza zasłon sypialni, gdy ptaki na drzewach świergotliwym chórem witały nowy dzień.

Oczywiście, że jej pragnął. Przecież to był ich miodowy tydzień. Ale mimo wszystko czuł się zaniepokojony. Intensywność odczuć. Porażająca moc pożądania. Ale to wszystko minie, tego był pewien. Namiętność to efemeryczne uczucie i z czasem

osłabnie. Gdybyż tylko nie pragnął jej tak bardzo. Gdybyż tylko nie pragnął jej w tej chwili.

Jakby chcąc udowodnić sobie, że zdoła się jej oprzeć, ściągnął koszulę przez głowę i wystawił pierś na słońce.

- Nagle zachciało mi się pływać. Chodź.

- Nie mówiłeś nic o pływaniu - pisnęła.

- Więc mówię teraz. Chodź, moja droga. Będzie przyjemnie. - Pędem wbiegł w fale.

Po chwili poszła za nim.

Adrian był o wiele sprawniejszym pływakiem, posuwał się łatwiej i szybciej, odpływając daleko od brzegu, gdzie fale stawały się tylko łagodnym kołysaniem wody. Ona trzymała się bliżej, unosząc się na plecach.

Dekadentka. Właśnie tak się czuła, pieszczona ciepłymi pocałunkami słońca na twarzy i ramionach, z długimi włosami unoszącymi się za nią niczym wiotka peleryna. Czuła się też bezwstydną, przyodziana wyłącznie w bieliznę, na otwartej przestrzeni, gdzie każdy mógł ją zobaczyć, mimo zapewnień Adriana, że tak się nie stanie. Ale nagle zdała sobie sprawę, że jest tak szczęśliwa, jak nigdy dotąd. Uśmiechnęła się, zadowolona, że Adrian zwabił ją tutaj, gdzie tak bardzo pragnęła być.

Coś delikatnie szarpnęło ją za włosy. Otworzyła oczy i ujrzała Adriana, unoszącego się tuż obok niej. Jego usta się poruszały, ale nie słyszała, co mówił.

- Co takiego? - Wynurzyła głowę z wody.

- Mówię, że wyglądałaś, jakbyś spała.

- Nie, rozmarzyłam się tylko. Miło ci się pływało?

Skinął głową.

- Bardzo. Wrócimy bliżej brzegu?

Leniwie popłynęła obok niego w stronę lądu. Zgodnie, w milczeniu, zatrzymali się w tym samym miejscu, gdzie ich stopy swobodnie dosięgły dna. Zwróciła się przodem do niego, patrząc, jak słone krople kapią z jego włosów. Adrian przyglądał jej do tyłu muskularnymi ramionami.

Wzrok dziewczyny przesunął się na nieregularną bliznę wysoko na jego piersi. Jej powierzchnia była biała jak kość i miała kształt gwiazdy wielkości gwiney. Violet wiedziała, że druga blizna - równie biała i poszarpana - znajdowała się na jego plecach.

Już wcześniej zauważyła te blizny. Trudno było ich nie dostrzec. Ale nigdy o nie nie spytała. Dotykała ich rzadko, nie dlatego, że były dla niej odrażające, ale dlatego, że i ranę, i związaną z nią historię uważała za jego prywatną, intymną sprawę.

Wyciągnęła rękę, przeciągnęła palcami po małej pamiątce zranionego ciała; skóra była tutaj nienaturalnie gładka i napięta.

- Musiałeś bardzo cierpieć - powiedziała cicho.

Adrian stał potulnie, poddając się jej dotykowi.

- To żadna przyjemność, gdy ktoś wbije człowiekowi bagnet w plecy.

Jej palce znieruchomiały.

- Myślałam, że to była kula.

- Czy właśnie taka historyjka krążyła ostatnio po salonach? - Violet skinęła głową. - Rana od kuli zapewne wydaje się mniej wulgarna - ciągnął. - Bardziej odpowiednia dla uszu pań. Może nie powinienem był rozwiewać twoich iluzji.

- Nie — odparła z przejęciem. — Chcę znać prawdę.

Chwycił rękę Violet, gdy jej palce podjęły na nowo swoje badanie, przycisnął dłoń dziewczyny do swojej piersi.

- Nie wiem, ile z tej prawdy powinienem ci powiedzieć. - Mroczny cień zagościł w jego oczach. - Wojna to ohydna, tragiczna sprawa, nie nadaje się do omawiania w dobrze wychowanym towarzystwie.

Uniosła drugą dłoń do jego policzka.

- Ja nie jestem dobrze wychowane towarzystwo. Ja jestem twoją żoną. Możesz mi powiedzieć o wszystkim.

Cień zniknął, a na usta Adriana wypłynął ciepły uśmiech.

- Dziękuję, moja droga. Będę o tym pamiętał.

- Nie zamierzasz mi opowiedzieć.

- O czym? O mojej ranie? Niewiele jest do opowiadania, i prawdopodobnie znasz już większą część tej historii. Zostałem przeszyty francuskim bagnetem podczas najgorętszego etapu oblężenia Bajadoz. Moja rana była na tyle poważna, jak mi potem powiedziano, że lekarze spisali mnie na straty. Ale dzięki łasce Wszechmogącego jakoś się wylizałem. Gdy wróciłem do zdrowia, matka poinformowała mnie listownie, że jeśli natychmiast nie złożę patentu oficerskiego i nie wrócę do domu, gdzie moje miejsce, to ona wsiądzie na pierwszy dostępny statek i osobiście mnie przywlecze. A jej gróźb wystraszyłby się nawet sam Wellington.

Violet wątpiła, by ktokolwiek zdołał zmusić Adriana do czegoś, czego on nie chciał - nawet jego żywiołowa, nieobliczalna matka. Krążyły opowieści, jak uratował cały szwadron, zarządzając odwrót, a potem utrzymując linię frontu z paroma wybranymi, dopóki reszta nie dotarła w bezpieczne miejsce. Został ranny przez swój heroizm i odznaczony za odwagę.

Oplotła rękami jego talię.

- Cóż, w tym wypadku muszę się zgodzić z twoją matką. Miałeś szczęście, że ocalałeś. Kuszenie losu po raz drugi byłoby nierozsądne.

Palcem uniósł jej podbródek.

- Chcesz więc powiedzieć, że byłoby ci smutno, gdybym zginął?

- Gdybyś zginął, nigdy bym cię nie poznała, a wtedy rzeczywiście byłoby mi bardzo smutno.

Nagły przypływ uczucia rozszerzył jego źrenice.

- Mnie też. Byłoby tragedią nigdy nie ujrzeć buzi tak zniewalającej jak twoja. Tych cudownych różanych liczek... — Pochylił się ku niej, ucałował jej prawy policzek, potem lewy. - I tej boskiej bródki... - Jego wargi przylgnęły do jej podbródka. - Tej ponętnej szyi...

Violet poczuła mrowienie na skórze, gdy obsypał jej szyję deszczem powolnych, zmysłowych muśnięć.

- Tego uroczego czoła...

Zamknęła oczy i westchnęła, gdy poczuła jego usta na twarzy.

- Tych przepięknych powiek...

Zadrzała, gdy lekkie jak skrzydła motyla pocałunki dotknęły jej drżących powiek.

- I oczywiście twoich ust, najśliczniejszych, jakie w życiu widziałem.

Leniwie, niespiesznie nakrył wargami jej usta, jakby smakował rzadki delikates. Nie było żadnego pośpiechu -jedynie obopólna przyjemność, obopólny zachwyt.

Violet oparła się śmieiej o jego twarde, rozpalone ciało, oplatając je ciasno ramionami. Mokra ubrania oblepiały ich sylwetki jak druga skóra, morską wodą obmywała rytmicznie ich biodra, wszystko inne wyfrunęło z pamięci, gdy coraz głębiej pograżali się w rozkoszy, którą obdarzali się nawzajem.

Adrian zsunął ręce niżej i chwycił jej pośladki.

Ona zrobiła to samo, czując jego zaskoczenie, ale i uznanie.

Słońce paliło ją w głowę, pożądanie zmuszało jej spragnione ciało do poddania. Mijały długie minuty, a oni przeżywali radosne zjednoczenie warg i języków. W końcu Adrian przerwał pocałunek; jego oczy płonęły. Wziął ją za rękę i wyprowadził z wody.

Nie odezwała się słowem, gdy przecięli pas ciepłego piachu i zatrzymali się obok porzuconych ubrań. Spodziewała się, że Adrian poda jej suknię i pomoże się ubrać, by mogli wrócić do domu, do zacisza sypialni. Ale on przewiesił sobie suknię przez rękę, podniósł koszulę, po czym wziął Violet za rękę i poprowadził ją plażą. Dalej od domu.

Zatrzymali się w pobliżu poszarpanego urwiska o dziwacznym kształcie. Zakrzywiona skalna ściana stercząca z morza zapewniała im osłonę z trzech stron i stanowiła idealne miejsce na potajemne spotkania czy schadzki kochanków.

W tej naturalnej przystani Adrian strzepnął suknię Violet i rozpostarł ją na piasku. To samo zrobił z koszulą, układając ją powyżej sukni.

- Tutaj? - zapytała Violet, rozglądając się wokół siebie i patrząc na szeroki obszar przewalających się fal, na mewy unoszące się wysoko w zmiennych podmuchach wiatru.

- Tylko jeśli chcesz. - Wyciągnął rękę.

Zadrzała, zdumiona własną śmiałością. Wsunęła palce w jego dłoń.

- Chcę.

Pociągnął ją na prowizoryczne posłanie i zaczął kochać pozwoli, z czułością. Otaczały ich zapachy i dźwięki oceanu. Powietrze igrało na jej skórze, drażniąc i zwodząc delikatną erotyczną pieszczotą. Czas zwolnił biegu, opory zniknęły; pozwoliła, by Adrian obnażył jej ciało, by usunął wszelkie bariery. Jej dłonie błądziły po jego skórze jak szalone, naprawdę stawała się zupełnie inną kobietą. Nie swoją siostrą, ale drugą sobą, kobietą wolną od wstydu i ograniczeń, zdolną wyrażać uczucia i swoje potrzeby bez wahania czy wyrzutów sumienia.

A kiedy w nią wszedł, poczuła się dumna, że do niej należy. Marzyła, by mogli tak pozostać na zawsze - tylko oni dwoje, tutaj, w tym miejscu. Razem, szczęśliwi. Wolni od żądań i oczekiwań, wolni od obowiązków, ról. Pomni tylko samych siebie i swojej namiętności. Tutaj mogła być w pełni sobą, nie miała nic do ukrycia, nie musiała kłamać, udawać, świadoma wyłącznie rozszalałej głębi swojej miłości do niego.

Zamknęła oczy i poddała się chwili, nie pozwalając sobie myśleć o kłopotach, które może przynieść przyszłość. A potem nie mogła już w ogóle myśleć, gdy jej własne ciało, domagające się swoich praw, rzuciło ją w nieskończony, nieubłagany wir ekstazy.

Kiedy dotarła do szczytu, wiatr porwał jej krzyk spełnienia. Tylko ptaki były świadkami jej poruszeń, gdy kurczowo oplótła Adriana ramionami i nogami i nie wypuściła go, nawet gdy i on znalazł już spełnienie w jej wnętrzu.

Violet obserwowała przesuwany się krajobraz z okien pociągu, który oddalał się od domu. Żałowała, że nie może założyć

okularów, by móc w pełni podziwiać jego urodę, nim zniknie jej z oczu. Po tygodniu oglądania świata przez lekką mgiełkę przyzwyczała się - przynajmniej po części - do ograniczeń swojego niedoskonałego wzroku. Mimo to czasami odczuwała rozdrażnienie, jak na przykład w tej chwili.

Westchnęła i oparła dłoń w rękawicze na siedzeniu między sobą a Adrianem.

Adrian nakrył jej rękę swoją dłonią i ucisnął, by dodać żonie otuchy.

- Nie bądź smutna, moja droga. Kiedyś tu wrócimy.

- Wiem. - Zmusiła się do uśmiechu. - I nie jestem smutna, nie mogę sobie na to pozwolić. Wszak tyle przede mną. Jedziemy do domu, do Winterlea.

Jego spojrzenie pocieślało na wzmiankę o jego posiadłości.

- Miło będzie tam wrócić. Zawsze tęsknię za domem, kiedy wyjeżdżam na zbyt długo. Mam nadzieję, że z czasem i ty poczujesz to samo. Pokochasz go tak jak ja, skoro jesteś jego panią, jego księżną.

Księżna. Słowo to wzbudziło w niej dreszcz przerażenia. Jakże ona sprosta obowiązkom, które nakładał na nią nowy status? Będzie musiała nadzorować prowadzenie jednego z najwspanialszych domów w całej Anglii. Oczywiście uczono ją zajmowania się gospodarstwem domowym, gdyż tego wymagano od każdej dobrze urodzonej damy. Ale nigdy nawet nie przyszło jej do głowy, że będzie musiała wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności za tak ogromną posiadłość jak Winterlea.

Muszę po prostu odłożyć na bok wszelkie skrupuły i przystosować się, mówiła sobie w duchu. Może, jeśli spojrzę na to jak na dziedzinę wiedzy do zgłębienia, nie okaże się to aż takie straszne. Wszak samodzielne opanowanie greki też nie było łatwe i nie przyszło od razu, ale przyłożyła się do niej i z czasem zyskała biegłość. Z optymistycznym nastawieniem i odrobiną determinacji nauczenie się, jak być hrabiną Winterlea, może wyglądać podobnie.

Kiedy jednak trzy dni później zajechali na miejsce, znużona podróżą i zamknięciem w ciasnym pudle powozu, była równie niegotowa na przyjęcie swoich obowiązków, jak w dniu, kiedy opuszczali Dorset. Niepokój ścisnął jej żołądek, gdy powóz wjechał przez bramę i ruszył długą, prawie dwukilometrową aleją ogromnych dębów, które ocieniały podjazd do posiadłości.

Kiedyś, raz, była już w głównej rezydencji Adriana. Została zaproszona wraz z rodzicami, bratem i Jeannette ostatniej wiosny, gdy odbywały się zaręczyny siostry. Włości były ogromne, obejmowały sześć tysięcy hektarów, w tym park i niemały las, głębokie naturalne jezioro z ponad dwudziestoma różnymi gatunkami ryb, kilka dróg wodnych z brzegami pospianymi mostami i sad, który w tamtym czasie buchał tęczą barw i aromatem setek kwitnących drzew.

Ciąg eleganckich włoskich ogrodów otaczał dom i prowadził do niego; do obejścia było tu tyle pięknych zakamarków, że można było spacerować godzinami. Violet żywo przypominała sobie piękno części w stylu elżbietańskim leżącej obok najstarszego skrzydła domu, zbudowanego w 1580 roku, jeśli dobrze pamiętała. Orlik, strzała kupidyna, naparstnica, wiciokrzew podnosiły swoje słodkie kwiatowe twarze ku słońcu. Kasztanowce i klony wypuszczające nowe liście zapewniały latem cień i schronienie.

Sama rezydencja była olbrzymia, słuszniej byłoby nazwać ją pałacem niż domem. Pysniła się czterema skrzydłami, zbudowanymi w czterech różnych stylach architektonicznych i liczącymi aż sto czterdzieści pięć pokoi, i to bez kwater dla służby mieszczących się na drugim piętrze. Ostatnie i największe prace renowacyjne zostały zlecone przez trzeciego księcia Raeburn jeszcze w 1763 roku. Jego dziełem było wschodnie i zachodnie skrzydło, i centralna fasada domu utrzymana w stylu palladiańskim. Wspaniałe kamienne schody prowadziły do portyku zwieńczonego rzeźbionym tympanonem, podtrzymywanym przez dwie masywne kolumny jońskie.

W środku dom prezentował się równie okazale jak od zewnątrz. Hol wejściowy był niezrównany, z centralną przeszkloną

kopułą, która wpuszczała naturalne światło dzienne rozświetlające różowe marmury i idylliczne malowidło na stropie, przedstawiające włoską sielankową scenę pędzla Roberta Adamsa.

Do urządzenia domu użyto wyłącznie najlepszych sprzętów i tkanin. W każdym pokoju znajdował się przynajmniej jeden, a nierzadko dwa, dobrze utrzymany kominek, zwieńczony rzeźbionymi półkami. Miękkie, ręcznie tkane dywany z Aubusson i Turcji wyścielały podłogi. Antyki i bezcenne dzieła sztuki - obrazy, rzeźby i fryzy - zdobiły każdy korytarz, hol i pokój.

Podczas pierwszego pobytu Violet mogła cieszyć się jedynie fragmentem tej przepięknej ekspozycji sztuki i architektury. A teraz, jako nowa księżna, będzie miała dostatecznie dużo czasu, by w wolnych chwilach dokładnie przyrzeć się tym wszystkim cudom. Gdybyż tylko obowiązki związane z jej nową pozycją nie wprawiały jej w takie przerażenie.

W miarę jak powóz zbliżał się do domu, ona na nowo uświadamiała sobie wspaniałość rezydencji i całej posiadłości. Oczy rozszerzyły jej się na widok czterech rzędów służby, ustawionych przed wejściem.

Odetchnęła głęboko, by się uspokoić i powstrzymać drżenie. Powitanie ze służbą w Dorset poszło całkiem dobrze. I tu nie będzie inaczej, przekonywała sama siebie.

Adrian pomógł jej wysiąść z powozu. Horacy, który jechał z nimi, wyskoczył zaraz za nią i zaczął entuzjastycznie wymachiwać ogonem, gdy tylko jego wielkie łapy dotknęły ziemi. Robert, foryś, podszedł, by wziąć go na smycz.

Księżę ujął Violet pod rękę i poprowadził w stronę służby. Powiodła wzrokiem po szeregach wyczekujących twarzy. Rety, było ich tak wiele. Co najmniej setka. To w niczym nie przypominało Dorset!

March, majordomus, wystąpił naprzód. Imponujący mężczyzna, prosty, jakby kij połknał, o przesywających niebieskich oczach.

- Witamy w domu, Wasza Księżęca Mość. - Wpierw przywitał Adriana, po czym zwrócił się ku niej: - Wasza Księżęca

Mość. - Skłonił się z szacunkiem. Violet odpowiedziała mu skinieniem głowy. - Mam nadzieję, że jaśnie państwo mieli przyjemną podróż - powiedział.

- Tak, dość przyjemną - odparł Adrian. - Widzę, że zebrałeś personel.

- Tak, Wasza Książęca Mość. Pozwoliłem sobie to zrobić. Jeśli wolno, w imieniu wszystkich chciałbym złożyć najserdeczniejsze gratulacje z okazji ślubu. Oby nadchodzące lata były dla Waszych Książęcych Mości szczęśliwe i owocne.

- Dziękuję, March. Dziękuję wam wszystkim. Miło znów być w domu.

Adrian i Violet uśmiechnęli się.

Armia służących odpowiedziała tym samym.

Adrian przedstawił Violet osoby wyższe rangą, w tym także ochmistrzynię, panią Hardwick - wysoką, chudą, przypominającą czaplę kobietę, z kokiem stalowosiwych włosów ściągniętych tak mocno do tyłu, że wydawało się dziwne, iż ich właścicielka jest w stanie mrugać. I Francois, francuskiego szefa kuchni, który za młodu pracował jako asystent kucharza w Wersalu, w służbie króla Ludwika XVI i Marii Antoniny. Jego orzechowe oczy błyszczały, kiedy opowiadał Violet, że przygotował ptysie w kształcie łabędzi, by uczcić przybycie jej i księcia pana.

Na szczęście nie musiała wiele mówić i w końcu jej nerwy zaczęły się uspokajać. Gdy Adrian poprowadził ją do wejścia, czuła się prawie zupełnie rozluźniona.

Nim weszli do domu, majordomus dyskretnie przyciągnął uwagę Adriana.

- Wasza Książęca Mość, za pozwoleniem, jedną chwilkę - powiedział cicho na boku.

Adrian zatrzymał się i zwrócił ku niemu głowę.

- Tak, March? O co chodzi?

- Chciałem poinformować, że księżna wdowa czeka w bawialni. Przyjechała dziś rano ze swojej rezydencji.

Gardło Violet ścisnęło się na tę wieść.

W domu była matka Adriana.

9

Adrian, *ma chou*, nareszcie przyjechałeś. Chodź, ucałuj mnie.

Ze swojego miejsca na sofie obitej złotą morą starsza księżna Raeburn szeroko rozłożyła ramiona. Nie pofatygowała się, by wstać, usadowiona w królewskiej pozie, niczym władczyni witająca poddanych.

- Witaj, *maman*. - Adrian pochylił się, odwzajemnił uścisk i musnął wargami gładkie policzki matki. - Cóż za miła niespodzianka, zastać cię tutaj. - Uśmiech rozjaśnił jego brązowe oczy.

- Jestem pewna, że wcale nie uważasz jej za miłą - odparła z szokującą szczerością. Jej francuski akcent wciąż był wyraźnie słyszalny, choć żyła w Anglii od ponad trzydziestu pięciu lat. - Zwaliłam się wam na głowy zaraz po podróży poślubnej. Musisz mi wybaczyć, ale nie było innego wyjścia. Widzisz? - Skinęła ręką. — Jeannette nawet się do mnie nie odezwała.

Violet ruszyła od drzwi, w których przystanąła. Przełknęła twardą gulę w gardle, przygotowując się do powitania matki Adriana.

Marguerite Le Richeaux Winter była jak galijska burza, pełna mocy i nieprzewidywalna. W okresie narzeczeństwa księżna wdowa i Jeannette traktowały się z uprzedzającą grzecznością, ale daleko im było do przyjaźni. Violet wiedziała, że przynajmniej na początku będzie musiała chodzić wokół teściowej na paluszkach.

- Wasza Książęca Mość jest w błędzie. - Violet podeszła i ujęła dłonie wdowy. - Oczywiście, że się odzywam. Jest pani najmiłym gościem. - Pochyliła się, by ucałować uperfumowany policzek.

- Och, dziękuję, moje dziecko. Jakaż jesteś uprzejma. Musisz do mnie mówić *maman*, skoro jesteśmy teraz matką i córką.

- Oczywiście, *maman* - powtórzyła posłusznie Violet.

Księżna wdowa wypuściła dłonie Violet. Dziewczyna z ulgą zajęła fotel naprzeciw sofy.

- Zadzwoiłam już po podwieczorek - oznajmiła matka Adriana. - Mam nadzieję, że nie pogniewasz się za to, moje dziecko. - Uniosła brew w identycznym grymasie, jaki często pojawiał się na twarzy Adriana.

Violet nie odpowiedziała od razu, nie wiedząc, jak powinna zareagować. Jeannette z pewnością nie mogłaby się doczekać objęcia władzy jako nowa księżna.

- Skądże znowu - odparła w końcu z ostentacyjną łaskawością. - Z rozkoszą zrewanżuję się mamie za tę grzeczność przy następnej wizycie.

Księżna wdowa przyjęła ripostę z lekkim, rozbawionym skrzywieniem wrażliwych ust; był to kolejny rys, który przekazała synowi.

Podobieństwo między matką a synem było uderzające, szczególnie wyraźne w oczach i ustach. Nietrudno było zgadnąć, skąd Adrian wziął swoją mroczną, zniewalającą urodę. Choć już po pięćdziesiątce, księżna wdowa wciąż była niezwykle atrakcyjną kobietą. Zaledwie kilka nitek siwizny błyskało w jej lśniących czarnych włosach. Jej kremowa cera była gładka jak u młodej dziewczyny; tylko w kącikach oczu zaznaczały się najdelikatniejsze kurze łapki i dwie ledwie widoczne zmarszczki zarysowane po obu stronach nosa.

Adrian podszedł do kredensu i nalał sobie kieliszek wina z karafki.

- Jak przebiegła podróż poślubna? - zapytała matka. - Wiadzę, że musiała być udana. Oboje wyglądacie na wypoczętych.

Adrian upił łyk wina.

- Owszem, była dość przyjemna. - Spojrzał na Violet, ogarnął ją długim, wymownym spojrzeniem. - Prawdę mówiąc, nawet bardzo przyjemna.

Przyniesiono podwieczorek. Księżna wdowa nalała herbaty. Adrian i Violet, których w drodze ominął lunch, z radością przy-

jęli po talerzyku kanapek i ciastek, podanych przez matkę. Adrian podziękował jednak za herbatę, pozostając przy winie.

- Jak się miewa rodzina? - Usiadł wygodnie w drugim fotelu. - Wszyscy w dobrym zdrowiu, mam nadzieję, od czasu gdy widzieliśmy ich na ślubie.

Matka osuszyła usta serwetką, ignorując jego rozbawiony, lekko drwiący ton.

- Wszyscy mają się dobrze - zaczęła - choć po przyjęciu drogi kuzyn Filibert na kilka dni musiał się położyć do łóżka ze skręconą kostką. Potknął się o suknię lady Rankin, gdy spacerowali wieczorem po ogrodach. Z tego, co wiem, spadł z kilku schodków.

Zapewne przyczyniły się do tego zbyt duża ilość szampanii i lady Rankin, pomyślał Adrian. Filibert był niepoprawnym, choć przeważnie nieszkodliwym flirciarzem, któremu często zdarzało się źle ocenić sytuację, zwłaszcza gdy zanadto popofolgował sobie z alkoholem. Lady Rankin, atrakcyjna młoda wdowa, musiała widocznie uznać, że słowo „nie” wywiera zbyt słaby skutek, i wyraziła swą odmowę w bardziej bezpośredni sposób.

- Mam nadzieję, że zbytnio nie cierpiał?

Adrian i księżna wdowa zwrócili oczy na Jeannette, słysząc jej niewinne, troskliwe pytanie. Najwyraźniej była zupełnie nieświadoma reputacji kuzyna Filiberta. A to dziwne, pomyślał Adrian. Dykteryjki o Filiberce stanowiły nieustanne źródło uciechy wśród londyńskiej socjety. Ale widocznie nie wśród szacownych młodych dam.

Każdego dnia robiła coś, co zaskakiwało go na nowo, sprawiało mu radość. Z łagodnym uśmiechem zjadł jedną z małych kanapeczek z talerzyka.

- Filibert już wydobrzeł - zapewniła ją księżna wdowa. - Ale Sylvia nie najlepiej się miewa.

Wzmianka o najstarszej siostrze pobudziła uwagę Adriana.

- Co jej dolega?

- Jest przy nadziei, jak wiesz, a na pomoc Herberta absolutnie nie może liczyć.

Sylvia, lady Bramley, była już w szóstym miesiącu ciąży z piątym dzieckiem. Jako że do tej pory urodziła czterech chłopców, ona i jej mąż, Herbert, starali się o córkę, której Sylvia gorąco pragnęła. Synowie, mówiła, to wielka radość, oczywiście, ale nie są zainteresowani sukienkami, przyjęciami i w ogóle kobiecymi sprawami. Według niej każda kobieta miała prawo urodzić dziewczynkę, żeby móc ją rozpieszczać i stroić, i zaprowadzić do ołtarza, kiedy przyjdzie czas. A jeśli nigdy nie stanę się matką panny młodej? - gorączkowała się. Jeśli nigdy nie będę mogła zorganizować ślubu swojej córce?

Wszyscy członkowie rodziny, z obu stron, modlili się gorąco, by następne dziecko okazało się dziewczynką.

- Ach, o to chodzi - burknął Adrian.

- Tak, o to - rzuciła karcąco księżna. - To bardzo okrutne z twojej strony, że stroisz sobie żarty z cierpień siostry. Wiesz przecież, jak przeżywała, że nie będzie na waszym ślubie.

- Nie stroję sobie żartów ze stanu Sylvii i jest mi bardzo przykro, że źle się czuje. Ale można by sądzić, że do tej pory zdążyła już przywyknąć do komplikacji, jakie niesie ze sobą błogosławiony stan.

- Z każdym dzieckiem jest inaczej. Pisze mi, że kostki okropnie jej spuchły. I właśnie to jest powód mojej niespodziewanej wizyty.

- Spuchnięte kostki Sylvii?

- *Non*, nie bądź śmieszny. Postanowiłam zamieszkać u niej aż do rozwiązania i dopilnować, by troszczyła się o zdrowie i miała dobrą opiekę.

- Jestem pewien, że Bramley zatrudnił najlepszego medyka, jakiego mógł ściągnąć.

- *Certainement*. Ale w takich chwilach kobieta potrzebuje drugiej kobiety, córka potrzebuje swojej *maman*. Poza tym narzeka, że chłopcy ogromnie dają się jej we znaki. Pojadę więc pobawić się przez jakiś czas w *grandmere*. Jestem już spakowana. Wyjeżdżam jutro.

- Jutro? Tak szybko? W takim razie musisz zostać na kolacji - oświadczył.

- Tak - zawtórowała cicho Violet. - Koniecznie.

Księżna wdowa uśmiechnęła się, twarz jej pojaśniała.

- *Merci beaucoup*, przyjmuję zaproszenie. - Spojrzała badawczo na synową. - Jesteś dziś wyjątkowo cicha, moje dziecko. Czy coś się stało?

Violet omal nie podskoczyła.

- Ależ skąd... nie, oczywiście, że nie. Jestem... trochę zmęczona podróżą, to wszystko.

- *Naturellement*. A ja, samolubna jędza, trzymam cię tutaj. Naprawdę nie musisz tu siedzieć i mnie zabawiać. - Księżna machnęła ręką, jakby odpędzała muchę. - Idź do swoich pokoi. Połóż się. A ja pozawracam głowę mojemu synowi jeszcze przez chwilę, dobrze?

- Dziękuję, Wasza Książęca Mość. Z ogromną przyjemnością trochę się odświeżę - odparła Violet.

Księżna wdowa pokiwała palcem z dezaprobatą.

- Miałaś nazywać mnie *maman*, pamiętasz?

- Tak, *maman*. - Violet wstała, posłała teściowej uśmiech, a drugi, bardziej osobisty, skierowała do Adriana.

- March przyśle panią Hardwick, by pokazała ci twój apartament. - Adrian wstał i odprowadził ją do drzwi. Musnął palcem jej policzek. - Wypocznij dobrze, moja droga. Zobaczymy się przy kolacji.

- A więc do wieczora, Wasza Książęca Mość - odparła cicho.

Adrian wrócił do pokoju, wybrał ze srebrnej tacy maleńką trójkątną kanapeczkę z ziołowym serem. Wrzucił ją do ust, przeżuł i połknął.

- Więc po co tak naprawdę dziś przyjechałaś, *maman*?

Księżna wdowa położyła rękę na piersi, udając zdumienie.

- Mówiłam ci, *ma mie*, że chciałam cię zobaczyć, nim wyjadę do Herefordshire. Nie będzie mnie przynajmniej do świętego Marcina.

- A ja i Jeannette czujemy się bardzo nieszczęśliwi, że pozbawiasz nas na tak długo swego towarzystwa. Ale nie dlatego przyjechałaś.

- Cóż, jest jeszcze jedna drobna sprawa. Trzeba dopilnować kilku napraw w mojej rezydencji. Drzwi bawialni piszcą jak mysz, ilekroć się je otwiera lub zamyka. A w kwaterze jednej z pokojówek na górze hula przeciąg. Prawdopodobnie dach wymaga naprawy.

- Czy rozmawiałaś o tym z McDougalem? - Edward McDougal był jednym z głównych rządców Adriana, dogląającym Winterlea z włościami, domów dzierżawców, zabudowań gospodarskich i rezydencji księżnej wdowy.

- *Non*, rozmawiam o tym z tobą.

Adrian uśmiechnął się półgębkiem, przyzwyczajony do jej fanaberii. Nie lubiła rozmawiać bezpośrednio z McDougalem. Twierdziła, że nie rozumie połowy z tego, co Szkot mówi.

- Dopilnuję napraw pod twoją nieobecność. - Adrian podszedł z kieliszkiem do kredensu i dołął sobie wina. - Więc powiesz mi wreszcie?

- Cóż takiego?

Posłał jej wymowne spojrzenie.

- Ach, to. - Ściągnęła usta, w końcu ustępując, gdy stało się jasne, że Adrian nie pozwoli się tak zbyć. - Nie chciałam, byś myślał, że się mieszam do waszego życia, ale chciałam zobaczyć, jak sobie radzicie. Martwiłam się. Przed ślubem wyczuwałam napięcie między tobą a twoją narzeczoną. I nie mów mi, że mi się przywidziało,

Adrian wrócił na fotel, przełknął łyk wina i odstawił kieliszek.

- Nie, nie przywidziało ci się, ale wszystko jest w porządku. Wyjazd na wybrzeże doskonale zrobił nam obojgu.

- Wybaczyła ci zmianę planów? - Matka wiedziała o niezbyt entuzjastycznej, oględnie mówiąc, reakcji Jeannette na odwołanie podróży na kontynent.

- Z początku była nadašana, ale przeszło jej, kiedy przyjechaliśmy do Dorset.

- I jesteś szczęśliwy - skonkludowała matka. - Widzę po tym, jak na nią patrzysz.

Czyżbym rzeczywiście patrzył na Jeannette w jakiś szczególny sposób? - pomyślał zaskoczony. Tak, zapewne tak.

- Jestem zadowolony z mojego małżeństwa. - Rzeczywiście był. I to bardziej, niż się kiedykolwiek spodziewał.

- W takim razie mogę ruszać do twojej siostry ze spokojnym sercem - powiedziała księżna wdowa. - Niechętnie wyjeżdżałabym, wiedząc, że zostawiam cię zmartwionego i nieszczęśliwego.

- Jestem dorosłym człowiekiem, *maman*. Doceniam twoją troskę, ale potrafię doskonale sam o siebie zadbać.

- Ba. Może i jesteś dorosłym człowiekiem, ale nie przestałeś być moim synem. To się nigdy nie zmieni, tak jak moja miłość do ciebie, niezależnie od twojego wieku.

- Ja też cię kocham, *maman*.

Posłała mu promienny, szczęśliwy uśmiech.

- A teraz powiedz, co to za wieści mnie dochodzą o George'u Finchleyu? - zagaił Adrian, chcąc sprawić przyjemność matce z jej zamiłowaniem do skandali. - Naprawdę zgodził się poślubić najstarszą z sióstr Grenton?

Księżna nalała sobie kolejną filiżankę herbaty i rozpoczęła opowieść.

Na górze, w swojej sypialni, Violet zbudziła się, zdumiona, że zasnęła tak głęboko.

Agnes, kochana dziewczyna, wpadła chwilę później do pokoju, by ubrać ją do kolacji. Pomogła jej włożyć śliczną suknię z hinduskiego muślinu we wzór z drobnych prymulek, z krótkimi rękawami i łódkowatym dekoltem. Potem pokojówka wyszczotkowała i upięła jej włosy i założyła na szyję sznur kremowych pereł.

Dzięki dobremu wyczuciu kierunku Violet zdołała odnaleźć bawialnię na pierwszym piętrze, po drodze tylko raz skręcając w zły korytarz. Adrian był już w pokoju, w towarzystwie drugiego dżentelmena. Dokonano prezentacji. Pan James Dalton, prywatny sekretarz Adriana, miał, jak się okazało, towarzyszyć im przy kolacji.

Zwykle obcy ludzie ogromnie onieśmialali Violet, ale pan Dalton ze swoim krzywym uśmiechem i rumianymi policzkami był tak miły i greczny, że już po chwili poczuła się zupełnie swobodnie w jego towarzystwie.

Dowiedziała się, że pan Dalton jest wielkim miłośnikiem psów i zdążył się już zaznajomić z Horacym. Piękny okaz psiego wdzięku, stwierdził, czym zjednał sobie Violet całkowicie. Wymieniali właśnie uwagi na temat najłagodniejszych ras, a Adrian przysłuchiwał się rozmowie z rozbawionym uśmieszkiem, gdy do bawialni weszła księżna wdowa.

Violet zrobiła co w jej mocy, by nie zeszywnieć i nie zamilknąć. Za wszelką cenę musiała utrzymać oszustwo w tajemnicy i unikać wszystkiego, co wydałoby się dziwne u jej siostry. Wiedziała, że drugi raz nie udaje jej się wymówić zmęczeniem. Nieoczekiwanie pan Dalton przyszedł jej z pomocą, wciągając matkę Adriana do rozmowy, jakby w ogóle nie opuszczała pokoju. Ku ogromnej uldze Violet długie chwile milczenia, które zdarzały jej się od czasu do czasu, wydawały się pozostawać niezauważone.

Kolację podano w rodzinnej jadalni, niewielkiej jak na książęce standardy, zdolnej pomieścić zaledwie piętnaście, dwadzieścia osób. Z długiego, polerowanego stołu z hikory usunięto stroik zajmujący zwykle cały środek mebla; dzięki czemu czwórka biesiadników mogła prowadzić rozmowę bez konieczności podnoszenia głosu.

Adrian zasiadł przy jednym końcu stołu, Violet przy drugim, na miejscu przeznaczonym dla gospodyni. Granie tej roli było tym bardziej męczące, że cały czas musiała udawać swoją siostrę. Jakimś cudem jednak sprostała zadaniu. Po cichu wydawała pole-

cenia służbie, jedząc i zmuszając się do brania udziału w konwersacji, starając się wypowiadać na wszystkie poruszane tematy.

Poczuła głęboką ulgę, gdy nalano kawy i podano deser. Przepiękne ptysie w kształcie łabędzi, obiecane przez szefa kuchni, żeglowały - każdy na osobnym talerzu - po małych, smakowitych jeziorkach ciemnej czekolady, przy okazji prowokując również ostatni temat rozmowy.

Ułga Violet była jednak krótkotrwała.

Gdy posiłek dobiegł końca, mężczyźni przeprosili panie, gdyż mieli do omówienia pilną kwestię dotyczącą posiadłości. Violet musiała wrócić do bawialni w towarzystwie księżnej wdowy. Nie miała pojęcia, o czym z nią rozmawiać. Och, dłaczegóż Adrian musiał ją opuścić?

Jego matka usadowiła się na jednym końcu wygodnej sofy. Violet zajęła miejsce na drugim, gorączkowo poszukując w głowie odpowiedniego tematu. Może po prostu wspomni o pogodzie. O aurze zawsze da się coś powiedzieć.

- Jutro zapowiada się piękny dzień na podróż - zaczęła.

- Hm - odparła księżna. - Choć o tej porze roku popołudniami często szaleją gwałtowne burze. Może się okazać, że pogoda wcale nie będzie tak łaskawa.

Violet powstrzymała się, by nie wznieść oczu do nieba. Tym sposobem pogodę mamy z głowy, pomyślała. Zaczerpnęła głęboko powietrza i spróbowała jeszcze raz.

- *Maman* rezydowała tu, w Winterlea, przez wiele długich lat...

Księżna zwróciła ku niej subtelną twarz i uniosła brew.

Wielkie nieba, pomyślała gorączkowo Violet. Czyżby właśnie niechcący zasugerowała, że księżna wdowa jest stara? Pospiesznie brnęła dalej.

- Być może *maman* mogłaby mi powiedzieć coś o rodzinach, które zamieszkują w okolicy.

Teściowa przyszpiliła ją długim, badawczym spojrzeniem, ale w końcu jej wzrok złagodniał.

- W okolicy jest kilka świetnych rodzin, choć żadna nie może się równać ani bogactwem, ani statusem z naszą. Winterowie są ważnymi członkami Izby Lordów i właścicielami ziemskimi w tej części Derbyshire niemal od trzystu lat. Od czasu, kiedy król Henryk VIII nadał ziemię pierwszemu hrabiemu Exeford w 1545 roku.

Violet przypominała sobie kilka podstawowych faktów z rodzinnej historii zasłyszanych podczas pierwszej wizyty w Winterlea. O ile dobrze pamiętała, Adrian, prócz tytułu szóstego księcia Raeburn, nosił także tytuł dziesiątego hrabiego Exeford, wicehrabiego Trentworth i Faynehill, lorda Leighton i barona Crofton. A oprócz tego parę mniej ważnych tytułów, których, poza jednym, nie była w stanie sobie przypomnieć. Ten jeden, który pamiętała, brzmiał - markiz Ashton. Ich pierworodny syn stanie się dziewiątym markizem, jeśli oczywiście będą kiedyś mieli potomka.

Radosny dreszcz przebiegł jej po skórze na tę myśl.

- Lord i lady Carter są właścicielami Cresthaven, położonego kilkanaście kilometrów stąd - ciągnęła księżna. - Bardzo dystyngowani ludzie. Miltonowie i Lyle'owie to też porządne rodziny. I oczywiście jest jeszcze wielebny Thompkins z żoną. Mają tutaj beneficjum i rezydują niedaleko wsi. Z pewnością złożą ci wizytę w odpowiednim czasie.

Złożą wizytę? Violet zadrżała niedostrzegalnie. Nie przewidziała, że będzie musiała podejmować sąsiadów. Ale przecież to było oczywiste, tak nakazywała grzeczność. Jakże głupio z jej strony, że o tym nie pomyślała. Wykręciła dłonie, z trudem powstrzymując grymas niezadowolenia.

- Będzie ci się dobrze żyło w tej okolicy, jeśli od czasu do czasu urządzisz przyjęcie czy bal. Ludzie oczekują od bliźnich, by rozwiewali ich nudę. Ale to nie powinno cię martwić, skoro tak bardzo lubisz towarzystwo.

Violet uśmiechnęła się, choć przepyszny posiłek, który tak niedawno zjadła ze smakiem, teraz nieprzyjemnie palił ją w żołądku.

- Spodziewam się, że sporo czasu będziecie spędzać w Londynie. To dobrze, że masz tam już tyle koneksji - stwierdziła matka

Adriana. - Twoja ogłada i swoboda towarzyska będą prawdziwym dobrodziejstwem dla kariery mojego syna, *n'est-ce pas*?

- Co *maman* ma na myśli?

- Do tej pory Adrian dość przelotnie interesował się swoimi obowiązkami w Izbie Lordów. Ale teraz, gdy się ożenił, z pewnością zacznie bardziej aktywnie działać w rządzie. Książęta Raeburn zawsze byli przywódcami. Nawet jego ojciec, i nie powiem więcej ani słowa na ten temat, był bardzo zaangażowany politycznie. Adrian się nie różni od nich. Jest skazany na wielkość, zarówno z urodzenia, jak i z natury. To tylko kwestia czasu.

Violet zapatrzyła się na nią. Czyżby Adrian miał polityczne aspiracje? Nigdy jej o tym nie wspominał. Ale dlaczego miałyby wspominać? Byli małżeństwem zaledwie od tygodnia, a poza tym mężczyźni nie zawsze omawiali takie kwestie z żonami. Po prostu robili to, na co mieli ochotę. A przynajmniej tak zachowywał się jej ojciec. Postępował wedle własnej woli, a matka mogła sobie co najwyżej lamentować i narzekać, jeśli coś nie przypadło jej do gustu.

- Będziesz dla niego prawdziwym skarbem. - Księżna wdowa wyciągnęła rękę i poklepała dłoń Violet. - Wzorowa pani domu może być równie ważna dla mężczyzny, jak jego zdolności i przekonania. Liczę na ciebie, że pomożesz mu osiągnąć sukces.

- Tak, naturalnie - powiedziała Violet z udawaną wesołością. - Nie pragnę niczego innego.

- Kocham mojego syna. Byłabym ogromnie zmartwiona, słysząc, że jest niezadowolony.

Violet wyprostowała plecy, jej podbródek wysunął się do przodu.

- Tak jak i ja. Nie tylko *maman* go kocha.

Spojrzenie teściowej nagle złagodniało. Księżna skinęła głową i zmieniła temat.

Adrian i pan Dalton dołączyli do nich kilka minut później.

Odległy zegar wybił godzinę; dwa melodyjne uderzenia rozległy się echem w aksamitnej nocnej ciszy.

Violet leżała rozbudzona, wpatrując się w ciemność. Adrian spał u jej boku.

Rozmowa z księżną wdową wciąż pobrzmiwała w jej myślach, słowa krążyły w jej głowie, co wkrótce stało się diaboliczną torturą.

„Twoja ogłada i swoboda towarzyska będą prawdziwym dobrodziejstwem dla kariery mojego syna”.

Ogłada i swoboda?

„Książęta Raeburn zawsze byli przywódcami... Jest skazany na wielkość...”

Chyba że ona popełni jakiś poważny błąd, który to wszystko zniszczy.

„Będziesz dla niego prawdziwym skarbem”.

Och, wcale nie będę, jęczała w duchu Violet. Niewiele wiedziała o elicie, a jeszcze mniej o prowadzeniu salonu polityka. Jeśli matka Adriana się nie myliła, jeśli rzeczywiście chciał objąć eksponowane stanowisko rządowe, to ona była ostatnią osobą, od której powinien oczekiwać pomocy. I tak już ledwie sobie radziła, chwytając się wszelkich możliwych żdźbeł, byle przetrwać kolejny dzień. Udawanie własnej siostry przed nową rodziną było wystarczająco trudne. Jak, na Boga, ma olśnić świat i dokonać czegoś, czego zapewne i Jeannette nie byłaby w stanie dokonać? Jeannette znała się na polityce jak kura na pieprzu. Ale z drugiej strony, umiała oczarowywać ludzi. Może nie trzeba było niczego więcej.

Boże drogi, dlaczego zgodziła się na to oszustwo?

Zrukuje Adriana i siebie.

„Byłabym ogromnie zmartwiona, słysząc, że jest niezadowolony”.

Słowa teściowej raniły jak noże. Violet przekreśliła się na bok i zacisnęła powieki. Kochała go tak bardzo. Stanie mu się kula u nogi było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła. Panika przyspieszała jej tętno, serce wystukiwało gorączkowe staccato w piersi.

— Jeannette? - mruknął Adrian, zbudzony jej nerwowym zachowaniem. Położył dłoń na ramieniu żony.

Zamarła na dźwięk imienia siostry. Nie, pomyślała, jestem Violet Jestem Violet.

- Czy coś się stało?

Musiała mu odpowiedzieć.

- Nie. Nie mogę zasnąć — odparła.

- Złe sny?

Złe sny, stroskane myśli.

- Uhm.

- Pomoże, jeśli o nich porozmawiamy?

Gdybyż tylko mogła porozmawiać! Zwrócić się do niego, powtórzyć, co mówiła jego matka, zapytać, czy naprawdę myśli o karierze polityka. A jeśli to była prawda i omówił już z Jeannette swoje plany w okresie narzeczeństwo? Wydałoby mu się bardzo dziwne, że znów o to pyta. Nie mogła ryzykować.

- Nie. Ledwie pamiętam, co mi się śniło - powiedziała.

- Cóż, może wymyślę sposób, by cię ukołysać do snu. Chodź tutaj.

Delikatnie obrócił ją w ramionach, jego usta dotknęły jej warg, ciepłe i czułe.

Wplotła palce w jego włosy, rozgrzane i potargane od snu, zachwycając się ich jedwabistą miękkością. Jego policzki kłuły nocnym zarostem. Nie przeszkadzało jej to. Pocałowała go mocniej i nagle zapragnęła zagubić się w jego miłosnych objęciach.

- Tak - szepnęła, oplatając go ramionami. - Weź mnie. Spraw, bym zapomniała o wszystkim prócz ciebie.

10

To już ostatnia szafa z bielizną stołową i pościelową, Wasza Książęca Mość. Czy Wasza Książęca Mość życzy sobie obejrzyć kredensy z porcelaną? - Pani Hardwick zamknęła na klucz wysokie

dwuskrzydłowe drzwi jednej z szaf, jakie stały wzdłuż korytarza we wschodnim skrzydle. Gdy skończyła, zwróciła pytające spojrzenie na młodą księżną.

Violet stłumiła westchnienie. Przez ostatnią godzinę w towarzystwie ochmistrzyni wędrowała po korytarzach i schodach, które ciągnęły się kilometrami. Wchodziła do pokojów i wychodziła z nich, a starsza kobieta przedstawiała jej aktualny stan majątkowy w Winterlea. Tortura zaczęła się zaraz po śniadaniu od inspekcji piwnic z winem; potem posuwały się stopniowo w górę, przez cały dom. Teraz byli na pierwszym piętrze.

- Nie w tej chwili, pani Hardwick - oznajmiła Violet, zmuszając się do uprzejmej stanowczości. - Jestem pewna, że są w takim samym doskonałym porządku, jak zawartość wszystkich innych kredensów i szaf, które dziś obejrzałyśmy. Dziękuję za skrupulatne oprowadzenie mnie po domu, ale teraz muszę wrócić do siebie, by przebrać się do lunchu. Książę pan będzie zagniewany, jeśli się spóźnię.

Pani Hardwick zmarszczyła brwi, jakby zamierzała się sprzeciwić. Doskonale naśladowując siostrę, Violet zdawkowo skinęła głową i odwróciła się na pięcie.

Jednak pani Hardwick nie zamierzała dać się odprawić.

- Jeśli Wasza Książęca Mość ma czas dziś po południu, to trzeba zatwierdzić menu na przyszły tydzień. Szef kuchni bardzo nalega, by informować go z wyprzedzeniem, jakie dania ma przygotować.

Bardzo pięknie, pomyślała Violet. Zasłoń się kucharzem.

- Kto do tej pory zajmował się zatwierdzaniem menu? - spytała.

Ochmistrzyni wyprostowała chude ramiona; przypominała kruka w swojej czarnej sukni z bombazyny.

- Przed przybyciem Waszej Książęcej Mości ten obowiązek należał do mnie.

Violet wiedziała, że decyzje dotyczące posiłków, nakryć stołowych i tym podobnych spraw leżały w jej gestii jako księżnej. Ale

myśl o zajmowaniu się tak przyziemnymi obowiązkami absolutnie nie wzbudzała jej entuzjazmu. Jeannette z pewnością upajałaby się autorytetem pani domu. Violet jednak przychodziły do głowy setki bardziej interesujących sposobów spędzania czasu. Najchętniej po prostu przerzuciłaby to na kogoś innego, ale była teraz księżną Raeburn. Nie chciała rozczarować Adriana.

- A więc dobrze - powiedziała i dostrzegła subtelny błysk triumfu w oczach kobiety. - Lecz nie dziś - oznajmiła. - Jutro w zupełności wystarczy. O dziesiątej rano, w moim gabinecie. Zapraszam.

Triumf przygasł, a usta ochmistrzyni otwierały się i zamykały przez dłuższą chwilę, gdy kobieta zastanawiała się, czy wyrazić sprzeciw. W końcu jednak spuściła oczy, dygnęła i odstaąpiła na bok, by przepuścić Violet.

- Jak sobie Wasza Księżca Mość życzy.

- Do widzenia, pani Hardwick. - Violet przeszła z gracją obok niej i dopiero za narożnikiem następnego korytarza zatrzęsła się ze wzburzenia.

W sypialni Agnes zdążyła już przygotować wygodną muślinową suknię w zielone i białe prążki oraz zielone pantofelki do kompletu. Gdy Violet umyła twarz i ręce, pokojówka pomogła jej włożyć nową kreację. Potem ruszyła długimi korytarzami do rodzinnej jadalni.

Adrian zjawił się dziesięć minut później, wchodząc do jadalni szybkim krokiem.

- Wybacz spóźnienie, moja droga. Daltona zostawiłem w papierach. Twierdzi, że zupełnie mu wystarczy przekąska przy biurku. Tak się to kończy, gdy na głowę spada wiele obowiązków i zbierze się za dużo pracy.

Pochylił się, musnął ustami jej czoło, po czym przeszedł na drugi koniec stołu, by zająć miejsce u szczytu.

- Ale ty z pewnością nie zyczysz sobie wysłuchiwać nudnych opowieści o interesach. Jak ci minął ranek?

Chciała mu powiedzieć, że jego opowieści o interesach wcale nie są nudne. Sto razy wolałaby posłuchać o jego zajęciach niż

dyskutować o swoich. Bo czyż mogło być coś bardziej nużącego niż oglądanie kuchennych składzików, butelek wina i stert obrusów? Ale Jeannette zapewne nie okazałaby wielkiego zaciekawienia interesami, szczególnie interesami własnego męża.

Dokładając starań, by relacja z jej porannej mordęgi brzmiała możliwie dowcipnie, opowiedziała pokrótce o poznawaniu Winterlea. Pominęła swoje zastrzeżenia wobec pani Hardwick.

Czuła się przy tej kobiecie nieswojo. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy nie powiedzieć o tym Adrianowi, ale odrzuciła tę pokusę. Właściwie ochmistrzyni nie zrobiła niczego złego. Była bardzo kompetentna. Zbyt kompetentna, prawdę mówiąc. Może w tym właśnie tkwił problem. Ta kobieta traktowała Violet jak intruza, jak służącą, której kwalifikacje były bardzo niezadowalające.

Może to jej niepewność sprawiała, że czuła się w ten sposób, Jeannette z pewnością nie miałaby takiego problemu. Szkoda tylko, że ona nie była Jeannette. Zjadła kolejny kęs przepysznego placka z wołowiną i cynaderkami i zachowała swoje troski dla siebie.

- Nie chcę, by wyglądało na to, że cię zaniedbuję, moja droga - powiedział Adrian, gdy posiłek był zjedzony, a nakrycia zebrane. - Mam jednak kilka spraw, których nie mogę odłożyć. Czy bardzo cię to zasmuci, jeśli darujemy sobie przejażdżkę, którą zaplanowaliśmy na popołudnie? Obiecuję, że jutro ci to wynagrodzę. Jeśli chcesz, spędzimy razem cały dzień. Pojeździmy konno i urządzimy sobie piknik. Co ty na to?

Czekał, jakby spodziewał się awantury.

Jeannette z pewnością by mu ją urządziła.

- Nie mogę stwierdzić, iż nie jestem zawiedziona - oznajmiła Violet zgodnie z prawdą - ale rozumiem, że jesteś bardzo zajęty. Spróbuję więc sama się sobą zająć dziś po południu.

Adrian rozluźnił się, na jego twarzy odmalował się wyraz ulgi.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście, że jestem pewna. Nie musisz skakać koło mnie przez całą dobę. Jestem teraz twoją żoną. Ja też mam obowiązki. - Później, gdy już wygłosiła to nieegoistyczne oświadczenie, przyszło jej do głowy, że może nie powinna była tego mówić. W pojęciu Jeannette interesy zawsze można było odłożyć na później, jeśli w grę wchodziła rozrywka. Ale Violet nie potrafiła żałować swoich słów. Nie chciała, by Adrian miał ją za nadmiernie wymagającą, niezależnie od tego, jak mogłaby się zachować jej siostra. - Tylko sobie nie myśl, że nie trzymam cię za słowo, jeśli chodzi o jutro. Będę naprawdę zagniewana, jeśli znów mnie zawiedziesz.

Adrian wstał i podszedł do niej. Wszyscy lokaje już odeszli, zostawiając ich samych w jadalni. Wsparł dłonie na poręczach krzesła i pochylił się nad nią.

- Nie ma obawy. Nie zawiodę cię. - Ich pocałunek był leniwym spotkaniem warg i języków, łagodnym i słodkim jak ciepły wiosenny poranek. - Sądzę, moja droga, że los wyjątkowo mi sprzyja. Miałem ogromne szczęście, że trafiła mi się taka żona jak ty.

Gdy wyszedł, Violet siedziała przez chwilę, nim dotarło do niej to, co powiedział, jak się zachował; wspomnienie pocałunku wciąż trwało na jej wargach. Czyżby zaczynał ją kochać? Słowo „miłość” nigdy nie padło między nimi, a jednak... Jej serce wzbierało radosną nadzieją. Niestety, kolejna myśl ściągnęła ją boleśnie na ziemię. Czy to w niej się zakochawał? Czy może w kobiecie, za którą ją brał?

Z ponurą miną wstała od stołu.

Ale nagle przypomniała sobie o bibliotece i odrobinę powesełała. Może jednak to popołudnie nie będzie tak całkiem nieudane.

Violet nigdy w życiu nie widziała tylu książek zgromadzonych w jednym pomieszczeniu. Eleganckie, oprawne w skórę tomy zasłaniały wszystkie cztery ściany, wspinając się na regałach pod sam sufit, na wysokość ponad siedmiu metrów. Dla takiej miłośniczki książek jak ona ten imponujący widok był naprawdę wstrząsającym przeżyciem. Oczywiście widziała już wcześniej bibliotekę

w Winterlea, ale dziś po raz pierwszy miała okazję i wolny czas, by zbadać jej zawartość.

Zerknąwszy przez ramię, by upewnić się, że jest sama, wyciągnęła z kieszeni zapasowe okulary, które trzymała w zamkniętej szkatułce na górze. Wsunęła je na nos. Alleluja, pomyślała, gdy świat znów nabrał ostrych konturów. Nareszcie widziała. Zamrugała kilka razy, by przywyknąć do wyraźnego widzenia, i zaczęła z uwagą przeglądać książki.

Było ich tyle, że mogłaby spędzić wiele godzin na samym tylko czytaniu tytułów. Klasycy mieli tu silną reprezentację: Eurypides, Homer, Sokrates, Platon. Violet przez chwilę zastanawiała się, czy nie sięgnąć po *Żywoty* Plutarcha, ale uznała, że nie jest w nastroju na tak ciężką lekturę. Były też dzieła zebrane Szekspira i kilka tomów pióra współczesnego mu i uznawanego za jego mentora Christophera Marlowe'a.

Moliera, Woltera i Kartezjusza można tu było poczytać zarówno w oryginale, jak i w angielskich przekładach. Znajdowało się też sporo dzieł tak szacownych autorów, jak Adam Smith, John Milton, Francis Bacon i Edmund Burke.

Zaniepokojona, że mitręży czas, wyłuskała tom poezji Roberta Burnsa - była to lektura romantyczna, odprężająca i łatwa do przzerwania, gdyby musiała szybko stąd uciekać. Wiedziała, że powinna pilnować czasu i uważać, by broń Boże nikt jej nie zobaczył z książką w bibliotece.

Na szczęście w pokoju było kilka wspaniałych nisz, w tym jedna z głęboką ławą w wykuszu. Usadowiwszy się wygodnie z plecami wpartymi o poduszkę z granatowego aksamitu, Violet zaciągnęła zasłony i schroniła się w swoim małym prywatnym światku. Z uśmiechem zadowolenia igrającym na wargach otworzyła książkę i zaczęła czytać.

Trzy tygodnie później Violet ustawiała cięte kwiaty w wazonie w jednym z saloników na parterze, gdy March zapukał cicho do drzwi. Poprosiła, by wszedł.

- Dzień doby, Wasza Księżęca Mość. - Zbliżył się do niej ze srebrną tacą w dłoni. - Przyszły listy do Waszej Księżęcej Mości.

Violet wsunęła brzoskwińnię cynię między kilka wysokich malw, których słonecznie żółte płatki wybuchały niczym czarodziejskie obłoczki z długich łodyg.

- A, dziękuję, March. Bądź tak miły i połóż je na sekret-rze. - Sięgnęła po kolejną cynię, tym razem szkarłatną.

Majordomus się skłonił.

- Z przyjemnością, Wasza Księżęca Mość.

- March?

Zatrzymał się, czekając usłużnie.

- Tak, Wasza Księżęca Mość?

Zrobiła krok w tył, przekrzywiając głowę na bok.

- Co sądzisz?

- Co sędzę, Wasza Księżęca Mość? - powtórzył.

- Tak. -Wskazała wazon ruchem głowy. - Co sądzisz o moim bukicie?

- Nie śmiałbym go oceniać.

- A dlaczegóż to? Przecież masz oczy?

- Cóż, owszem, Wasza Księżęca Mość, ale...

- Bardzo proszę. Wysoko sobie cenię twoją opinię. Masz wspaniały zmysł estetyczny. Stół nakryty przez ciebie zawsze prezentuje się doskonale i wszystko w tym domu nadzorowane przez ciebie jest w najlepszym guście. - Spojrzała jeszcze raz na wazon i westchnęła. - A ja, obawiam się, nie mam zbytniego talentu do bukietów.

Zjednanyjej pochwałą, March uchylił odrobinę maski swej sztywnej oficjalności. Przyjrzał się kwiatom - bezładnej mieszaninie ostrych kolorów i przypadkowych kształtów; łodygi, liście i płatki zostały ściśnięte tak ciasno, że zdawało się, iż za chwilę rozsadaż wazon.

Uchwyciła jego spojrzenie.

- Wolałabym, żebyś był szczery.

March milczał długą chwilę, zbierając myśli.

- Wybór kolorów i kwiatów jest zachwycający. Pastele wesoło komponują się z kilkoma jaskrawymi akcentami, co sprawia, że bukiet bardziej przyciąga wzrok. Wysokie i krótsze łądygi dodają mu dynamiki. Ale, jeśli mogę coś zasugerować, kompozycja zyskałaby, gdyby użyć mniej kwiatów. I może wyższymi poprzetykać całą bryłę, zamiast gromadzić je wszystkie z tyłu. - Zamilkł nagle, wystraszony, że pozwolił sobie na zbyt wiele krytyki.

Ale księżna pani nie wydawała się zagniewana. Przyglądając się bukietowi ze zmrużonymi oczyma, lekko przechyliła głowę na bok.

- Wiesz, chyba masz rację. - Podeszła do wazonu, wyszarpnęła z tuzin ociekających wodą łądyżek. Odłożywszy kwiaty na bok, poprzekładała pozostałe tak, by wysokie mały były rozmieszczone bardziej regularnie. Znow się odsunęła i splótła dłonie pod brodą. Uśmiechnęła się. - Och, właśnie tego było mu trzeba. Dziękuję, March. Naprawdę, bardzo dziękuję.

Lekki rumieniec zakradł się na policzki majordomusa, co wprawiło go w niezwykle zakłopotanie. Zdał sobie sprawę, że nie rumienił się niemal czterdzieści lat, od czasu, kiedy jako mały chłopiec wysłuchiwał reprimend. Odchrząknął.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Wasza Księżęca Mość. Cieszę się, że mogłem służyć pomocą.

Znow się uśmiechnęła, tym razem wprost do niego. Nie mogąc się powstrzymać, odpowiedział uśmiechem.

Od kiedy książę pan i jego młoda żona zamieszkali w domu, nowa pani wszystkich chwyciła za serce. Zupełnie niepodobna do rozpieszczonej dziewczyny, która zeszłej wiosny spędziła w Winterlea tydzień w narzeczeńskich czasach, ta młoda kobieta była wprost zachwycająca. Ciepła, dobra i troskliwa. Najwyraźniej małżeństwo jej służyło.

Wszyscy czcili księcia pana, szanowali go i podziwiali. Był bardzo dobry dla całej służby. Ale księżną panią wręcz uwielbiali, wszyscy co do jednego.

Wszyscy z wyjątkiem pani Hardwick.

Księżna zebrała kwiaty, które usunęła z wazonu, i wręczyła je Marchowi.

- Nie będę ich potrzebować. Myślisz, że służba by się z nich ucieszyła? Może rozweseliłyby stoły w służbowych kwaterach przy dzisiejszej kolacji?

March przyjął kwiaty, skłonił głowę.

- To bardzo uprzejmie ze strony Waszej Księżęcej Mości. Rzeczywiście, to będzie wesoły dodatek.

Drobna zmarszczka przecięła jej czoło.

- Och, ale jest ich o wiele za mało. Poleć, proszę, Dobbin—sowi i pomocnikom w ogrodzie, by nacięli tyle, ile potrzeba, aby wszyscy mogli się nimi cieszyć.

March zdążył już w pełni odzyskać godność. Znów skinął głową.

- Wedle życzenia Waszej Księżęcej Mości. - Ukłonił się i wyszedł z saloniku.

Gdy Violet została sama, przyjrzała się dokończonej kompozycji z uzasadnioną dumą— nawet Jeannette nie poradziłaby sobie lepiej. Przeniosła kwiatowe dzieło na szeroki stolik z marmurowym blatem, na którym, jak przeczuwała, wazon będzie świetnie wyglądał, i ostrożnie postawiła na marmurze. Podziwiała go jeszcze przez chwilę, ale w końcu się odwróciła. Z westchnieniem spojrzała na niewielką kupkę korespondencji, przyniesionej przez Marcha.

Kolejne zaproszenia, jak podejrzewała. Zaczęły przychodzić niecały tydzień temu, tuż po tym, jak sąsiedzi rozpoczęli wizyty. Pierwsi przyjechali Miltonowie - przyjazne starsze małżeństwo; ich szóstka dzieci dawno dorosła i pozakładała rodziny. Najstarszy syn był adwokatem i rezydował w Londynie.

Po nich zjawili się dziedzic Lyle z żoną Joan, ciągnąc ze sobą dwie najstarsze córki. Śliczne, rumiane dziewczęta w wieku piętnastu i szesnastu lat siedziały z szeroko otwartymi oczyma, gdy dorośli rozmawiali. Jedynym dźwiękiem, jaki wydostał się z ich ust, był wybuch piskliwego chichotu na widok nagiej greckiej figurynki, stojącej w niszy korytarza.

Wielebny Thompkins w czerni, wysoki i poważny, przybył wkrótce po nich ze swoją żoną, Emeline. Drobniutka, blada, łagodna jak gołąb kobieta ledwie sięgała mężowi do ramienia i przemawiała niemal szeptem, tak że trudno ją było dosłyszeć.

No i byli też lord i lady Carterowie, jedyna para, z którą Jeannette miała okazję wcześniej się zapoznać. W przeciwieństwie do pozostałych sąsiadów, którzy zupełnie jej nie znali, z Carterami musiała mieć się na baczności i starała się być tak miła i ożywna, jak tylko zdołała.

Omam nie zepsuła wszystkiego i nie ochlapała sobie spódnicy herbatą, tak trzęsły jej się ręce, gdy nalewała napój do filiżanek. Na szczęście wzięła się w garść, zanim choć jedna kropelka zdążyła się wylać. Wyłącznie dzięki sile woli przetrwała jakoś resztę wizyty i z niczym się nie zdradziła.

Podeszła do biurka, a wiedząc, że jest sama, wyjęła okulary z kieszeni sukni. Włożyła je na nos, rozkoszując się ostrym widzeniem.

Pierwsze dwie koperty rzeczywiście zawierały zaproszenia. Odłożyła je na bok, by pomyśleć o nich później.

Trzeci list został nadany w Londynie; tytuł i nazwisko księżnej było wypisane na grubym kremowym welinie zdecydowanym, męskim charakterem. Złamała pieczęć i zaczęła czytać.

Moja najukochańsza!

Nie wiesz nawet, jakie katusze cierpię od czasu Twojego zamążpójścia...

Violet zachłysnęła się z wrażenia.

List miłosny.

Mój Boże, zupełnie zapomniała o ostrzeżeniu Jeannette, że mogą nadejść tego rodzaju listy. A jeśli miała wcześniej jakieś wątpliwości co do charakteru znajomości siostry, to teraz była już pewna. List był podpisany jedynie inicjałem K, machniętym nie dbale u dołu kartki.

Violet pospiesznie zamknęła list.

Co robić? Jeannette kazała natychmiast odsyłać sobie takie listy. Ale czy Violet rzeczywiście powinna to zrobić? I czy miała prawo tego nie zrobić?

Nie mogąc się oprzeć, otworzyła list jeszcze raz i przeczytała odrobinę więcej. Nie był długi. Ale, o Boże, namiętność wręcz wylewała się ze stroniczki, była widoczna w każdym słowie.

Kim był mężczyzna, z którym jej siostra miała romans? Jakiego rodzaju człowiek nie daje spokoju kobiecie, która, jak doskonale musiał wiedzieć, wyszła za mąż za innego? Człowiek rozpaczliwie zakochany, uznała. Głębia jego uczucia wydawała się oczywista, choć zachowanie było całkowicie nierozważne.

A co z Jeannette? Czy darzyła go wzajemnością?

Och, Boże, westchnęła Violet, cóż to za okropny labirynt, w który obie się zapuściły.

Do tej pory otrzymała tylko jeden list od Jeannette. Krótką, pospiesznie nagryzmołoną notkę, w typowym dla siostry niedbłym stylu. Jeannette zapewniała ją, że wszystko jest w porządku, a Włochy są cudowne. Ona i cioteczna babka Agatha doskonale się bawią, są zapraszane, chodzą na mnóstwo eleganckich przyjęć i poznają całe tłumy fascynujących ludzi. „Violet”, jak się wydaje, zaczęła wychodzić ze swej skorupy, ku zdumieniu i aprobachie babki.

Violet modliła się tylko, by Jeannette nie przesadziła i by nie skończyło się na tym, że wyda je obie. Ale jej siostra miała dużo sprytu. Było mało prawdopodobne, że się zdradzi.

Jeannette i babka planowały spędzić ostatni tydzień sierpnia w Neapolu, po czym udać się na północ, do Florencji, gdzie miały pozostać przynajmniej miesiąc. Jeannette zapewniała, że gdy dotrą na miejsce, napisze jeszcze, jak się sprawy mają, i poda nowy adres. Tak więc Violet mogła się spodziewać kolejnego listu od siostry.

Uderzyła zakazanym liścikiem miłosnym w dłoń. Zapewne powinna odesłać ten przekłety list do Włoch. Najmądrzej jednak byłoby go zniszczyć. Cóż z tego, że ona wiedziała, do kogo tak naprawdę był skierowany. A jeśli zobaczy go ktokolwiek inny?

Gdyby Adrian kiedykolwiek przeczytał... Nie mogła nawet myśleć, jakie okropne miałyoby to konsekwencje.

Nie, listy muszą się skończyć.

Ale Jeannette nigdy by jej nie wybaczyła, że zniszczyła ten pierwszy. I był jeszcze jeden problem. Nawet jeśli pozbędzie się listu, to co powinna zrobić, by powstrzymać tego K. przed przysłaniem następnego?

Będzie musiała napisać do Jeannette. Zmusić ją, by zerwała kontakt z tym tajemniczym mężczyzną. Jakież mogło być inne rozwiązanie? Może z czasem on poczuje słabość do „Violet” i wszystko będzie dobrze. Zakładając, że jej siostra naprawdę czuje coś do owego K. i pragnie przyszłości u jego boku.

Violet wsunęła list do kieszeni i usiadła przy biurku. Sięgnęła po czysty arkusz papieru. Całkowicie pochłonięta swoim zadaniem, nie od razu usłyszała kroki za plecami. A kiedy wreszcie je usłyszała, zerknęła przez ramię i upuściła pióro.

11

Violet dech zaparło, na widok idącego ku niej Adriana. Boleśnie świadoma okularów na nosie, zerwała je i ścisnęła w dłoni. Tak swobodnie, jak potrafiła, opuściła rękę i zdradziecki przedmiot, ukrywając go w fałdach spódnicy.

Boże drogi, czy widział?

Jej spojrzenie padło na list, który zaczęła pisać; poczuła serce w gardle. Tego też nie mogła mu pokazać, a on był tuż-tuż.

Niepostrzeżenie nasunęła czystą kartkę na tę, na której pisała, i gwałtownie obróciła się z powrotem na krzesle.

- Adrian - przywitała go z szerokim uśmiechem. — Cóż za miła niespodzianka. Już wróciłeś? Myślałam, że spotkanie z panem McDougalem zajmie ci całe popołudnie.

Zatrzymał się, posłał jej ciekawski uśmiech.

- Interesy zajęły nam mniej czasu, niż się spodziewałem. - Zerknął na biurko, po czym powoli przeniósł spojrzenie na jej twarz. - Co pani porabia, madame? Pisze listy?

Wstała i starając się cały czas być przodem do niego, z rozmysłem odeszła od biurka. Ostrożnie przesunęła rękę z okularami za plecy.

- Tak - odparła. - Dostaliśmy kolejne dwa zaproszenia, ale nie miałam jeszcze czasu ich obejrzeć. Pisałam list do... hm, Violet. Niedługo ma wyjechać do Florencji i chciałam zdążyć, zanim znów wyruszy w podróż.

- A jakże ona się miewa?

- Bardzo dobrze, sądząc z tego, co pisała ostatnio. Wygląda na to, że Włochy jej służą.

- Zazdrościsz jej przygód? - zapytał.

- Oczywiście - odparła z radosną szczerością, typową dla Jeanette. - Ale pocieszam się myślą, że któregoś dnia z pewnością mnie tam zabierzesz. Obiecałeś przecież, czyż nie?

- Tak. Na pewno zwiedzimy kontynent, łącznie z cudownymi Włochami.

Uśmiechnęła się.

Również odpowiedział uśmiechem.

- No więc? Powiesz mi wreszcie?

- Co mam ci powiedzieć?

Ruchem głowy wskazał jej schowaną rękę.

- Co starasz się tak rozpaczliwie ukryć za plecami?

Do licha. A ona myślała, że nie zauważył. Co robić? Jej serce łomotało jak oszalałe; zrozumiała, że nie zdoła dłużej ukrywać okularów. Chyba że uda jej się uratować sytuację tupetem.

Przechodząc do defensywy, powiedziała:

- To nic takiego. Gdybym chciała, żebyś wiedział, już wcześniej bym ci pokazała.

Adrian postąpił krok naprzód, założył ręce za plecy.

- A dlaczego nie chcesz, bym wiedział?

Violet wysunęła dumnie podbródek.

- To prywatna sprawa.

- Prywatna sprawa? Tutaj, w salonie? - Uniósł brew.

- Tak, i byłabym ci wdzięczna, gdybyś dłużej nie nalegał.

Przez pełną nadziei chwilę myślała, że Adrian ustąpi. Ale on nagle rozplótł ręce, zrobił kolejny krok naprzód.

- Taka taktyka może podziałać na wszystkich twoich znajomych, ale ze mną się nie uda. - Wyciągnął rękę. - Pokaż - rzucił z naciskiem.

Ramiona jej opadły, zniknęła cała buntownicza postawa.

- Adrianie, proszę cię. To nic ważnego. Daj temu spokój.

Ale jego ciekawość została już pobudzona, a gdy Adrian był czegoś ciekaw, nie dało się go powstrzymać.

- Pokaż albo będę zmuszony uciec się do bardziej brutalnych metod.

Wyciągnął rękę, nim Violet zdążyła odskoczyć, chwycił jej nadgarstek i wysunął do przodu. Rozprostował jej zaciśniętą dłoń.

- Okulary?

Violet starała się nie okazać niepokoju.

- Potrzebuję ich do czytania, jeśli już musisz wiedzieć.

Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Nie miałem pojęcia. I przez cały ten czas ukrywałaś to przede mną?

Spuściła oczy.

- Słaby wzrok to dolegliwość, na którą cierpimy obie z siostrą. Ale ja, w przeciwieństwie do niej, nie chwale się tą wadą przed całym światem. Kobieta nigdy nie wygląda korzystnie w okularach, przecież wiesz.

Wypowiedziała tę kwestię zupełnie swobodnie, powtarzając zdania, które tysiąc razy słyszała od matki i siostry.

- Niemożliwe, by wyglądały aż tak źle — zauważył łagodnie Adrian.

- Nigdy nie powiedziałaś, że prezentują się dobrze na mojej siostrze. - Słowa wybiegły z jej ust, nim zdążyła je powstrzymać.

- Ta sprawa nie była poruszana. Ale nigdy nie uważałem, że twoja siostra wygląda brzydko w okularach, jeśli o to ci chodzi.

Violet nagle zabrakło tchu.

- Naprawdę?

- Obie jesteście pięknymi kobietami. Przecież jesteście bliźniaczkami. Załóż je.

- Nie! Nie mogę.

- Załóż - ponaglił ją łagodnie.

Nie wiedziała, co zrobić. Rozdygotana - choć starała się tego nie okazywać - zrozumiała, że nie ma wyboru. Była w pułapce. Z ociąganiem wsunęła okulary na nos, po czym spojrzała na niego przez szkła; jego kochana twarz nareszcie stała się ostra i wyraźna. Czekwała z zaciśniętymi dłońmi, z łomoczącym sercem. Teraz przecież na pewno dostrzeże prawdę, czyż nie? Zorientuje się, kim ona naprawdę jest.

Żołądek ścisnął jej się na tę myśl.

- Wyglądasz dokładnie jak ona - mruknął po długiej chwili oględzin. - Wiem, że jesteście identyczne, ale to jest doprawdy niezwykle.

Violet zamrugała.

Nie zorientował się. Ogarnęła ją fala ulgi, po której przyszło głębokie rozczarowanie. Ohydny, gorzki niesmak, którego nie powinna czuć. Czyżby chciała, żeby poznał prawdę?

Oczywiście, że nie, skarciła się w duchu.

A jednak, jakby się czuła, gdyby dostrzegała tę miłość w jego oczach i wiedziała, że jest przeznaczona dla niej? Naprawdę dla niej. Jak by to było być całowaną przez niego jako Violet i wiedzieć, że pragnie jej mimo wszystko? Słyszeć, jak wypowiada jej prawdziwe imię - Violet - tym namiętym szeptem w chłodnej ciemności nocnych godzin albo o świeżym, ciepłym poranku?

Ale takie myśli były czystym szaleństwem. Coś takiego nigdy się nie wydarzy. Ogarnięta nagłą melancholią sięgnęła po okulary. Wołała nie kusić losu.

- Nie - powiedział, powstrzymując ją. - Nie zdejmuj ich.

Zmarszczyła brwi.

- Rozumiem, że nie chcesz nosić okularów publicznie - ciągnął - ale tu, w domu, masz ich używać tak często, jak potrzebujesz. - Chwytał jej dłoń i unióśł do warg. - Zapewniam cię, moja droga, że twoja olśniewająca uroda nie zbladła ani trochę przez ten dodatek.

Powinna zaprotestować. To było zbyt wielkie ryzyko, nawet teraz. Ale jakąż ulgą byłoby znów widzieć normalnie. Jaką rozkoszą byłoby czytanie i pisanie bez konieczności ukradkowego zerkania przez okulary w chwilach, kiedy nikt nie patrzył.

Jego propozycja była pokusą, której nie można się było oprzeć.

- Dobrze więc - zgodziła się z rezygnacją, jakby spełnienie jego prośby było dla niej wielkim poświęceniem. ~ Będę je nosić w ostatecznej potrzebie. Ale tylko w domu i tylko kiedy będziemy sami.

- Więc skoro mamy już z głowy tę kwestię, chciałbym zapytać, czy masz ochotę popływać łódką po jeziorze. Mamy piękny dzień, o wiele za ładny, by siedzieć w domu. Poproszę Francois, żeby spakował nam lekki podwieczorek. Możemy go zjeść na wysepce pośrodku jeziora. Ja i moje rodzeństwo pływaliśmy i bawiliśmy się na niej dawniej latem. Znam wygodne, osłonięte miejsce w sam raz na piknik. Już od jakiegoś czasu zamierzałem ci je pokazać.

Violet zauważyła psotny błysk jego ciemnych oczu i zrozumiała, że miał na myśli coś więcej niż pływanie łódką i podwieczorek. Jej ciało wypełniła fala ciepła.

- Mam list do skończenia, ale to chyba może poczekać. Powinnam jednak przebrać się w coś bardziej odpowiedniego na dwór, zanim wyjdziemy.

- A więc dobrze. - Musnął jej wargi pocałunkiem, dając przedsmak tego, co ją czeka. - Pójdę porozmawiać z Francois o naszym podwieczorku. Powiedzmy, za pół godziny?

- Za pół godziny. - Uśmiechnęła się.

Odczekała, aż Adrian wyjdzie z pokoju, po czym pozbiierała stroniczki listu do Jeannette. Zamknęła je wraz z listem od kochanka siostry w małej, tajemnej szufladce w biurku. Postanowiła, że dokończy go i wyśle jutro.

Schowawszy kluczyk do kieszeni, poszła na górę, by się przebrać.

Ostatnie dni lata przeminęły, sierpień niepostrzeżenie zmienił się we wrzesień. Październik uraczył mieszkańców okolicy mroźnymi porankami, łagodnymi popołudniami i rześkimi, przejrzystymi wieczorami. Błyszczące jak świeżo wybite monety liście drżały na drzewach, pyszniąc się odświętnymi barwami rubinu, miedzi i złota. Wiewiórki o puszystych ogonach i tłuste borsuki przygotowywały leśne mieszkania na nadchodzącą zimą. Ludzie w swoich domach rozpalali ogień, zamieniali chłodną bawełnę na cieplejsze, wełniane odzienie, pili grzany jabłecznik i jedli gorące zupy zamiast chłodniejszych, lżejszych posiłków.

W Winterlea było mniej więcej tak samo.

Erin, jedna z pokojówek z parteru, przyszła podtrzymać ogień w gabinecie księżnej. Gdy skończyła, Violet podziękowała jej i uśmiechnęła się do ujmującej dziewczyny, która nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat. Pokojówka dygnęła nieśmiało i wyszła z wiadrem popiołu i zmiotką w dłoni.

Pokój był wygodny, choć mniejszy niż większość pomieszczeń w ogromnym domu. W ciągu ostatnich kilku tygodni Violet zamieniła go w swój prywatny azyl.

Jako że był położony w najdalszym, zachodnim narożniku domu, z jego okien roztaczał się widok na jeden z ogrodów, który jesienią przystroił się bujnymi kępami nawłoci i słonecznych chryzantem. W zacisznym pokoju panowała łagodna, kojąca atmosfera, którą Violet uwielbiała. Popołudniami, kiedy Adrian był zajęty interesami, a ona nie odwiedzała akurat dzierżawców i nie przyjmowała sąsiedzkich wizyt, związała się w kłębek w jednym z wygodnych foteli i pogrążała w lekturze.

Ciesząc się większą swobodą, od kiedy mogła nosić okulary bez obawy, że zostanie przyłapaną, zaspokajała swoją czytelniczą pasję, gdy tylko mogła sobie na to pozwolić. Trzymała pod ręką tamborek z haftem, na wypadek, gdyby ktoś ją zaskoczył. Nie chciała, by ktokolwiek, zwłaszcza Adrian, dowiedział się, że spędza popołudnia z nosem w książce.

Horacy sapnął i zachrapał cicho u jej stóp, śniąc swoje psie sny. Violet zabrała się znów do czytania i była głęboko zatopiona w lekturze, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi. Błyskawicznie ukryła książkę między biodrem a poduszką fotela i przysunęła tamborek, by sprawiać wrażenie, że wyszywała. Dopiero wtedy powiedziała: „proszę”.

W drzwiach stanął March.

- Proszę wybaczyć najście, Wasza Książęca Mość, ale uznałem za stosowne poinformować, że przyjechał lord Christopher.

Violet uniosła brwi, zdumiona wieścią. Młodszy brat Adriana tutaj? Teraz? Nie wspominał o wizycie w liście, który przyszedł od niego zaledwie tydzień temu. O ile było jej wiadomo, powinien być na uniwersytecie i uczyć się do egzaminów semestralnych.

- Poszedł do swoich pokojów, by się przebrać - ciągnął March. - Po przyjeździe pytał o Jego Książęcą Mość. Kiedy wyjaśniłem, że książę pan jest chwilowo nieobecny, ale Wasza Książęca Mość przyjmuje, powiedział, by jej nie kłopotać. Poprosił o podwieczorek i udał się na górę.

Violet wyczuła z tonu Marcha, że nie pochwała zachowania jej szwagra, który nie przyszedł natychmiast złożyć uszanowania. Przy tych kilku okazjach, kiedy spotkali się przelotnie, lord Christopher - czy też Kit, jak nazywali go najbliżsi - zawsze był nie-nagannie grzeczny i miły zarówno dla Jeannette, jak i dla Violet. Nie znała go zbyt dobrze, ale jego dzisiejsze zachowanie wskazywało, że coś jest nie w porządku.

- Czy dobrze wygląda? - zapytała.

- Jego Lordowska Mość przejawia wszelkie oznaki dobrego zdrowia, Wasza Książęca Mość.

- Hm. No cóż, skoro przyjechał, zawiadam, proszę, szefa kuchni, że dziś wieczór zjemy kolację we trójkę. I każ posłać tacę z podwieczorkiem do rodzinnej bawialni. Jeśli lord Christopher nie ma nic przeciwko temu, powiadam go, by zjawił się tam za pół godziny i towarzyszył mi przy posiłku.

- Wedle życzenia, Wasza Książęca Mość. - Otoczone zmarszczkami oczy Marcha błysnęły aprobatą. Skłonił się i zamknął za sobą drzwi.

Westchnęła. Cóż, nie poczyta sobie dzisiaj. Miała nadzieję, że postąpiła słusznie, prosząc Kita, by zjadł z nią podwieczorek. Może powinna była zostawić go w spokoju, skoro najwyraźniej nie życzył sobie towarzystwa. Ale byli teraz krewnymi i zależało jej, żeby od początku nawiązali serdeczne stosunki.

Oczywiście nie miała pojęcia, jak naprawdę wyglądały w przeszłości jego kontakty z Jeannette. Będzie musiała po prostu improwizować, tak jak robiła to przez ostatnie tygodnie. Wsunęła książkę do kryjówki, pod grubą poduszkę fotela, i opuściła swoją pustelnię z Horacym posłusznie drepczącym za nią.

-Jeśli musisz wiedzieć, zostałem wyrzucony. Odesłany Wygnany.

Kit uczynił dramatyczne wyznanie, po czym wepchnął sobie kanapkę do ust i zaczął przeżuwać z takim zapałem, jakby musiał się wzmocnić po tak żywiołowym wystąpieniu.

Przełknął i natychmiast sięgnął po kolejną.

- Adrian mnie ukatrupi, kiedy się dowie, że zostałem wydany. Zapewne wyśle mnie za karę do kopania rowów melioracyjnych na którejś ze swoich farm.

- Na pewno nie - odparła Violet, niezdolna do wyciszenia swojej współczującej natury. - Może nie będzie tak strasznie, jak sobie wyobrażasz.

- Nie, będzie jeszcze gorzej. - Popił herbaty i wyciągnął w fotelu swe długie ciało. Wydawał się Violet szczuplejszą i młodszą wersją brata. -Wiesz może, kiedy wróci? - wymamrotał płacząco Kit.

- Lada chwila, jak sędzę.

Kit zagapił się na tartę z dżemem malinowym na swoim talerzu, ze zbolałą miną skazańca oczekującego egzekucji. Po długiej kontemplacji zjadł ciastko na jeden kęs.

- Pojechałbym do Londynu, ale wydałem już kwartalne kieszonkowe. A następne dostanę dopiero w nowym roku.

- O co więc poszło? Karty czy kobiety?- Kilka miesięcy temu nie miałyby odwagi zadać tak impertynenckiego pytania. Ale udawanie bliźniaczki najwyraźniej wyposażyło ją ostatnio w dodatkową porcję brawury.

Kit przyglądał się jej długą chwilę głęboko osadzonymi, orzechowymi oczyma. W końcu wzruszył ramionami.

- Skoro już musisz wiedzieć, nie chodziło ani o karty, ani o kobiety. To był wyścig. I to nawet nie konny.

- Wyścig? Cóż w tym może być złego?

Kit miał na tyle przyzwoitości, by zrobić zawstydzoną minę. Skrzyżował nogi i spuścił wzrok.

- Ścigaliśmy się nago.

Violet wydała cichy okrzyk, niezdolna ukryć zdumienia. Niepokojące obrazki mignęły jej przed oczyma. Gdy zorientowała się, że siedzi z otwartymi ustami, zamknęła je natychmiast.

- W tamtej chwili wydawało się nam to świetną zabawą - stwierdził zadumany Kit. - Trzy okrażenia wokół uniwersyteckiego błonia, nim zegar wybije północ, zwycięża najlepszy, i tak dalej. Oczywiście większość z nas miała dobrze w czubie, kiedy wykoncypowaliśmy ten durny plan. Kto mógł wiedzieć, że Dean Musgrove wybierze sobie właśnie ten wieczór, by zabrać żonę na dach, na astronomiczne obserwacje nocnego nieba? - Przerwał; złośliwy uśmiezek zakradł się na jego wargi. - Zdaje się, że zaobserwowała o wiele więcej niż tylko gwiazdy.

Violet nie potrafiła opanować rozbawienia na myśl o komicznej sytuacji.

- Więc jednak poszło o kobietę - rzuciła oskarżycielsko, ale wybuch śmiechu, który wyrwał się z jej gardła, zupełnie zniweczył surowość wypowiedzi.

- Raczej o zakład. Rozmawialiśmy o różnych figlach, jakie płata się przy inicjacji, i jakoś tak wyszło, że posunęliśmy się za daleko. Brentholden jest mistrzem w biegach. Ja powiedziałem, że go prześcignę.

- Więc byłeś tylko ty i ten drugi kolega?

- Pozostali zagrzewali nas do biegu, byli zbyt bojaźliwi, by wziąć udział w wyścigu.

- A co się stało z panem Brentholdenem?

- Wyleciał, ale tylko do końca tego semestru. Jeśli nie przeszkobie nic więcej, to wróci bez żadnych dalszych konsekwencji.

- A ty nie. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

Na twarzy Kita odmalowały się gorycz i zniechęcenie.

- To nie był mój pierwszy wybryk.

Zastanawiała się chwilę nad jego słowami, myśląc o swoim bracie, nicponiu i utracjuszu. Darrin szedł przez życie, wplątując się w jedną kabałę za drugą, a dużo jego grzeszków było o wiele poważniejszych niż ten. W zeszłym roku zaciągnął długi na prawie pięć tysięcy funtów, grając w kości i karty. Po czym stanął przed ojcem z pustymi kieszeniami, błagając o fundusze na spłatę przegranych. Wyglądało na to, że w razie ich braku będzie miał pogruchotane kości. Co gorsza, niemal wywołał publiczny skandal, angażując się w romans z żoną jednego ze swoich profesorów w Cambridge. Profesor chciał go roznieść na strzępy, musiał się jednak zadowolić przeprosinami i obietnicą, że Darrin opuści szkołę i nigdy więcej nie postawi nogi w Cambridge.

W tym świetle uchybienie Kita nie wydawało się zbyt poważne. A z pewnością niezaskługujące na wydalenie. Uznając za stosowne nie wspominać o Darrinie, Violet przedstawiła jednak swoje zdanie młodemu szwagrowi.

Kit wzruszył ramionami, na nowo ogarnięty ponurym nastrojem.

- Niestety, rada uniwersytecka widzi to inaczej. Zostałem poinformowany przez to skostniałe ciało, że w następnym semestrze mogę znów się starać o przyjęcie od przyszłej jesieni, ale nie

mam żadnej gwarancji. Jeśli o mnie chodzi, to ta omszała szkoła może przestać istnieć. Na nieszczęście mój brat nie zgadza się ze mną. Mam otrzymać wykształcenie, czy sobie go życzę, czy nie.

- A co byś robił, gdybyś nie studiował?

Umilkł ze zdumioną miną, jakby nikt do tej pory nie pomyślał, by zadać mu takie pytanie. Sięgnął po kolejną malinową tartę i zjadł ją, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Podróżowałbym, jak sądzę - odparł w końcu, zamyślony. - Na świecie jest tyle intrygujących miejsc. Indie, Chiny, Morza Południowe, obie Ameryki. Słyszałem, że mają tam stada monstrowatych zwierząt, wielkich, kosmatych, brązowych stworzeń, które biegają dziko po niezbadanych zachodnich obszarach. Bizona, tak się chyba nazywają.

Zafascynowana Violet chciała pytać dalej. Zamiast tego jednak dołała sobie herbaty i utopiła ciekawość w filiżance. Jeannette nie znalazłaby nic zajmującego w opowieściach o bizonach, nawet jeśli marzyła o zagranicznych podróżach.

- Cóż - odparła, zmuszając się, by powrócić do roli, którą przyjęła - dla mnie kontynent jest wystarczająco ciekawy. Zakładając, że twój brat kiedykolwiek zechce mnie tam zabrać. Te jego nudne interesy zdają się nie mieć końca.

Dostrzegła przebłysk zainteresowania w oczach Kita.

- Tak, dźwiga na barkach wiele obowiązków.

- Jak my wszyscy. Francois przygotowuje dziś na kolację woltowe medaliony. Oczywiście poprosiłam o dodatkowe nakrycie dla ciebie.

- Bardzo dziękuję, ale może wszystkim byłoby przyjemniej, gdybym nie towarzyszył wam dziś wieczór. - Kit odstawił filiżankę i talerzyk.

- Jak sobie życzysz, ale mam nadzieję, że zmienisz zdanie. Adrian może być zagniewany, ale to minie, i pewnie prędzej, niż sobie wyobrażasz. Jest twoim bratem i gorąco cię kocha. Nic tego nie zmieni.

Nim Kit zdążył odpowiedzieć, do pokoju wszedł Adrian.

Książę spojrział na brata ze zmarszczonymi brwiami.

- March powiedział mi, że tu jesteś. Co się stało?

- Czy tak się wita własnego brata? - zganiła go łagodnie Violet. - Usiądź i zjedz podwieczorek. - Poklepała poduszkę kanapy obok siebie. - Na pewno porządnie zgłodniałeś po całym długim dniu. Jak poszło?

Kit czekał, spodziewając się, że brat zbędzie jej propozycję szorstką uwagą, a potem zajmie się nim. Adrian odłożył jednak przesłuchanie na później i zrobił, o co poprosiła żona, zajmując miejsce obok niej.

Pozwolił nalać sobie gorącej herbaty z dzbanka przyniesionego przez pokojówkę wraz z talerzem kanapek i babeczek i nałożył sobie łyżkę kwaśnej śmietany na brzeg talerzyka, tak jak lubił.

Dając odciągnąć się od tematu, opowiedział o swoich dzisiejszych zajęciach. W końcu zwrócił się do żony:

- Moja droga, dziękuję za pyszny posiłek. Ale jeśli nam wybaczysz, mój brat i ja mamy, zdaje się, kilka spraw do omówienia. Kit, zechcesz przejść do mojego gabinetu?

Adrian wstał i podszedł do drzwi. Jego prośba była rozkazem.

Biorąc głęboki wdech dla uspokojenia, Kit dźwignął się z fotela. Zatrzymał się, by złożyć grzeczny ukłon bratowej.

- Nie powiedziałaś mi - mruknęła Violet tak cicho, by Adrian nie usłyszał - kto wygrał wyścig?

Brwi Kita podjechały do góry, zęby błysnęły w niewyraźnym uśmiechu, który stał z jego twarzy ostatni ślad przygnębienia.

- Ja.

Wbrew ponurym przewidywaniom Kita Adrian nie zmusił go do odbycia ciężkich robót, by ukarać go za głupi wybryk. Chłopak nie został też zamknięty w pokoju o chlebie i wodzie ani wygnany do najodleglejszej rodzinnej posiadłości na szkockich Orkadach.

Nie. To, co zrobił Adrian, było o wiele gorsze. Przynajmniej według Kita.

Brat skazał go na intensywny kurs dokształcający pod kierunkiem wielebnego Dittlesby'ego. Emerytowany pastor był tak stary, że pamiętał narodziny szalonego króla Jerzego. Zgodnie z modą ubiegłego stulecia, Dittlesby wciąż nosił trefioną białą perukę i surduty z długimi połami. Niemal całkowicie głuchy, miał metalowy rożek, który przykładał do ucha. Ale mimo tego przyrzędu Kit często musiał podnosić głos niemal do krzyku. Pomijając jednak wiek i głuchotę, umysł pastora był ostry jak brzytwa. Doskonale wykształcony starszerek znał grekę, łacinę i wszystkie klasyczne teksty tak dobrze, jakby sam je napisał. Nic nie umykało wielebnemu Dittlesby'emu.

Adrian wiedział, jak wyegzekwować swoją wolę, dumał Kit. Jego plan - wyłożony lodowatym tonem podczas pierwszych koszmarnych spotkań - wyglądał następująco: książę zamierzał omówić sytuację Kita z władzami uniwersyteckimi i załatwić mu ponowne przyjęcie. Tymczasem Kit miał nadrobić wszystkie zajęcia, jakie obecnie opuszczał, tak by móc przystąpić do egzaminu semestralnego i dobrze go zdać. Koniec z wybrykami. Będzie powściągliwy jak mnich. I będzie pilnie uczył się pod kierunkiem wielebnego, choćby miało to być najbardziej uciążliwe z zajęć.

Adrian wydał dekret, a Kit się podporządkował.

Ale były granice niedoli, jaką mógł znieść człowiek. I dlatego, po dwóch tygodniach nauki, Kit poszukał schronienia w jedynym miejscu, gdzie - miał taką nadzieję - mógł się czuć bezpieczny.

W gabinecie swojej bratowej.

Wiedział, że niemal codziennie po południu zniką w nim na kilka godzin. Z początku myślał, że wymykała się, by uciąć sobie drzemkę lub pisać listy do przyjaciół, lub pobyc z tą swoją psią bestią. Potem zdał sobie jednak sprawę, że nie oddawała się żadnej z tych czynności. Wypytał jedną z pokojówek - śliczną, młodą szelmutkę, która chichotała, ilekroć znalazła się trzy metry od niego - gdzie też Jej Książęca Mość znika każdego dnia. Odpowiedź: w gabinecie w tylnej części domu.

Głowa bolała go po całym dniu rozwiązywania równań matematycznych i przekładania nieskończonych fragmentów z greki i łaciny. Zapukał do gabinetu Jeannette i wszedł natychmiast, gdy usłyszał: „proszę”. Zamknął za sobą drzwi i przycisnął do nich plecy, zdając sobie sprawę, że musi wyglądać jak lis umykający przed sforą rozwścieczonych ogarów.

Bratowa spojrzała na niego pytająco.

- Czy coś się stało, Kit?

Zmusił się, by odetchnąć. Wszedł do pokoju.

- Nie, ale skąd. Czy pozwolisz, bym trochę tu posiedział? Obiecuję nie przeszkadzać, cokolwiek robisz.

Parząc na niego przenikliwie, wskazała mu niedbałym gestem wolny fotel, ustawiony po drugiej stronie kominka.

- Potrzebowałeś wyrwać się na chwilę wielebnemu, jak się domyślam.

Kit klapnął z ulgą na fotel.

- Tak, nie przeczę. - Jego usta wykrzywił zawstydzony uśmiech. - Zaczął się właśnie przymierzać do analizy porównawczej Sokratesa i wielkich rzymskich stoików, ale musiał wyjść na kilka minut... zew natury, jak sądzę. A ja, niestety, skorzystałem z jego nieobecności i wymknąłem się z pokoju.

- Jeśli nie będziesz uważał - zażartowała - może zarządzić ekspedycję poszukiwawczą. Ale możesz zostać tutaj, jak długo zechcesz. Ja tylko... - umilkła i przysunęła o kilka centymetrów tamborek leżący obok jej łokcia - ..haftowałam.

- Przyniosłem ze sobą książkę. - Kit uniósł grube tomiszcze w oprawie z ciemnej skóry. - W ten sposób, jeśli mnie znajdą, będę mógł udawać, że nie zrozumiałem, co powiedział wielebny, i przyszedłem tutaj się pouczyć. On i tak słyszy ledwie połowę z tego, co mówię. Za to zawsze słyszy doskonale, kiedy popełniam jakiś głupi błąd. - Przygładził dłonią krótkie ciemne loki. - Adrian jest istnym diabłem, że go na mnie napuścił.

Violet uśmiechnęła się łagodnie.

- Jestem pewna, że miał słuszny powód, by tak postąpić.

- Tortury. Oto powód. - Kit pochylił się do przodu i przechylił głowę. - Czy uszy mi już krwawią? Na uniwersytecie nie miałem tylu godzin wykładów. Niedługo pewnie ogłuchnę, jak ten starzec. A moje oczy? Są tak czerwone, jak podejrzewam? Boję się, że niedługo mi wypadną od tego czytania.

Pokręciła głową na jego przesadzone żarty, mrużąc lekko oczy i wiodąc palcem po powierzchni haftu. Nagle podskoczyła i wsadziła palec do ust.

- Nic ci nie jest? - zapytał Kit.

Pokręciła głową.

- Ukłułam się igłą. Co za głupota.

- Może powinnaś sobie poszukać jakiegoś mniej ostrego przyrządu do szycia.

- Może - mruknęła.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kit zeszywniał. Czyżby jego kryjówka już została odkryta?

Do pokoju wszedł March, ledwie na niego zerknąwszy.

- Wasza Książęca Mość - powiedział majordomus - przepraszam, że przeszkadzam, ale wydarzył się wypadek w kuchni. Jedna z posługaczek upuściła ciężki garnek z wrzątkiem do mycia i dość dotkliwie się poparzyła. Pomyślałem, że Wasza Książęca Mość zechce o tym wiedzieć.

Violet wyprostowała się, zaniepokojona.

- Oczywiście, że tak. Czy wezwano lekarza?

- Wysłano chłopca po miejscowego znachora.

- Nie, nie, trzeba ściągnąć doktora Montgomery'ego. - Doktor Montgomery był osobistym lekarzem księcia, młodym, kształconym w Londynie medykiem, którego Adrian dwa lata temu namówił na przyjazd w te okolice. - On będzie wiedział, co robić.

- Tak, Wasza Książęca Mość.

- Czy to była Sarah? - zapytała.

- Nie, Brenna, ta z północy.

- Och, biedaczka. - Jeannette wstała, odwróciła się do Kita. - Będziesz musiał mi wybaczyć. Pójdę tam i zobaczę, czy mogę coś dla niej zrobić.

Kit wstał, jak nakazywały dobre maniere.

- Oczywiście. I koniecznie mnie zawiadom, jak ona się teraz czuje.

March i księżna wyszli z pokoju. Kit zamknął za nimi drzwi i wrócił na swoje miejsce. Przy całym tym zamieszaniu mógł uniknąć wykrycia przez jakiś czas. Postanowił uciąć sobie krótką drzemkę, skoro nadarzyła się okazja.

Jego spojrzenie padło na fotel bratowej i na coś, co wyglądało jak róg książki, wystający pomiędzy poręczy fotela i poduchy siedziska. Zaciekawiony podszedł bliżej i wyciągnął tom z kryjówki.

Eneida.

Zamrugał, gapiąc się na grzbiet. To dopiero dziwne, pomyślał. Cóż, u licha, robi tutaj taka koszmarna cegła? I to w fotelu Jeannette? Przecież bratowa musiałaby zauważyć, siedząc, że takie tomiszcze wpija jej się w biodro?

Już od samego trzymania księgi w ręku ciarki chodziły mu po plecach.

Otworzył okładkę i zdębiał, widząc łaciński oryginał. Przez chwilę miał nadzieję, że może to przekład. Mógłby go jakoś spożytkować; Dittlesby uwielbiał dręczyć go cytatami z Wergiliusza. Ale Adrian, przebiegły drań, dopilnował, by wszystkie angielskie wersje książek przerabianych przez Kita zostały usunięte z biblioteki wkrótce po jego przyjeździe. Chyba będzie musiał niedługo uciąć sobie pogawędkę ze starszym braciszkiem. To jawne prześladowanie musi się skończyć, nawet jeśli rzeczywiście sam sobie na nie zasłużył.

Cóż więc miał myśleć o swoim znalezisku? Jeannette nie była raczej sawantką. Wątpił, czy w ogóle kiedykolwiek otworzyła książkę. Było pewne, że tej nie czytała. Boże, on sam nie byłby w stanie jej przeczytać, choćby nawet chciał. Może Adrian

przyniósł ją do tego pokoju - wszak był biegły w łacinie, jakżeby inaczej - i zapomniał jej na fotelu. Choć to nie było podobne do starszego brata, tak nieuważnie obchodzić się z książką. Adrian nigdy nie był nieuważny. Tak, stwierdził w końcu Kit, to piekielnie tajemnicza sprawa.

Dumał nad nią jeszcze chwilę, ale wreszcie zauważył, że jeśli rzeczywiście chce się zdrzemnąć, to lepiej zabrać się do rzeczy, póki to możliwe. Wsunąwszy książkę z powrotem w miejsce, gdzie ją znalazł, dorzucił polano do ognia, wyciągnął się wygodnie w fotelu i zamknął oczy.

12

Następnego dnia przyszedł kolejny list do Jeannette.

Tak jak przy pierwszym, Violet nie od razu zorientowała się, o co chodzi. Niczego nie podejrzewając, wzięła kopertę z tacy, którą March postawił przy jej łokciu, i zaczęła czytać. Skandaliczne słowa wyskoczyły na nią z kartki, trafiając obuchem między oczy.

Moje najdroższe kochanie. Jakże cierpię z pożądania...

Pospiesznie złożyła list i ścisnęła w nagle spotniałej dłoni. Do licha z tą Jeannette. Najwyraźniej nie napisała do kochanka, by go zniechęcić. Pewnie nawet nie spróbowała.

Violet przez chwilę kontemplowała ogień płonący w kominie. To byłoby takie proste - wrzucić list w płomień i patrzeć, jak zmienia się w popiół. Ale w ostatecznym rozrachunku ten tchórzliwy akt nie rozwiązałby niczego, dałby jej jedynie chwilę wytchnienia. Musiała też brać pod uwagę swoje sumienie - tę irytującą niedogodność - które mówiło jej, że nie ma prawa niszczyć cudzego listu.

Uznała, że musiesz jeszcze raz napisać do Jeannette. Podkreślić z całą mocą, że ta niebezpieczna korespondencja między nią a tajemniczym kochankiem musi się skończyć.

Z tą myślą podeszła do kominka. Nagrzanym w ogniu mosiężnym nożem do listów z ręcznie naprawiła woskową pieczęć. Zadowolona z rezultatu, poszukała pióra i atramentu i zabrała się do pisania.

Zupełnie inny list przyszedł dwa dni później od matki Adriana. Violet uznała, że nie ma sensu zwlekać z odpowiedzią, i udała się do salonu na parterze, by odpisać teściowej.

Kit i wielebny Dittlesby już tam byli i ciężko pracowali, jak zwykle po południu. Choć były inne miejsca, gdzie mogłaby znaleźć pióro i papier, biurko w salonie było najwygodniejsze. Zamierzała wślizgnąć się do pokoju, nie zwracając na siebie uwagi - wszak było to bardzo przestronne pomieszczenie - i po cichu napisać list.

Obaj panowie wstali, widząc, że weszła.

Skinęła dłonią, prosząc, by usiedli.

- Proszę, nie przejmujcie się mną. Przychodziłam napisać kilka listów. Będę cichutko. Zapomnijcie, że w ogóle tu jestem.

- Dzień dobry, Wasza Książęca Mość. - Pastor skłonił się; wielka peruka na jego głowie zjechała do przodu, grożąc upadkiem na podłogę. - Czy pani nie przeszkadzamy?

- Nie, nie, obawiam się, że to ja wam przeszkodziłam - odparła. - Proszę kontynuować lekcję.

Pastor skinął głową i odpowiedział gromkim głosem:

- Tak, mamy lekcję. Możemy pracować gdzie indziej, jeśli Wasza Książęca Mość woli, byśmy się usunęli.

Violet spojrzała w oczy Kita, pełne zrezygnowanego rozbawienia.

- Siostró - przywitał ją.

- Kit. - Kiwnęła mu głową i znów zwróciła się do pastora. Mówiła bardzo wyraźnie, miała nadzieję, że tym razem zostanie

zrozumiana. - Nie wychodźcie. Proszę usiąść. - Wskazała mu gestem, by zajął miejsce. - Kontynuujcie pracę i nie zwracajcie na mnie uwagi. Ja siadę przy biurku i będę pisać listy.

- Listy? Nie, obecnie powtarzamy koniugację nieregularnych łacińskich czasowników. Pani zainteresowanie takimi kwestiami chlubnie o pani świadczy. Jest pani niezmiernie wytworna i uroczą damą.

Przez chwilę wpatrywała się w niego.

- Tak, cóż, bardzo dziękuję. Proszę kontynuować. Jak powiedziałam, będę pisać listy. - Uśmiechnęła się, pokazując swój zamiar na migi. Zrozumienie błysnęło nagle w oczach starszuszka. Pokiwał głową i znów złożył jej ukłon.

Wymieniła kolejne ubawione spojrzenie z Kitem, starając się, by nie parsknąć śmiechem. Przeszła do sekretarzyka, a panowie wrócili do lekcji.

Upewniwszy się szybkim rzutem oka, że są zajęci, włożyła okulary i odwróciła lekko głowę, by twarz nie była tak dobrze widoczna.

Zaczęła list od zapytania o zdrowie teściowej, siostry Adriana, Sylvii, i jej rodziny. Z ostatnich doniesień wynikało, że ciąża Sylvii przebiega bez problemów, choć szwagierka niedawno musiała położyć się na kilka dni do łóżka po nieszczęśliwym wypadku z udziałem jej pięcioletniego syna, popołudniowej herbatki i słoja pełnego żab.

Roześmiała się cicho na wspomnienie zabawnej historyjki i pisała dalej. Jednym uchem śledziła przebieg lekcji za swoimi plecami. Biedny Kit, pomyślała, strasznie się męczył, zmagając się z przedmiotem, którego najwyraźniej nie cierpiał.

Ona sama lubiła łacinę. Zwykle kobiety nie miały kontaktu z takimi przedmiotami, raczej zapoznawały się z naukami właściwymi dla dam: szydełkowaniem, akwarelą, geografią, francuskim, czasem odrobiną włoskiego. I gdyby nie lekcje języków, i ona mogła nigdy nie nauczyć się łaciny. Ale guwerner, zatrudniony, by nauczyć ją i Jeannette włoskiego, miał również uczyć jej

brata języków klasycznych. Podobieństwa między nowożytnymi a starożytnymi językami podsyciły jej pierwotne zainteresowanie. Pomaganie Darrinowi przy tłumaczeniach dokonało reszty. W wieku czternastu lat była już wystarczająco wyedukowana, by samodzielnie czytać po łacinie.

- Źle, Wasza Lordowska Mość. - Pastor westchnął, wyraźnie sfrustrowany. - Powinien pan to opanować już dawno temu. Trzeba się nauczyć na pamięć. Tylko wtedy przekład pójdzie gładko. Proszę wyrecytować koniugację czasownika *ire* w czasie przeszłym niedokonanym, w trybie warunkowym.

Violet słuchała, bezgłośnie wypowiadając słowa wraz z Kitem. Podpowiadała mu w duchu prawidłowe odpowiedzi w każdej długości, bolesnej pauzie, gdy szukał właściwych słów.

W końcu przeszli do następnego czasownika.

- *Nolle*, Wasza Lordowska Mość, to jest czas zaprzeszły, stro-
na czynna.

Mruczała koniugację pod nosem, pisząc kolejne zdanie listu.

- *Nolueram, nolueras, noluerat, nolueramus, nolueratis, noluerant.*

Kit jakoś dotarł do końca, pomyliwszy się tylko raz w trzeciej osobie liczby pojedynczej.

- I jeszcze raz *nolle*, Wasza Lordowska Mość, tryb warunkowy czasu zaprzeszłego.

Na wpół świadomie mamrotała odpowiedzi, nie pamiętając, by zniżyć głos, jak powinna.

Nie widziała, że Kit obrócił głowę w jej stronę.

- Proszę kontynuować. Druga osoba, Wasza Lordowska Mość - ponaglił go pastor.

- *Noluisse* - powiedziała cicho Violet.

Kit powtórzył słowo.

- Dobrze, dobrze, proszę dalej - zachęcał wielebny.

- *Noluisse* - mruknęła Violet.

Kit znów powtórzył.

- Doskonale. A dalej?

- *Noluissemus, noluissetis, noluisissent.*

Kit słuchał, nie wierząc uszom i ledwie pojmując, co właściwie się dzieje. Jeannette znała łacinę! Jak to możliwe? Osłupiał, słuchał jej wypowiedzi i powtarzał je pastorowi w nabożnym zdumieniu. Jeannette znała odpowiedzi. Wszystkie, co do jednej, podała prawidłowo. Gapił się na nią, pochyloną nad listem. Gdyby nagle rozwinęła skrzydła i uniosła się w powietrze, nie byłby bardziej zaskoczony.

Przypomniał sobie dzieło Wergiliusza, które znalazł w jej gabinecie kilka dni wcześniej. Wtedy był przekonany, że książka należy do Adriana. Teraz nie był już taki pewien.

- Doskonale, milordzie. Zdaje się, że czyni pan postępy. Spróbujmy więc teraz przekładu. - Pastor naskrobał cytaty na tablicy.

Kit siłą skierował uwagę na tablicę. Jego odkrycie wirowało mu w głowie. Z trudem zaczął odcyfrowywać słowa.

- „Cierpiący uparciuch zużywa swój ból?”

- Nie, milordzie - powiedział rozczarowany pastor. - To się zaczyna: „Bądź cierpliwy i nieugięty”. Proszę spróbować dalej.

- Bądź cierpliwy i nieugięty... - powtórzył Kit, marszcząc brwi.

Jeannette zachichotała cichutko. Spojrzał w jej stronę i wtedy ją zobaczył - tak naprawdę zobaczył - gdy zerknęła przez ramię, by odczytać nabazgrołone na tablicy słowa.

Miała okulary na nosie.

Jeannette nie nosiła okularów. Powiedziała mu kiedyś na przyjęciu, że damy, które dbają o swój wygląd, znajdują sposoby, by radzić sobie bez okularów. Na szczęście ona nigdy nie musiała się o to martwić, bo Bóg pobłogosławił ją doskonałym wzrokiem.

- Milordzie - zachęcał pastor. - „Bądź cierpliwy i nieugięty...”

I wtedy usłyszał jej szept. Jeannette wymamrotała pod nosem resztę sentencji i wróciła do pisania.

- „Z tego bólu będziesz miał kiedyś pożytek” - dokończył z naciskiem pastor.

W zwykłych okolicznościach obśmiałyby się z łagodnego docinku staruszka. Ale w tej chwili nie miał czasu przejmować się cytatem, ponieważ odkrył zdumiewającą prawdę.

Jego bratowa była oszustką.

Następnego dnia, przy lunchu, na który podano wspianiałą duszoną cielęcinę z maleńkimi grzybkami, Violet zaczęła zauważać zmianę w zachowaniu Kita. To nie było nic oczywistego. Kilka bardziej przeciągłych niż zwykle spojrzeń w jej stronę. Dziwny błysk w jego orzechowych oczach, ilekroć zwracał się do niej z pytaniem lub komentarzem.

Z początku bagatelizowała swe wrażenia. Bez wątpienia nadzbyt pobudzona imaginacja, spowodowana niewyspaniem. Adrian był tej nocy w wyjątkowo kochliwym nastroju. Nie dawał jej zasnąć aż do północy i jeszcze tuż po wschodzie słońca zbudził ją, by kochać się z nią ostatni raz, ku jej zaspanemu zachwytowi. Teraz płaciła za ich cielesną niepowściągliwość, a ze zmęczenia miała przywidzenia.

Adrian, jak zauważyła, był wręcz nieprzyzwoicie wypoczęty i zadowolony. Wyszczerył do niej zęby w uśmiechu, zjadłszy porcję marchewki, i kontynuował dyskusję o architekturze gotyckiej z panem Daltonem, który przyjął zaproszenie na lunch.

Uniosła rękę do ust, by ukryć delikatne ziewnięcie, i znów zauważyła baczne spojrzenie szwagra. Popatrzyła na niego pytająco, uniosła brew. On odpowiedział jej nieodgadnionym spojrzeniem, po czym spuścił wzrok i wrócił do jedzenia.

Miała ochotę wypytać go o to dziwaczne zachowanie, ale nie mogła - nie przy panach, obecnych w jadalni. A potem nie było czasu.

Kit wstał od stołu tuż po skończonym posiłku. Pastor poczępał tuż za nim, spiesząc do lekcji. Adrian i pan Dalton również przeprosili i opuścili Violet; wzywały ich interesy.

Pozostawiając służącym sprzątanie, poszła do oranżerii. Myśli o Kicie i jego dziwnych uważnych spojrzeniach zagnała w najdalszy

kąt mózgu. Horacy dreptał obok niej, dzwoniąc melodyjnie pazurami o kamienną podłogę.

Ogromne przeszklone pomieszczenie było cudem światła i powietrza; panowały tu ciepło i przyjemny nastrój nawet w takie chłodne, ponure dni jak dziś. Krople deszczu bębniły o niezliczone szyby, zlewając się w wodne ścieżki, które, wijąc się i klucząc, spływały ku ziemi.

Flora krzewiła się tutaj bujną, gęstą zielenią, wypełniając cieplarnię bogactwem kolorów i życia. Kwitło tu wiele gatunków kwiatów, w tym i róże, których Violet przyszyła sobie naciąg. Idąc w ich stronę, minęła dwa drzewka pomarańczowe, wysokie i zdrowe, w ogromnych glinianych donicach, które musiały ważyć chyba po sto kilo każda. Wiosenne lilie w odcieniach różu, żółci i czerwieni pyszniły się delikatną urodą, żywotne mimo nieodpowiedniej dla nich pory roku.

Violet zatrzymała się przed różami. Horacy ułożył się w pobliżu.

Uważając, by ściąć tylko kilka łodyżek z każdego krzaka, powoli posuwała się wzdłuż grządki. Zatrzymywała się od czasu do czasu, by musnąć opuszkami palców jakiś satynowy płatek, by głębiej odetchnąć oszałamiającym aromatem.

Stała pochylona nad szczególnie pięknym okazem w kolorze najbledszego różu, zastanawiając się, czy pozostawić dziewiczy kwiat na krzaku, czy ściąć go, gdy Horacy wydał z siebie pojedynczy, gardłowy warkot.

Wyprostowała się i zerknęła przez ramię. Kilka metrów za nią stał jej szwagier.

- Kit - powiedziała. - Nie słyszałam, że nadchodzisz.
- Mówiono mi już, że stąkam cicho jak kot. - Podszedł bliżej. - Przepraszam. Nie miałem zamiaru cię przestraszyć.
- Nie przestraszyłeś. - Odłożyła sekator do koszyka, odwróciła się przodem do chłopaka. - A przynajmniej niezbyt mocno. Czy pastor dał ci kilka minut wytchnienia, czy może przyszedłeś szukać nowej kryjówki?

- Zostałem już zwolniony na dzisiaj, chwała niebiosom. Pastor Dittlesby obawiał się, że ulewa może przybrać na sile, i postanowił wcześniej udać się do domu. Ostatnią lekcję mam dokończyć sam. — Przewrócił oczyma, po czym spojrzał na nią uważnie. - Może ty zdołasz mi pomóc.

- Co masz na myśli? - Popatrzyła zaskoczona w jego oczy, roześmiała się niepewnie. I znowu to samo, pomyślała. To spojrzenie. Dreszcz niepokoju przebiegł jej po plecach.

- Nic - odparł. - Po prostu jestem zdesperowany.

Odprężyła się odrobinę.

- Czy wszystko w porządku?

- Naturalnie. Dlaczego miałoby nie być?

- Nie wiem. Wydajesz się... spięty.

- Doprawdy? - Wyciągnął rękę i dotknął jednego z kwiatów leżących w jej koszyku. - Nie mam pojęcia, dlaczego tak myślisz. Róże, hm?

- Tak. Planuję kompozycję do salonu. Pomyślałam, że te wyglądają wesoło i bardzo ładnie pachną.

- Bez wątpienia. Twoje drugie imię brzmi Rose, zgadza się?

Violet zmarszczyła brew, ale natychmiast z rozmysłem wygładziła czoło.

- Tak. Jeannette Rose.

- Róże są śliczne, prawda? - ciągnął Kit. - To takie rozkoszne kwiaty, miękkie i słodkie, a jednak najeżone kolcami. Przebiegły kwiatek, niebezpieczny dla nieostrożnych.

Violet ogarnął paraliżujący strach. Przecież Kit nie mógł wiedzieć. To niemożliwe.

- Nie są podobne do innych kwiatów - ciągnął zamyślony. - Weźmy na przykład fiołek*. Równie atrakcyjny kwiat, na swój sposób, tak samo miękki, tak samo słodki, a przy tym łagodny i niegroźny. - Przyszpilił ją spojrzeniem. - A więc kim ty jesteś? Różą czy fiołkiem?

* *Rose* (ang.) - róża; *Violet* (ang.) - fiołek (przyp. tłum.).

Otworzyła szeroko oczy, nim zdążyła zapobiec własnej reakcji. Serce zatrzepotało w jej piersi jak oszalały ptaszek schwytyany do klatki.

- Cóż ty za głupstwa wygadujesz? — Odwróciła się, udając lekceważenie.

Zatrzymał ją, chwytając pałąk kosza przewieszzonego przez jej ramię.

- Daj spokój tej grze. Wiem, kim jesteś. - Pochylił się bliżej. - Violet.

Podjęła ostatni wysiłek, by podtrzymać oszustwo. Roześmiała się; piskliwy dźwięk uniósł się pod strop.

- Myślisz, że jestem moją siostrą? A to dopiero. Violet będzie doprawdy ubawiona, kiedy jej o tym napiszę. Ona i cioteczna babka Agatha na pewno serdecznie się uśmieją z tej historyjki.

W jego oczach na chwilę zagościł wyraz zwątpienia, ale zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Bardzo sprytnie, ale ja nie dam się nabrać. Znalazłem twoją książkę. Tę po łacinie, którą chowasz pod siedziskiem fotela w swoim gabinecie.

- Jaka książkę? - zaczęła się wykręcać. - Nie wiem nic o żadnej książce. Ja nawet nie lubię czytać.

- Owszem, lubisz. I znasz łacinę. Słyszałem, jak mówisz po łacinie. Wczoraj recytowałeś ze mną moją lekcję. I znałeś prawidłowe odpowiedzi. Co do jednej — dodał urażonym tonem.

Słyszał? Panika ścisnęła ją za gardło żelazną dłońią. Przypomniała sobie, że wymamrotała słówko czy dwa w salonie, ale przecież nie dość głośno, by zostać usłyszaną. Podejrzewała, że ten odruch pozostał jej z lat, kiedy przepowiadała sobie na głos łacińskie koniugacje i deklinacje, by nauczyć się ich na pamięć. Dobry Boże, jak mogła być tak głupio nieostrożna?

- Mam doskonały słuch - oznajmił Kit, jakby czytał w jej myślach. - Wszyscy w rodzinie o tym wiedzą. Wiele razy oskarżano mnie, że po części jestem bassetem. Doskonałe uszy, wyczułony nos. Ale wszak ty jesteś nowa w rodzinie, prawda? Jak bar-

dzo nowa? To właśnie chciałbym wiedzieć. Kiedy ty i prawdziwa Jeannette zamieniłyście się rolami? Jak długo trwa to oszustwo? A co ważniejsze, dlaczego to zrobiłaś? Powiedz mi. Żądam odpowiedzi.

Załamana się pod jego naciskiem, zwiesiła ramiona. Kosz z kwiatami poleciał na podłogę, żelazny sekator brzęknął o kamienną posadzkę.

- Proszę cię, ty nie rozumiesz.

- Wręcz przeciwnie, zdaje mi się, że rozumiem całkiem dobrze. A teraz posłuchajmy prawdy.

Horacy zerwał się na nogi i ustawił przed Violet. Sprężony, przycisnął swoje wielkie łaciate ciało do jej spódnicy.

Położyła dłoń na łbie, by go uspokoić.

Kit zerknął pospiesznie na psiego obrońcę.

- Wszystko w porządku, piesku - powiedział kojącym głosem. — Wszystko jest dobrze.

Horacy rozluźnił się, ale nie opuścił posterunku.

- On mnie nie zniechęci, wiesz dobrze.

Violet zastanawiała się, jak rozegrać sytuację.

- Wiem. Pozwól, że zaprowadzę go do Roberta, a potem wrócę i porozmawiamy.

Skinął głową, wyrażając zgodę.

Violet miała ochotę puścić się biegiem i uciekać, gdzie oczy poniosą, zmusiła się jednak, by godnym krokiem wyjść z oranżerii. Wyprostowana, dumna, starała się nie zdradzać burzy uczuć, która szalała w jej wnętrzu z siłą huraganu.

Po kilku minutach znalazła Roberta i poprosiła go, by zabrał Horacego na spacer. Pies opierał się z początku, skomlał, nie chciał się z nią rozstawać. Pogłaskała go - długie, kojące pociągnięcia wprawiły jego mięśnie w rozkoszne drżenie. W końcu uspokoił się i pozwolił Robertowi, swemu częstemu towarzyszowi, zabrać się na dwór.

Wróciła do oranżerii z entuzjazmem skazańca idącego na szubienicę.

Kit postawił wywrócony koszyk i starannie poukładał w nim kwiaty. Violet ledwie na nie zerknęła; jej spojrzenie od razu pobiegło ku szwagrowi.

- Wolisz siedzieć czy stać? - zapytał. — Niedaleko jest ławka. Zadrzała.

- Chyba wolę usiąść. - Obawiała się, że nogi mogą odmówić jej posłuszeństwa.

Usiedli więc pod uroczą pergolą oplecioną jaśminem, który przesycał powietrze swoim aromatem. Minęła cała minuta, za nim Violet się odezwała.

- Ona nie chciała za niego wyjść.

- Co takiego?

- Jeannette - odparła cicho. - Rano, w dniu ślubu. Powiedziała, że nie wyjdzie za Adriana. Wyznała to mnie, tylko mnie, w ostatniej chwili. Nie mogłam jej tego wyperswadować. Była zdeterminowana mimo skandalu, jaki spowodziłaby na naszą i waszą rodzinę.

- Więc wymyśliłyście, żeby się zamienić? Podstawić Adrianowi fałszywą narzeczoną?

- To nie było planowane, to się po prostu stało. Nie było czasu, by cokolwiek przemyśleć, a w tamtej chwili zamiana wydawała się mniejszym złem.

- Choć niewiele w tym było troski o życzenia czy uczucia mojego brata.

Violet zaczerwieniła się, splótła palce rąk.

- Powiesz mi? - Jej głos był zdławiony, łyzy paliły ją pod powiekami.

- Daj mi choć jeden dobry powód, dla którego nie miałbym tego zrobić.

- Taki, że go kocham, jeśli to ci robi jakąś różnicę. - Chwycała urywany oddech. - Jakiekolwiek zło popełniam, nigdy nie miałam zamiaru skrzywdzić Adriana. Robiłam, co w mojej mocy, by być dobrą żoną. I jak na razie on nie ma żadnych zastrzeżeń.

Kit uchwycił jej szczerze spojrzenie, usłyszał prawdę w słowach. Wszystko wskazywało na to, że miała rację.

Nie dalej jak wczoraj wieczorem obserwował ich dwoje, gdy siedzieli razem na kanapie. On i Adrian dyskutowali na jakiś zwykły temat - koni, zdaje się - a Jeannette... to znaczy Violet... przysłuchiwała się, popijając herbatę. Gdy po chwili odstawiła filiżankę, Adrian wziął ją za rękę. Głaskał kciukiem jej skórę w leniwej, bezwiednej pieszczocie. Najwyraźniej nie zdawał sobie nawet sprawy, że to robi, jakby potrzeba dotykania jej była instynktowna, odruchowa.

Kit przypomniał sobie inne chwile. Spojrzenia. Przelotny dotyk i drobne gesty, które wyraźnie mówiły o małżeńskim szczęściu brata. Adrian wydawał się zadowolony jak nigdy dotąd. Wspominał nawet któregoś popołudnia, że jego życie z młodą żoną jest zaskakująco przyjemne i, ku jego uldze, w niczym nie przypomina mocno niezadowolającego związku ich rodziców. Czy Kit miał prawo burzyć tę harmonię tylko dlatego, że odkrył zdumiewającą prawdę na temat jego żony?

- On żyje w kłamstwie - powiedział, przekonując na równi siebie, jak i ją. - Kiedyś będzie musiał się dowiedzieć.

- Czy na pewno? To szło już za daleko, by cokolwiek naprawić.

- Więc zamierzasz żyć jako inna kobieta do końca swoich dni?

- Jeśli będę musiała, tak. Jeśli to konieczne, by uchronić nasze rodziny przed niesławą. Taki wstyd byłby nie do zniesienia. - Patrzyła na niego błagalnie oczyma w kolorze oceanu. - Ona go nie kocha, Kit. Nigdy nie kochała. Ale ja tak. Proszę cię, błagam, nie wydaj mnie.

- On może sam odkryć oszustwo. Zdajesz sobie sprawę, że Adrian to niejakiś ptasi mózdzek.

- Wiem. To ryzyko, które muszę podjąć.

Kit pochylił się do przodu i zwiesił splecione dłonie między kolanami, ważąc możliwe rozwiązania.

- Nie wiem. Po prostu nie wiem.
- A wstrzymasz się choć do jutra? Nie powiesz nic, dopóki tego nie przemyślisz? Cóż może zaszkodzić kilka godzin więcej?

Była zdesperowana; rysy miała ściągnięte, jej piękna twarz była tak bezbronna, że nie zdołał się jej oprzeć.

Westchnął.

- Zgoda. Dziś jeszcze jesteś Jeannette. Co do przyszłości, zobaczymy. Ale chcę, byś zrozumiała tu i teraz, że nie będę go okłamywał, jeśli kiedykolwiek zapyta. Jeśli spyta mnie wprost o to, kim jesteś, powiem mu prawdę.

Skinęła głową.

- Rozumiem. Spotkajmy się jutro w gloriecie. Powiedzmy o dziesiątej. Adrian będzie poza domem, ma obejrzeć naprawy na farmie Oxleyów. Wspominał mi o tym dziś rano.

Kit zmarszczył brwi. Czuł się nieswojo, godząc się na tak jawne matactwo.

- Dobrze więc. Jutro o dziesiątej.

Zapadła cisza. Cóż więcej było do powiedzenia? Przynajmniej na razie nic.

Kit poszedł sobie; echo jego kroków słyszać było jeszcze, gdy już zniknął jej z oczu.

Violet jeszcze długo siedziała na ławce. Zwiesiła głowę i pozwoliła, by łzy toczyły się po jej policzkach. Serce przepełniał nieutulony żal.

13

Reszta popołudnia i wieczór były istną torturą.

Violet bała się nawet spojrzeć na Kita, ale wiedziała, że musi się zachowywać, jakby nic się nie stało. Jakby szwagier nie miał za

chwilę zrujnować całego jej świata. Jakby nie zamierzał kilkoma słowami obrócić w ruinę jej życia.

Przy kolacji próbowała jeść, ale każdy kęs stawał jej w gardle, grożąc zadławieniem. Próbowała się uśmiechać, rozmawiać, ale wszelkie wysiłki wypadały mizernie nawet w jej własnych uszach. Kiedy Adrian wyraził swe zatroskanie, wyznała, że boli ją głowa i, przeprosiwszy, wstała od stołu.

Bracia unieśli się, gdy wychodziła z jadalni.

W swojej sypialni nie poczuła się lepiej; chodziła z kąta w kąt po przestronnej komnacie. Przyszła Agnes, powiadomiona przez Adriana o jej dolegliwości. Przyniosła kompres zmoczony w wodzie lawendowej i szklankę ciepłego mleka, ułatwiającego zaśnięcie.

Violet pozwoliła pokojówce skakać wokół siebie, choć wcale nie miała na to ochoty. Gdy była już przebrana w koszulę nocną i przygotowana do snu, Agnes nareszcie sobie poszła. Kiedy tylko zniknęła za drzwiami, Violet wyskoczyła z łóżka, zbyt zdenerwowana, by spać.

Wyłamując dłonie, podjęła swój niespokojny marsz po pokoju.

Adrian wszedł do przyległej sypialni; słyszała cichy pomruk jego głosu, gdy rozmawiał ze swoim pokojowcem.

Czy to będzie ich ostatnia wspólna noc?

Na tę myśl jej serce omal nie pękło. Czy Adrian odwróci się od niej, gdy Kit powie mu prawdę? Przeczynała z lękiem, że tak się właśnie stanie.

Może powinna sama mu powiedzieć? Wyznać wszystko, a potem rzucić mu się do stóp i prosić o wybaczenie. Błagać, by jej od siebie nie odsuwał, by zatrzymał ją u swego boku jako żonę.

Wiedziała, że Kit ma rację. Adrian zasługiwał na to, by poznać prawdę. Ale za jaką cenę? Objęła się ramionami.

Nie tracąc czasu na dalsze rozmyślenia, narzuciła szlafrok, przeszła przez pokój i otworzyła drzwi do sypialni męża.

Adrian i pokojowiec odwrócili głowy, zdumieni jej nagłym wtargnięciem.

Po raz pierwszy od dnia ślubu przekroczyła próg sypialni męża bez wcześniejszego zaproszenia. Otuliła się mocnej szlaf-rokiem, nagle zawstydzona.

- Moja droga, czy coś się stało?

Adrian stał w samej koszuli, spodniach i pończochach. Jego fular i buty dyndały w dłoni Wilcoкса. Staruszek skłonił z szacunkiem głowę i dyskretnie usunął się na bok.

Serce łomotało w piersi Violet, usta wyschły niczym stara grzanka. Wszystko, co planowała mu powiedzieć, wyparowało z głowy.

Adrian podszedł do niej i wciągnął w głąb pokoju.

- Jak tam twoja głowa? Miałem zaraz po przebraniu się zajrzeć do ciebie.

Z trudem wydobyła głos z gardła.

- Ja... to znaczy... jest o wiele lepiej. Środki, które przysłałaś przez Agnes, były bardzo skuteczne. Dziękuję.

- Cieszę się, że ci lepiej, ale podziękowania należą się pokojówce. Wybór środków należał do niej. Ja tylko zawiadomiłem ją, że czujesz się niezdrowa.

Violet skinęła głową i zapatrzyła się we wzorzysty dywan pod stopami. Wbiła duży palec w aksamitną ścieżkę ciemnego granatu, świadoma ciszy, wiszącej nad nimi niczym całun.

Nabrała powietrza w płuca.

- Adrianie, ja... - Urwała, przypomniawszy sobie, że nie są sami.

Adrian zwrócił się do pokojowca.

- To będzie wszystko na dzisiaj, Wilcox. Możesz iść.

- Tak, Wasza Książęca Mość. Dobranoc. - Wilcox uklonił się i wyszedł z pokoju.

Adrian znów zajął się żoną.

- Co chciałaś powiedzieć, moja droga?

- Ja... - Co właściwie chciała powiedzieć? Co wyprawia? Czy naprawdę zamierzała się przyznać? Może powinna, ale... Och, była takim strasznym tchórzem. Zamiast tego podbiegła do

niego, oplotła go ramionami i ukryła twarz na jego piersi. - Tęskniłam za tobą, nic więcej - powiedziała niewyraźnie, z ustami w jego koszuli.

- Tęskniłeś za mną? Zaledwie godzinę temu byliśmy razem w jadalni.

Spojrzała w górę, w jego wyraziste oczy w kolorze pięknego, świetlistego brązu, które zawsze poruszały ją do głębi. Wyciągnęła rękę, pogładziła dłonią jego szorstki od zarostu policzek, silny i ciepły, i nieprawdopodobnie męski.

- Powinnam była raczej powiedzieć - odparła cicho - że cię pragnę.

Jego ramiona objęły ją ciasniej, a pożądanie zapłonęło w spojrzeniu.

- Naprawdę?

- Tak. - Musnęła wargami jego brodę, obsypała ją pocałunkami. Jej usta zsunęły się niżej, na szyję, na obnażoną pierś.

Jego dłonie również powędrowały niżej; pieszcząc jej pośladki, przygarnął ją mocniej do siebie.

- Pozwól, że dokończę toalety - rzekł, składając dwa lekkie pocałunki na jej ustach. - Zgolę tę nieprzyjemną szczecinę z twarzy i przyjdę do ciebie za kilka minut.

Objęła go mocniej.

- Nie. Pragnę cię *teraz*. - Wspięła się na palce, najwyżej, jak zdołała, i przyłgnęła do niego całym ciałem, czując jego erekcję na brzuchu. Wplotła palce w jego włosy, przyciągnęła jego głowę ku swojej. — Pragnę cię takim, jaki jesteś. - Westchnęła. - Zawsze.

Opanowała go niepoohamowana żądza. Ta kobieta wciąż go zaskakiwała. Nigdy dotąd nie odgrywała roli uwodzicielki, nigdy nie inicjowała miłosnych igraszek. Ale dziś była jak rozszalała burza, rozpalona, dzika i niepowstrzymana. Pociągnęła jego koszulę, zerwała mu ją przez głowę i cisnęła byle jak na podłogę. Jej spragnione dłonie zaczęły błędzić po jego nagich barkach, rękach, piersi, brzuchu.

Wciągnął ze świstem powietrze, gdy dotknęła go niżej -jej smukłe palce szybko rozprawiły się z guzikami spodni. Zamknął oczy, rozchylił usta, gdy jej dłoń zamknęła się wokół jego męskości. Pulsował w jej uścisku, płonął jak niedoświadczony młodzik pod jej pieścizną. Całowała go wszędzie, nawet tam, padłszy na kolana, aż nie mógł tego dłużej znieść i postawił ją z powrotem na nogi.

Uwięził w pocałunku jej usta, dzikie i nienasycone. Pokój zawirował i zniknął, pozostała tylko jedna myśl: posiąść ją.

Zajęczała z zachwytu pod dotykiem jego rąk, gdy zanurkowały pod jej koszulę nocną, odnalazły piersi, ześlizgnęły się na wypukłość pośladków. Pieścił ją, całował wszędzie z wyjątkiem tego jednego miejsca, które pragnęło go najgwałtowniej.

Z jej ust wyrwał się krzyk pożądania. Jeśli jutro miał zostać jej odebrany, to chciała mieć to ostatnie wspomnienie, które ogrzeje ją w nadchodzące zimne, samotne noce. Jeśli stanie się najgorsze. Jeśli jej tajemnica wyjdzie na jaw. Ale teraz decyzja nie należała już do niej. Ona mogła mu tylko pokazać, co do niego czuje, i mieć nadzieję, że to wystarczy.

Adrian zdjął z niej koszulę i sam się rozebrał, a potem pociągnął ją do łóżka. Odwinęli narzutę; ich spragnione ręce i usta, chciwe rozkoszy, nie mogły się nasycić dotykiem.

Jej delikatna skóra różowiła się, drapana i kłuta jego zarostem, gdy całował ją, ssał i lizał od stóp do głów. Ale jej to nie przeszkadzało -jego pieścizny, szorstkie i delikatne zarazem, były zbyt zachwycające, by się im opierać. Adrian przewrócił ją na brzuch i z równym zapałem obsypywał pocałunkami jej barki, plecy, pośladki, aż zaczęła prężyć się, jęczeć i dygotać. Wykrzykując jego imię, ścisnęła kurczowo prześcieradło, miotana zmysłową przyjemnością.

Nareszcie dotknął jej i delikatną pieścizną samych palców pośladka ją pod niebo, wysoko, wysoko, aż wybuchła niczym fajerwerk pierwotnej rozkoszy. Wstrząsana spazmami, sięgnęła szczytu.

Obrócił ją przodem do siebie i zatonął w niej tak głęboko, jak zdołał sięgnąć. A ona wyszła mu naprzeciw, poddała się, wpada-

jąc w jego rytm, gdy w niej się poruszał. Całowała jego spoconą skroń, twarz, wtuloną w jej szyję; oplótła nogami plecy.

Szczytowała natychmiast, gdy poczuła go tak głęboko w sobie; ale on jeszcze z nią nie skończył - doprowadził ją do ekstazy jeszcze jeden, ostatni raz, nim jego ciało w niej eksplodowało.

Gdy znalazł spełnienie, wykrzyknął ochryple jej imię.

- Jeannette.

Zamknęła oczy, pozwalając, by żar i rozpacz porwały ją wzbierającą falą.

Adrian powoli rozłączył się z nią i przesunął tak, by mogli się przytulić; jej głowa spoczęła na jego piersi. Oboje starali się wyrównać przyspieszone oddechy.

Imię siostry rozbrzmiewało jej w głowie -jak bolesne szyderstwo. Czy on czułby ten sam głód i tę samą rozkosz w ramionach Jeannette? Czy akt miłosny straciłby wszelkie znaczenie, gdyby Adrian poznał prawdziwą tożsamość swojej żony?

Z zamkniętymi oczyma lgnęła do niego, walcząc ze łzami. Ale one i tak przyszły, uwolniły się spod powiek i zaczęły płynąć, tworząc słone jezioro na skórze Adriana. Modliła się, by spał i tego nie zauważył.

Pogłaskał ją po włosach.

- Wszystko w porządku?

Przytaknęła ruchem głowy, mocniej wtulając mokry policzek w jego pierś.

- Czy ty płaczesz?

Pokręciła głową, pewna, że głos zdradziłby ją, gdyby przemówiła.

Nie dał się zwieść. Lekko ją uniósł.

- Płaczesz. Co się stało? - Umilkł na chwilę. - Chyba nie sprawiłem ci bólu? - zapytał przerażonym głosem.

- Nie - uspokoiła go pospiesznie. - Nic mi nie jest. - Pociągnęła nosem, otarła policzki. - To tylko ulga spełnienia.

- To coś innego niż spełnienie. - Przeciągnął dłonią wzdłuż jej ręki. - O co chodzi? Czy wrócił ból głowy?

- Nie, mówiłam ci, nic mi nie jest. Ja tylko...

- Tylko co?

Patrzyła na niego przez chwilę i nagle oplótła go ramionami, postanawiając wyznać jedyną prawdę, którą mogła się z nim podzielić. Tę najgłębszą ze wszystkich.

- Kocham cię - szepnęła.

Odsunął się odrobinę.

- Naprawdę?

Nagle wydał jej się przestraszony tym stwierdzeniem.

- Naprawdę - potwierdziła.

Po chwili ze zdziwieniem uniósł brew.

- I to jest powód do płaczu?

Śmiech wyrwał się z jej gardła mimo płaczliwego nastroju.

- Dzisiaj tak.

Przygarnął ją do siebie, zmiążdżył jej wargi pocałunkiem.

- Więc chyba poszukam sposobu na poprawienie twego nastroju.

Zaczęli od nowa swój taniec w łozu. Adrian, zgodnie z obietnicą, znalazł kilka pomysłowych sposobów na jej smutek.

Dużo później, gdy już leżała obok niego, odprężona i senna, zdała sobie sprawę, że czegoś nie zrobił. Uświadomiła sobie jego przemilczenie, które potwierdziło jej najmroczniejsze obawy. Potwierdziło, iż mądrze zrobiła, zachowując swój sekret, podtrzymując kłamstwo.

Nie powiedział, że i on ją kocha.

Suche, kruche sterty kupki jesiennych liści chrzęściły pod bucikami Violet, gdy następnego ranka szła do gloriety.

Położony kilkadziesiąt metrów od domu, okrągły pawilon pysznił się białymi, kamiennymi kolumnami z barokowymi wolutami; piękną kopułę dachu wieńczył figlarny kamienny cherubin.

Weszła do pawilonu i otuliwszy się szczerlnie płaszczem przed zimnym wiatrem, czekała na przybycie Kita. Po wschodniej stro-

nie ukazała się mała flotylla kaczek, kwacząca zawzięcie i wiosłująca nóżkami po szafirowym, gładkim jak szkło jeziorze rozposcierającym się za glorieta. Na środku tafli ryba wyskoczyła z wody. Jej łuski błysnęły srebrem w świetle dnia, nim z powrotem zniknęła w wodzie.

Violet starała się opanować dreszcze; mdliły ją ze zdenerwowania i przerażenia.

Przy śniadaniu zaniepokoiła Agnes, zjadając zaledwie jeden kęs grzanki i wypijając pół filiżanki herbaty. Przejęta pokojówka krzątała się wokół niej, opowiadając o paskudnej febrze, która krąży po okolicy. Dziewczyna upierała się, że księżna powinna zostać w łóżku i wypocząć, tym bardziej że poprzedniego wieczoru bolała ją głowa.

Ale Violet nie mogła wypoczywać. Nie mogła też spędzić całego dnia w łóżku. Musiała przyjść na umówione spotkanie, spojrzeć w oczy przeznaczeniu - czy miało ono dla niej w zanadrzu katastrofę, czy chwilowe ułaskawienie.

Usłyszała kroki. Pelerynka płaszcza Kita łopotała na wietrze, goła głowa była wystawiona na łaskę żywiołów.

- Chłodno tu - stwierdził Kit, gdy wspiał się na stopnie gloriety. - Byłoby o wiele wygodniej spotkać się w oranżerii, w zaciszu cieplarnianej roślinności.

- Nie chciałam ryzykować, że ktoś nas podsłucha - powiedziała bez wstępów. - Choć jeśli postanowiłeś wyjawić prawdę, to chyba żadna różnica, gdzie się spotykamy.

Kit roztarł zziębnięte dłonie i ruchem głowy wskazał płytką ławę, biegnącą pod ścianami budyneczku na całej ich długości.

- Usiądziemy?

Violet pokręciła głową.

- Nie, ja dziękuję, ale ty się nie krępuj, proszę, jeśli masz ochotę.

Nie przejmując się konwenansami, Kit przyjął jej zaproszenie i usiadł.

Violet przeszła kilka kroków w jedną stronę, potem w drugą, wreszcie zatrzymała się i obróciła na pięcie w kierunku Kita.

- Skróć tę mękę. Powiedz mi, co zdecydowałeś. Nie mogę tego dłużej znieść.

- Dobrze więc - zaczął. - To nie była łatwa decyzja, tego możesz być pewna. Mnóstwo o tym myślałem przez całą noc i jeszcze dziś rano. O wiele więcej, muszę wyznać, niż jestem przyzwyczajony. A jeszcze przy napięciu, jakie ostatnio odczuwam... cóż, głowa porządnie mnie od tego wszystkiego rozboleła.

- Do diabła z tym, Kit. Po prostu mi powiedz. - Jej wybuch zaskoczył ich oboje.

Kit uniósł brew, zupełnie jak jego brat.

- To udawanie Jeannette naprawdę daje ci się we znaki, co?

- Kit, proszę.

Wreszcie ustąpił.

- No dobrze. Wbrew zdrowemu rozsądkowi postanowiłem zachować twój sekret w tajemnicy.

- Och, chwala Panu. - Wraz z ulgą Violet poczuła słabość w nogach; nagle pożałowała, że jednak nie usiadła. Chwyliła się jednej z kolumn w obawie, że zaraz się przewróci.

- Jeszcze będziesz się mu naprzykrzać - odparł Kit, zerkając w niebo - jeśli Adrian kiedykolwiek się domyśli. Wtedy naprawdę będzie ci potrzebna modlitwa. Podtrzymuję to, co powiedziałem wcześniej. Jeśli zapyta, nie będę mu kłamał, kim naprawdę jesteś.

- Ale sam mu nie powiesz? - upewniła się Violet.

- Nie powiem mu, dopóki nie zapyta wprost. - Westchnął. - Dałaś jej się wpędzić w niezłą kabałę, co? Już pierwszego wieczoru po przyjeździe powinienem był się zorientować, że nie jesteś Jeannette. Wykazałaś zbyt dużo zrozumienia dla moich kłopotów. Twoja siostra z pewnością umarłaby ze śmiechu, słysząc o szczegółach.

Znając swoją bliźniaczkę, Violet domyślała się, że Jeannette dokładnie tak by się zachowała.

- Jesteś też bardziej zrównoważona - ciągnął. - Nie rozumiem, dlaczego Adrian, mimo zmienności jej nastrojów, tak ją polubił. A poza tym na pewno byłaby już całkowicie zaangażowana w planowanie jakiegoś balu, próbując ściągnąć do domu wszystkich sąsiadów z okolicy w promieniu stu kilometrów, choć to nie wypada nowożeńcom. Problem w tym, że mój brat z trudem znosi wielkie imprezy. Zapewne tak się cieszy spokojem, że woli nie ryzykować własnego szczęścia.

Violet splotła dłonie i opadła na żeliwną ławkę obok Kita.

- Więc to aż tak oczywiste, że ja tylko udaję siostrę?

Jego oczy błysnęły wesoło.

- Teraz tak. Kiedy już widzę wszystko przez pryzmat prawdy. Ale, do licha, jesteś naprawdę świetna w mydleniu wszystkim oczu. Gdyby nie twoje upodobanie do łaciny, to wątpię, czy kiedykolwiek bym się zorientował.

- Mama zawsze mi powtarzała, że zbyt duże zamiłowanie do nauki doprowadzi mnie kiedyś do smutnego końca.

Jej słowa zawisły między nimi, łaskocząc niczym piórka. Uśmiechnęli się do siebie i w końcu wybuchnęli śmiechem, odzyskując w obcowaniu z sobą dawną swobodę.

- Ale w zamian za moje milczenie - oznajmił Kit - spodziewam się rekompensaty.

- Cokolwiek zechcesz. Co mogę zrobić dla ciebie?

- Po pierwsze, pomóż mi z łacińskimi przekładami. Ten staruch zamęczy mnie na śmierć.

Znów się roześmiała.

- Chętnie. A co z greką? Jak sobie z nią radzisz?

Kit osłupiał.

- Boże drogi, znasz także grekę?

Skinęła głową.

- Prawdę mówiąc, posługuję się nią lepiej niż łaciną. Wszak greka nie jest martwym językiem.

Kit pokręcił głową, zdumiony.

- Więc dopisuję ją do listy twoich zadań. - Zapadła chwila ciszy. Kit bawił się liściem, który znalazł na ławce. W końcu rzucił go na ziemię. - Myślę, że powinnaś wszystko wyznać Adrianowi. Zawsze im dalej, tym gorzej, kiedy człowiek tkwi w kłamstwie. Uwierz mi, przemawia przeze mnie doświadczenie. Z moim bratem zawsze lepiej się przyznać i stawić czoło furii. Potraktuje cię łagodniej, jeśli tak zrobisz.

Ale czy naprawdę mógł potraktować łagodniej ją, kobietę, która zwiódła go w tak fundamentalnej kwestii? Jak wyznać mężczyźnie, że jego żona nie jest tą kobietą, za którą się podaje? Co można powiedzieć? „Kochanie, jest pewien drobiazg, o którym powinienś wiedzieć. Okłamywałam cię przez cały czas. Moja siostra i ja zamieniłyśmy się przy ołtarzu, czyż to nie zabawne? Poślubiłeś niewłaściwą siostrę”.

Niewłaściwa siostra. Czy tylko nią była? A co gorsza, czy właśnie tak pomyśli Adrian, kiedy odkryje prawdę?

Zadrzała, lecz nie z zimna.

- Już ci mówiłam. Nie mogę ryzykować.

Nie poruszył więcej tej kwestii.

- Wracajmy do domu - powiedział po chwili milczenia. - Głupio byłoby się przeziębic.

- Masz rację - przyznała.

Kit podniósł się i wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać.

Przyjęła jego dłoń i przez chwilę przytrzymała, nim puściła.

- Kit?

- Tak?

- Skoro najwyraźniej nie pochwalasz mojego postępków, dlaczego nie zamierzasz mnie wydać?

Schował ręce do kieszeni.

- Cóż, odpowiedź jest prosta. On czuje się przy tobie szczęśliwy. A jakie ja mam prawo mieszać się do jego szczęścia?

Adrian ściągnął cugle konia i przeszedł z galopu do kłusa. Owiewał go chłodny wiatr, który raczej dodawał wigoru, niż

ziębił rozgrzane wysiłkiem ciało. Zapachy jesieni - suchych liści, na wpół zmrożonego błota, uśpionej trawy - przesycały powietrze.

Gdy kierując się na skróty ku stajniom, przeciął teren trawnika na tyłach domu, jego oczom ukazało się jezioro, gładkie i błękitne w pogodny dzień.

Nagle jego oczy pochwyciły błysk czerwieni. Tam, w pawilonie. Zorientował się, że to płaszcz, otulający znajomą kobiecą postać. Rozpoznał ją z daleka.

Jego żona.

Porzucenie ciepłej przystani jej ramion było tego ranka torturą. Jej długich włosów, rozsypanych jak promienie słońca na poduszkach, jej słodkiego zapachu na pościeli, na jego skórze. Gdy zamknął oczy, czuł go nawet teraz.

Kochała go, wyznała to ostatniej nocy. Ciepły blask wypełnił jego wnętrze. Taka deklaracja z jej ust nie powinna była sprawić mu radości. Ale sprawiła. I to ogromną, choć musiał przyznać, że jego odczucia były bardzo egoistyczne.

Czy on ją kochał?

Zawsze uważał miłość za stek bzdur prowadzących do samozniszczenia - ale ostatnio zaczął się zastanawiać. Kiedy był z nią, myśl o zakochaniu się nie wydawała mu się już tak nieprawdopodobna.

Ściągnął wodze Merkurego, wstrzymał konia. Dopiero wtedy dostrzegł, że nie była sama.

Kit.

Poznał ciemne loki i smukłe, mocne ramiona brata. Zaczął obserwować parę siedzącą w gloriecie. O czym mogli rozmawiać? I dlaczego robili to na dworze w tak chłodny poranek? To było zupełnie niepodobne do obojga.

Jeannette nie należała raczej do nieugiętych dam, które wypuszczają się na spacerzy niezależnie od pogody. A i Kit zanadto cenił sobie komfort, by ryzykować przeziębienie i wychodzić z domu bez powodu.

Ale z drugiej strony, może zrobiło im się duszno w domu i zapragnęli łyknąć świeżego powietrza. Wiedział, że pastor Dittlesby niemożliwie piłuje brata, zgodnie zresztą z planem. Adrian uśmiechnął się do siebie. Należy się chłopakowi za to, że dał się wyrzucić. Może następny semestr na uniwersytecie nie będzie mu się wydawał tak straszny po kilku tygodniach korepetycji z głuchym staruszkim.

Merkury zarżał cicho, rzucił niecierpliwie głową, niespokojnie bijąc kopytami o wilgotną, zimną ziemię. Adrian wyciągnął rękę, by poklepać spoconą szyję wałacha, zastanawiając się, czy podjechać do żony i brata.

Patrzył dalej. Kit wstał i podał dłoń swojej towarzyszce. Ona przyjęła jego pomoc. Ale uścisk ich dłoni nie zakończył się natychmiast; wymienili jeszcze kilka słów, nim się rozdzielili.

Cokolwiek powiedział Kit, wywołało to gwałtowny rumieniec na policzkach Jeannette, iskrę radosnego zadowolenia, widoczną wyraźnie nawet z daleka.

Najwyraźniej ta dwójka zdążyła się już żyć ze sobą. Czuli się swobodnie i zachowywali jak siostra i brat. Adrian cieszył się z tego. Pragnął, by żona zaprzyjaźniła się z jego rodziną. Mimo wszystko był ciekaw, o czym mogli dyskutować w tak doskonałej komitywie.

Gdy tak dumał, Kit zbiegł z niskich kamiennych schodków pawilonu i ruszył w stronę domu. Jeannette odczekała pełną minutę, nim zrobiła to samo. Niemal jakby nie chciała, by ktoś zobaczył ich dwoje wracających razem.

Adrian obserwował żonę, aż zniknęła w drzwiach domu. W końcu lekkim uciskiem kolan popędził konia i ruszył do stajni.

- Jeszcze herbaty, lady Carter? - zapytała Violet.

Millicent Carter skinęła swą elegancką, srebrnowłosą głową.

- Dziękuję, chyba się jeszcze napiję. - Podała filiżankę.

Violet z trudem uniosła ciężki dzbanek z Sevres. Porcelana była różowa, malowana w delikatne bukieciki leśnych dzwon-

ków. Nalała herbaty i poczuła ulgę zabarwioną dumą, że dokonała tej niełatwej sztuki i oddała filiżankę gościowi, nie roniąc ani kropelki.

- Ciasteczko? - Uniosła talerz z bogatym wyborem apetycznych słodkości.

- Nie, dziękuję Wasza Księżęca Mość, choć w istocie są przepyszne. Koniecznie proszę pochwalić kucharza. To Francuz, czy tak?

- Tak. Francois to istny skarb. Przyjechał z Paryża z rodziną księżnej wdowy kilka lat przed wojną. Pracował w Winterlea od początku małżeństwa rodziców męża.

- A ja bym prosił jeszcze jedno ciasteczko - wtrącił męski głos.

Violet przekręciła głowę w stronę mówiącego i napotkała psotne spojrzenie szwagra. Niezależnie od okazji i humoru Kit zawsze miał apetyt. Jedzenie było, jak sam skwapliwie przyznawał, jego jedynym prawdziwym powołaniem.

Podawała mu talerz.

Lady Carter upiła łyk herbaty.

- A jak się miewa droga księżna wdowa? Opiekuje się córką, o ile wiem? Biedna Sylvia zapewne już na dniach...

- Dziecko ma przyjść na świat w przyszłym miesiącu - wyjaśniła Violet. - Wszyscy niecierpliwie czekają na te narodziny. Przekażę pani uszanowania w następnym liście.

- Bardzo to miło ze strony Waszej Księżęcej Mości. - Starsza pani napiła się jeszcze i odstawiła filiżankę. - Szkoda, że nie mogli się cieszyć atrakcjami tegorocznego małego sezonu. Carter i ja wybieramy się w przyszłym tygodniu do Londynu, by skorzystać jeszcze, ile się da, i zostaniemy prawie do Bożego Narodzenia. Czy państwo mają podobne plany?

Jechać do Londynu? Violet miała szczerą nadzieję, że nie. Choć zapewne kiedyś będą musieli pojechać. Ale z pewnością nie wcześniej niż wiosną.

- Nie mamy jeszcze sprecyzowanych planów - odparła.

- Planów w jakim względzie? - Adrian wszedł do salonu, jak zwykle elegancki w ciemnobrazowym żakiecie i spodniach. - Lady Carter, jak miło panią widzieć. - Skłonił się na powitanie. - Nie było mnie w domu, doglądałem jednej z moich farm. Inaczej przyłączyłbym się wcześniej. Czy lord Carter dziś pani nie towarzyszy?

- Nie, Wasza Księżca Mość. - Starsza dama skłoniła głowę. - Przesyła przeprosiny. Podagra okropnie mu dokuczają przez te ostatnie chłody. Właśnie mówiłam księżnej i pańskiemu bratu, że planujemy w przyszłym tygodniu wyjechać do miasta. Może zmiana otoczenia korzystnie wpłynie na zdrowie Cartera.

- Miejmy nadzieję. - Adrian usiadł na prostym krześle, jakie zajmowała również lady Carter, na wprost sofy, na której siedzieli Violet i Kit.

Nie pytając, Violet przygotowała Adrianowi filiżankę herbaty - ze śmietanką, bez cukru, tak jak lubił - i podała mu napój.

Uniósł się z krzesła, przyjmując filiżankę z pełnym wdzięczności uśmiechem.

- Kit, podaj bratu racuszki - rzuciła.

Kit otrzepał okruszki z palców i zrobił, o co prosiła.

- Księżna mówi, że państwo nie macie jeszcze planów na resztę jesieni. - Lady Carter zwróciła na Adriana parę przejrzystych, niebieskich oczu. - Koniecznie musicie przyjechać do miasta. Jeśli się zdecydujecie, Carter i ja z rozkoszą wydamy bal na waszą cześć.

Violet pospieszyła, by zdusić ten pomysł w zarodku.

- To niezwykle łaskawie z pani strony, lady Carter, ale...

- Tak, niezwykle łaskawie - przerwał jej Adrian. - Chciałaś pojechać, moja droga? Na pewno mężczy cię już to siedzenie na wsi. Kilka tygodni w mieście może być miłą odmianą. Właśnie dziś rano dostałem list od mojej siostry, Anny. Ona i Jameson też tam będą. Zabierają ze sobą najstarszą córkę, by jej pokazać londyńskie atrakcje. Jeszcze rok i Lydia będzie dość duża na debiut.

Violet omal nie zakrztusiła się herbatą. Nie! - chciała krzyknąć, nie ma mowy! Nie jedziemy do Londynu.

Ugryzła się w język i wbiła wzrok w podolek, rozpaczliwie starając się ukryć przerażenie, które musiało bić z jej oczu. Jeanette, oczywiście, nie posiadałaby się z radości na myśl o Londynie. A jeszcze bardziej zachwyciłaby ją perspektywa balu wydane-go specjalnie na jej cześć.

Ale ona chciała skulić się w kącie i modlić, by do tego nie doszło.

Zacisnęła pięść pod fałdami spódnicy, mobilizując siłę woli. Musiała to zrobić. Musiała udawać.

Przywołała na usta promienny uśmiech i uniosła wzrok.

- Wyjazd do miasta to cudowny pomysł - skłamała umyślnie. - Martwię się tylko, kochanie, że to cię oderwie od obowiązków w domu.

Adrian rozsiadł się wygodniej na krześle.

- Prawdę mówiąc, mam interes w Londynie. Zamierzałem powiedzieć ci o tym po południu, ale lady Carter poruszyła ten temat, nim ja miałem okazję.

Ostatnia iskierka nadziei zgasła jak zdmuchnięta świeca. Ze ściśniętym sercem Violet klasnęła w dłonie, udając zachwyty.

- No proszę, czyż to nie ekscytujące? Spędzimy resztę małego sezonu w mieście. Już się nie mogę doczekać.

Adrian posłał żonie uśmiech, najwyraźniej zadowolony, że ją uszczęśliwił. Gdyby tylko znał prawdę, pomyślała.

- Wspaniale - oznajmiła lady Carter. - Natychmiast zaczęć układać listę gości. Zostanie zaproszona sama śmietanka, zapewniam. - Zamachała rękami. - Jak cudownie. Wprost uwielbiam bale.

- A któż ich nie uwielbia? - Violet roześmiała się, by ukryć własną rozpacz. Czuła, jak ze zdenerwowania jej palce zmieniają się w soplek lodu.

Lady Carter zawtórowała jej wesołości. Panowie zachowywali się bardziej powściągliwie.

Violet dostrzegła kątem oka, że Kit założył nogę na nogę. Nie śmiała spojrzeć wprost na niego, wiedząc, że może się rozkleić, jeśli dostrzeże w jego oczach współczucie. Patrzyła więc gdzie indziej, starając się udawać ożywienie i radość, choć w duchu wiała się z rozpacz.

Lady Carter opuściła ich kilka minut później, wymieniwszy z gospodarzami gorące zapewnienia, że wkrótce spotkają się w mieście. Gdy jej powóz odjechał, Violet, po powrocie na kanapę, pozwoliła sobie na mały luksus chwilowej ulgi.

- A więc postanowione. - Adrian wstał z krzesła i wziął ostatnie ciastko z talerza. Jedyne, które uszło uwagi Kita. - Kiedy wyjedziemy?

- Och, nie wiem. Muszę się skonsultować z Marchem i panią Hardwick, powiadomić ich o naszej decyzji. Trzeba posłać przodem służbę, by przygotowała londyński dom do zamieszkania. Trzeba zostawić instrukcje dotyczące sprawowania pieczy nad Winterlea. To niemałe przedsięwzięcie.

- Więc tydzień. Czy to dość czasu?

Z pewnością nie, pomyślała, ale będzie musiało wystarczyć. Tygodniowe odroczenie. Cóż, chyba nie mogła liczyć na więcej.

- Tak, tydzień będzie w sam raz. - Przywołała kolejny słowny uśmiech na twarz.

Adrian wrzucił tartę do ust.

- Mmm, cytrynowa.

- Kit oczywiście jedzie z nami - dodała Violet.

Adrian przestał poruszać szczękami i przełknął gwałtownie.

- Kit musi się uczyć. Zostaje tutaj.

Machnęła lekceważąco ręką, dokładnie tak, jak zrobiłaby to jej siostra.

- Och, nie opowiadaj. Czy nie został już wystarczająco ukarany?

- Jego edukacja to nie kara. - Adrian nachmurzył się.

Zignorowała jego spojrzenie.

- Wszyscy inni mają na to odmienny pogląd. Z całym szacunkiem dla kochanego pastora.

Kit odchrząknął.

- Hm... Jeannette, może to nie jest pora...

- Oczywiście, że jest pora - przerwała mu. - Od samego przyjazdu Kit był bardzo pilnym uczniem. Nawet ty musisz przyznać, że zasłużył sobie na chwilę zabawy. - Wstała i podeszła do męża. Patrząc mu w oczy, przeciągnęła palcem po szwie jego kamizelki. - A poza tym, jeśli zostanie tu sam, to kto dopilnuje jego nauki? Pomyśl o wszystkich kłopotach, w jakie może się wpakować, pozostawiony bez nadzoru.

Adrian uwięził jej dłoń pod swoją.

- Skąd ta troska? Czy on cię aby nie przekabacił?

- Jakżeby mógł? Decyzja o wyjeździe do Londynu zapadła dopiero kilka minut temu. - Posłała mu czarujący uśmiech i zniżyła głos. - Po prostu nie mogę patrzeć, jak ktoś cierpi. Nawet on. Miej litość, kochany. Przecież to twój brat.

Adrian przeniósł spojrzenie na Kita, wbił wzrok w jego oczy.

- Żadnego hazardu. Żadnego picia. Żadnych kobiet. Czy to jasne?

Kit zerwał się na nogi.

- Jak kryształ.

- I będziesz się dalej uczył. Sam będę sprawdzał twoje postępy.

- A sprawdzaj do woli.

- W styczniu staniesz do egzaminów. Wszystko już ustalone z władzami uniwersyteckimi. I zdasz te egzaminy.

- Śpiewająco, bez obawy.

- A jeśli dopuścisz się choć jednego naruszenia regulaminu, to nie tylko wrócisz do domu, ale też dopilnuję, by pastor towarzyszył ci bez przerwy. Od rana do nocy, każdego dnia.

Kit zadrżał.

- Nie martw się. Nie zawiodę cię. I tym razem mówię poważnie.

Adrian posłał mu jeszcze jedno surowe spojrzenie.

- Dobrze więc. W takim razie możesz jechać z nami do Londynu. - Spojrzał na żonę. - Zadowolona?

- Ogromnie. To by było takie okrutne, zostawiać go tu całkiem samego.

- Gdzież tam samego. W posiadłości jest ponad setka służby.

- Nie może się bratać ze służącymi. Czuli by się nazbyt skrupowani.

Potrzebował chwili, nim dotarło do niego znaczenie jej słów. W końcu roześmiał się głośno.

- To zapewne znaczy również, że chcesz zabrać z nami Horacego?

- Skoro Kit nie może tu zostać sam, to Horacy również.

- Zdaje się, że właśnie zostałem obrażony - pożałił się Kit.

- Skądże znowu. - Uśmiechnęła się. - Ty przecie nie potrzebujesz, by Robert wyprowadzał cię na spacer.

14

Dopiero następnego dnia Violet miała okazję pomówić z Kitem sam na sam.

Znalazła go w bibliotece. Wyraz niesmaku szpecił jego miłe rysy, na kolanach leżało otwarte wielkie tomiszcze.

Uniósł wzrok, kiedy weszła.

- Dzięki, ci, litościwy Boże, nareszcie wybawienie. Wielebny Dittlesby usadził mnie tutaj godzinę temu z tą piekielną, nudną cegłą o wojnie stuletniej. Powiedz, czy po pierwszych pięćdziesięciu latach ktoś z nich jeszcze pamiętał, o co się biją? - Zamknął z trzaskiem książkę. - A tak przy okazji, dziękuję, że wyrwałaś mnie stąd na wycieczkę do miasta. Gdy Adrian dziś rano oznaj-

mił to pastorowi, staruszek tak kręcił nosem, że o mało go sobie nie urwał.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Osunęła się na fotel obok niego. - Ale nie zrobiłam tego wyłącznie z altruistycznych powodów.

- Dlaczego więc? Sam byłem ciekaw.

Pochyliła się do przodu, zniżyła głos.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Jego ciemne brwi ściągnęły się nad nosem.

- Jakiego rodzaju?

- Rozpaczliwego. - Splotła dłonie tak mocno, że pobiełały jej kostki. - Tylko do ciebie mogę się zwrócić, bo tylko ty znasz prawdę.

Patrzył na nią w milczeniu, czekając na ciąg dalszy.

- Och, Kit - ciągnęła płaczliwie. - Ten wyjazd do Londynu będzie kompletną katastrofą. Nie dam rady grać swojej roli. Zostanę zdemaskowana na pierwszym przyjęciu, na którym postawię stopę. Wszyscy się zorientują.

- Do tej pory nikt niczego nie spostrzegł. Dlaczego w Londynie miałoby być inaczej?

- Bo ja jestem inna. Bo nie jestem Jeannette. Nietrudno mieć kilku wiejskich sąsiadów, którzy nigdy jej nie widzieli. Ale zupełnie *co innego* przekonać kilkaset osób z samych szczytów socjety, ludzi, którzy dwa razy obwołali ją królową sezonu, że ja jestem niedościgną lady Jeannette.

- Nabrałaś lorda i lady Carter. Oni poznali ją już wcześniej.

- Ale to było tylko dwoje ludzi, a nie duża grupa. - Zaczęła gorączkowo pocierać koronkowe przybranie sukni. - Już samo wejście w tłum sprawia, że język mi kołowacieje, w głowie mam zupełną pustkę i ruszam tylko ustami jak ryba wyciągnięta z wody. Na pewno pamiętasz, jak to wygląda. Spotykałeś mnie wcześniej, kiedy byłam jeszcze sobą.

Tak, pamiętał. Nieśmiała, skrępowana, milkliwa - zachowywała się dokładnie tak, jak to opisała. Mimo niezaprzeczalnej

urody, gdy dokonano już prezentacji, ludzie zwykle szukali ciekawszego obiektu. Przez ten brak błyskotliwości nie zapadała nikomu w pamięć. Jeszcze jeden nieśmiały kwiatek wśród innych, jakich pełno pod ścianami każdej sali balowej, samotny na krześle w kącie, niechciany przez nikogo.

Zawstydził się nieco, uświadamiając sobie, że i jego pierwotna ocena nie różniła się od opinii innych. Teraz, kiedy ją poznał i polubił, zrozumiał, jak mylne było jego pierwsze wrażenie. Wiedział jednak, że większość osób z towarzystwa nie zmieniła by swego poglądu, nawet gdyby poznali prawdę.

- W istocie, masz rację - odparł zadumany. - Wierzę jednak, że zdołasz to przezwyciężyć.

Pokręciła gwałtownie głową.

- Nie, nie, to absolutnie niemożliwe. Och, Kit, co ja mam począć?

Wyprostował się z poważną miną.

- Na początek, miej trochę wiary w siebie. I we mnie, skoro już o tym mowa. Prosiłaś mnie o pomoc, tak?

- Tak - przyznała z wahaniem.

- Więc mi zaufaj. Do tej pory doskonale sobie radziłaś z mydleniem oczu wszystkim, zwłaszcza mojemu bratu. A jeśli zdołałaś oszukać jego, to nabierzesz każdego. Wszystko zależy od nastawienia.

- Nastawienia?

- Uhm. I od konsekwencji. -W zamyśleniu przycisnął palec do ust. - Pozwól, że pomyślę nad strategią, a potem spotkamy się, by ją omówić.

- A co z twoimi lekcjami?

- Z lekcjami sobie poradzę, dopóki będziesz mi pomagać z łaciną i greką. Hm, to mi nasuwa pewien pomysł. - Pokiwał palcem w jej stronę. - Powinniśmy i tobie dawać lekcje.

- Mnie?

- Uhm. Przy odpowiednim instruktazu z pewnością zdołasz się nauczyć, jak paplać o niczym z największymi mistrzami

paplaniny. A teraz zmykaj, zanim ktoś zacznie się zastanawiać, dlaczego dwójka tak zatwardziałych przeciwników książek siedzi razem w bibliotece.

Skinęła głową i wstała z fotela. W drodze do drzwi zatrzymała się i odwróciła.

- Kit. Dziękuję. Za wszystko.

Zbył jej podziękowanie lekceważącym gestem.

- Nie martw się. Po prostu dopiszę ci to do rachunku. - Uśmiechnął się szeroko i wygonił ją niedbałym machnięciem.

- Było nieźle, ale spróbujmy jeszcze raz.

- Och, Kit, to na nic -jęknęła Violet. - Nigdy nie będę się czuła swobodnie w rozmowie z obcymi. A ty przecież nie jesteś obcy. - Zerwała się z fotela w swoim gabinecie i zaczęła chodzić po pokoju. — Wszystko pięknie, kiedy się bawimy w teatrzyk, ale w prawdziwej sytuacji zeszywnieję jak tamten pogrzebac. - Wskazała palcem narzędzie przy kominku.

- Nastawienie - oznajmił. - To tylko kwestia nastawienia. Jesteś księżną. Musisz tylko o tym pamiętać i zachowywać się zgodnie ze swoim statusem. Twoja siostra z pewnością by to potrafiła.

- Tak, ale jej to przychodzi naturalnie. Ona chyba od urodzenia umiała rozmawiać z ludźmi. A ja tylko leżałam w kołysce i gapiłam się w milczeniu. Pewnie nawet nie machałam grzechotką.

- Już to przerabialiśmy. - Kit westchnął. - Pozwalasz, by twoje lęki brały górę, zupełnie niepotrzebnie. Kiedy jesteś na spotkaniu towarzyskim, powtarzaj sobie w duchu: „Jestem księżną Raeburn. Nikt w tym pokoju nie stoi wyżej ode mnie”. Powiedz to.

Odchrząknęła.

- Jestem księżną Raeburn. - Jej słowa brzmiały pusto, niepewnie. - Nikt w tym pokoju nie stoi wyżej ode mnie.

- Podbródek do przodu - polecił Kit. - Powiedz to jeszcze raz, ale tym razem z większym przekonaniem.

Wzięła głęboki wdech, próbując dodać pewności brzmieniu swojego głosu.

- Jestem księżną Raeburn. Nikt w tym pokoju nie stoi wyżej ode mnie.

- Dobrze. O wiele lepiej.

- A co z Prinnym*? - wypaliła.

- Cóż z nim? - Kit zmarszczył brwi na tę uwagę bez związku.

- On stoi wyżej ode mnie. Przewyższa rangą nawet Adriana. Jakie pomocne mądrości mam sobie przepowiadać, kiedy natknę się na księcia?

- Powiedz sobie, że to tylko mężczyzna, a potem uśmiechnij się promiennie i zatrzepocz rzęsami. O ile znam naszego szacownego regenta, będzie zbyt oczarowany twoją urodą, by zwracać uwagę na to, co mówisz. - Kit pochylił się do przodu w fotelu. - A teraz powiedz to jeszcze raz, ale tym razem naprawdę w to uwierz.

Violet wyprostowała ramiona i uniosła dumnie głowę.

- Jestem księżną Raeburn. Nikt w tym pokoju nie stoi wyżej ode mnie.

- Wspaniale! Musisz tylko pamiętać o tym w przyszłym tygodniu, kiedy pojawisz się na pierwszym balu. Pamiętaj o tym, i wierz, że to prawda.

- Do wyjazdu zostały zaledwie cztery dni. - Usiadła ponownie i spłotła nerwowo dłonie. - Myślisz, że będę gotowa?

- Będiesz. Musisz być. A teraz, co to są dwa P?

- Protekcyjność i pogawędka - odparła. - Łaskawie zgodzę się na pogawędkę tylko wtedy, gdy będę miała na nią ochotę.

- Świetnie. Bezpieczne tematy? - przepytywał ją.

- Pogoda. Miłe uwagi na temat przyjęcia i gospodarzy. Z kobietami, moda i kobiece plotki. Z mężczyznami konie, polowa-

* Mowa o ówczesnym następcy tronu, Jerzym Auguście Fryderyku, późniejszym królu Jerzym IV Hanowerskim, znanym z hulaszczego trybu życia (przyp. tłum.).

nie, a od czasu do czasu wydarzenia na świecie, tylko uważać, by nie wykazać się zbyt dużą wiedzą na żaden z tematów. Ale co z przyjaciółmi mojej siostry?

- Już to omawialiśmy. Pozwalaj, by to głównie oni mówili, a jeśli ktoś zwróci uwagę na twoją powściągliwość, informuj, że twój nowy status nauczył cię doceniać sztukę słuchania. Arogancja i autorytet doskonale rozwiewają wszelkie podejrzenia.

- Wiem, że masz rację, a jednak boję się, że ze zdenerwowania zapomnę wszystko, co wbijałeś mi do głowy przez ostatnie dni.

- I dlatego potrzebne ci dodatkowe ćwiczenia. Im więcej będziesz ćwiczyć, tym mniejsza szansa porażki. Wszak nie chcesz, by cię zdemaskowano, prawda?

- Nie. - Zadrżała.

- Nie chcesz, by Adrian się dowiedział?

- Na Boga, nie.

- No więc weź się w garść i pokaż, że potrafisz.

Posłała mu mordercze spojrzenie.

- Poczekaj tylko, aż zaczniesz się pocić nad swoimi lekcjami. Możesz się przekonać, że zostawiłam ci do samodzielnego przekładu wszystkie najtrudniejsze fragmenty.

Otworzył usta i po sekundzie zamknął je gwałtownie, blednąc jak ściana.

- Nie zrobiłaś tego.

- Nie, ale mogłam, więc nie bądź złośliwy.

- Nie jestem złośliwy. Po prostu zachęcam cię w stanowczy sposób.

- Tak? Więc pamiętaj, proszę, że kiedy ja nie zechcę odrabiać za ciebie wszystkich zadań, to po prostu zachęcę cię w stanowczy sposób. Ostatecznie to nie ja będę musiała stanąć do egzaminów po Nowym Roku.

Kit burknął pod nosem.

- Masz w sobie niemało okrucieństwa, wiesz o tym? Dlatego jestem taki pewien, że doskonale sobie poradzisz w towarzystwie.

A teraz wróćmy do pracy. Udawaj, że bierzesz udział w raucie i u twego boku zjawia się książę Wellington. Co mówisz?

- Posyłam mu skapy, grzeczny uśmiezek i mówię...

Nagle zza zamkniętych drzwi gabinetu dobiegł ich głośny huk, a w następnej chwili rozpaczliwe zawrodoenie. Oboje pospieszyli odkryć przyczynę harmideru.

W pokoju muzycznym stała jedna z pokojówek, z oczami wielkimi jak spodki, z dłońmi zaciśniętymi kurczowo na drobnej piersi. U jej stóp, w kałużu wody, leżała kupka lili i roztrzaskanej porcelany.

Violet ogarnęła scenkę spojrzeniem.

- Tina, cóż to się stało? Nic ci nie jest?

Pokojówka spojrzała na nią i dygnęła.

- Nie, Wasza Książęca Mość, mnie nic. Ale... Wasza Książęca Mość, ja nie wiem, jak to się mogło stać. Zawsze jestem taka uważna z delikatnymi rzeczami, przysięgam się na Boga. Odkurzałam tutaj i polerowałam meble. Odstawiłam wazon tam, na drugą stronę pokoju... zawsze tak robię, jak czyszczę fortepian, żeby nie narozlewać wody na to śliczne drewno, a kiedy chciałam przenieść wazon z powrotem na miejsce... no to ja nie wiem. W jednej chwili wszystko było dobrze, a w następnej o cosik zawadziłam i wazon poleciaaał... -Wydała z siebie kolejny rozpaczliwy pisk, przyciskając pięć do ust. - Strasznie przepraszam.

Violet popatrzyła na bałagan - kałużę wody, mokre kwiaty i szczątki ślicznego wazonu, z którego zostało tylko morze białych i niebieskich skorup. Urocze pół twarzy pastreczki zerknęło na nią jednym okiem z poszarpanego odłamka.

- No cóż, Tino - zaczęła. - To rzeczywiście wielka szkoda. Ale teraz nie ma już co...

- Boże miłosierny, a cóż tu się stało? - Do pokoju wmaszerowała pani Hardwick w sukni z czarnej bombazyny, wykrochmalonej i sztywnej jak rycerska zbroja. Obrzuciła scenę twardym, ponurym spojrzeniem, po czym wbiła je w młodą pokojówkę, której policzki momentalnie przybrały kolor mąki.

- Tina - rzuciła groźnie ochmistrzyni. - Czy to twoja sprawa? - Wskazała swym kanciastym podbródkiem bałagan na podłodze.

- Ano, psze pani - pisnęła dziewczyna cichym, nieśmiałym głosem, nie podnosząc wzroku.

Ochmistrzyni spojrzała na dwoje świadków.

- Wasza Książęca Mość. Milordzie. Bardzo mi przykro, że ten nieszczęsny incydent zakłócił państwu spokój. Ale już tu jestem i podejmę odpowiednie kroki, by załatwić tę sprawę jak należy.

- Pani Hardwick, Tina wyjaśniła, co się stało — powiedziała Violet. Sama czuła się jak uczennica przyłapaną na występku. - Najwyraźniej był to wypadek. Dziewczyna potknęła się o dywan. Może powinno się obejrzeć, czyjego brzegi nie są zniszczone, by zapobiec temu na przyszłość.

Pani Hardwick spojrzała na nią z góry i przytaknęła słabym skinieniem głowy.

- Właśnie mówiłam Tinie, kiedy pani przysła— ciągnęła Violet - że powinna pójść po zmywak i szczotkę, by posprzątać ten bałagan.

- O, posprząta, i owszem, a potem sobie pójdzie.

Tina wydała z siebie żaloszny lament, objęła się rękami w talii. Dwie grube łzy potoczyły się po jej bladych policzkach.

- Nie, psze pani. Błagam.

- Ani słowa, moja panno - zbeształa ją ochmistrzyni.

- Pani Hardwick, doprawdy nie wydaje mi się...

- Wasza Książęca Mość nie musi sobie więcej zaprzatać głowy tą sprawą. Wszystko zostanie załatwione. - Starsza kobieta splotła ręce, najwyraźniej czekając, aż Tina wyjdzie.

Violet się zawahała.

- Cóż, chyba... zapewne. Ale co pani miała na myśli? Mówiąc, że sobie pójdzie.

- Dokładnie to, co powiedziałam. Dziewczyna zostanie odprawiona.

Tina na nowo zanosła się płaczem, łzy popłynęły strumieniem.

- Odprawiona? - powtórzyła Violet. - Ależ to nie jest konieczne. To był zwykły wypadek, nie stała się żadna wielka szkoda. To tylko stłuczony wazon.

Pani Hardwick wyprostowała swoje wysokie ciało.

- Ten wazon należał w przeszłości do drugiej księżnej Raeburn, praprababki Jego Księżęcej Mości. Przywiozła go ze sobą z Austrii, gdy poślubiła księcia. Nie ma takiego drugiego. Jego Księżęca Mość będzie mocno niezadowolony, kiedy się dowie o tak dotkliwej stracie.

Violet zerknęła na Kita, ale widząc wyraz jego twarzy, zrozumiała, że nie będzie miała z niego pożytku. Wyglądał niemal tak samo skrępowany jak ona. Och, jakże nienawidziła kłótni i konfrontacji.

Spojrzała w oczy starszej kobiety i zebrała wszystkie siły, by się nie ugiąć.

- Cóż, nawet jeśli, to dziewczyna nie stłukła go umyślnie. Przecież musi być inny sposób, by mogła to zrekompensować. Może drobna obniżka uposażenia, dopóki nie...

- Proszę wybaczyć, Wasza Księżęca Mość - odparła ochmistrzyni z fałszywą słodyczą. - Ale choćby ta poślednia służąca harowała całe życie, nie zdoła spłacić nawet ułamka wartości tego wazonu. Pozwolę sobie zasugerować, by Wasza Księżęca Mość wróciła do tego, czym się zajmowała, nim stała się ta szkoda, i nie kłopotowała się więcej. Ostatecznie to ja jestem ochmistrzynią, i to należy do moich kompetencji. Naprawdę nie ma powodu, by Wasza Księżęca Mość angażowała się w sprawy dyscyplinarne dotyczące służby.

Młoda pokojówka znów zaczęła lamentować, głośno pociągając nosem.

- Przestań się mazać, dziewczyno - napadła na nią pani Hardwick. - Wszyscy już słyszeliśmy dość twoich szlochów.

- Muszę powiedzieć, że nie podoba mi się pani ton ani pod adresem tej dziewczyny, ani księżnej! - Kit ruszył w jej stronę.

Pani Hardwick przyszpiliła go parą czarnych oczu.

Kit zatrzymał się jak wryty.

- Pan coś mówił, paniczu? - Ochmistrzyni czekała, z rękami założonymi na wychudzonej piersi.

Kit opuścił głowę, spojrział w podłogę.

- Nic takiego - wymamrotał. Na boku zapytał szeptem Violet: - Mam iść po Adriana?

Violet drżała; wzburzenie wręcz buchało z jej postaci.

- Nie, nie ma potrzeby.

Uznała, że ma dwa wyjścia. Albo stawi czoło tej obrzydliwej kobiecie, albo wycofa się chyłkiem niby jaskiniowy robak i na zawsze pozostawi władzę w jej rękach.

Od początku wiedziała, że pani Hardwick jest despotką. Mimo to kobieta miała wysoką pozycję w domu przez wiele lat, więcej nawet, niż Violet liczyła sobie wiosen. Była idealną pracownicą niemal pod każdym względem. I najwidoczniej Adrian musiał sobie cenić jej obecność w Winterlea, bo inaczej dłaczegoż trzymałby ją tak długo?

Cóż ona, Violet, wiedziała o zarządzaniu służbą? Była księżną zaledwie nieco ponad trzy miesiące. Może takie traktowanie służących było przyjęte. W domu jej rodziców słudzy często się zmieniali. Niemniej martwy przedmiot, choćby i najdroższy, wydawał się marnym powodem, by odprawić dziewczynę ze służby i zrujnować jej życie.

Pomyślała o swojej siostrze. Wiedziała, że Jeannette zapewne nie sprzeciwiłaby się ochmistrzyni w tej kwestii. Ale też nigdy nie pozwoliłaby sobie, by służąca - choćby nawet wysoka ranga - podważała jej życzenia czy rozporządzenia. Uzbrojona w tę wiedzę Violet wyprostowała się i wysunęła podbródek

Jestem księżną Raeburn, powtórzyła sobie kilkakrotnie w duchu. Nikt w tym pokoju nie stoi wyżej ode mnie. Jestem księżną Raeburn...

- Proszę iść, Wasza Książęca Mość - nalegała starsza kobieta. - Ja dopilnuję tej sprawy.

- Pani Hardwick, zdaje się, że pani się zapomina - oznajmiła Violet stalowym tonem. - Muszę chyba przypomnieć, z kim pani rozmawia. - Splotła palce, by opanować ich drżenie.

To najwyraźniej chwilowo zbiło ochmistrzynię z tropu.

- Nie, Wasza Książęca Mość, oczywiście, że nie zapom...

- Jeśli to prawda, to dlaczego, odkąd weszła pani do tego pokoju, nieustannie mi pani przerywa? Może sądzi pani, że wiek daje jej takie prawo?

Kobieta zacisnęła usta.

- Nie, Wasza Książęca Mość. Znam swoją pozycję.

- Doprawdy? Więc przeprosi mnie pani. I przeprosi pani lorda Christophera. On już od wielu lat nie ma mleka pod nosem i powinna mu pani okazywać szacunek.

Nozdrza pani Hardwick rozdęły się na tę reprimendę.

- Proszę o wybaczenie, Wasza Książęca Mość, Wasza Lordowska Mość.

- Co do reszty, nie będzie żadnych dalszych dyskusji w kwestii odprawienia...

- Ależ, Wasza Książęca Mość...

- A-a! - upomniała ją Violet, unosząc palec. - Znów mi pani przerywa. Ani słowa więcej albo to o pani odprawie porozmawiamy.

Zła iskra błysnęła w oczach ochmistrzyni.

- Wasza Książęca Mość nie ma ani powodu, ani prawa grozić mi zwolnieniem. Książę pan jest jedyną osobą, która mogłaby podjąć taki krok.

- Książę pan, mój mąż, polega na mnie we wszelkich sprawach dotyczących prowadzenia domu. - Violet nie dała za wygraną. - Pani skarga nie robi na nim wrażenia.

Ochmistrzyni zaczęła się trząść.

- Chcę poinformować Waszą Książęcą Mość, że wiernie służyłam temu domowi ponad dwadzieścia pięć lat. Wiem, jak powinien być prowadzony. Wiem, czego taki dom potrzebuje, by funkcjonować właściwie i sprawnie. A pani przychodzi tu-

taj, młoda trzpiotka, która nie ma pojęcia o zarządzaniu wielką rezydencją jak Winterlea, i sądzi, że może mi wydawać rozkazy. Niech sobie pani nie myśli, że nie widziałam, jak się pani cacka ze służącymi. Jak puszcza im płazem wszelkie uchybienia i brak powagi. To jest nieznośne, niedopuszczalne i ordynarne. Powinna pani być wdzięczna za moje rady i interwencje.

Violet wysunęła podbródek jeszcze odrobinę, choć jej żołądek zmienił się w galaretę. Zaczęła tę konfrontację i teraz nie mogła sobie pozwolić na przegraną. Przełknęła, by pozbyć się suchości w gardle.

- Cóż - powiedziała - jasno wyraziła pani swoje odczucia. Pozwoli więc pani, że ja zrobię to samo. Nigdy pani nie lubiłam, pani Hardwick. Uważam, że jest pani zimna i sztywna, że brak pani poczucia humoru, a co ważniejsze, współczucia. Może i wie pani, jak prowadzić dom, ale nie umie pani obchodzić się z ludźmi. To oczywiste, że nie zniesie pani nad sobą kogoś takiego jak ja. Tak więc, ze względu na pani dwudziestopięcioletnią służbę zaopatrzę panią w doskonałe referencje. Będą w pani posiadaniu jutrzejszego ranka, kiedy będzie nas pani opuszczać. To wszystko, dziękuję.

- Pójdę z tym do księcia pana. - Ochmistrzyni zacisnęła pięści; jej twarz przybrała kolor wiśni.

Violet wiedziała, że Jeannette na groźbę zawsze odpowiadała groźbą. Postanowiła pójść za jej przykładem.

- Proszę iść, jeśli pani chce. Może pani być pewna, że kiedy skończy z nim rozmawiać, wciąż będzie pani zwolniona. Ale wtedy proszę się nie spodziewać referencji.

Pani Hardwick zbladła i znów poczerwieniała, jakby miała za chwilę eksplodować ze złości. Odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

Ramiona Violet opadły bezwładnie, gdy tylko kobieta zniknęła za drzwiami.

- Boże święty - mruknęła i dopiero w tej chwili zauważyła, że Kit i młoda służąca gapią się na nią z wybałuszonymi oczyma i otwartymi ustami.

Kit pierwszy przyszedł do siebie.

- Brawo.

Tina pociągnęła nosem; oczy wciąż miała mokre, ale już nie płakała. Dygnęła pospiesznie.

- Och, Wasza Książęca Mość, dziękuję, dziękuję. Nie wiem, co powiedzieć. Jakże ja się wywdzięczę? I żeby Wasza Książęca Mość wiedziała, że spłacę ten wazon co do pensa, choćby mi to miało zająć całe życie.

- Tak, cóż, już dobrze, Tino. A teraz biegnij po szczotkę i szmatę, by posprzątać ten bałagan. Co do drugiej kwestii, to porozmawiamy później.

Tina dygnęła jeszcze raz i wybiegła z pokoju.

- To było niesamowite - oświadczył Kit. - Nigdy dotąd nie widziałem, by ktoś sprzeciwił się Suchemu Cyckowi. Och, wybacz, proszę - dodał pospiesznie, gdy otworzyła szeroko oczy na dźwięk ordynarnego przezwiska.

- Więc nie tylko ja uważałam ją za oschłą i nieprzyjemną? - zapytała.

- Boże, to oczywiste. Ja i moje siostry w dzieciństwie baliśmy się jej jak ognia. A Adrian też starał się schodzić jej z drogi, kiedy przyjeżdżał ze szkoły.

- To dlaczegoż, na Boga, ona pracowała tu tak długo?

- Zatrudnił ją ojciec. Myślę, że zrobił to na złość *maman* po jednej z bardziej gwałtownych kłótni. A kiedy pani H. już się zainstalowała, nikt nie miał odwagi jej ruszyć. Nawet *maman* chodzi przy niej na paluszkach, a wszak *maman* niełatwo ustępuje pola komukolwiek. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Muszę powiedzieć, Vi, że byłaś po prostu genialna.

Uciszyła go.

- Mówiłam ci, żebyś mnie tak nie nazywał, nawet kiedy jesteśmy sami. - Przygryzła kącik ust. - Myślisz, że ona pójdzie do Adriana?

- Wątpię. Zanim potrzebuje referencji, by ryzykować ich utratę. Nie, rano, spakowana, będzie czekać z wyciągniętą ręką.

- Ale Adrian musi zostać poinformowany.

- Bez wątplenia. Ale w tym wypadku stanie za tobą murem. Może nawet zacałuje cię na śmierć.

- Kit! - skarciła go, choć rumieniec zadowolenia zabarwił jej policzki na tę uwagę.

- Jesteś niesamowita, siostrzyczko. - Uśmiechnął się szeroko. - Weźmiesz Londyn szturmem, poczekaj, a sama się przekonasz.

Po raz pierwszy, od kiedy rozpoczęła się ta szarpiąca nerwy maskarada, w duszy Violet zapłonęła nadzieja i pewność siebie. Jeśli potrafiła stawić czoło takiej wiedźmie jak pani Hardwick i wygrać starcie, to może oszukanie pięknoduchów z socjety nie będzie aż tak niewykonalne.

Jak powiedział Kit, właściwym nastawieniem i odpowiednią dozą arogancji kobieta mogła podbić świat.

W chwili, gdy powóz minął roгатki Londynu, Violet poczuła, że jej dłonie w rękawiczkach są mokre.

Niewidzącym wzrokiem gapiła się na wąskie uliczki i tłum przelewający się za małym okienkiem powozu, zbyt skupiona na własnych problemach i troskach, by zauważać panujący wokół ruch.

Oto nadszedł dzień próby.

Mimo optymistycznego nastawienia przez ostatnie cztery dni do jej duszy zakradły się wszystkie dawne lęki i wątpliwości, niczym stado kąśliwych, zębatych kreatur. Wkładając w swą grę wszystkie siły, robiła dobrą minę, uważając, by jej strach nie stał się widoczny. Kryła lęk pod sztucznym podnieceniem. Niepokój chowała pod uśmiechami.

Powóz zatrzymał się przed miejską rezydencją księcia. Typowa okazała budowla zajmowała teren od przecznicy do przecznicy; drugie tyle przypadało na ogrody i stajnie.

Oprócz Agnes, pana Wilcoxsa i pokojowca Kita, Cherry'ego, którzy podróżowali za nimi w oddzielnym powozie, reszta domowej służby była już na miejscu w Londynie.

Gdy wysiedli z powozu i weszli po schodach, March otworzył frontowe drzwi z pełnym godności, lecz radosnym uśmiechem.

- Wasze Książęce Wysokości. Milordzie. Jak upłynęła podróż?

- Całkiem przyjemnie. - Adrian przekroczył próg i ściągnawszy rękawiczki oraz kapelusz, podał je majordomusowi. Podbiegł lokaj, by pomóc całemu towarzystwu zdjąć okrycia.

March zwrócił się do Violet:

- Wasza Książęca Mość, ogromnie mi miło powitać panią w Raeburn House.

- Dziękuję, March. - Uśmiechnęła się.

- Zapewne przyjemnie będzie Waszej Książęcej Mości wiedzieć, iż jej powrót do miasta nie pozostał niezauważony - kontynuował March. - Zaledwie dziesięć minut po tym, jak dziś rano powiesiłem kołatkę na drzwiach, przybiegł posłaniec z zaproszeniem. Od tej pory dostarczono ich jeszcze sześć. Trzy z nich, jak mi powiedziano, są na jutrzejszy wieczór. Pozwoliłem sobie ułożyć je dla Waszej Książęcej Mości w salonie.

Jej żołądek wywinął salto. Dzielnie przywołała uśmiech na usta.

- Cudownie. Przejrzę je przy posiłku, jeśli będziesz tak miły by zawiadomić personel kuchni.

March się skłonił.

- Niezwłocznie, Wasza Książęca Mość. Och, jeszcze jedna sprawa.

Zatrzymała się, puszczając przodem Adriana i Kita, którzy ruszyli do salonu.

- Porozumiałem się z bardzo szacowną londyńską agencją zatrudnienia. - Gdy, trochę zdezorientowana, zmarszczyła brwi, wyjaśnił ściszym głosem: - W sprawie zatrudnienia ochmistrzyni.

- Och, oczywiście. — Jej wargi wygiął uśmiech, tym razem szczery. - Dziękuję, March. Czy w kwaterach służby krążą plotki o tej sprawie?

- Oczywiście, i wszystkie na korzyść Waszej Księżęcej Mości. - Oboje błysnęli zębami w konspiracyjnym uśmiechu. - To ja pójdę po ten podwieczorek, Wasza Księżęca Mość.

- Dzięki niebiosom, że Raeburn nareszcie zdecydował się przywieźć cię do miasta - wybuchnęła radośnie Christabel Morgan, wachlując się energicznie w przegrzanej sali balowej. - Strasznie tu było nudno bez ciebie i ty z pewnością też usychałaś z nudów w tej dzicy Derbyshire.

Violet spojrzała z góry na serdeczną przyjaciółkę swojej siostry.

Energiczna brunetka przybiegła, by z nią porozmawiać, zaledwie Violet, Adrian i Kit skończyli witać się z gospodarzami. Idąc za szeptaną sugestią Kita poprzedniego dnia, zdecydowała się wziąć udział w balu wicehrabiny Braverly - istnym spędzie, na który zaproszono jakieś pięćset osób. Jak słusznie zauważył, im więcej ludzi, tym mniej okazji do długich rozmów z poszczególnymi gośćmi.

Uniosła lorgnon - kolejny genialny pomysł Kita. Zakupiła to dziwactwo tego ranka. Modny dodatek, który pozwalał jej lepiej widzieć, szczególnie że kazała optykowi wstawić odpowiednie dla niej szkła.

Spojrzała przez soczewki.

- Można powiedzieć wiele dobrego o wiejskim życiu, szczególnie gdy wiesz się je w tak wspaniałej posiadłości jak Winterlea. To jedno z najpiękniejszych ziem, jakie można znaleźć w Anglii.

- Ależ oczywiście, z pewnością - zgodziła się Christabel.

- A zarządzanie domem zostawia mi niewiele czasu na nudę, od kiedy jestem księżną. Rozumiałabyś to, gdybyś była zamężna. - Zastosowała jeszcze jedną ze sztuczek Kita; odpierać niewygodne komentarze czy pytania za pomocą subtelnych przytyków.

Christabel się najeżyła; jej pełna dolna warga wysunęła się odrobinę w nadąsanym grymasie, który, Violet była pewna, dziewczyna musiała godzinami ćwiczyć przed lustrem w domu.

- Mam wielu adoratorów.

- Naturalnie, że masz. Powiedz, którzy z nich zaliczają się ostatnio do twoich faworytów?

Słuchała lirycznych wywodów Christabel na temat jej aktualnych matrymonialnych planów, choć była to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę. Pocieszała się jednak tym, że temat całkowicie pochłonał pannę Morgan, dając Violet okazję, by w milczeniu obserwować sytuację w sali.

Żałowała, że nie ma przy niej Kita, który podtrzymałby ją na duchu. Albo Adriana. Najchętniej pozostałaby u boku męża przez cały wieczór. Ale Kit surowo zabronił jej szukać schronienia pod połami księżęcego fraka.

Podeszło trzech dżentelmenów. Wpisali się Violet i Christabel do karnecików, po czym przyłączyli się do rozmowy, komentując wielką liczbę gości i przysmaki na stołach z przekąskami. Pozwoliła im mówić, kiwając głową i uśmiechając się we właściwych momentach.

U jej boku jak spod ziemi wyrósł Adrian, by poprosić ją do pierwszego tańca. Jako nowożeńcom uchodziło im jeszcze w towarzystwie spędzić razem krótką chwilę, nim rozejdą się na cały wieczór. Z ulgą opuściła rozchichotaną Christabel otoczoną przez panów.

Gdy zagrano walca, rozpłynęła się w silnych, wspierających ją ramionach Adriana. Na chwilę pozwoliła sobie zapomnieć o strachu i napięciu, znajdując otuchę w znajomym dotyku Adriana, gdy wirował z nią po sali.

Idylla skończyła się nazbyt szybko. Zeszli z parkietu.

- Spójrz tam - powiedział Adrian. - Widzę mojego przyjaciela.

Pociągnął ją w stronę smukłego szatyna. Dżentelmen ów, niższy o pół głowy od Adriana, miał przyjemne, szlachetne

rysy, choć nie przykuwały one wzroku. Uwagę Violet zwróciły natomiast jego bursztynowe oczy. Ledwie zwrócił na nią spojrzenie, poczuła się jak sparaliżowana, niczym gołębica w obliczu lisa.

Zamrugła, by pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia. Dziwne, ale przez sekundę dostrzegła w jego oczach błysk zażyłości, jakby ją znał. I to dobrze znał. Ów przebłysk zniknął jednak, wsparty przez zdawkowe, przyjazne zainteresowanie.

Miała ochotę potrząsnąć samą sobą. Uznała, że jej nadszarpnięte nerwy powodują, iż widzi rzeczy, których tak naprawdę nie ma.

- Moja droga - zaczął Adrian - pamiętasz Toddy'ego Markhama, mojego starego przyjaciela z wojennych czasów.

Przynajmniej jedna tajemnica rozwiązana, pomyślała Violet. Najwidoczniej Adrian już wcześniej, w narzeczeńskich czasach, przedstawił tego człowieka Jeannette.

Wyciągnęła dłoń w rękawiczce.

- Tak, naturalnie. Panie Markham, jakże pan znajduje dzisiejszy wieczór?

- Niezmiernie przyjemny. - Chwycił jej dłoń i pochylił się w ukłonie. - W obecności tylu pięknych pań człowiek nie może się źle bawić.

Uścisnął jej dłoń; uścisk trwał przez długą, pełną napięcia chwilę. Mijały sekundy, jego twarz w najmniejszym stopniu nie zdradzała emocji wyrażonych dotykiem. W końcu puścił jej rękę.

Cofnęła się i w obronnym geście zacisnęła dłoń w pięść. Widzę rzeczy, których nie ma, też coś. Ten dotyk nie był wytworem mojej wyobraźni.

Przysunęła się odrobinę bliżej do Adriana.

Jej ruch nie uszedł uwagi Markhama; spojrzenie niczym ostrze sztyletu błysnęło ku niej z niebezpiecznych oczu.

- Czy długo pozostanie pan w mieście? - zapytała.

- Jakiś czas. Moje plany w tej chwili nie są określone.

- Toddy nie znosi żadnego reżimu - wtrącił Adrian. - Jego zamierzenia sięgają najwyżej najbliższego posiłku.

Markham skrzywił usta w krzywym uśmiechu.

- Zgadza się. Inaczej, moim zdaniem, człowiek przegapia wiele niespodzianek, jakie niesie życie. O wiele prościej jest pozwolić, by nasze pasje wiodły nas tam, dokąd mają zawieść, i nie rozmyślać nad niepewną przyszłością.

- A jednak planowanie też ma swoje zalety - sprzeciwiła się Violet. - Podobnie jak skuteczne panowanie nad emocjami. Ostatecznie, gdyby nie umiejętność planowania, wciąż żylibyśmy w jaskiniach, nieprawdaż? - Ledwie te słowa wyszły z jej ust, pożałowała, że nie może ich cofnąć. Jeannette nigdy nie uczyniłaby tak prowokacyjnej, intelektualnej uwagi.

Obaj mężczyźni przyjrzeni się jej uważnie, choć z zupełnie różnym wyrazem twarzy; oblicze Adriana wyrażało rozbawioną dumę, Markhama - zaskoczenie i zdziwienie.

Violet roześmiała się i pospieszyła naprawić swój błąd.

- Ale cóż ja mogę wiedzieć o takich sprawach? Przyjęcia, zakupy, rozrywki oto plany, jakie zwykle czynią damy.

Markham przyglądał jej się przez długą chwilę, nim odprężył się i uśmiechnął.

- Święta racja, Wasza Książęca Mość. A skoro już mowa o rozrywkach, to czy mogę prosić o honor zatańczenia z panią dziś wieczór? - Wyciągnął rękę.

Nim zdążył pochwycić karnecik zwisający z jej nadgarstka, cofnęła rękę poza jego zasięg.

- W każdych innych okolicznościach przystałabym z rozkoszą, ale cały mój karnecik jest już zapełniony.

Jego rysy stwardniały.

- Wszystkie tańce już zajęte? Może Wasza Książęca Mość się omyliła i choć jeden uszedł jej uwagi. - Znów wyciągnął rękę po karnecik.

Violet zrobiła krok w tył, unikając jego dotyku.

- Nie, jestem całkowiec pewna. Zaledwie piętnaście minut temu pan Hughes wyraził swoje rozczarowanie, gdy usłyszał odmowę z tego samego powodu.

Markham skłonił się sztywno.

- Może Wasza Księżęca Mość będzie miała kilka wolnych tańców przy następnym spotkaniu. - Zwrócił się ku księciu. - Raeburn. Partyjka kart trochę później?

- Z przyjemnością. Za jakiś czas poszukam cię w pokoju karcianym.

- Wasza Księżęca Mość. - Markham ukłonił jej się jeszcze raz, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

- O cóż chodziło? - zapytał Adrian, gdy tylko Markham znalazł się poza zasięgiem głosu.

- Co masz na myśli?

- Ciebie i Markhama. Odniosłem wrażenie, że go zbywasz. Czy twój karnecik naprawdę jest już zapełniony?

- Oczywiście, że tak - skłamała, dobrze wiedząc, że są w nim jeszcze dwa czy trzy wolne miejsca. - To, że jestem mężatką, nie oznacza jeszcze, że brak mi adoratorów.

- Wszystko w porządku, pod warunkiem że poprzestaną na adoracji - ostrzegł ją, udając groźny ton. Westchnął. - To zapewne znaczy, że masz już partnera do ostatniego tańca? Miałem nadzieję, że zatańczymy go razem.

Ona również miała taką nadzieję. Jakże beztrósco, jakże błogo byłoby spędzić cały wieczór w objęciach Adriana, siedzieć przy tym samym stole i rozmawiać z nim podczas wystawnej kolacji o północy. Ale takie zachowanie sprowokowałoby niepotrzebne komentarze i ściągnęło uwagę, a ona i tak zbyt wiele ryzykowała tego wieczoru.

Kokieteryjnie poklepała go po ramieniu złożonym wachlarzem.

- Wiesz, że to nie wypada. Mąż i żona nie mogą spędzić całego wieczoru razem. Będzie mnóstwo czasu, by pobyć ze sobą później. W domu.

W jego oczach zapłonął przytłumiony żar, timbre głosu obniżył się, pogłębił.

- Trzymam cię za słowo. Nie tańcz zbyt wiele, żebyś się nie zmęczyła.

W odpowiedzi jej policzki zabarwił ledwie dostrzegalny rumieniec.

- Zrobię, co w mojej mocy.

Gdy po chwili patrzyła za nim, jak odchodzi, ogarnęła ją fala melancholii, potężna i przytłaczająca. Chciała go przywołać z powrotem, ukryć twarz na jego ramieniu i prosić, by zabrał ją do domu. Nienawidziła udawania i fałszu. Nawet w kłamstwach, które popełniał, będąc w domu z Adrianem, zachowywała jakąś część prawdziwego ja. Tutaj już nic z niego nie zostało. Wszystko było tylko fałszem i zmyśleniem. Jakby stanowiła tylko cień, odbicie w lustrze, pozbawione ciała, treści. Jakby jej prawdziwa tożsamość, prawdziwa Violet, nigdy nie istniała.

Nagła panika sprawiła, że krew odpłynęła jej z mózgu, pozostawiając ją oszołomioną, zdezorientowaną. Ale jakoś podźwignęła się, odzyskała siłę, gdy sobie przypomniła, że jest tu po to, by Adrian mógł być z niej dumny. Musiała przekonać wszystkich, że jest Jeannette, kobietą, którą wybrał na żonę.

U jej boku zjawił się dżentelmen -jej następny partner.

Przywoławszy na twarz promienny uśmiech, pozwoliła poprowadzić się do tańca.

15

Następne dni minęły jej w wirze działań: porannych wizyt, proszonych lunchów, podwieczorków, kolacji, festynów, wieczorków, bali i rautów. Lodów u Guntera, promenad po parku, wizyt w teatrze, operze, na balecie. Nie miała wręcz czasu, by

złapać oddech, a jeszcze mniej, by odpocząć. Tańczyła do świtu. Spała do południa. A resztę czasu spędzała w otoczeniu przyjaciół i znajomych, którzy kłębili się wokół niej jak pszczoły wokół królowej ula.

Jeannette kwitłaby, otoczona taką atencją.

Violet tęskniła za cichym kątem i dobrą książką. Tęskniła także za Adrianem - mężem, którego rzadko widywała.

Dzielili dach nad głową i łoże. Wciąż jeszcze przychodził do niej w nocy, choć często oboje byli zbyt zmęczeni, by zrobić coś więcej, niż zasnąć w swoich ramionach. Kiedy Adrian nie był zajęty interesami lub nie siedział w jakimś klubie, wybierał się wraz z nią na imprezy. Gdy jednak byli już na miejscu, każde szło swoją drogą, jak tego oczekiwano od małżeństw.

Bywały dni, że nie widywała go nawet przelotnie. Pozostawał jej jedynie odcisk jego głowy na poduszce, gdy się budziła. Ciepły zapach na pościeli, kiedy wślizgiwała się nad ranem do łóżka, a on nie spał już i ubierał się, by wyjść na jakieś wczesne spotkanie.

Zastanawiała się, czy z nim nie porozmawiać, nie zapytać, czy nie powinna odrzucić jeszcze kilku z tuzinów zaproszeń, jakie dostawali. Spędzić wieczór, a może nawet cały dzień, razem w domu, w spokoju. Ale wiedziała, że nie odważy się poruszyć tego tematu. To byłoby zbyt niepodobne do Jeannette. Na wsi jej nietypowe zachowania dawały się wytłumaczyć. Tutaj, w Londynie, stałyby się zupełnie nieprawdopodobne.

Popijając szampana, rozglądała się przez lorgnon po rozbawionym tłumie. Jednym uchem słuchała dowcipnej opowiadki, snutej przez pana Moncriefa, jasnowłosego młodzika o szczenięcych oczach, który dołączył do świty adoratorów, nieodstępujących jej na krok.

Adrian stał po drugiej stronie sali, pogrążony w rozmowie z premierem rządu, lordem Liverpoolem. Na czole jej męża pojawiła się drobna zmarszczka, pewny znak, iż nie zgadza się z wypowiedzią rozmówcy. Znała jego poglądy na tyle, by zdawać sobie

sprawę, że jest wigiem. Premier był zatwardziałym torysem. Choć Adrian niezbyt żywo interesował się swoimi obowiązkami w Izbie Lordów, być może jego matka miała rację - może chciał zająć się polityką. Czy w tej chwili badał właśnie stanowisko opozycji?

Moncrief dotarł do puenty dykteryjki, "wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ona roześmiała się razem z nimi, ale wyćwiczona reakcja brzmiała pusto nawet w jej własnych uszach.

Czy tak miała wyglądać reszta jej życia?

Wzrok Violet znów pospieszył ku wyrazistym, marsowym ryksom męża, ku jego wysokiej, dumnej sylwetce. Westchnęła cicho. Choćby miała wysłuchać tysiąca takich opowiadań, to wysłucha, jeśli tylko jego to uszczęśliwi.

Przełknęła kolejny łyk szampana i zapytała lorda Northcotta o jego nowy dom w Sussex. Niedawno wygrał go w karty i nigdy nie czuł się zmęczony opowiadaniem tej historii ani snuciem planów dotyczących posiadłości. Zapytanie go o dom dawało pewność, że nie przestanie mówić przynajmniej przez pół godziny.

Adrian obserwował żonę kątem oka, nieuważnie słuchając wykładu lorda Liverpoola na temat niewykształconych mas i niebezpieczeństwa, jakie stanowią dla Korony. Słyszał to wszystko już wcześniej, wyrażał też swój sprzeciw i wiedział z doświadczenia, że lepiej nie wdawać się w dyskusję z wielkim człowiekiem. Sporu z premierem w żaden sposób nie dało się rozstrzygnąć po przyjacielsku, a Adrian wolał pozostawać w przyjaznych stosunkach z każdym, jeśli było to możliwe. Nawet z osobami, z których filozofia się nie zgadzała.

Miło było czasem pogawędzić o polityce przy koniaku i cygarze. Ale zupełnie co innego zajmować się nią na co dzień, do czego był namawiany przez niektórych. Już sama myśl o rzuconiu kapelusza na polityczną arenę sprawiła, że zadrżał z przerażenia. Polityka mogła być wymarzoną zajęciem dla niego według matki i kilku przyjaciół, ale on sam wcale o niej nie marzył.

Jego żona śmiała się w gronie znajomych. Wyglądała dziś olśniewająco - ale przecie zawsze tak było. Przyodziana w pruski czarny aksamit, była prawdziwą królową, wspaniałym centralnym punktem grupki eleganckich dam i dżentelmenów.

Głównie jednak dżentelmenów, zauważył, czując niespodziewaną iskrę zazdrości, przypalającą go niczym rozżarzony węgielek. Powinien się cieszyć, że jest popularna, że się dobrze bawi. Czyż nie takiej żony pragnął? Kobiety towarzyskiej i pewnej siebie. Klejnotu. Pięknej i wytwornej, by błyszczała u jego boku, kiedy byli razem, i umiejącej zachwycać, gdy przebywali osobno.

Dlaczegoż więc życzył sobie, by nie była tak rozchwytywana? Dlaczego w głębi duszy marzył, by zlekceważyła ograniczenia towarzyskie dotyczące par małżeńskich i na przekór wszystkim spędzała z nim więcej czasu?

Od kiedy wyjechali z Winterlea, zdawało się, że dzieli ich coraz większa przepaść, że on stoi na jednym, ona na drugim jej brzegu. Mieszkali w tym samym domu, a jednak bywały dni, kiedy wyglądali na dwójkę obcych ludzi mijających się na ulicy.

Żałował, że nie mogą wrócić do domu, na wieś. Ale jakże mógł ją o to prosić, skoro dopiero co przyjechali? Skoro ona tak doskonale bawiła się w mieście?

Jej śmiech rozbrzmiał po drugiej stronie sali, promiennyjak słońce w rześki, wiosenny poranek. Adrian na chwilę pozwolił, by ów śmiech przyćmił wszystkie inne dźwięki.

W końcu jednak powrócił do dyskusji z lordem Liverpoolem. Gdy rozmowa na to pozwoliła, zaproponował premierowi partijkę kart.

Później tego wieczoru Violet przeglądała się w lustrze w pokoju kąpielowym. Westchnęła i zamierzała już wrócić do sali balowej, gdy do pokoju weszła jej przyjaciółka, Eliza Hammond.

Violet dostrzegła w lustrze twarz dziewczyny, która byłaby całkiem ładna, gdyby nie szpeciła jej nietwarzowa, musztardowa

suknia, która wysysała wszelki kolor z jej jasnych policzków, sprawiając, iż cera wydawała się ziemista i brzydka.

Dzieło ciotki Elizy, jak podejrzewała. Skapirałdo owo przy zakupie toalet kierowało się raczej podszeptami księżeczki czekowej niż gustem, jeśli w ogóle mogła tu być mowa o guście. A chorobliwa żółć widocznie była akurat przeceniona u krawcowej, gdy zamawiały tę suknię.

Jak wiele razy od przyjazdu do miasta, Violet zdławiła pragnienie, by podbiec i serdecznie uściskać przyjaciółkę. Siedziała, nic nie mówiąc, gdy dziewczyna zniknęła za zasłonką dzielącą pokój.

Gdy po krótkiej chwili Eliza wyłoniła się zza kotary, były tylko we dwie; w pokoju zapanowała cisza, gdy opuścił go kwartet rozszczębiotanych debiutantek.

Cóż może zaszkodzić, jeśli powiem do niej kilka słów? - pomyślała Violet. Kto będzie wiedział, z wyjątkiem jednej posługaczki, zbyt zaspanej, by przejmować się, które damy są w pokoju?

Poddając się impulsowi, odwróciła się na wyściełanym taborecie.

- Jak się pani dzisiaj miewa, panno Hammond?

Eliza zatrzymała się i zamrugała, zdumiona, że w ogóle została rozpoznana. Po chwili wahania dygnęła grzecznie.

- Wasza Księżęca Mość. Miewam się całkiem dobrze. Dziękuję za troskę. A Wasza Księżęca Mość?

- Znośnie, choć nieco tu dziś duszno. Zbyt wiele rozgrzanych ciał, zebranych na zbyt małej przestrzeni. Ale tak to bywa w tłumie, prawda?

Eliza skinęła głową, najwyraźniej skrępowana. Bez wątplenia zastanawiała się, czegoż mogła chcieć od niej Jeannette, która w przeszłości ledwie raczyła zamienić z nią kilka słów. Zaczęła miać w dłoni koronkową chusteczkę, gdy niezręczne milczenie się przedłużało.

- Czy przyszła pani z ciotką? - zapytała Violet.

- I z jej synem - wyjaśniła Eliza.

Violet dobrze znała Philipa Pettigrew, odrażające indywiduum, które ubierało się jak przedsiębiorca pogrzebowy i miało mniej poczucia humoru niż nieboszczyk. Philip studiował z zamiarem przyjęcia święceń duchownych i aktywnie poszukiwał cieplej posadki. Violet współczuła jego przyszłym parafianom.

- Dostałam kilka listów od siostry. Wie pani, że przebywa we Włoszech. - Odwaga zaczęła ją opuszczać, gdy ujrzała, jak Eliza zeszywniała na wzmiankę o swojej byłej przyjaciółce. — Prosiła mnie o przekazanie pani wiadomości.

- Doprawdy? Jakiej?

- Poleciła mi przeprosić panią za swoje zachowanie przy ostatnim spotkaniu z panią. Nie była wtedy... hm... do końca sobą.

Eliza odrobinę złagodniała.

- Dlaczego nie napisała do mnie, by powiedzieć mi o tym osobiście?

Tak, dlaczego nie napisała? Violet gorączkowo szukała w głowie wiarygodnej odpowiedzi. Nie mogła wszak powiedzieć, że pisanie nie wchodziło w grę, bo jej listy byłyby ofrankowane z Derbyshire, a nie z Włoch.

- Ona... hm... dużo podróżuje. Cioteczna babka Agatha nie lubi siedzieć na jednym miejscu i siostra obawiała się, że jej list do pani mógłby się zagubić. - Umilkła, by wziąć oddech i zebrać myśli. - A tak prawdę mówiąc, nie była do końca pewna, czy pani przyjmie list od niej. Szczerze żałuje tego niefortunnego incydentu między wami i prosiła, bym przekazała pani, jak bardzo ceni sobie pani przyjaźń, oczywiście, jeśli wciąż może na nią liczyć.

Ze ściśniętym gardłem czekała na odpowiedź.

- Oczywiście, że może - odparła Eliza pośpiesznie, z ulgą. - Wiedziałam, że coś musiało się stać. Wydawała się dziwna tamtego dnia. Prawdę mówiąc, zachowywała się raczej jak Wasza... - Dziewczyna urwała, jej szare oczy otworzyły się szeroko ze strachu przed gafą, której omal nie popełniła.

Violet zmusiła się, by naśladować siostrę, unieść wyniośle brew.

- Cóż pani chciała powiedzieć?

- N-nic. Kamień spadł mi z serca, tylko tyle. Utrata przyjaźni Violet ogromnie mnie zasmucała.

Violet powstrzymała się, by nie pogłaskać dziewczyny pocieszająco.

- Tak jak i ja.

- Jak długo zamierza pozostać w Włoszech?

- Przez całą zimę, jak sędzę. Choć jej plany nie są jeszcze do końca ustalone. - Violet wstała z krzesła i przyglądała spódnicy. - Nie wiadomo też, dokąd teraz się uda. Jeśli pani życzy sobie do niej napisać, może pani przekazać list mnie, a ja dopilnuję, by trafił do adresatki. I to samo zrobię z jej korespondencją.

W oczach Elizy znów błysnęło zaskoczenie.

- Dziękuję. Będę niezmiernie wdzięczna.

Violet skinęła głową, żałując, że nie może zostać i porozmawiać, że nie może ujawnić się przed przyjaciółką. Ale nie ośmieliła się. To by było zbyt wielkie ryzyko.

- Cóż, muszę wracać na salę balową - powiedziała. - Obiecałam następnego taniec panu Canningowi, który zapewne zacznie mnie wkrótce szukać. Dobranoc, panno Hammond.

Eliza dygnęła.

- Dobranoc, Wasza Książęca Mość.

Violet wróciła na bal, w tłum, w duchotę i blask stu kandelabrow, w zapachy perfum, wody kolońskiej i spoconych ciał. Ale atmosfera już jej tak nie ciążyła, gdy wyrzuty sumienia, dręczące ją od wielu miesięcy, nareszcie zniknęły.

- Wydarzył się tragiczny wypadek— oznajmił Adrian następnego ranka. - Ben Yardley, jeden z moich dzierżawców, stracił życie. Muszę natychmiast wyjechać do domu.

Violet, siedząca na sofie w bawialni, odwróciła się ku niemu.

- Och, Adrianie, to straszne. Oczywiście, że musisz jechać. Każę Marchowi zawiadomić służbę, że wracamy na wieś.

- Nie mogę powiedzieć, by nie cieszyła mnie perspektywa twojego towarzystwa, moja droga, ale nie ma potrzeby, żebyśjechała ze mną. Bawisz się w mieście tak doskonale, że nie chciałbym tego psuć. Poza tym i tak nic nie poradzisz, będąc w domu. Ten biedak już nie żyje.

Uciszył ją, gdy otworzyła usta, by zaprotestować.

- Nie, ty zostajesz tutaj z Kitem. — Zerknął na brata. - On może ci towarzyszyć na wszelkich imprezach, na jakie zechcesz pójść. Ja wrócę niedługo, najpóźniej za tydzień. Nawet nie zauważysz, że mnie nie ma. — Pochylił się i ucałował ją w policzek. - Zostań i baw się dobrze.

Cień niepokoju zachmurzył świetlistą głębię jej oczu. Ale zniknął natychmiast, a na wargi wypłynął uśmiech.

- Dobrze, kochany. Jeśli tego sobie życzysz.

- Oto przykład, który ci obiecałam. - Violet podała Kitowi złożoną kartkę, nie zatrzymując się. Szła dalej korytarzem na piętrze, w stronę schodów.

Kit przyjął kartkę i z uśmiechem wetknął ją do kieszeni pum-pów, dotrzymując bratowej kroku.

- Dziękuję, siostrzyczko, jesteś moją opoką. Gdyby nie twoja pomoc, tkwiłbym tu dziś wieczór, biedząc się nad odpowiedziami, zamiast eskortować cię na jubel do lordostwa Taylorów. Choć z pewnością bez kłopotu znalazłabyś innego usłużnego dżentelmena, gotowego mnie zastąpić. - Zniżył głos do szeptu. - Bardzo udatnie wcieliłaś się w rolę wiesz kogo.

Zatrzymała się i odwróciła przodem do niego.

- Naprawdę tak sądzisz, Kit? Czasami trzęsę się jak osika i tylko czekam, aż ktoś z nich się zorientuje. Wiesz przecie, że wystarczyłaby jedna osoba.

- Bez obaw. Czasami nawet ja się nabieram. A przecież ja wiem. - Poklepał ją uspokajająco po ramieniu, cały czas pilnując,

by nie podnosić głosu. - Jako twój mentor pałam słuszną dumą. Gdybyś nie była księżną, sugerowałbym, abys próbowała szczęścia na scenie. Odsunęłabyś panią Siddons w cień.

Jego komentarz powinien wywołać jej uśmiech, ona jednak tylko westchnęła.

- Chciałabym, żeby Adrian już wrócił. Minęły zaledwie dwa dni, a ja już tęsknię za nim potwornie.

Co było doprawdy głupie, pomyślała, skoro i tak ledwie miałaby czas, by spędzić ze sobą choć dwie minuty. A jednak łóżko było takie puste w nocy. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo przywykła do obecności męża u swego boku w ciemności, do jego ciepłego, silnego, kojącego ciała.

- Bez obaw, wróci, nim się obejrzysz - odparł Kit. - Ta sprawa w domu, choć ogromnie smutna, nie może mu zająć wiele czasu. A teraz chodź, bo nasze spóźnienie będzie więcej niż modne. - Delikatnie popchnął ją ku schodom.

Usłuchała z rezygnacją.

Gdy przybyli na miejsce, wszyscy bawili się już w najlepsze. Kilka par oczu zwróciło się w ich stronę, gdy pod ramię weszli do sali. Kit przeprosił i opuścił bratową, gdy wkrótce zebrał się wokół niej zwykły tłumek. Chwilę później pan Moncrief zaczął recytować sonet, który skomponował na cześć jej brwi. Zatyłował go *Anielskie skrzydła w locie*. Jego wyraziste niebieskie oczy pałały z dumy, gdy zaczął recytację.

Jedna z opisywanych brwi uniosła się na ten nonsens, wyrwając westchnienia uwielbienia z piersi kilku innych adoratorów. Wszyscy oni rywalizowali o pozycję jej *cicisbeo*. I nie ustawali w wysiłkach, choć wiele razy informowała ich, że nie szuka sobie tego rodzaju „przyjaciela”.

U jej boku pojawiła się Christabel Morgan, pragnąca jak najszybciej podzielić się z nią najnowszymi ploteczkami. Violet pozwoliła jej paplać do woli, pomrukując zachęcająco w odpowiednich momentach.

Z trudem powstrzymując się, by nie dać Christabel ostrej odprawy, czego Jeannette nigdy by nie zrobiła, Violet już dawniej próbowała na wszelkie sposoby grzecznie pozbyć się dziewczyny. Ale Christabel była jak uprzykrzony ogrodowy bluszcz, którego nie sposób wytępić, choćby sto razy wyrwało się go z ziemi. Violet dała więc sobie spokój i znosiła jej towarzystwo najdzielniej, jak umiała.

Wieczór dobiegał końca, jej stopy w pantofelkach zaczynały już boleć od nadmiaru tańców, język kleił się od posmaku zbyt wielu pucharków słodkiego ponczu. Rozpaczliwie poszukując samotności, postanowiła nie zważać na chłód i wymknąć się na balkon po łyk świeżego powietrza.

Listopadowa noc objęła ją chłodnymi ramionami. Violet weszła głębiej w kojącą, cichą ciemność, która otulała dom niczym wielki, mrużący kot.

Nagle para długich, muskularnych ramion - tym razem prawdziwych - chwyciła ją i obróciła, przyciągając do silnego męskiego ciała. Usta, twarde i głodne, spadły na jej wargi, więżąc je w namiętym pocałunku.

Violet krzyknęła, przestraszona, choć jej protest stłumiły obecne wargi. Zbyt zdumiona, by się opierać, zamarła w bezruchu, sztywniejąc w nieproszonym uścisku.

Szybko odzyskała zmysły i spróbowała się uwolnić - bezskutecznie jednak. Więżące ją ramiona były niewzruszone niczym stalowe okowy. Nabrała powietrza, by wydać z siebie krzyk, który sprowadziłby wszystkich na balkon, gdy nagle napastnik przerwał pocałunek.

Promień światła padł na jego twarz, rozjaśniając jego niebezpieczne, znajome rysy.

- Pan Markham - wysapała bez tchu.

- A kogóż innego się spodziewałaś? — warknął Toddy Markham. - Ktoregoś z tych niedojrzałych młodzików, którzy snują się za tobą, komponując ody do twoich rzęs? - Wycisnął kolejny szybki pocałunek na jej zdumionych ustach. - Przepraszam,

jeśli cię wystraszyłem, kochanie, ale kiedy zobaczyłem, że wychodzisz tutaj, nie mogłem stracić okazji. Wszak wiesz, jak bardzo cierpiałem. Jak bardzo pragnąłem cię spotkać, dotknąć, gdy cały czas byłem zmuszony stać z boku, mogąc tylko patrzeć i czekać.

Jej usta otworzyły się ze zdumienia. Zamrugała, nie mogąc wydusić słowa, pewna, że wygląda jak świeżo złowiony pstrąg chwytający powietrze.

- Pan Markham - powtórzyła, niezdolna wymyślić niczego sensownego.

Przewiercił ją spojrzeniem.

- Och, więc nagle zachowujemy formy, Wasza Książęca Mość? Zdaje się, że traktujesz swój nowy tytuł trochę zbyt serio, nie sądzisz? „Jeannette” w zupełności ci wystarczało, nim wyszłaś za męża. „Toddy” było zupełnie w sam raz, kiedy krzyczałaś z rokoszy w moich ramionach. Raeburn chyba nie jest aż tak zręcznym kochankiem, że zapomniałaś, jak ci było ze mną?

Oczy wyszły jej z orbit. W duchu podziękowała Bogu za skrywającą ich ciemność.

Markham chwycił ją mocniej, nieświadom jej wzburzenia.

- Nie, nie mów mi, nie chcę o nim słuchać. - Jego oddech stał się chrapliwy, niecierpliwy. - Chcę za to wiedzieć, cóż to za gierki, w które się bawisz. To udawanie, że ledwie się znamy. Odrzucenie mojego zaproszenia do tańca. Unikanie mnie na każdym kroku. Ani trochę nie podobają mi się twoje sprytnie sztuczki, cokolwiek roi ci się w głowie.

Krew napłynęła jej do głowy, zaczęła pulsować w skroniach, w uszach. Przez chwilę wydawało jej się, że zemdleje. Wiedziała, że jej siostra miewała miłostki. Po prostu nie spodziewała się, że jedna z nich stanie przed nią we własnej osobie i upomni się o swoje prawa w tak bezpośredni, fizyczny sposób. A tym bardziej, że będzie to pan Markham. Przecież rzekomo był przyjacielem Adriana. Najwyraźniej jej instynkt nie omylił się w tym wypadku. Od pierwszego spotkania wiedziała, że nie można mu ufać.

Co robić? Co robić? - pytała się gorączkowo w duchu. Musiała pomyśleć, ale nie było czasu na myślenie. Jeśli zaraz czegoś nie powie - czegoś innego niż jego nazwisko - on zacznie się dziwić. Może zacząć pytać, może zauważyć coś niepokojącego. Na przykład to, że nie jest osobą, za którą się podaje.

- P-puść mnie, ktoś może nas zobaczyć. - Pchnęła go w pierś, wykorzystując ten buntowniczy odruch, by opanować rozszalałe emocje. Odsunęła się o krok. - Ch-chcesz, żeby wszyscy się dowiedzieli?

Sięgnął po jej rękę, ale uniknęła jego dotyku.

- Właściwie nie miałbym nic przeciwko temu - odparł.

- Zapominasz, że jestem mężatką.

- Nie, ukochana, o tym nigdy nie zapomnę. - Nachmurzył się, skrzyżował ręce na piersi. Jego głos zabrzmiał ponuro, szorstko. - Dlaczego to jednak zrobiłaś? Dlaczego wysłałaś za niego, skoro mówiłaś, że mierzi cię sama myśl o tym? I napisałaś do mnie tylko raz przez ten czas, błagając mnie o cierpliwość. Jak mogę być cierpliwy, skoro moje serce usycha z tęsknoty? Kiedy jedyną moją pociechą jest wysyłanie listów do jego domu, skoro zabroniłaś mi wszelkiego innego kontaktu?

Listy? On pisał listy. A ona mu odpisała? Przypomniała sobie list, który odesłała Jeannette. Myśli jej zawirowały, gdy wreszcie pojęła.

- Boże drogi, ty jesteś K.

- Oczywiście, że jestem K. Cóż za nonsensy wygadujesz? K od Kennetha, mojego drugiego imienia. Umówiliśmy się, że będę się tak podpisywał, by nikt niczego nie podejrzewał. Co się z tobą dzieje?

- Nic, nic się nie dzieje. Zaskoczyłaś mnie i tyle, napadając na mnie w ciemnościach. Nigdy więcej mnie tak nie strasz.

- Najmocniej przepraszam, ale nie mogłem się powstrzymać, tym bardziej że Raeburn wyjechał. Spotkaj się ze mną dziś w nocy. Pozwól się dotykać, patrzeć na ciebie. Minęło tyle czasu.

Podszedł bliżej.

Violet zrobiła krok w tył.

- Ja... ja nie mogę.

Zacisnął szczęki; widziała to mimo ciemności.

- Nie możesz? Czy nie chcesz?

- To trudne. Nic nie rozumiesz. Nie mogę tak po prostu wyjść z domu, ktoś zauważy. I Kit... Kit mnie pilnuje - skłamała. - To istny mały szpieg, ten braciszek Adriana. Kto by pomyślał?

- Wygląda na to, że masz szczęście do szpiegów. - Wyciągnął rękę, pogłodził kciukiem jej policzek. - Dobrze więc, poczekam. Ale niedługo. Możesz sobie być jego żoną, ale to nie znaczy, że nie jesteś moją miłością. - Schylił się i nim zdążyła temu zapobiec, wycisnął kolejny mocny pocałunek na jej ustach. Zniknął tak szybko, jak się pojawił, rozpluwając się w ciemnościach niczym zjawa.

Violet stała przez chwilę z sercem łomoczącym w piersi, jakby właśnie wzięła udział w wyścigu. Wstrząsnął nią dreszcz, chłód wsączył się pod materiał sukni. Pospieszyła do środka, rozpaczliwie szukając ciepła i bezpieczeństwa.

Zaczęła wzrokiem szukać w tłumie Kita.

Dopadł ją hrabia Allensby; była pora na jego taniec. Wykręciła się bólem głowy, co nie było tak do końca kłamstwem, gdyż czuła nadchodzącą migrenę. Jako dżentelmen Allensby uparł się jednak, że odprowadzi ją do szwagra.

- Jeannette. - Kit wstał od stolika i rzucił karty na blat. - Jesteś blada jak ściana. Cóż ci się stało?

- Kit, zabierz mnie do domu, proszę.

Podziękowali hrabiemu, który skłonił się i życząc jej szybkiego powrotu do zdrowia, odszedł.

Nie mówiąc do niej ani słowa, Kit poprosił służącego, by przyniósł im okrycia i zawiadomił stangreta, że chcą jechać do domu.

Dopiero w bezpiecznym schronieniu powozu Violet zdołała przemówić. Opowiedziała Kitowi o spotkaniu z Markhamem, o romansie swojej siostry i listach.

- Cóż za łajdak! - W głosie Kita brzmiał gniew. - Powiniennem go wyzwać.

- Och, Kit, nie! To by tylko pogorszyło sprawę, nie rozumiesz? - Otuliła się szczerzej płaszczem, zwiesiła głowę. - Wiedziałam, że nie powinnam ci mówić.

- Nie bądź niemądra, oczywiście, że powinnaś. - Pochylił się do przodu, spojrzał na nią poważnie. - Nie martw się. Wymyślimy jakiś sposób, by zniechęcić tę kanalię. Żałuję tylko, że nie mogę wyjawić przed Adrianem prawdziwej natury jego przyjaciela. - Słyszając jej okrzyk przerażenia, dodał: - Będę milczał jak grób. Nie pisnę ani słówka. A teraz pomyślmy.

Pięć dni później Violet dopadła Kita, kiedy uczył się w bibliotece.

Zamknęła szczerlnie drzwi za sobą.

- On chce się spotkać.

Kit spojrzał na nią znad tomiszcza o wojnie peloponeskiej, dzieła tak suchego, że jego zdaniem do każdego egzemplarza powinni dodawać flaszeczkę czegoś mocniejszego.

- Jaki on?

- A jak myślisz? Markham, oczywiście. Mówi, że ma dość tego zbywania i że jeśli nie spotkam się z nim dziś w palmiarni na balu u Lymondhamów, będzie musiał zastosować bardziej drastyczne środki. Proszę, sam przeczytaj.

Kit wziął list i przejrzał jego treść.

- Bezczelny drań. Wielka szkoda, że nie pozwalasz mi go przedziurawić. Z niezwykłą radością ujrzałbym jego krew na ostrzu mojej szpady.

- Kit, proszę cię, bądź poważny. Co ja mam robić?

Już niemal od tygodnia stosowała wyłącznie uniki. Wykorzystywała Kita jako swego rodzaju żywą tarczę, na co chętnie się godził. Trzymała go przy sobie, by zapobiec niechcianym awansom, wybierała imprezy, które z samej natury uniemożliwiały wszelkie podchody Markhama, by przyłapać ją znienacka samą.

Najwyraźniej ta strategia zaczęła zawodzić.

Kit uderzył listem o udo.

- Powinnaś się z nim spotkać.

Otworzyła usta ze zdumienia.

- Co takiego?

- Tak. Myślę, że najwyższa pora, byś wyjawiała mu swoje prawdziwe uczucia. Cokolwiek zaszło między wami w przeszłości, już się skończyło. Chcesz się postarać, by twoje małżeństwo było udane. Nie chcesz się z nim więcej widywać i masz nadzieję, że on to zrozumie.

- Czyś ty zwariował? - syknęła. - Taki jak on niczego nie zrozumie.

- O, myślę, że jednak tak, jeśli tylko wyłożysz mu to w odpowiedni sposób. Powiedz mu, że kiedyś go kochałaś, ale te uczucia się zmieniły. Adrian jest twoją przyszłością. Jest twoim mężem i nie ma mowy o rozwodzie, szczególnie teraz, gdy jesteś przy nadziei.

- Ale ja nie jestem przy nadziei. - Skromny rumieniec rozlał się po jej policzkach.

- Tak, ale on tego nie wie. Świadomość, że nosisz w sobie potomka innego mężczyzny z pewnością ostudzi jego zapał.

Uczyniła kilka niespokojnych kroków i się zatrzymała.

- Nie jestem pewna. A jeśli mi nie uwierzy? A jeśli go to nie obejdzie? Wszak nie odstrasza go romans z zamężną kobietą.

- On myśli, że cię kocha. Kiedy mu powiesz, że już nie odwzajemniasz jego uczuć, nie będzie miał innego wyjścia, jak się usunąć.

Przeszła jeszcze kilka kroków i znów się zatrzymała.

- No dobrze. Chyba warto spróbować. Ale co z moją siostrą? Nie spodoba jej się to. Ani trochę. - Marszcząc brwi, objęła się ramionami.

- Powinna była o tym pomyśleć, zanim namówiła cię na zamianę ról. Nie masz wyboru. Powiedz jej, że musiałaś to zrobić. Kto wie, może Markham spotka któregoś dnia „Violet” i zakocha się w niej.

Zmroziła go spojrzeniem.

- Boże uchwaj. No dobrze, zrobię to. - Nerwowo zama-
chała rękami. - Mam nadzieję, że dziś wieczór to się skończy.
A potem wróci Adrian i znów wszystko będzie dobrze.

16

P

Powóz zaprzężony w czwórkę koni gnał przez wieczorny mrok; kiepsko oświetlone przedmieścia ukazały się oczom Adriana.

Planował wracać do Londynu dopiero za dwa dni, ale zrobił już wszystko, co mógł w sprawie tragicznego wypadku w Winterlea. Zbadał okoliczności śmierci gospodarza. Pocieszył zrozpaczoną wdowę i jej rodzinę. Oddał zmarłemu ostatnią posługę. Złożył wyrazy ubolewania okolicznej społeczności.

Śmierć nigdy nie była czymś przyjemnym, a on chciał jak naj-
szybciej zakończyć sprawę i powrócić do miasta.

Prawda była taka, że tęsknił za żoną.

Myślał o niej przynajmniej sto razy w ciągu dnia. W naj-
dziwniejszych momentach popadał w zadumę nad czymś, co
kiedyś powiedziała czy zrobiła, zapisywał w pamięci ciekawe
tematy do poruszenia, planował nowe, wspólne zajęcia. Noce,
od kiedy wyjechał, były długie. Od tamtego dnia ani razu nie
wyspał się porządnie. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak
puste może być jego łóżko bez ciepłego, kobiecego ciała, zwi-
niętego obok.

Nim wyjechał z miasta, oddalili się od siebie. Towarzyskie
zobowiązania i konwenanse robiły swoje, spychając ich na od-
dzielne ścieżki.

Ale teraz to wszystko się zmieni, przyrzekł sobie.

Gdy tylko do niej wróci, naprawią sytuację. Przekona ją, by
nie przyjmowała tak wielu zaproszeń. By wybierała rozrywki,

które w naturalny sposób pozwolą im zachować bliższy kontakt i spędzać więcej wieczorów razem w domu. Obyczaj, każący mężom i żonom pędzić życie osobno, był z gruntu zły. Adrian pragnął być z nią, i zamierzał tak czynić, nie bacząc na konwenanse.

Planował jej też powiedzieć, że ją kocha.

Przyszła już pora. Jaki sens miało dalsze ukrywanie prawdy, czy to przed sobą, czy przed Jeannette? Ona odkryła przed nim swe uczucia. On powinien mieć dość odwagi, by zrobić to samo.

Uśmiechnął się szeroko, promieniując dobrym nastrojem, gdy powóz zajechał przed dom.

March otworzył drzwi i uniósł brwi ze zdumienia.

- Wasza Księżca Mość, nie spodziewaliśmy się pana przed piątkiem.

- Postanowiłem wrócić wcześniej. Gdzie moja żona? Czy wyszła już na wieczór?

- Księżna pani i lord Christopher odjechali jakiś czas temu. Na bal u Lymondhamów, zdaje się.

- Powiedz Josephsowi, że za pół godziny będę znów potrzebował powozu. I przyślij na górę Wilcoxsa, by przygotował kąpiel i świeże ubranie. Dołączę do Jej Księżcej Mości i brata na balu. - Wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. W połowie drogi przystanął. - Aha, March, czy umyślny przyniósł paczkę od Rundle'a i Bridge'a?

- Tak, Wasza Księżca Mość. Paczka przyszła wczoraj i została umieszczona w sejfie w pańskim gabinecie.

- Z łaski swojej, każ mi ją przynieść do pokoju.

- Sam się tym zajmę.

Za sprawą kompetentnego jak zawsze Wilcoxsa wanna była napełniona, gdy Adrian się rozebrał, a kiedy skończył kąpiel, na łóżku leżał świeży strój wieczorowy. Czekał nań również niewielki talerz sera, krakersów i owoców, a do tego kieliszek burgunda, by mógł zaspokoić pierwszy głód po długiej podróży.

Odświeżony, pełen nowej energii, włożył elegancki ubiór. Pumpy, żakiet z rozcięciem i pantofle - wszystko czarne - kontrastowały ze śnieżnobiłą koszulą, kamizelką, pończochami, fularzem i rękawiczkami.

Obite aksamitem pudełeczko leżało dyskretnie na toalecie, gdzie zostawił je March. Adrian otworzył wieczko i zapatrzył się w naszyjnik ze szmaragdów, ametystów i brylantów, który zamówił dla Jeannette. Olśniewające klejnoty tworzyły wzór kępek kwiatów, wijących się listków i połyskujących kropelek rosy.

Może powinien był wybrać projekt z rubinami lub różowymi brylantami - kolorami bardziej kojarzącymi się z jej drugim imieniem, Rose. Ale kiedy zobaczył wzór tego naszyjnika, wiedział, że właśnie on jest dla niej. O dziwo, zdawał się bardziej do niej pasować.

Wyobrażał sobie, jak zaskoczy ją podarkiem i jaka będzie jej reakcja. Ale kiedy i gdzie to zrobić?

W nagłym natchnieniu przeszedł do jej sypialni. Ustawił otwarte pudełeczko na środku jej toaletki. Naszyjnik migotał w blasku świec tak olśniewająco, że nie sposób było go przeoczyć. Dziś wieczór, gdy Jeannette wróci do domu, wejdzie tutaj i go znajdzie.

Uśmiechnął się, przeczuwając jej radosną, taką miał nadzieję, reakcję. Może nawet zdoła przekonać ją, by założyła naszyjnik - i nic prócz niego - dziś wieczór, w łóżu. Jego ciało natychmiast zareagowało na tę myśl.

Gdy odwrócił się, by wyjść, dostrzegł kawałek papieru, który wypadł z paleniska na podłogę. W innych okolicznościach zignorowałaby to, zalecając, by któraś z pokojówek posprzątała bałagan. Ale na wierzchniej części widniało imię Jeannette, wypisane śmiałym, ozdobnym charakterem. Jedna z krawędzi kartki była poczerniała od ognia.

Zaciekawiony podniósł list z podłogi i otworzył go.

Serce zamarło mu w piersi.

Moja najukochańsza...

Odwrocił oczy. Fala krwi uderzyła mu do głowy, załomotała między uszami. Ze ściśniętym gardłem zmusił się, by spojrzeć na stroniczkę.

Moja najukochańsza, nie zniosę tej męki ani chwili dłużej. Błagam, przynieś ulgę memu sercu, memu umysłowi, i spotkaj się ze mną dzisiaj w palmiarni Lymondhamów. Bądź tam o północy i przyjdź sama. Dość gierki. Jeśli się nie zjawisz, będę zmuszony zadziałać w sposób, którego żadne z nas sobie nie życzy. Wiem, że Twe serce należy do mnie. Nie rozpaczaj, znajdziemy jakiś sposób. Do wieczora.

Twój K.

K.? Kto to, u diabła, jest K.?

Mężczyzna, z którym jego żona ma romans, oto kto.

Adrian zmiął list w dłoni, ściskając pięść tak mocno, że pobielały mu kostki. Zacisnął powieki, usiłując zwalczyć falę mdłości, która wezbrała w jego wnętrzościach jak kwas; usiłując opanować ból, który kazał mu szaleć, miotać się, ryczeć z wściekłości.

Rzucił list w ogień i patrzył, jak pożerają go płomienie, aż spopiełał - jak szczęście w jego sercu.

Północ. W liście napisane było, że mają się spotkać o północy. Spojrzał na zegar na kominku, przekonał się, że jest już dobrze po jedenastej. Jeśli się pospieszy, zdoła ich przyłapać. Odkryje tożsamość tajemniczego kochanka, może nawet złapie ich na gorącym uczynku. Czy tego pragnął? Czy naprawdę chciał się dowiedzieć?

Wściekłość i ból pożerały go; zrozumiał, że musi poznać prawdę. Musi zobaczyć ją na własne oczy. Z ponurą miną przygotował się na to, co miało nastąpić, i wyszedł z pokoju.

Violet odrzuciła dwa zaproszenia do tańca, starannie pilnując czasu na wspaniałym, stojącym zegarze.

Już prawie północ.

Opanowała zdenerwowanie. Chora z napięcia, przez cały wieczór nie była w stanie nic przełknąć. W nadziei, że poczuje się swobodniej, wypła trochę wina, i natychmiast tego pożałowała. Miast dodać jej odwagi, alkohol wprowadził ją w stan oszołomienia i zaburzonej równowagi. Na szczęście wypła je dość wcześnie i jego skutki już mijały.

Dwie minuty.

Lepiej było wymknąć się teraz, póki mogła, nim zjawi się ktoś znajomy lub kolejny natarczywy partner do tańca. Kit przyrzekł, że będzie jej towarzyszył, mimo ostrzeżenia w liście, iż ma się zjawić sama. Obiecał, że dobrze się schowa, lecz na tyle blisko, by czuła się bezpiecznie, ale dość daleko, by nie zostać zauważonym.

Na uginających się nogach Violet przeszła do palmiarni.

Otoczyły ją istna džungla roślin i przesłodzony aromat gardenii wiszący w powietrzu jak mgła. Wnętrze pomieszczenia spowijały splecione cienie; kiedy wkraczała głębiej w mrok, jedynie jej ciche kroki zakłócały absolutną ciszę. Skąpe oświetlenie zapewniały mosiężne piecyki z ledwie pełgającym ogniem, chroniące rośliny od chłodu.

Jakby nagle się zmaterializował, Markham wyłonił się zza osłony dużej palmy w donicy.

- Nie byłem pewien, czy przyjdiesz.

- Jestem.

Sięgnął po jej dłoń.

Uniknęła jego dotyku. Wszystko w jej wnętrzu dygotało.

- Co chciałeś mi powiedzieć?

- Skąd ten chłód? Czyżbyś odwróciła się ode mnie, moja ukochana?

- Nie nazywaj mnie tak. Nie jestem twoją ukochaną. Już nie. - Wytężała umysł, by przypomnieć sobie dialog, który przećwiczyła

z Kitem wczoraj wieczorem i jeszcze raz dziś rano. Boże, miała nadzieję, że odegra to jak należy. - B... bardzo mi przykro, T-to-tdy, ale nasz romans nie może dłużej trwać. Jestem teraz zamężną kobietą, i choć kiedyś żywiłam do ciebie uczucie, to się zmieniło. Kocham męża i muszę cię prosić, byś się z tym pogodził. Nie mogę się z tobą więcej widywać.

Twarz Markhama pociemniała jak chmura burzowa. Violet przygotowała się na nadchodzący wybuch, mocno zaniepokojona tym, co widziała.

- Nie wierzę ci. - Zaciśnął pięści. - Nie mówisz poważnie. Czy ten wścibski młokos, twój szwagier, zmusił cię do tego? Przez ostatnie dni tropił cię jak ogar. Czy to szantaż? Czy on ci groził? Bo jeśli tak, są sposoby, aby temu zaradzić.

- Nie - odparła, przerażona, jakie „sposoby” może mieć na myśli. - Kit niczego nie zrobił, więc zostaw go w spokoju. To ja go prosiłam, by trzymał się blisko mnie. - Uznała, że pora wyłożyć atutową kartę. Modliła się tylko, by to kłamstwo zadziałało. - Skoro musisz wiedzieć, noszę w sobie dz-dziecko. Dziecko Adriana. Wszelki związek między nami jest teraz niemożliwy, chyba to rozumiesz. Należę do niego. Proszę, pogódź się z tym i odejdz.

Ból wykrzywił jego twarz. Zachwiał się, jakby przeszyła go sztyletem, spuścił wzrok. Po długiej chwili zaczerpnął głęboko powietrza, odwrócił się ku niej.

- To nie ma znaczenia. Urodź dziecko, a potem bądź ze mną.

Być z nim?

Nie to miał powiedzieć. Miał powiedzieć „żegnaj”. Boże drogi, i co ona miała teraz zrobić?

Pokręciła gwałtownie głową.

- Nie. Powiedziałam ci, to niemożliwe. - Jej głos wzniósł się do pisku. - To koniec.

- Nie. Nie pozwolę ci odejść. Kocham cię.

- Ale ja nie kocham ciebie. - To było jedyne stwierdzenie, które mogła wypowiedzieć w pełni szczerze.

- Nie to pisałaś w liście, kiedy błagałaś mnie, bym czekał. Kiedy zapewniłaś, że twoje serce należy do mnie na zawsze i na wieki wieków.

Ledwie się powstrzymała, by nie przewrócić oczyma. Jej siostra potrafiła czasem być taka melodramatyczna.

- Ja... bardzo mi przykro, ale moje uczucia się zmieniły. Już cię nie chcę.

Wyciągnął ręce, chwycił ją za ramiona.

- Nie wierzę ci.

Podsłoczyła pod jego dotykiem.

- Puść mnie.

Wykrzywił się i pchnął ją do tyłu, w pobliże jednego z piecyków. Wbił w jej oczy przesywający wzrok, jakby chciał przeniknąć jej myśli.

- Kim jesteś, u diabła? - zapytał groźnie.

Jej ciało znów drgnęło, jak rażone piorunem.

- Jeannette Brantford Winter, księżna Raeburn.

- Może i jesteś księżną Raeburn, ale na pewno nie jesteś Jeannette Brantford, w każdym razie nie tą, którą znam.

- Jak śmiesz. Puść mnie.

- Nie, dopóki nie dowiodę, że mam rację. - Bez namysłu okręcił nią i zsunął rękaw jej sukni, odsłaniając nagie ramię i kawałek pleców.

- Nie ma.

- Czego nie ma?

- Znamienia. Pamiętasz? Tego w kształcie małego kotka. Żartowaliśmy z niego, że tak idealnie pasuje do twojej natury. Ale tu go nie ma. - Przeciągnął dwoma palcami po miejscu, gdzie brakowało znaku, choć Violet cały czas próbowała wyrwać się z jego uścisku. - Nie ma go tu, bo ty nie jesteś Jeannette. Mój Boże, jesteś jej siostrą, zgadza się?

Odskoczyła od niego i poprawiła suknię. Nad ramieniem Markhama dostrzegła Kita, biegnącego jej na ratunek. Odnalazła jego oczy i pokręciła ledwie dostrzegalnie głową. Zatrzymał się, zawahał, wyraźnie zaskoczony. Ale zgodnie z jej poleceniem skrył się w cieniu liści najbliższego krzaka.

- Wiedziałem, że jest w tobie coś dziwnego - wyznał Markham - ale nie potrafiłem tego dokładnie określić. Zamieniłyście się. Jej pomysł, oczywiście.

Wiedząc, że nie ma sensu dłużej zaprzeczać, skinęła sztywno głową.

- Czy Raeburn wie? - Roześmiał się szorstko. - Oczywiście, że nie, inaczej już dawno wykopałby z domu twój kłamliwy *derrière*. Niewiarygodne. - Przeszedł kilka kroków w jedną stronę i z powrotem. - Gdzie ona jest? Gdzie jest Jeannette?

- We Włoszech, z naszą cioteczną babką.

Pstryknął palcami.

- Oczywiście. Udaje, że jest tobą. To napięcie musi być dla niej nie do wytrzymania. Udam się na południe i przekonam, czy mogę coś zrobić, by pomóc jej dźwigać to koszarne brzemię. - Umilkł, oczy zwęziły mu się jak u wilka. - Ona o tym nie wiedziała, prawda? O tej próbie zniechęcenia mnie?

- Nic nie wiedziała. - Violet wykręciła palce. - Co zamierzasz w sprawie Adriana? Powiesz mi?

Markham uniósł brew.

- Powinienem. Słusznie by ci się to należało za oszustwo. Ale obawiam się, że to by popsuło zabawę na kontynencie. Poza tym, jeśli Raeburn jest takim durniem, że sam nie domyślił się prawdy to jest ciebie wart. To nawet całkiem zabawne, mieć podmienioną żonę. - Pochylił się ku niej. - Naprawdę jesteś przy nadziei?

Policzki zapłonęły jej na to pytanie.

- Nie.

Znów się roześmiał.

- Jeśli chcesz go zatrzymać, to wyświadczyć sobie przysługę i postaraj się o to. Gdy w grę będzie wchodzić dziecko, nie roz-

wiedzie się z tobą. Choć może zgodzić mamkę, a ciebie wyeks-
pediować do którejś ze swoich mniej gościnnych posiadłości, byś
dożyła swych dni w samotności. - Poklepała ją po policzku. - Bez
obaw. Obiecuję, że nie dowie się tego ode mnie.

Odwrócił się i odszedł.

Dopiero gdy zniknął, Violet zdała sobie sprawę, że drży.

Kit podszedł do niej i objął po bratersku, by ją pocieszyć.
Wdzięczna za wsparcie, odwzajemniła uścisk.

- Przynajmniej sobie poszedł - powiedziała. - Przynajmniej
zniknął z twego życia.

- Ale martwi mnie jego obecność w życiu Jeannette. Modłę
się, by to wszystko nie skończyło się katastrofą.

Północ dawno minęła, gdy Adrian wszedł do palniarni Ly-
mondhamów.

Po drodze był wypadek, musiał więc czekać, aż woźnice doj-
dą do ładu ze sobą i z zaprzęgami i rozjadą się w swoje strony.
Gdy dotarł na bal, zatrzymało go chyba z tuzin osób, pragną-
cych przywitać się z nim i wyrazić radość z jego powrotu do
miasta.

Gdy zapuścił się głębiej do cichego, pełnego zieleni pomiesz-
czenia, niezmaconą ciszę zakłócał jedynie pomruk głosów. Jego
żona z kochankiem, czy może ktoś inny? Ruszył w stronę gło-
sów, odnajdując drogę między egzotycznymi roślinami, które
były dumą i radością gospodarza. Zamierzał się ujawnić, ale naj-
pierw chciał zobaczyć dowód. Ustawiwszy się po drugiej stronie
dużego kwitnącego krzewu, spojrzął między jego gałęziami na
rozmawiającą parę.

Jego serce otrzymało drugi morderczy cios tego wieczoru.

Stali tam Jeannette i Kit, trzymając się w objęciach. Przez
chwilę nie rozumiał, nie mógł pojąć, co widzi. Ale nagle słowa li-
stu zapłonęły w jego pamięci wraz z tajemniczą sygnaturą na dole
kartki. K. Tak podpisał się jej kochanek. K jak Kit?

Oblał się potem, czując przypływ mdłości. Odwrócił się w obawie, że naprawdę może zwymiotować. Zaczepnął ze świstem powietrza, wypuścił je.

Jego brat i żona? Niemożliwe.

Ale przecież widzi ich razem, objętych. I wszak już wcześniej był świadkiem ich spotkania, które dopiero teraz wydało mu się podejrzanym, tamtego chłodnego dnia w gloriecie w Winterlea. Pamiętał też, jak ona upierała się, by Kit jechał z nimi do Londynu. I czytał dziś list- najbardziej obciążający dowód ze wszystkich.

Boże drogi, co miał robić? Każdego innego mężczyznę po prostu wyzwałby na honorowy pojedynek i z zimną krwią zabił. Ale Kit był jego bratem. Nie mógł wyzwać własnego brata. Nie mógł zamordować kogoś, w czyich żyłach płynęła ta sama krew.

Czy oni się kochali? Jego dusza zawyła rozpaczliwie na tę myśl.

Jeannette i Kit byli w podobnym wieku, dzieliły ich niecałe dwa lata różnicy. Nieraz widział ich bliskość i był zadowolony z tej rodzinnej więzi, ani przez chwilę nie podejrzewając, że to mogło być coś innego.

A co z jej przysięgą małżeńską? Z jej szczerymi zapewnieniami o miłości?

Kłamstwa, Wszystko kłamstwa.

Jak daleko zaszły sprawy między nimi? Czy sypiali ze sobą? Czy kiedy wyjechał, Kit zajął jego miejsce w łóżu? Czy to Kit podczas jego nieobecności wywoływał rumieniec na jej policzkach, wyrwał westchnienia ekstazy z jej ust?

Czerwona mgła wściekłości przesłoniła mu oczy, ręce zaczęły drżeć. Zaciśnął je w pięści, walcząc, by odzyskać panowanie nad sobą. Boże w niebiesiech, cóż on ma robić? Jak ma to znieść?

Musiał odejść. W tej chwili. Musiał być sam.

Wzdrygnął się na samą myśl, że miałby przerzucać się uprzejmościami i prowadzić banalne rozmówki przez resztę wieczoru. Nie ścieriałby tego koszmaru.

Cicho, by Kit i Jeannette nie usłyszeli, wycofał się po własnych śladach. Przeprosiwszy zdumioną jego widokiem gospodynię, uciekł w zimną noc.

Violet zapukała do drzwi łączących jej sypialnię z pokojem Adriana. Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, przekreśliła gałkę i weszła do środka. Pokój, skąpany w łagodnym blasku ognia, był pusty. Niewielka grupka świec, ustawiona wieczorem na stoliku, dawno się wypaliła.

Dorzuciła polano do ognia i przez chwilę patrzyła, jak płomień chciwie liżą je czerwonymi językami. W końcu usiadła w fotelu niedaleko paleniska. Na podółku położyła aksamitne pudełeczko od jubilera, które, oszołomiona, odkryła na swojej toalecie. Dosłownie zaparło jej dech w piersi, gdy ujrzała wspaniały naszyjnik.

Teraz, otworzywszy wieczko, nabożnie powiodła palcami po ślicznych kamieniach, które rzucały skry nawet w tak słabym świetle. Nikt nigdy nie dał jej tak wspaniałego prezentu. I na dodatek bez żadnej szczególnej okazji. To nie były jej urodziny, a do świąt pozostał jeszcze długi miesiąc.

Żarliwie pragnęła mu podziękować. Nigdy w życiu nie widziała czegoś tak oszałamiająco pięknego.

A ponadto on był w Londynie! Jakby biżuterii było mało, jeden z lokajów zawiadomił ją o przyjeździe księcia pana, kiedy wróciła z Kitem do domu. Jeśli można było wierzyć plotkom, pokazał się na chwilę na balu u Lymondhamów, choć ani ona, ani Kit go nie widzieli. Dziwne, że wrócił z Winterlea, by natychmiast zniknąć na nowo.

Zegar na półce kominka wydzwonił w pół do czwartej nad ranem. Gdzież on mógł być? Miała nadzieję, że nie przydarzyło mu się coś złego. Ignorując lekkie ukłucie niepokoju, usadowiła się wygodniej w fotelu, by czekać.

Obudziła się, przestraszona, gdy szare światło przedświtów zaglądało już w okna, a w korytarzu rozlegały się ściszone głosy pokojówek, idących do swoich zajęć. Violet usiadła prosto i przeciągnęła się, zeszywniała od siedzenia w fotelu.

Była już prawie siódma. Jej wzrok padł na łóżko, na nienaruszoną narzutę, ułożoną tak samo starannie jak przez wszystkie dni, kiedy go nie było.

Adrian nie wrócił na noc do domu.

Zaniepokojona, wyszła pospiesznie na korytarz, nie zważając na swój strój — porannik i domowe pantofle, i potargane od snu włosy, spływające luźno na plecy. Powinien już dawno być w domu, myślała niespokojnie. Musiało się stać coś strasznego. Wypadek, choroba. Może leży w tej chwili w boleściach albo jeszcze gorzej.

Przebiegła korytarzem. Betty była pierwszą służącą, jaką znalazła; dziewczyna na kolanach szorowała podłogę.

Spojrzała w górę, wyraźnie przestraszona.

- Wasza Książęca Mość, cóż to się stało?
- Betty, Bogu dzięki. Widziałas dziś rano księcia pana?
- Nie, psze pani, ale...

Violet już nie słuchała; pobiegła dalej.

Pognała na dół, głównymi schodami, nie bacząc na spojrzenia mijanych służących. Gdy była już w holu, podbiegła do Marcha.

Majordomus odwrócił się ku niej i otworzył szeroko swe niebieskie oczy.

- Wasza Książęca Mość, czy dobrze się pani czuje?

- Tak, tak, nic mi nie jest - wysapała i umilkła na chwilę, by złapać oddech. - Jego Książęca Mość nie wrócił na noc do domu i ogromnie się martwię, że coś mu się przytrafiło. Czy masz od niego jakieś wieści? Może powinniśmy zawiadomić policję, rozpytać się wśród jego przyjaciół, wszystkich, którzy mogli go ostatnio widzieć.

W korytarzu rozległy się kroki.

- Nie ma takiej potrzeby, moja pani. Jak widzisz, jestem cały i zdrow.

Odwróciła się na pięcie, słysząc jego głos. Z dłonią na sercu podbiegła do niego, gdy stał w progu pokoju śniadaniowego, objęła go i uściskała żarliwie.

Jego ciało zeszytywniało. Zbyt pochłonięta własną ulgą nie od razu zauważyła jego reakcję.

Odsuną ją od siebie szorstkim gestem.

- Cóż za melodramat - rzucił głosem lodowatym jak zamrożone jezioro. - Zapewne powinienem być wzruszony twoją troską. Popatrz na moją żonę, March, tak się o mnie martwiła, że nie raczyła się nawet ubrać.

Violet zaczerwieniła się, dopiero w tej chwili zdając sobie sprawę, że jest w negliżu. Otuliła się szczelniej połamami swojego porannika.

- Niepokoiłam się. Czekałam na ciebie... - zniżyła głos - ... w twoim pokoju. Nie przyszedłeś do łóżka.

- Może powinniśmy omówić tę kwestię w bardziej zacisznym miejscu. - Odsunął się na bok, przepuszczając ją do pokoju śniadaniowego. Odesławszy jedyne go służącego, który był w środku, zamknął drzwi, by mogli być sami. W końcu podszedł do stołu i zajął miejsce przed swoim talerzem.

Violet stała niepewnie, ogarnięta dziwnym skrępowaniem.

- Gdzie byłeś w nocy?

- Życzysz sobie kiełbasę? - Wskazał srebrny półmisek. - Są całkiem smakowite.

- Adrianie, proszę cię. Co się stało?

- Nic się nie stało. Mam się doskonale, zaspokajam głód porządnym posiłkiem. - Zjadł kęs jajecznicy. - Musisz tego spróbować. I może filiżankę herbaty?

- Nie chcę jajek, kiełbasek ani herbaty. Chcę wiedzieć, gdzie byłeś tej nocy.

Posłał jej szybkie, twarde spojrzenie i spuścił oczy. Odkroił kawałek kiełbaski, nieznośnie zgrzytając nożem o porcelanę.

- W moim klubie, skoro tak cię to interesuje.

- W klubie? Całą noc?

- Tak. Tajemnica wyjaśniona. A teraz sugeruję, byś poszła "włożyć na siebie coś bardziej odpowiedniego. Wyglądasz jak nierządnicą.

Zachłusnęła się, policzki jej zapłonęły.

- Martwiłam się o ciebie. Nie pomyślałam o tym, przepraszam. - Objęła się ramionami, wbiła spojrzenie w dywan. Zamrugowała, by powstrzymać nagły przypływ łez.

Stało się coś okropnego, pomyślała. Gdzież podział się ten mężczyzna, którego znała? To było tak, jakby prawdziwy Adrian odjechał, a na jego miejsce wrócił obcy człowiek. Te szorstkie słowa, ten chłód w oczach. Przez moment wydawało jej się nawet, że dostrzegła w nich nienawiść. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Pójdę już - mruknęła.

Adrian odłożył sztućce, spojrzał na żonę.

Dlaczego czuł się, jakby kopnął bezbronne szczenię? Wyglądała tak młodo, tak pięknie. Tak niewinnie. Gdyby nie znał prawdy, uwierzyłby jej, uwierzyłby w jej troskę o niego. Uwierzyłby, że go kocha, gdyby nie zdrada, której był świadkiem ostatniej nocy.

- Dlaczego na mnie czekałaś? - wyrwało mu się.

- Chciałam... chciałam ci podziękować za naszyjnik. Jest taki wspaniały. To najpiękniejszy podarek, jaki kiedykolwiek dostałam.

Naszyjnik. Zapomniał o tej przeklętej błyskotce.

Jego rysy stężały, gdy przypomniał sobie swoje głupie zadowolenie, swoją naiwną niecierpliwość, by dać jej prezent. Oczekiwanie na jej radość, gdy go otrzyma.

- To rzeczywiście uroczy egzemplarz, który będzie ładnie wyglądał na twojej szyi - skomentował rzeczowym tonem. - Rodzime klejnoty nie były odświeżane przynajmniej od pół wieku. Pomyślałem, że już pora dorzucić coś nowego.

Przywiedła jak kwiat; ledwie tłąca się iskierka radości zgasała w jej oczach.

- Och, rozumiem. Chyba wrócę już do siebie.
- Tak. - Podniósł widelec na znak, że rozmowa skończona. - Posiłek mi stygnie.

Kiedy sobie poszła, odłożył widelec z powrotem. Odsunął talerz. Apetyt zupełnie go opuścił.

17

et ubierała się na bal u Carterów. Żałowała, że nie może jakoś się z niego wykręcić i zostać dziś wieczór w domu. Ale imprezę ową wydawano na jej cześć -jej i Adriana - więc nie było ucieczki.

Agnes wsunęła jej przez głowę przepiękną suknię ze szmaragdowej satyny, z wierzchnią spódnicą ze szwajcarskiej gazy w białe kropeczki. Wieczorowa kreacja była głęboko wycięta i odsłaniała ramiona, więc nietrudno było ją na siebie włożyć. Potem zaczęło się układanie włosów.

Violet siedziała przy toalecie, pozwalając, by pokojówka wyszczotkować i upięła jej długie pukle. Patrzyła na swoje odbicie w lustrze, studiowała wyraz własnych oczu i zastanawiała się, czy ktoś jeszcze dostrzega przepełniający je smutek.

Z Adrianem coś było okropnie nie w porządku.

Od przyjazdu z Winterlea w zeszłym tygodniu oddalił się od niej. Był szorstki w obejściu, mrukliwy, bez humoru. Nie miała pojęcia, co mogło zająć w posiadłości, co tak na niego wpłynęło. Przepytywała nawet służbę - dyskretnie, oczywiście - łącznie z Wilcoxem, jego pokojowcem. Jednak nikt nie potrafił podać jej żadnej wskazówki.

Po tym koszmarным pierwszym poranku wzdragała się przed bezpośrednią rozmową. W końcu jednak zebrała się na odwagę i spytała, czemu jest tak przygnębiony.

Patrząc na nią lodowato, zaprzeczył, by tak było, zbywając ją i jej indagacje. Zraniona, więcej nie pytała.

Nie dociekała również, czemu nie przychodzi do jej łóża. Nie spali razem i nie kochali się od czasu, gdy wyjechał do Winterlea. Bała się usłyszeć, jaki mógł być tego powód.

Jego stosunek do Kita również uległ zmianie. Z przyczyn, których nikt nie potrafił pojąć, Adrian zrobił się napastliwy wobec brata, często w zupełnie nieznaczących kwestiach.

Poprzedniego wieczoru przy kolacji napadł na Kita z powodu jego obżarstwa, gdy chłopak nałożył sobie dodatkę deseru. Kit zawsze jadał dodatki. Dziwne byłoby raczej porzucenie przezeń tego zwyczaju. Niespodziewany atak Adriana zdumiał wszystkich; nawet lokaj obsługujący ich podczas posiłku patrzył na pana wybałuszonymi oczyma.

A dwa dni wcześniej Adrian wściekł się na brata z powodu zakupu nowej kamizelki. „Iluż pasiastych kamizelek potrzebuje jeden człowiek?” - zapytał zjadliwym tonem. Czy Kit kiedykolwiek zastanowił się nad kosztem takich zachcianek? Z pewnością istnieją lepsze sposoby na wydawanie kieszonkowego. Nic dziwnego, że wiecznie nie ma pieniędzy i że tak niewiele brakuje, by utonął w długach.

Policzki Kita płonęły szkarłatem pod gradem wymówek Adriana. Violet obawiała się, że może dojść do rękoczynów. Szczególnie kiedy Adrian zakwestionował męskość Kita, pytając go, czy nie zmienia się czasem w jednego z tych zniewieściałych modniśców, którzy myślą wyłącznie o własnym wyglądzie i atrakcyjności swojej garderoby.

Widząc wtedy płonące oczy męża, jego zaczepnie wysuniętą szczękę, odniosła nieodparte wrażenie, że Adrian chce, by Kit go uderzył. Że prowokuje brata do użycia przemocy, by móc odpłacić mu tym samym. Ale dlaczego? To nie miało sensu.

- Czy Wasza Księżęca Mość chce założyć swój nowy naszyjnik? Ten od księcia pana? - zapytała Agnes, przerywając jej rozmyślania.

Violet spojrzała na odbicie stojącej za nią dziewczyny.

- Och, czyż nie jest cudny? - Pokojówka uniosła wspaniałą klejnot. - Idealnie pasowałyby do sukni Waszej Księżęcej Mości.

Violet patrzyła na naszyjnik, niechętnie myśląc o jego założeniu. Z początku tak bardzo jej się podobał. Ale szorstkie, obojętne wyjaśnienie Adriana, dlaczego dokonał zakupu, zgasiło jej radość jak chluśnięcie zimną wodą. Może choć trochę by go udobruchała, gdyby założyła dziś jego podarek. Może poczułby się dumny, widząc najnowszy z rodzinnych klejnotów, zdobiący jej szyję. Może ten widok rozpałiłby ponownie dumę w jego oczach. Oczach, które nie błyszczały już jak dawniej - a przynajmniej nie dla niej.

Skinęła głową; chłodne kamienie dotknęły jej szyi, gdy Agnes zapięła klejnot. Jeszcze raz spojrzała na swoje odbicie i uznała, bez cienia próżności, że wygląda zachwycająco. Jak prawdziwa księżna Raeburn. Modliła się w duchu, by Adrian uznał ją za piękną, godną pożądaną.

Czekający w holu Adrian ledwie na nią zerknął, po czym pomógł jej włożyć płaszcz, beznamiętnie, jak służący. A ona nawet najdrobniejszym gestem nie zdradziła bolesnego rozczarowania, które przeszło ją niczym sztylet. Z dumnie uniesioną głową ruszyła przed nim do powozu.

Jazda do Carterów upłynęła w ciszy. Nie było z nimi Kita, który przerwałby ponure milczenie, pod warunkiem że w ogóle miałby ochotę próbować. Przyjął zaproszenie na kolację u przyjaciół i zamierzał dołączyć do księżęcej pary na balu nieco później.

Adrian poprowadził ją do pierwszego tańca. Przylepiła uśmiech na twarz, udając, że wszystko jest w porządku, choć jej dusza łkała. Rozmawiali o błahostkach, jak dwójka nieznamomych. Każdy krok był cierpieniem, każdy dotyk niewypowiedzianą torturą.

Traciła go i nawet nie wiedziała, dlaczego. A co gorsza nie wiedziała, jak mogłaby temu zapobiec.

Gdy orkiestra umilkła, rozdzielili się, spełniwszy swój obowiązek.

Lord Hamilton poprosił ją do kolejnego tańca. Położyła dłoń w jego dłoni i pozwoliła poprowadzić się na parkiet.

Gdy niemal połowa wieczoru już upłynęła i Violet siedziała, pijąc kieliszek negusa, podkraśniała się do niej Eliza Hammond, cicha jak szept.

- Proszę wybaczyć, że zabieram czas Waszej Księżęcej Mości. - Eliza dygnęła, witając ją z szacunkiem.

Violet odpowiedziała skinieniem głowy.

- Gdy ostatnio rozmawiałyśmy - ciągnęła Eliza skrupowana - powiedziała pani, że jeśli napiszę do Violet, pani przekaże jej moje listy.

Violet odstawiła kieliszek.

- Owszem.

Eliza podsunęła jej gruby pakiet poskładanych pergaminowych kartek. Na wierzchu widniało nazwisko Violet Brantford, wypisane wyrobioną ręką.

Księżna wzięła obszerny list.

- Dopilnuję, by to dostała.

Twarz młodej kobiety rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Dziękuję, Wasza Księżęca Mość. Jest pani niezwykle łaskawa. - I zniknęła, klucząc w tłumie jak cichy, brązowy wróbelek.

Violet chciała przywołać ją z powrotem, znaleźć jakiś wygodny kąt, gdzie mogłyby porozmawiać i podzielić się zwierzeniami, jak dawniej. Kiedy Eliza czuła się swobodnie, a jej skrupowanie zniknęło, mówiła tak zajmująco i żywo, jak najdowcipniejsza dusza towarzystwa. Potrafiła słuchać, potrafiła też rozpędzić wszelkie smutki swoim zrozumieniem i pełną optymizmu zachętą. Gdyby ludzie chcieli zadać sobie trud i dostrzec to, co pod powierzchnią, ujrzeliby, tak jak widziała ona, jaką wspaniałą osobą i lojalną przyjaciółką była Eliza. A w tej chwili Violet rozpaczliwie potrzebowała przyjaciółki. Lecz Eliza nie mogła jej pomóc. Nikt nie mógł jej pomóc.

Spojrzała w drugi koniec sali, gdzie stała dziewczyna, samotna i zapomniana. Nie, Eliza nie mogła jej pomóc, uznała, ale być może ona mogła pomóc Elizie, choćby troszeczkę.

Gdy jakieś pół godziny później zjawił się Kit, przywołała go do siebie skinieniem.

- Poproś do tańca pannę Hammond - powiedziała bez żadnych wstępów.

- Pannę Hammond?

Zobaczyła, jak przeczesuje wzrokiem salę i dostrzegła moment, w którym jego spojrzenie padło na jej przyjaciółkę. Siedząca sztywno na krześle obok parki zaspanych wdów, Eliza wydawała się równie pozbawiona wyrazu jak jej suknia z migdałowej jedwabnej kory.

- Masz na myśli Elizę Hammond? - W jego głosie nie było słycać wielkiego entuzjazmu.

- Nie tańczyła cały wieczór.

- Ona nigdy nie tańczy.

- Dlatego że nikt jej nie prosi. Bądźże dżentelmenem i zatańcz z nią. A kiedy skończysz, namów któregoś z kolegów, by też się pofatygował.

- Ale nie wiem, czy ja...

- To tylko jeden taniec. Nie sugeruję przecie, byś się z nią żenił.

Kit zadrżał.

- Boże uchwaj. - Poprawił mankiety. - Dobrze więc. Jeden taniec, tylko na twoją prośbę. I może zdołam przekonać Suttlesbury'ego, by i on się poświęcił. Jest zawsze chętny do tańca. Ale nie myśl, że ci tego nie zapamiętam i nie poproszę któregoś dnia o rewanż.

Roześmiała się.

- Bez obaw. Zbyt dobrze cię znam, by w to wątpić.

Adrian obserwował żonę i brata z drugiego końca sali. Spójrzcie tylko, myślał, jak pochylają ku sobie głowy, szepczą jak złodzieje, spoufaleri jak kochankowie. Zacisnął szczęki, aż zgrzytnęły

zęby. Odstawiwszy z hukiem pucharek madery, który niańczył od jakiegoś czasu, ruszył ku nim.

Gdy podszedł, Kit właśnie się odwracał. Przez długą chwilę wojowniczo patrzyli sobie w oczy, aż Kit kiwnął zdawkowo głową i się oddalił.

Uśmiech zniknął z twarzy Violet, gdy tylko zwrócił ku niej oczy. Jej reakcja dodatkowo podsyciła jego gniew.

- Zatańcz ze mną, moja pani. - Wyciągnął urękawiczoną dłoń.

Zawahała się. Zerknęła na lewo, gdy postąpił ku niej elegancki dżentelmen.

- Proszę wybaczyć, Wasza Książęca Mość, ale ten taniec obiecałam już sir Reginaldowi.

Adrian przyspilił mężczyznę twardym spojrzeniem.

- Cóż ty na to, Malmsey? Chyba nie będziesz protestował, że ci ją odbiję, prawda? Chcę zatańczyć z żoną.

Sir Reginald przełknął głośno; jego blada cera pojaśniała jeszcze bardziej.

- N-nie, Wasza Książęca Mość. Skądże znowu. Zgodzę się z radością. - Skłonił się niepewnie, wymamrotał coś do Jeannette i oddalił się w pośpiechu.

Adrian wyciągnął rękę gestem nieznoszącym sprzeciwu.

- Muzycy zaczynają, moja pani.

Podążyła mu rękę i poszła u jego boku na parkiet.

Porwał ją do walca, czując w objęciach jej gibkie ciało, miękką, znajomą dłoń w swojej dłoni. Nie wiedział, dlaczego to zrobił. Co go pchnęło do żądania, by zatańczyli ze sobą, skoro wiedział, że przyniesie mu to jedynie ból? Ale tak zdradliwie przyjemnie było trzymać ją w ramionach, wdychać jej słodki zapach, patrzeć w dół na jej lśniące, złote włosy.

Wcześniej tego wieczoru, w domu, gdy schodziła po schodach z naszyjnikiem otaczającym jej szyję niczym bukiet migotliwych polnych kwiatów, jej widok zaparł mu dech w piersi. Potrzebował całej siły woli, by nie zdradzić swoich uczuć. By zachowywać

się, jakby ledwie ją zauważał, jakby nic już dla niego nie znaczyła. Bo też, u licha, nie powinna. Nie powinna być ważna, już nie. A jednak wciąż była.

Wściekły na siebie i na nią, skupił się na pilnowaniu tempa i kroków, nie mówiąc ani słowa.

Violet pozwoliła poprowadzić się wokół sali, wśród trelis skrzypiec i fletów wypełniających powietrze jak zapach słodkich perfum. Adrian był spięty. Czuła siłą powstrzymaną energię w jego twardych mięśniach. Furię, która buzowała tuż pod cywilizowaną powierzchnią.

Zarzykowała spojrzenie w górę, dostrzegła głodny błysk pożądania w jego oczach. Przestraszona, natychmiast odwróciła wzrok i wpatrzyła się w gorszego koszuli, gdy tymczasem jej serce zabiło szybciej, uradowane. Od powrotu do miasta nie okazał jej nawet cienia zainteresowania. Czy to możliwe, że coś się zmieniło? Czy to możliwe, że znów jej zapragnął?

Jej puls nierówno wtórował muzyce. Jeszcze raz ukradkiem zerknęła w górę i stwierdziła rozczarowana, że tamto spojrzenie zniknęło.

Aż nazbyt szybko taniec się skończył. Adrian odprowadził ją z powrotem do grupki adoratorów, ukłonił się i odszedł. Przez cały czas nie odezwał się słowem, a przez większość tej wspólnej chwili wyczuwała w nim urazę, gniew. Dlaczego ją poprosił?

Ostatnio nikt nie potrafił go zrozumieć. A jednak była pewna, że nie omyliła się co do tamtego spojrzenia, tej tęsknoty w nim widocznej. Pytanie tylko, jak powinna zareagować?

Poczekwała, aż pokój owiec Adriana wyszedł; w pokoju po drugiej stronie drzwi zapanowała cisza.

Spojrzała po sobie, przerażona własną śmiałością. Miała na sobie tę skandaliczną koszulę nocną z czerwonego jedwabiu, z wyprawy ślubnej Jeannette - jedyny strój, którego nigdy nie miała odwagi włożyć. Materiał przylegał do jej ciała jak druga skóra.

Czy Adrian jej zapragnie?

Na pewno, kiedy ją zobaczy w tym stroju. Koszula była tak nieprzyzwoita, że Violet nie pozwoliła nawet, by Agnes ją w niej oglądała. Przebrała się dopiero, gdy pokojówka wyszła. Wydawała się niemal naga. Cienkie paski jedwabiu, przeplatające się z szerokimi fragmentami koronki, przesłaniały jedynie najbardziej intymne miejsca.

Wyzywająca kreacja miała nawet rozcięcia po bokach.

Violet podsycała własną pewność siebie, wspominając tamten ostatni raz, kiedy postanowiła uwieść Adriana. Wtedy wszystko poszło dobrze - wręcz bardzo dobrze - więc czemu tym razem miałyby być inaczej?

Może dlatego, że wtedy on nie był zagniewany i obojętny, podszeptął cichy głosik. Może dlatego, że wtedy wciąż jej pogażał.

Ale wszak było to spojrzenie dziś, kiedy tańczyli. Choć trwało mgnienie, wiedziała, że nie był to wytwór jej imaginacji. Mimo chłodu okazywanego przez ostatnie dni jakaś jego część wciąż jej pragnęła. A ona musiała jedynie ożywić to pragnienie i pokazać mu, że czuje to samo.

Adrian wychylił resztkę koniaku i odstawił kieliszek. Pograżony w ponurych rozmyślaniach, wpatrywał się pustym wzrokiem w ogień trzaskający na kominku.

Jeannette.

Nie powinien był z nią dziś tańczyć. To poddanie się impulsowi, to działanie w pośpiechu, w gorączce, było błędem. Przez całe dni próbował o niej nie myśleć, a w końcu nie robił właściwie nic innego. Jego życie zmieniło się w piekło.

Zastanawiał się nad następnym kieliszkiem, by skuteczniej utopić swój ból i może nawet zasnąć, gdy drzwi łączące sypialnie się otworzyły.

I oto weszła do pokoju, sunąc bezszelestnie, boso. Jej ciało było przystrojone krwistoczerwonym, jedwabnym fatałaszkim, który ukazywał więcej ciała, niż skrywał. Gołe nogi błyskały spod

niego, gdy szła. Jej piersi były bujne i jędrne jak soczyste owoce, ledwie osłonięte koronką w kolorze namiętności.

Jego ciało zareagowało impulsywnie, jej widok wywołał natychmiastową żądzę, gotowość, podziałał jak zapach chętniej kłaczki na ogiera. Adrian zacisnął pięść, zmuszając się do zachowania obojętnej miny.

- O co chodzi? - Z rozmysłem przybrał ton znudzenia i dezaprobaty.

Zatrzymała się, zawahała.

- Zobaczyłam światło u ciebie. Nie mogłam spać.

- Już późno. Trzeba było zadzwonić po Agnes i kazać sobie przynieść ciepłego mleka.

Postąpiła kilka kroków naprzód.

- Nie chcę ciepłego mleka.

- Więc może trochę koniaku. - Złapał swój pusty kieliszek, wstał z fotela, przeszedł przez pokój. Odwrócony plecami do niej, sięgnął po czysty kieliszek i nalał do obydwu po sporej porcji.

Własny kieliszek opróżnił dwoma solidnymi łykami. Alkohol zapiekł go w gardle, w żołądku, gdzie rozlał się jak jezioro gorącej lawy. Modlił się, by potężna dawka uspiła jego zmysły, stępiła cielesne apetyty.

Odwrócił się i wyciągnął ku niej kieliszek na całą długość ramienia, starannie unikając kontaktu.

- Proszę.

- Pamiętam, kiedy ostatni raz częstowałeś mnie alkoholem.

On też pamiętał i bardzo tego żałował. Te wspomnienia sprawiały, że obecna rzeczywistość była tym boleśnieszka.

Podeszła bliżej.

- Dziś nie potrzebuję alkoholu.

- Tak czy inaczej, zabierz go i idź sobie.

- Adrianie, o co chodzi? Co się stało? - Podbiegła naprzód i objęła go, przyciskając swoje ponętne krągłości do jego ciała. - Czy już mnie nie pragniesz?

Oszołomiony koniakiem i pożądaniem, spojrzął w jej oczy i zaczął tonać. Bez jednej myśli, nie bacząc na nic, przycisnął usta do jej warg, poddał się pragnieniu szalejącemu w żyłach. Kieliszek wypadł mu z ręki, alkohol wsiąkł w dywan, gdy naczynie poturlało się po podłodze.

Wlał w ten pocałunek całe swoje pragnienie, całą żądzę i frustrację, wdzierając się w jej usta niczym dziki, chciwy barbarzyńca, który brał wszystko, nie dając nic w zamian. A ona wyszła mu na spotkanie i dotrzymała kroku, wzdychając pod dotykiem jego dłoni, błędzących po całym jej ciele. Uniósł ją, umierając z pragnienia, by znaleźć się w niej, w jej ciepłym, mokrym wnętrzu. Nie potrafił się oprzeć. Nie potrafił odmówić sobie tego, co w tej chwili było dlań ważniejsze niż kolejny oddech.

Padli razem na łóżko. Jej dłonie pieściły go, zręczne i wprawne, jej usta ślizgały się po jego szyi, twarzy, piersi.

- Adrianie - szepnęła. - Adrianie, tęskniłam za tym. Tęskniłam za tobą. Kocham cię.

Znieruchomiał. Żądza zgasła jak zdmuchnięta świeca. Wspomnienia zalały okrutną falą jego mózg. Znaleziony list. Świadomość jej kłamstw. Jej widok w ramionach brata. Wyimaginowany obraz ich dwojga, gdy ona szepcze te same słowa do tamtego: Kit, kocham cię.

Co w niego wstąpiło? Jak mógł jej dotykać? Jak mógł jej pragnąć? A jednak pragnął, nawet w tej chwili, nawet wiedząc, kim była. Co gorsza, kochał ją mimo jej kłamstw, mimo zdrady. Brzydził się i nią, i sobą.

- Wyjź. - Stoczył się z niej. Jego głos brzmiał głucho, ochryple, obco.

- Co? - Znów sięgnęła do niego.

Zerwał się z łóżka.

- Wyjź. Idź sobie. Wynoś się.

- Ależ, Adrianie, nie rozumiem...

- Doprawdy? A co tu niby jest do rozumienia? Nie chcę cię. Czy to zbyt skomplikowane do pojęcia, moja droga? Nie

jestem już zainteresowany kosztowaniem twoich kobiecych wdzięków.

Łzy napłynęły jej do oczu, jedna z nich potoczyła się po policzku.

- Dlaczego? Co ja zrobiłam? - zapytała błagalnie.

- Proszę, nie upieraj się przy tej komedii - powiedział z jawnym niesmakiem, z drwiną. - To była bardzo udana próba, ale dość tego. Wiem o was. Widziałem was.

Oczekiwał, że się załamie, że wyzna wszystko.

Tymczasem ona usiadła na łóżku i spojrzała na niego zdezorientowana.

- O czym wiesz? Co widziałeś? Nie rozumiem.

Boże, ależ z niej była aktorka.

- Znalazłem list. Ten od twojego kochanka. - Twarz jej pobieliała. - A więc go pamiętasz, co? Wrzuciłaś go do ognia, ale się nie spalił. Znalazłem go i przeczytałem.

- To nie jest to, co myślisz.

- Nie? Poszedłem za tobą tamtej nocy. Widziałem was razem na balu. Widziałem cię w jego ramionach. - Podszedł do kominka, oparł się o gzyms i niewidzącym wzrokiem zapatrzył się w płomień. - Jak mogłaś to zrobić? Jak mogłaś zdradzić mnie z moim bratem? - Mdlący smutek i ból przepełniły go, ogarnęła go rozpacz niepodobna do niczego, co znał do tej pory.

- To dlatego byłeś taki okropny dla nas przez ostatni tydzień? Bo wierzysz, że mam romans z Kitem? - W jej głosie brzmiało osłupienie.

- A w cóż mam wierzyć?

- On jest moim przyjacielem, niczym więcej. Uściskał mnie tamtej nocy. Nie... nie obejmował mnie tak, jak myślisz.

Obrócił się na pięcie, spojrzał w jej twarz.

- Więc skąd ten przekłety list? Ktoś ci go przysłał. Jeśli nie Kit, to kto? Któż to jest K, u diabła?

Splotła palce, spuściła wzrok.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Nie możesz czy nie chcesz? - Podbiegł do niej, złapał za ramiona i potrząsnął. — Powiedz mi, kto to jest. Kim jest twój kochanek? - Podniósł głos niemal do krzyku.

Przeszywając ją ostatnim, wściekłym spojrzeniem, oderwał się od niej ze wszystkich sił, obawiając się, że mógłby naprawdę wyrządzić jej fizyczną krzywdę.

Roztarła ramię i zeszła z łóżka.

- Adrianie, proszę. Wiem, że to źle wygląda, ale to nie to, co myślisz. Ja... ja nie mam kochanka. Ty jesteś jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek...

- Dość. - Uniósł rękę. - Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Dość się nasłuchiwałem twoich kłamstw. Precz. - Kiedy nie ruszyła się z miejsca, krzyknął: - Nie słyszałaś?! Precz, powiedziałem. Wynoś się. Już!

Wzdrygnęła się. Z policzkami mokrymi od łez, wysunęła podbródek i spojrzała mu w oczy.

- Mylisz się. Nigdy cię nie zdradziłam. Proszę, pozwól mi tylko...

Postąpił ku niej groźnie.

Przełknęła resztę zdania i uciekła, zatraskując za sobą drzwi.

Adrian przeszedł przez pokój i schylił się po zapomniany kieliszek. Trzeba będzie wyczyścić dywan, pomyślał, usiłując skupić się na czymś innym.

Przez długą chwilę wpatrywał się w szkło, aż ból wezbrał w nim, palący i gorzki jak żółć. Z krzykiem cisnął kieliszek w palenisko, gdzie roztrzaskał się na kawałeczki. Kolejna rzecz, którą należało posprzątać, usunąć.

Gdybyż w ich życiu dało się tak łatwo przywrócić porządek.

Niewymownie zmęczony opadł na fotel. Nie mogąc spać, słuchał jej szlochów do bladego świtu.

18

Dwa dni później wyjechali na wieś.

Zbliżało się Boże Narodzenie i zgodnie z tradycją cała rodzina Winterów, nawet dalecy krewni, mieli zebrać się w Winterlea, by wspólnie spędzić świąteczny czas.

Zaledwie kilka dni wcześniej do Londynu dotarła wieść o narodzinach dziecka Sylvii. Ku zachwytowi wszystkich okazało się dziewczynką. Choć siostra Adriana dopiero wstała z połogu, koniecznie chciała pochwalić się swoją wymarzoną córeczką. Księżna wdowa oczywiście zamierzała wrócić do Winterlea z córką, jej mężem i okazałą gromadką dzieci.

Violet dostała list od rodziców. I oni planowali przyjechać ze swojej posiadłości w Surrey, by wziąć udział w świątecznych uroczystościach. Darrin również wybierał się ze Szkocji, gdzie polował z przyjaciółmi. Na szczęście cioteczna babka Agatha i „Violet” miały pozostać na kontynencie aż do wiosny. Kości sześćdziesięcioletniej Agathy były zbyt kruche, by narażać je na wilgoć i chłód angielskiej zimy, nawet z okazji świąt.

Bo też rzeczywiście było zimno i wietrznie. Nieliczne płatki śniegu odprawiały w powietrzu swe pijane tańce. Violet, obserwująca je z okna powozu, podciągnęła wyżej koc, który chronił ją od chłodu. Siedziała w powozie sama. Panowie, mimo niepogody, postanowili jechać konno, choć z tego, co widziała, żaden z nich nie wydawał się zachwycony pomysłem.

Od tamtego straszego wieczoru, kiedy poszła do Adriana, prawie ze sobą nie rozmawiali, spędzając w swoim towarzystwie zaledwie parę minut. Ale w świetle tego, co powiedział tamtej nocy, cóż innego im pozostawało?

On uważał ją za zdrażczynię i kłamczuchę. I, by oddać mu sprawiedliwość, po części miał rację.

Okłamywała go.

Chciała się bronić, dowieść mu, że nie była niewierna, ale jak mogła to zrobić? Musiałyby zdradzić swój drugi sekret. By udowodnić swoją niewinność w jednej sprawie, musiałyby ujawnić zbyt wiele na temat drugiej. A wtedy, jak materiał, z którego wysnuła się nitka, cała historia wkrótce sprułaby się i wyszła na jaw.

Może powinna po prostu wyznać prawdę, ujawnić się i skończyć tę maskaradę. Wtedy Adrian mógłby zdecydować, do której ze swoich licznych posiadłości ją zesłać. A może rozwiódłby się z nią i zwyczajnie wyrzucił ze swego życia? Zadrżała na tę przerażającą myśl. Wiedziała, że jest skazana, jakąkolwiek drogę wybierze. Westchnęła, patrząc, jak kolejne delikatne płatki sfruwają na ziemię.

Kit jechał konno obok brata. Po dwóch godzinach milczenia miał serdecznie dość jego towarzystwa. Wolałby jechać w powozie z Violet. Z pewnością byłoby to o wiele wygodniejsze. Wiedział jednak, że gdy tylko wsiądzie do powozu, Adrian uprze się, by do nich dołączyć, i będą się gnietli we trójkę do końca nieszczęsnej podróży.

Ale wszystko ma swoje granice, pomyślał. Ileż razy można się tłumaczyć?

Rankiem, po balu u Carterów, Violet powiedziała mu o oskarżeniach Adriana. Pamiętał, jak usta same otworzyły mu się na tę wieść. Nawet myśl o romansie z nią wydawała się nieprawdopodobna. Byli przecież jak brat i siostra. Każdy, kto miał oczy, widział to wyraźnie. Każdy z wyjątkiem chorego z miłości głupca, zbyt zaślepionego własną zazdrością, by dostrzec prawdę.

Dowody - list Markhama i ten nieszczęsny uścisk w palmiarni, którego Adrian był świadkiem - w istocie na pierwszy rzut oka były obciążające. Adrian zażądał, by udowodnili swoją niewinność, a że Kit mógł udzielić jedynie mocno okrojonych wyjaśnień, nie udało mu się rozwiać podejrzeń brata. Wyglądało na to, że dwadzieścia dwa lata braterskiego zaufania nie wystarczają, by usunąć w niepamięć jedno nieporozumienie.

Ale nie chciał demaskować Violet.

Nie zamierzał jej wydać, póki Adrian nie zapyta wprost o jej tożsamość. Dał jej słowo i nie zamierzał go złamać. Zawsze, przez całe życie, podziwiał swego brata. W tej chwili miał jedynie ochotę porządnie strzelić go w łeb.

- Co za dureń - wymamrotał pod nosem.

Głowa Adriana zwróciła się w jego stronę. Najwyraźniej wiatr doniósł ciche słowa Kita do jego uszu.

- Co proszę? - zapytał tonem równie lodowatym jak powietrze wokół.

Kit wyprostował ramiona, podniósł głós.

- Powiedziałem, że jesteś durniem. Unieszczęśliwiasz siebie i wszystkich dookoła bez powodu.

Adrian zacisnął szczęki.

- Uważasz, że cudzołóstwo to nie powód?

- Oboje powiedzieliśmy ci, że nic takiego nie miało miejsca. Taka jest prawda, bylebyś tylko dał się przekonać. Choć nie zaprzeczę, że Jeannette jest piękna, nie pociąga mnie w najmniejszym stopniu. Na pewno nie w romantycznym sensie.

- A toś mnie uspokoił. Skoro już skończyłeś...

- Nie skończyłem - ciągnął brawurowo, *nie* dając sobie czasu, by się dziwić własnej odwadze. - Ta kobieta cię kocha, choć Bóg jeden wie, dlaczego, a ty odsuwasz ją od siebie z powodu błędnej interpretacji sytuacji.

- Błędnej interpretacji? Czy błędnie zinterpretowałem list miłosny, czy może wasze obłapianie się?

- Już *ci* to wyjaśniałem. To był braterski uścisk, nic więcej.

- A list? Jakoś do tej pory nie raczyłeś mi tego wyjaśnić. Jeśli nie ty jesteś jego autorem, to kto? Jeśli Jeannette jest niewinna, to po co te przemilczenia? Te półprawdy? Te kłamstwa? Co ty ukrywasz? Kogo osłaniasz?

- Nie mnie to wyjaśniać. Spytaj swoją żonę.

- Pytałem, i ona też „nie może powiedzieć”.

- Mimo to powinieneś jej zaufać, niezależnie od pozorów świadczących przeciwko niej.

Cień udręki zasnuł oczy Adriana.

- Zaufać? Mam ufać, choć mnie się nie ufa? Mam przyjąć te marne wymówki i wygodne wykrety, które oboje mi podsuwacie, choć wiem przez cały czas, że nie jesteście ze mną szczerzy?

- Adrianie...

- Dość już tego - rzucił Adrian tonem lodowatym i ostrym jak zimowy wiatr. - Nie będzie więcej żadnych dyskusji na ten temat, zrozumiano? Nie waż się więcej o tym mówić. - Jego koń, Merkury, odskoczył kilka kroków na bok. Adrian ściągnął wodze i łagodnie sprowadził go z powrotem na drogę. - Po świętach wrócisz na uniwersytet i masz się tam wzorowo spisywać, czy to jasne?

Kit skinął głową.

- Jak słońce.

- Co do Jeannette; moje stosunki z żoną to prywatna sprawa i tobie nic do tego. Ale powiem ci jedno. - Spojrzał mu wyzywająco w oczy. - Gdybyś nie był moim bratem, dawno wpakowałbym w ciebie kulkę. I jeśli cię jeszcze kiedyś z nią przyłapię, zrobię to, nie bacząc na pokrewieństwo.

Zmusił Merkurego do galopu i pognął naprzód.

Kit patrzył za nim, aż brat zniknął w wirującym śniegu. No cóż, pomyślał. Świetnie mi poszło.

W jakąż paskudną kabałę wpakowali się we trójkę. Gdyby miał choć cień pomysłu, jak to wszystko naprawić.

Kuląc się z zimna, jechał dalej.

W domu było gwarno jak w ulu. Dzieci i dorośli bawili się z zapałem w mniejszych lub większych radosnych grupkach. Wśród całej tej wesołości Adrian dopilnował zapalenia bożonarodzeniowej kłody w starszej części domu, gdzie znajdował się kominek dość duży, by pomieścić ogromny kłoc drewna. Zgodnie z tradycją kłoda miała się palić przez całe dwanaście dni i ostatecznie zmienić w popiół na końcu obchodów, w wieczór Trzech Króli.

Zapalona bożonarodzeniowa świeca zajmowała poczesne miejsce na kominku bawialni na parterze, gdzie kobiety i dzieci spędzały czas, klejąc papierowe łańcuchy i kokardy oraz zwijając serpentyny ze złotych i czerwonych wstążek. Tymczasem panowie uganiali się po polach, strzelając do rzutków, albo wybierali się na przejażdżki na ośnieżone wzgórza i wracali wieczorami, zmarznięci i wygłodniali. Dziś - w Wigilię Bożego Narodzenia - wszyscy wymieniali się prezentami, śpiewali kolędy, pili ajerkoniak i gorący poncz z rumem.

Zwykle Adrian uwielbiał tę porę roku. Wzajemne wizyty w gronie rodziny i przyjaciół. Objazdy na końskim grzbiecie i powozem po domostwach sąsiadów i dzierżawców i obdarowywanie ich jadłem i napojami, by rozweselić ich świąteczne stoły.

Ale w tym roku cieszyłby się, gdyby wszyscy już sobie pojechali, a w domu znów zapanował spokój. Choć Jeannette zgodziła się udawać przed towarzystwem, że wszystko między nimi jest w porządku, ta komedia ogromnie mu ciążyła. Zaledwie wczoraj musiał skłamać w żywe oczy swojej matce, gdy wszyscy zgromadzili się, by podziwiać Emmę, nowo narodzone dziecko Sylvii.

Maleńki, radosny tobołek o różowych policzkach gulgotał i mrugał na widok morza obcych twarzy, wymachując drobną piąstką w powietrzu, by po chwili zasnąć głęboko. Pozostałe siostry Adriana - Anna, Lysande i Zoe - kolejno przez kilka minut trzymały dziecko w ramionach.

Potem przyszła kolej na jego żonę.

Wbrew samemu sobie patrzył, jak pochyliła się nad dzieckiem. Tuląc niemowlę do piersi, gruchała cicho, wypowiadając kojące, nonsensowne zdania. Koniuszką palca głaskała maleńki delikatny policzek z twarzą rozjaśnioną radością.

- A kiedy wy dwoje sprawicie mi takie maleństwo? - Matka stanęła u jego boku i położyła mu dłoń na rękawie. - Wnucząt nigdy za wiele, nieprawdaż?

Jego żołądek zacisnął się w węzeł, serce wypełniło uczucie niewymownej melancholii. Zmusił się do serdecznego uśmiechu, modląc się w duchu, by matka go nie przejrzała.

- Pracujemy nad tym, *maman*. Pracujemy nad tym.

Ale nie pracowali.

Nie tykał już swojej żony i nie wiedział, czy kiedykolwiek jeszcze dotknie. Zakładał, że w końcu będzie musiał powrócić do jej łóżka, by spłodzić dziedzica. Oczywiście, jeśli wcześniej nie okaże się, że Jeannette jest przy nadziei. Ta myśl i podobne sprawy, że nie mógł sobie znaleźć miejsca. Cicha furia gotowała się tuż pod powierzchnią, nie pozwalając zaznać choćby chwili spokoju czy szczęścia.

No i Kit. Adrian nie potrafił patrzeć na brata bez skrytych wątpliwości, bez pytań. Pragnął wierzyć jego zapewnieniom. I niemal wierzył, szczególnie kiedy obserwował zachowanie jego i Jeannette w rodzinnym gronie. Rzeczywiście sprawiali wrażenie rodzeństwa, nie kochanków. A jednak od czasu do czasu dostrzegał ich konspiracyjne spojrzenia i świeża fala gniewu wzbierała z rykiem w jego żyłach - gniewu z powodu sekretów, których nie chcieli przed nim ujawnić.

Nawet tego popołudnia, kiedy dzieci bawiły się w ciuciubabkę w długiej galerii, zauważył ich dwoje, jak szepczą, stojąc głowa przy głowie. Rozsierzony patrzył, jak jego żona przekazuje Kitowi liścik. Kit, jak gdyby nigdy nic, schował kawałek pergaminu do kieszeni, a potem zaczął udawać błazna, zrywając kaptur z głowy kuzynki Cicely w taki sposób, że wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Kolejny list miłosny? Miotany gniewem poprzysiągł sobie, że to wybada.

Nie spuszczać Kita z oczu, zwlekał jakiś czas, aż dorogli zgromadzili się w bawialni na podwieczorek. Gdy Kit wstał, by udać się do kredensu po dodatkę, ruszył za nim.

Podszedłszy niepostrzeżenie do brata, wpadł na niego w chwili, kiedy ten sięgał po babeczkę. Posługując się sztuczką, której

nauczył się w szpiegowskich czasach, wykorzystał „wypadek”, by wyłować liścik z kieszeni Kita.

- Wybacz, potknąłem się - mruknął przepraszająco.

Kit obrócił się, spojrział na niego spod zmrużonych powiek, jakby nie do końca mu uwierzył. Po chwili wzruszył ramionami, napełnił swój talerz i wrócił na miejsce.

Minęły niemal dwie godziny, nim Adrian znalazł okazję, by przeczytać liścik. Sam, przy biurku w swoim gabinecie, słuchał rytmicznego tykania zegara na kominku. Wpatrywał się w kartkę trzymaną w dłoni. Nie chciał jej czytać. Nie chciał wiedzieć, co jest na niej napisane.

Nareszcie, wiedząc, że nie ma wyjścia, zmusił swe palce do ruchu.

Ogarnęło go osłupienie, gdy jego wzrok padł na słowa zapisane na papierze.

Łacina?

Ten przeklęty list był napisany po łacinie. Dlaczegoż Jeannette miałyby dawać Kitowi list napisany w obcym języku - i to martwym na dodatek? To nie miało absolutnie żadnego sensu.

Z łatwością przeczytał tekst. Starożytne języki były jednym z przedmiotów, w których celował na uniwersytecie. I z całą pewnością nie był to list miłosny. Raczej tłumaczenie - i to nudne - opisu jednej z pomniejszych kampanii prowadzonych przez Imperium Rzymskie.

Jedna z lekcji Kita? Wszystko na to wskazywało. Ale jaka w tym rola Jeannette? I dlaczego jego żona przekazała kartkę Kitowi w tak tajemniczy sposób?

Zastanawiał się nad tym pytaniem przez resztę popołudnia i potem, gdy poszedł na górę przebrać się do kolacji. Wciąż zajęty zagadką, jednym uchem słuchał rozmowy podczas wspaniałej wieczery wigilijnej.

Raz po raz spoglądał na żonę, brylującą na drugim końcu długiego stołu. Wciąż wracało do niego pytanie: jeśli go nie zdradziła,

jeśli tamten list miłosny nie był od Kita, to po cóż te wszystkie kłamstwa i półprawdy? Co ona ukrywała?

Nie był ani trochę bliższy rozwiązania, kiedy panowie po kolacji przyłączyli się do dam w bawialni. Przy kieliszku i kolędach uproszono Zoe, by wykazała się swoimi talentami przy fortepianie. Wszyscy przyłączyli się do wesołego chóru, śpiewając kolędy.

Jakimś sposobem, gdy zabawa trwała już w najlepsze, Adrian znalazł się przy drzwiach, z Jeannette u boku.

- Oho, spójrzcie! - powiedział głośno kuzyn Reginald, wskazując palcem coś nad ich głowami. - Jemioła. No dalej, Raeburn, słusznie padło na ciebie. Pocałuj żonę.

Dostrzegł speszony wzrok Jeannette, gdy popatrzyła w górę i zrozumiała, co oznacza roślina wisząca nad ich głowami. W jej oczach zagościł tęskny smutek, gdy zwróciła je ku niemu. Jego ociąganie i jej niechęć były dla obojga oczywiste, choć żadne nie powiedziało słowa.

Adrian spróbował wykpić się śmiechem, ale gdy cała rodzina zaczęła ich zachęcać, nie mieli wyboru - musieli zadośćuczynić tradycji. Dotykając jej po raz pierwszy od tygodni, pochylił się i lekko musnął wargami jej usta.

- Nie stać cię na więcej? - skarcił go Reginald. - Ja własną matkę umiałbym lepiej pocałować.

- Uważaj na swoją niewyparzoną buzię, chłopcze, bo jeszcze znajdziesz w niej kawałek mydła - odcięła się jego matka, wzbudzając ogólną wesołość.

Wszyscy czekali. Czekali, by pocałował swoją młodą żonę tak, jak zrobiłby to kochający, szczęśliwy mąż.

Jeannette wbiła spojrzenie w jego fular, jej blade policzki zarbarwił lekki rumieniec. Adrian otoczył jej talię ramieniem, przycisnął usta do jej ust i pocałował jak należy.

Chciał zrobić to szybko. Krótki, siarczysty całus - błysk bez ognia, wyłącznie na użytek publiczności. Ale gdy tylko jego wargi dotknęły jej warg, zmysły przypomniały sobie wszystko, stłu-

mione pragnienia i gorzko-słodkie tęsknoty wypłynęły na powierzchnię. I przepadł.

Violet zadrżała; pragnęła go tak bardzo, że prawie już zapomniana rozkosz jego dotyku odsunęła w niebyt wszystko dookoła. Podniecenie zahuczało w jej głowie niczym huragan, gorączkowy żar ogarnął jej nagle zwiotczałe ciało. Tyle czasu, myślała. Minęła cała wieczność, od kiedy czuła to ostatni raz. Rozpaczliwie pragnęła, by nigdy się nie skończyło. Wyciągnęła rękę i pogłaskała jego szczupły policzek, jego kochaną twarz.

Nagle on odsunął się i była wolna. Stała zmieszana, zdumiona, przez długą, dziwną chwilę; głosy obecnych brzęczały jej w uszach niczym rój pszczół. Adrian sprawił, że na chwilę zapomniała, kim jest, zapomniała o wszystkich kłopotach, zapomniała, dlaczego nie żyją już ze sobą jak mąż i żona.

Oblał ją żar; zawstydziła się, widząc, że wszystkie spojrzenia skierowane były na nią. Natychmiast jednak przyszła fala arktycznego chłodu, gdy uchwyciła ponure spojrzenie Adriana.

To była tylko gra. Między nimi nic się nie zmieniło. Nic.

Wybuchnęła płochym śmiechem, jakby to były najszcześniejsze święta jej życia, i przywołałszy na twarz promienny uśmiech, podeszła do fortepianu, by rozpocząć kolejną pieśń.

Ale serce w jej piersi płakało.

Jasne promienie słońca rozweseliły skądinąd wilgotny, wietrzny styczniowy dzień. Violet uniosła twarz ku światłu, napawając się blaskiem, który cieszył oczy, ale któremu brakowało ciepła.

Zupełnie jak jej życiu ostatnio.

Zadrżała w grubym wełnianym płaszczu, spacerując po ogrodach Winterlea. Jednak nie fizyczne zimno wywołało ten dreszcz, ale emocjonalny chłód.

Samotność.

Czuła się niewypowiedzianie samotna w tym domu, który ucichł nareszcie po tygodniach ciągłego zamieszania. Rodzina wyjechała wiele dni temu, wracając do własnych domów, do

własnego życia. Nawet księżna wdowa odjechała do swojej rezydencji, obiecując wrócić, gdy aura złagodnieje na wiosnę.

Po niej odjechał Kit; czekały go egzaminy, a potem początek nowego semestru. Zakładając, oczywiście, że zdobędzie wymagane zaliczenia. Violet życzyła mu szczęścia, udzieliła ostatnich wskazówek, czego powinien się uczyć. Patrzyła ze ściśniętym gardłem, jak jej przyjaciel i jedyny prawdziwy sprzymierzeniec odjeżdża.

Ostatni wyjechał Adrian. Pilne interesy w Londynie, jak twierdził. Ale ona знаła prawdziwą przyczynę. Chciał być jak najdalej od niej, od jej nieszczęścia. Nawet nie udawał, że zaprasza ją do wspólnego wyjazdu. I surowo zakazał jej podróżować gdziekolwiek samej.

Gdyby naprawdę była Jeannette, jego edykt z miejsca wygnąłby ją z domu; pojechałaby nawet bez powodu, by udowodnić, że może. Ale choćby udawała i sto lat, nie była siostrą. Zresztą dokąd miałyby pojechać? Pusty czy nie pusty, Winterlea był teraz jej domem.

Powinna czuć ulgę, że Adrian wyjechał. Przebywanie z nim sam na sam było torturą, nawet w tak ogromnej rezydencji. A jednak jego wyjazd pozostawił straszliwą pustkę. Nawet jeśli nie rozmawiali ze sobą ostatnio, świadomość, że on jest blisko, przynosiła jej dziwną pociechę. Jego obecność dawała możliwość ujrzenia go, choćby przelotnie, w którymś z korytarzy, usłyszenia jego głosu, kiedy rozmawiał z sekretarzem czy kimś ze służby. No i była jeszcze cowieczorna męka siedzenia z nim w milczeniu przy kolacji, na dwóch krańcach stołu, i udawania, że się nie dostrzegają.

Teraz była pozbawiona nawet tego minimalnego kontaktu.

Rok temu rozkoszowałyby się swoją samotnością. Tyle okazji, by spać i marzyć najawie. Tyle czasu, by uczyć się i czytać bez przeszkód, bez pretensji z czyichkolwiek ust. A jednak teraz, gdy mogła robić to wszystko, nic jej nie cieszyło.

Napisała do swej przyjaciółki Elizy, podając wymyśloną na poczekaniu wymówkę, by usprawiedliwić brak zagranicznego znaczka. Wyjaśniła, że Jeannette przekazuje jej listy, by się nie zagubiły. Jeśli nawet ten system wydał się Elizie dziwny, nie skomentowała go, zadowolona z odnowienia przyjaźni, choćby tylko korespondencyjnie. Violet nie wymyśliła jeszcze, co zrobi, kiedy jej siostra powróci wreszcie do Anglii.

Poza tym niewiele miała zajęć w domu. Nowa ochmistrzyni, pani Litton, była istnym wzorem kompetencji. Ciepła i ujmująca, a przy tym zdolna także do stanowczości, gdy zachodziła taka konieczność, drobna, rozsądna i żwawa kobieta była prawdziwym klejnotem.

Niezadowolona z „porządków” w domu świeżo upieczonego markiza Hartcourt - dalekiego krewnego, który odziedziczył posiadłość po śmierci jej długoletniego właściciela - pani Litton czym prędzej poszukała sobie nowej posady. Inaczej niż w wypadku pani Hardwick, Violet natychmiast poczuła sympatię do tej kobiety o matczynym sposobie bycia. Nie rozmawiając więcej z żadną kandydatką, zatrudniła ją od razu.

Gdyby nie doświadczenie starszej pani, Boże Narodzenie bez wątpienia zmieniłoby się w katastrofę. Ale dzięki niej wszystko przyszło Violet niemal bez wysiłku. Ochmistrzyni potrafiła zadbać o potrzeby gości, często jeszcze zanim wyrazili swe życzenia.

Violet zatrzymała się, by podziwiać klomb z ciemiernikami. Krzepkie, kwitnące zimą rośliny tworzyły radosną plamę koloru w uśpionym krajobrazie. Pochyliła się, zerwała pojedynczy, ciemnokremowy kwiatek.

Taki błady i kruchy, dumiała, trzymając go na otwartej dłoni. Nim skończy się dzień, płatki zwiędną, a ich uroda pozostanie tylko wspomnieniem.

Czy tylko to jej teraz pozostało? Wspomnienia? Czy miała w życiu zaznać jedynie chwili szczęścia, tak przemijającej jak ten kwiatek?

Czy Adrian kiedykolwiek jej przebaczy, nawet nie znając całej prawdy?

A czy przebaczyłby jej, gdyby ją znał?

Patrzyła na kwiatek kolejną długą minutę, po czym zgmiotła go w dłoń. Gdy otworzyła pięść, wiatr porwał szczątki, a jej dłoń pozostała pusta, jak jej serce.

- Jeszcze jeden koniak, Wasza Księżca Mość?

Adrian uniósł wzrok, gdy przerwano mu milczące rozmyślenia. Lokaj z Klubu White'a stał w pełnym szacunku oddaleniu, czekając na odpowiedź.

- Hm, tak Hoskins, chyba się napiję.

Mężczyzna ukłonił się, zabrał pusty kieliszek Adriana i odszedł.

Powinienem był odmówić kolejnego drinka, skarcił się w duchu Adrian. Ostatnimi czasy o wiele za dużo pił. Wiedział o tym, ale nie potrafił się powstrzymać; topienie smutków w alkoholu wydawało się prostszym rozwiązaniem niż stawienie im czoła. Tak naprawdę powinien w tej chwili wstać z fotela, pójść do domu i porządnie się wyspać. Kłopot w tym, że sen stał się ostatnio jego wrogiem. Gdy próbował zasnąć, zwykle kończyło się na tym, że wpatrywał się w ciemność, niespokojny, rozbudzony. Albo zapadał w płytką drzemkę, nękany niepokojącymi rojeniami o niej, o Jeannette.

Powinien otrząsnąć się z tego ponurego nastroju i żyć dalej, najlepiej jak potrafił. A w ogóle co on tu robił, tłukąc się po Londynie w środku zimy? Nie cierpiał miasta o tej porze roku; było zimne i wilgotne i brakowało w nim jakiegokolwiek przyzwoitego towarzystwa. Choć właściwie ostatnio nie tęsknił za towarzystwem, przyzwoitym czy też nie.

Sprawiła to jej zdrada.

Wiedział, że służący w domu się niepokoją. Nabrali zwyczaju chodzenia w jego obecności na paluszkach, rzucali mu pełne troski spojrzenia, gdy zdawało im się, że nie widzi. Między in-

nymi dlatego przyszedł do klubu. Tu nikt się na niego nie gapił. Nikt nie szeptał i nie zastanawiał się nad niezgodą między nim a księżną panią.

Bo wszyscy w domu wiedzieli, oczywiście. Jak mogli nie wiedzieć, skoro on i Jeannette ledwie ze sobą rozmawiali, nie dzielili już łoża, byli mężem i żoną wyłącznie z nazwy?

Przyniesiono koniak. Adrian podziękował lokajowi i upił porządny łyk. Alkohol pozostawił po sobie przyjemne odrętwienie.

Do diabła z nią, pomyślał. I do diabła z rozterkami!

Do klubu ktoś wszedł. Adrian uniósł wzrok i, na swoje nieszczęście, napotkał sokołe spojrzenie Mortimera Landsdowne'a, który właśnie rozglądał się po sali. Klucha Landsdowne - nazywany tak z powodu swojej miękkiej, pulchnej kompleksji - ruszył prosto ku niemu.

Do diaska, pomyślał Adrian, teraz mu już nie umknę. Nie miał nawet gazety, by się nią zasłonić.

- Raeburn, nie wiedziałem, że jesteś w mieście. To paskudna pora roku na wizyty w stolicy.

Klucha rozsiadł się wygodnie na fotelu obok Adriana i zamówił sobie drinka, gdy podszedł do niego lokaj.

- Interesy nie zważają na pory roku - rzucił wymijająco Adrian.

- Prawda, prawda. Podobnie jak rodzina. Ja przyjechałem w sprawie najmłodszego brata mojej żony. Narobił sobie kłopotów przy karcianym stoliku, wyobraź sobie. Ale wszystko już załatwione. Jutro zabieram go do domu. - Klucha przełknął spory łyk bordo, które postawiono przed nim, jakby potrzebował natychmiastowego wzmocnienia. - Czy jest z tobą twoja śliczna żona?

- Nie. Została w Derbyshire. Jak sam powiedziałaś, to nie jest najlepsza pora roku na podróż.

- To pewnie nie możesz się doczekać powrotu do domu. W końcu ciągle jesteście nowożeńcami, he? A jakże wam upłynął miesiąc miodowy? Gdzieżecie pojechali?

- Do Dorset. Zdaje się, że nawet uraczyłeś księżnę rysem historycznym i wskazówkami co do lokalnych atrakcji.

- Twoją księżną? - Landsdowne uniósł brwi. - Nie mogę powiedzieć, bym przypominał sobie taką rozmowę, choć rzeczywiście zdarza mi się czasem pleść od rzeczy. Dorset, powiadasz?

Teraz z kolei brew Adriana podjechała do góry.

- Tak, Dorset. Opowiedziałeś jej historię zamku Corfe na naszym przyjęciu weselnym.

- To nie byłem ja. Pierwsze słyszę o tym miejscu. Prawdę mówiąc, byłem w Dorset tylko raz. Wybrzeże w Brighton bardziej mi odpowiada. To musiał być ktoś inny.

- Tak, zapewne - mruknął Adrian, pewien, że dobrze pamięta tamtą rozmowę z Jeannette. Podała wtedy wiele szczegółów. Wymieniła Kluchę Landsdowne'a z nazwiska. Opowiadała, jak osaczył ją na przyjęciu i jak znudził śmiertelnie swoimi opowieściami o okolicy.

- Nie przypominam sobie, bym w ogóle dyskutował z twoją żoną o historii - ciągnął Landsdowne. - Ona nie należy do osób, które znoszą tego rodzaju rozmowy. Prędzej przerwie człowiekowi w pół zdania, niż pozwoli komukolwiek rozwodzić się zbyt obszernie na takie tematy. - Kiwnął palcem. - To już bardziej podobne do jej siostry. O tak, jej bliźniaczka to prawdziwa sawantki. Ona celuje w tego rodzaju akademickich dyskusjach o historii, literaturze, a nawet o językach.

Te słowa nagle wzbudziły czujność Adriana.

- O językach?

- Mhm, z tego, co słyszałem, zna ich kilka, łącznie z klasycznymi. Jest biegła w mowie i piśmie zarówno w łacinie, jak i w grece, choć może się to wydawać zupełnie niezwykle u kobiety.

Adrianowi przed oczyma stanął liścik do Kita - tajemniczy łaciński przekład, który kilka tygodni temu wykradł bratu z kieszeni. Liścik, który przekazała mu Jeannette.

Klucha gadał dalej w najlepsze.

Adrian słyszał jego słowa jakby z wielkiej odległości.

- Wiem tak wiele na temat lady Violet od mojej kuzynki Harriet - wyjaśniał niepytany Landsdowne. - Ona i twoja szwagierka należą do tego samego towarzystwa literackiego. Były razem na niejednym wykładzie. Harriet twierdzi, że lady Violet to wspaśniały przykład samouka i że wiedzą nie ustępuje wykształconym akademikom. Nic dziwnego, że nie znalazła sobie męża. Może i wygląda jak twoja żona, ale chyba nigdy nie widziałem dwóch niewiast tak różnych pod każdym innym względem. I powiem ci, że wybrałaś lepszą z tej parki.

Adriana opętała nagle nieprawdopodobna myśl.

Nie. Niemożliwe. To nie może być prawda. A może jednak?

- Raeburn, czy dobrze się czujesz? Zbladłeś jak ściana. Czy cię zemdliło?

Zemdliło? O, i jeszcze jak.

Zerwał się z fotela.

- Wybacz proszę, Landsdowne. Właśnie sobie przypomniałem o pewnej pilnej sprawie. Muszę... hm... muszę cię pożegnać.

- Och, cóż, oczywiście, staruszk. Zupełnie się mną nie przejmuj. Całkiem mi tu dobrze z moim bordo.

Adrian wyszedł z sali, zapominając o Landsdownie, ledwie odwrócił się doń plecami.

- Mój płaszcz - rozkazał, przemierzając niespokojnie foyer klubu.

- Zawołałam powóz Waszej Księżęcej Mości - powiedział szybko lokaj.

Boy przybiegł z jego okryciem.

Adrian narzucił na ramiona ciężki płaszcz.

- Każ mojemu człowiekowi jechać do domu. Postanowiłem się przejść.

- Przejść, Wasza Księżęca Mość? O tej porze?

Adrian go zignorował. Zbiegł po schodkach w zimną noc. Jego nogi bezwiednie pokonywały dystans; otoczenie rozpływało mu się przed oczyma, myśli wirowały w głowie.

To przecież szaleństwo, nonsens. Jego żona, Jeannette, nie mogła być kimś innym. Nie mogła być swoją siostrą, Violet. Bliźniaczki czy nie, oszustwo tak fundamentalne, tak bezczelne przerastało nawet ich możliwości. A szczególnie możliwości Violet, która w najlepszym wypadku była w stanie wyjąkać do niego zaledwie parę słów.

Nie, musiał się mylić.

A jednak im dłużej na tym rozmyślał, tym bardziej wydawało mu się to prawdopodobne.

Opadły go wspomnienia. Niekonsekwencje, które bagatelizował, które rzucał na karb zdenerwowania czy zmęczenia lub zwykłej zmienności nastrojów. Ale jak się tak zastanowić, to czy Jeannette kiedykolwiek się dąsała lub złościła?

Przypomniał sobie dzień ślubu. Jej drzenie, białą jak mleko skórę, oczy, wielkie i przestraszone jak oczy gołębia schwytanego w lesie, sparaliżowanego lękiem, niezdolnego do ucieczki.

I ich noc poślubną. Jej dziewiczą powściągliwość, jej niewinny dotyk i niewprawne pocałunki. Jej dziewictwo. Tak bardzo wstydział się własnego zachowania tamtej nocy, że przeoczył wszelkie oznaki, wszelkie sygnały. Uśpił własne wątpliwości i widział to, co chciał widzieć, zamiast tego, co cały czas miał przed oczyma, co bezczelnie patrzyło mu w twarz. Zupełnie jakby przywdział różowe okulary.

Zatrzymał się jak wryty.

Okulary!

Wielkie nieba, jak mógł być tak ślepy? Tak głupi? Boże drogi, to naprawdę była Violet. Bo dlaczego Jeannette miałyby nosić okulary do czytania? Dlaczego uciekałyby każdego popołudnia do swojego gabinetu i zadowolona zaszywała się tam w samotności? Dlaczego przekazywałyby liściki temu nicponiowi, jego bratu - i to pisane po łacinie?

Święta Mario, Matko Boża, poślubiłem nie tę siostrę!

Znów ruszył przed siebie. Szokujące odkrycie powoli doń docierało. Ależ był imbecylem. Żeby nie rozróżnić dwóch sióstr! Zapew-

ne fakt, że były tak bardzo podobne fizycznie, odrobinę go usprawiedliwiał. Ale, jak to wytknął Landsdowne, jeśli chodziło o osobowość, te dwie kobiety różniły się od siebie jak dzień od nocy.

Kiedy dokonały zamiany? Oczywiście przed ślubem. Teraz rozumiał, że to Violet drżała u jego boku przy ołtarzu. Ale dlaczego?

Z powodu Jeannette, naturalnie. Jakże musiała sobie gratulować swojej sztuczki - ich sztuczki. Wmanewrowania go w poślubienie innej kobiety. No i siedziała sobie teraz we Włoszech, udając swoją siostrę.

Oczywiście, to wszystko idealnie składało się w całość. Rozpacz Jeannette z powodu odwołania podróży poślubnej na kontynent. Cały tydzień łez i dąsów, z których tak zgrabnie otrząsnęła się zaraz po ślubie. Już wtedy jej nagły spokój wydał mu się dość dziwny. Ale to nie było dziwne - nie dla Violet. To oczywiste, że jego żona nie narzekała.

I przez cały czas grała, by podtrzymać swoje kłamstwo. Przez cały czas pozwalała mu wierzyć, że jest inną kobietą. Dzielać z nim życie, dach, łóżce.

Dzika furia wezbrała w jego duszy, ściskając go za gardło. Jego stopy zadudniły mocniej, szybciej po chodniku.

Kit!

Kit musiał o niej wiedzieć. Bo dlaczegoż stanąłby tak ochoczo w jej obronie? Naprawdę musiał ją kochać. Bo jaki inny mógł mieć powód, by ukrywać prawdę o jej tożsamości?

Adrian poczuł mdłości. Przeszywający ból zagnieździł się wokół jego serca.

Zatrzymał się i zapatrzył niewidzącym wzrokiem na drzwi swojej miejskiej rezydencji. Przez długą chwilę nie zdawał sobie sprawy, że zasedł do domu.

Drzwi się otworzyły.

- Wasza Książęca Mość?

Spojrzał na Smythe'a, młodszego lokaja, który towarzyszył mu na wyjeździe. Podjąwszy nagłą decyzję, wbiegł po schodach.

- Powiedz Josephsowi, by czekał z powozem o świcie. Wyjeżdżamy do Oxfordshire.

Chciał odpowiedzi i, na Boga, zamierzał je zdobyć jak najszybciej.

19

Gadaj - zażądał Adrian. - Mam dość twoich wykrętów. Chcę znać prawdę.

Kit zamknął drzwi swojej uniwersyteckiej stancji, by zapewnić prywatność sobie i bratu. Harold, jego współlokator, wyszedł chwilę po przybyciu Adriana. Jedno spojrzenie na twarz księcia wystarczyło, by młodzieniec umknął, mamrocząc wymówkę o konieczności pilnej nauki w bibliotece. Kit żałował, że nie może uciec razem z nim. Wpuszczenie Adriana do pokoju w jego obecnym humorze było jak otwieranie drzwi przed huraganem.

- Prawdę na jaki temat? - zapytał Kit, starając się, by jego ton brzmiał potulnie. Przeszedł przez pokój i zajął krzesło przy oknie, możliwie najdalej od zagrożenia.

- Wiesz, na jaki. Mojej żony.

- Myślałem, że nie będziemy o tym więcej rozmawiać.

- Nie bądź taki dowcipny. Powiedz mi o niej. - Adrian huknął pięścią w ścianę. Mały obrazek z jeździeckim motywem, wiszący nad łóżkiem Kita, zagrzechotał w ramie. - Powiedz mi, kim ona jest.

Kit znieruchomiał, zaskoczony. Bardzo starannie dobierał następne słowa.

- Jest twoją żoną. A niby kim miałyby być?

- To nie jest Jeannette. - Ich spojrzenia skrzyżowały się na długą chwilę niczym ostrza szpad. - Powiedz mi, czy mam rację. Muszę to wiedzieć.

Kit zaczerpnął powietrza.

- To nie jest Jeannette.

Adrian opadł na jedyne wolne krzesło w pokoju, bezwładny, jakby uszło z niego powietrze.

- Od jak dawna wiedziałeś?

- Od kilku miesięcy. Violet prosiła, bym nic nie mówił.

Adrian zacisnął szczęki na dźwięk jej imienia; pod skórą zadrgały mięśnie.

- W to nie wątpię. A ty zamierzałeś ukrywać to w nieskończoność? Nie przyszło ci do głowy, że może ja chciałbym wiedzieć, że kobieta, z którą żyłem przez te wszystkie miesiące, jest oszustką?

- Błagała mnie, bym ci nie mówił. W owym czasie oboje wyglądaliście na szczęśliwych, zgodziłem się więc pozostawić tę decyzję jej. Być może popełniłem błąd. - Milczenie Adriana zawisło między nimi jak złowroga chmura. - Ona cię kocha. - Kit pochylił się do przodu, uczynił wymowny gest ręką. - Gdyby nie ten przeklęty list, nic z tego nie wyszłoby...

- Ach, tak. List. Chciałbym o tym posłuchać. Może teraz zechcesz mi powiedzieć, kto był jego autorem, skoro twierdzisz, że nie ty.

Kit spuścił wzrok.

- Markham.

- Co takiego?

- Toddy Markham. Wyszło na to, że on i Jeannette byli związani ze sobą przed waszym ślubem. List był przeznaczony dla niej. On też nie zdawał sobie sprawy, że w Londynie zawraca głowę Violet. W każdym razie do tamtego wieczoru w palmiarni Lymondhamów.

Adrian zerwał się na nogi i niczym bestia w klatce zaczął przemierzać w tę i z powrotem niewielkie pomieszczenie.

- A to łajdak. Nic dziwnego, że nie mógł znaleźć mężczyzny, z którym Jeannette spotykała się potajemnie. Powiedział mi, wyobraź sobie, że podejrzewa ją o romans z innym. Zapewne

próbował mnie zniechęcić, w nadziei, że odwołam ślub. I pomyśleć, że przez cały czas to był on. Powiniennem mu skrócić ten kłamliwy kark.

- Musiałbyś pojechać na kontynent, żeby to zrobić. Ten łotr wyjechał do Włoch, gdy dowiedział się prawdy o Jeannette.

- Do stu diabłów, czy tylko ja jeden nie wiem jeszcze o tej zamianie?

- Ależ skąd. Wiemy tylko Markham i ja, i siostra Violet, oczywiście.

- Oczywiście. - Adrian nie przestawał chodzić, zaciskając i otwierając pięści.

- Co teraz zamierzasz?

Adrian zatrzymał się, zwrócił twarzą do brata.

- Jeszcze nie postanowiłem, ale cokolwiek to będzie, proszę cię, byś się do tego nie mieszał.

Kit uniół ręce w poddańczym geście.

- Gdzieżbym śmiał. - Umilkł na chwilę. - Ale nie bądź dla niej zbyt surowy. Ona ma dobre serce, mimo błędu, który popełniła.

- Dlaczego zawsze jesteś taki chętny, żeby biec jej z pomocą? Czy dlatego, że sam coś do niej czujesz? - Adrian przełknął ślinę, po czym ciągnął cichym, zdławionym głosem: - Czy ty ją kochasz?

- Czy kocham Violet? - Wielkie nieba, Adrian był zazdrosny. A na dodatek zakochany po uszy. - Tak, kocham ją.

Adrian zeszywniał, jakby kij połknął.

Kit mówił dalej:

- Kocham ją jako serdeczną przyjaciółkę i siostrę. Za ledwie przez kilka miesięcy stała mi się bliższa niż siostry. Może dlatego, że jesteśmy w podobnym wieku. Może dlatego, że pomogła mi, kiedy potrzebowałem pomocy. A tak przy okazji, egzaminy zdałem w dużej mierze dzięki niej. Nie wiem, co w niej takiego jest. Wiem tylko, że będziesz głupcem, jeśli ją od siebie odsuniesz. Może nie jest wzorem, ale idealnie pasuje do ciebie. Nigdy nie znajdziesz lepszej kobiety od niej.

Adrian wciągnął rękawiczki.

- Dopilnuj, by dobrze zaliczyć semestr. Żadnych wybryków.
- Bez obaw. Jedno wydalenie było dla mnie wystarczającą nauzką.

Adrian skinął głową, wyszedł i oddalił się korytarzem.

Kit mógł jedynie mieć nadzieję, że jego brat podaży ku ocaleniu, nie ku zgubie.

Dwa dni później Violet weszła do gabinetu Adriana w Winterlea.

- Chciałeś mnie widzieć, Wasza Książęca Mość? - Przystanąwszy w progu, nerwowo przyglądała spódnicę dziennej sukni z niebieskiej popeliny.

Nie oderwał oczu od listu, który pisał. Pióro szybko przesuwało się po kartce.

Violet zeszywniała, zastanawiając się po raz setny, dlaczego ją tutaj wezwał.

Adrian przyjechał do domu wczorajszego popołudnia, ale dopiero teraz ujrzała go po raz pierwszy. Nie pofatygował się, by przywitać się z nią po przyjeździe, i nie pojawił się na kolacji. Dodatkowy talerz, który kazała dla niego przygotować, pozostał czysty.

Nareszcie odłożył pióro.

- Proszę usiąść, moja pani. - Ledwie na nią zerknąwszy, wskazał fotel, ustawiony pośrodku pokoju, przodem do biurka.

Zawahała się, ale podeszła w końcu, czując się jak uczennica wezwana przez dyrektora szkoły. Usiadła z dłońmi złożonymi na podolku.

- O co chodzi, Adrianie?

Spojrzał na nią lodowatymi oczyma.

- Nasunęło mi się kilka pytań, które muszę ci zadać. Nic więcej.

Zrobiła co w jej mocy, by się rozluźnić. Myślała gorączkowo, starając się zgadnąć, co też to mogą być za pytania. Może jakieś

kwestie dotyczące posiadłości albo rachunek, który wymagał wyjaśnienia. Podczas pobytu w Londynie zakupiła kilka nowych toalet. Może nie podobała mu się ich cena.

- Znalazłem pewien list. - Podał jej wąską, pomiętą kartkę. - Może zechcesz mnie oświecić co do jego treści?

Musiła się pochylić, by go dosięgnąć.

- Co to jest?

- Ty mi powiedz.

- Wybacz, proszę, ale muszę założyć okulary.

Mięsień drgnął na jego policzku, w oczach pojawił się dziwny błysk.

- Ależ proszę bardzo.

Opanowując nagłe drżenie, sięgnęła do kieszeni i wsunęła okulary na nos. Otworzyła list.

Po jej plecach przebiegł dreszcz niczym elektryczna iskra. List napisany był po łacinie. Było to jedno z tłumaczeń, które przygotowała dla Kita. Bez trudności rozpoznała własne pismo. Ale gdzie on to znalazł? Zaczepnęła głęboko powietrza, zmuszając się, by opanować panikę.

- Przykro mi, ale nie mam najmniejszego pojęcia, co tu jest napisane. - Przesunęła kartkę na krawędź biurka. - To jest jakiś obcy język.

- Łacina. - Jego głos ciął jak stal.

- Naprawdę? To jest łacina? Darrin męczył się nad nią, kiedy byliśmy dziećmi. Pamiętam, jak narzekał.

- Więc nie poznajesz tego listu?

Serce zamarło jej w piersi.

- Nie, nie wydaje mi się. A powinnam?

- Dałaś go mojemu bratu. W Wigilię. Widziałem, jak to robisz.

Boże wszechmogący.

- Nie przypominam sobie - skłamała. - P-przykro mi.

- Coś ostatnio sporo tych listów, których pochodzenia sobie nie przypominasz. - Wstał, obszedł biurko. - Może z tym lepiej

ci pójdzie. - Podał jej pojedynczą kartkę, świeżą, starannie złożoną na pół. - Przeczytaj to.

Krew pulsowała jej w skroniach, gardło miała tak ściśnięte, że ledwie mogła przełykać. Jej palce drżały, kiedy brała list. Adrian zniknął z jej pola widzenia.

Drzwi gabinetu się zamknęły. Przez chwilę myślała, że wyszedł z pokoju. Ale jej ulga była krótkotrwała; wyczuła, że on czeka gdzieś za jej plecami. Stłumiła impuls, by zerknąć przez ramię.

Wiedząc, że nie ma wyboru, otworzyła list.

Trzy słowa, wypisane zamazyście czarnym atramentem, wyskoczyły na nią z kartki.

„Wiem, kim jesteś”.

Zamrugała, próbując w pełni zrozumieć. Powietrze uciekło ze świstem z jej płuc, jakby ktoś cisnął nią o ziemię.

I nagle on był przy niej, poczuła jego usta przy uchu.

- Witaj, Violet - powiedział jedwabistym, niemal diabelskim głosem.

Podskoczyła i spróbowała zerwać się z fotela. Przytrzymał ją na miejscu, siniacząc palcami skórę jej ramion.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? - zapytał gniewnie.

Wzdrygnęła się. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie urządaj mi tu płaczów, moja pani. Twoje łzy nie zrobią na mnie wrażenia. - Puścił ją, zaszedł od przodu. - No więc? Nic mi nie powiesz, teraz, gdy oboje już wiemy, kim naprawdę jesteś?

Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Rozmawiałem z Kitem, jeśli jesteś ciekawa. I owszem, narazie wyjawiał mi prawdę o twoim małym podstępie, więc nie ma sensu mnie przekonywać, że się mylę. - Pochylił się, przysuwając twarz do jej twarzy. - Mów. Wszak potrafisz paplać jak najęta bez żadnego kłopotu, kiedy udajesz Jeannette.

Pociągnęła nosem. Świat rozpadł się wokół niej.

- Adriannie, p-przykro mi.

- Przykro ci, że zostałam przyłapaną, chcesz powiedzieć.
- Tak. Nie. Och, proszę, nie rozumiesz. - Wyciągnęła błagalnie rękę, ale on odsunął się od niej. - To nie jest tak, jak myślisz.
- To jest dokładnie tak, jak myślę. Ty i ta wiedźma, twoja siostra, uknułyście razem spisek, by mnie zwiść. Nie, nic nie mów. To ona rankiem w dniu ślubu zdecydowała, że nie chce za mnie wyjść, i namówiła cię, byś zajęła jej miejsce. Widzę po twojej minie, że mam rację. Czy skłonił cię do tego nieunikniony skandal, czy zdecydowała kwestia pieniędzy? Czy może marzyłeś w sekrecie, by zostać księżną, i nie mogłaś przepuścić tak doskonałej okazji, która sama weszła ci w ręce? Ostatecznie wystarczyło się sprostyć, udając inną kobietę.

Cofnęła się, jakby uderzył ją w twarz. By nie upaść, chwyciła się rzeźbionych poręczy fotela.

- Zrobiłam to z miłości, bo kocham cię od chwili, kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy - powiedziała cichym, drżącym głosem. - To było złe, wiem, ale miałam nadzieję, że zdołam cię uszczęśliwić. I przez krótki czas chyba mi się udało.

- Zaspokoiłaś moją żądzę, droga pani. Jaki mężczyzna nie byłby tym uszczęśliwiony? - wycodził jadowicie.

Wiedziała, że powiedział to, by ją zranić, i udało mu się. Zamknęła oczy, starając się za wszelką cenę uspokoić rozszalałe emocje. Po chwili znów spojrzała na niego błagalnie.

- Zdaję sobie sprawę, że jesteś zagniewany, i masz do tego wszelkie prawo. Zostałeś oszukany w najbardziej fundamentalnej kwestii. Nie jestem kobietą, za którą mnie uważałeś. Ale jestem twoją żoną i wciąż mogę nią być, jeśli mi tylko pozwolisz.

- Ale czy jesteś moją żoną?

- Co? Co masz na myśli?

- Oboje braliśmy udział w ceremonii, ale ty złożyłaś śluby pod fałszywym nazwiskiem. W zapowiedziach ogłaszano mój ślub z twoją siostrą, nie z tobą.

- W księdze ślubów podpisałam się swoim prawdziwym nazwiskiem.

Uniósł brew.

- Jakież to śmiałe i niespodziewanie otwarte wyznanie z twoich ust. Ale wątpię, by z prawnego punktu widzenia to czyniło jakąś różnicę. Tak naprawdę nie wiem, która z was jest mi poślubiona. Jeśli w ogóle któraś. Na mój rozum, kochana, przez te wszystkie miesiące żyliśmy w grzechu. Co w oczach prawa i socjety stawia cię niewiele wyżej od zwykłej utrzymanki.

Poczuła, że krew odpływa z jej twarzy.

- Jesteś w ciąży?

- Słucham? - zapytała oszołomiona, w ogóle nie mogąc zebrać myśli.

- Zapytałem, czy jesteś w ciąży. Chcę wiedzieć, czy mam się spodziewać, że moje pierworodne dziecko będzie bękartem. Zakładając, że w ogóle będzie moje.

Zachłysnęła się z oburzenia.

- Nigdy nie byłam ci niewierna, już ci to mówiłam. Ten list, który znalazłeś, był przeznaczony dla Jeannette, nie dla mnie. Ona... widywała się z kimś przed ślubem.

- Tak też mi powiedziano. Mój mały braciszek jest istną kopalnią informacji.

- Przysięgam ci, że jesteś jedynym mężczyzną, z którym kiedykolwiek byłam blisko.

- Przynajmniej w tej kwestii ci wierzę. - Oparł się biodrem o biurko. - A więc? Jesteś?

- Czy co jestem?

- W ciąży. Czy jesteś przy nadziei?

Jej policzki zapłonęły rumieńcem. Żałowała, że nie jest. Pragnęła jego dziecka, instynktownie wiedziała, że to wystarczyłoby, by go zatrzymać. Ale nie mogła go już okłamywać, i w tym wypadku nie dałoby się ukryć prawdy.

- Nie. - Pojedyncze, chrapliwe słowo wyszło z jej ust niczym ostatnie tchnienie.

- Toś mi ulżyła. Przynajmniej nie będziemy musieli się martwić, że zrujnujemy życie jakiemuś niewinnemu dziecięciu.

- Co... - Przełknęła konwulsyjnie, odchrząknęła. - Co zamierzasz w mojej sprawie?

Spojrzał na nią z nagłą powagą, zamyślony.

- Nie wiem. Jeszcze nie zdecydowałem.

- Więc pozwól mi zostać. - Zadziałała bezwiednie, wstając z fotela, by rzucić się ku niemu. Oplotła go ramionami w talii, przycisnęła twarz do jego ramienia. - Błagam cię, nie odsyłaj mnie. Wiem, że może nigdy nie będziesz w stanie mi wybaczyć, ale ja cię kocham. W tej sprawie nigdy nie skłamałam. Jeśli pozwolisz mi zostać, przyrzekam, że będę, czymkolwiek zechcesz, kimkolwiek zechcesz. Mogę dalej udawać ją, jeśli nie możesz znieść myśli o mnie. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

Chwycił ją za ramiona i odsunął od siebie, by móc spojrzeć jej w oczy.

- Ale ja będę wiedział. I ty także. Masz rację, że byliśmy szczęśliwi. Przez chwilę. Ale to była tylko iluzja, część twojej gry. Kobieta, którą uważałem za swoją żonę, nie istnieje. Jest fikcją, oszustwem. Ty nie jesteś tą słodką dziewczyną, która płakała kiedyś nad miotem utopionych kociąt, tak zawstydzona, że ledwie mogła wypowiedzieć moje imię. I nie jesteś swoją siostrą, teraz widzę to jasno. Tak naprawdę jesteś do niej zupełnie niepodobna. Jesteś... no właśnie, nie wiem, kim jesteś. Ale okłamałaś mnie, wykorzystałaś, zrobiłaś ze mnie głupca w tak pokrętny sposób, że nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie ci wybaczyć.

Odsunął ją od siebie, odstawił na bok, jakby brzydził się jej dotykiem. Beznadzieja zakradła się do jej serca jak lodowaty wiatr, pozostawiając po sobie odrętwienie.

Adrian przeszedł za biurko.

- Muszę porozumieć się z moim radcą w sprawie prawnego statusu naszego związku. Waham się nazywać go małżeństwem, bo wątpię, czy nim jest. Gdybym mylił się w tym względzie, podejmę odpowiednie kroki. Jeśli nie... cóż, zobaczymy. Możliwe, że trzeba będzie porozumieć się z twoimi rodzicami. Zakładam, że oni nie są świadomi tego wszystkiego?

Powoli, jakby obserwowwała całą scenę przez gęstą mgłę, skinęła głową.

- Dobrze więc. Możesz odejść.

I to było wszystko. Przesłuchanie skończone. Życie, jakie знаła, zostało przerwane. Teraz pozostawało jej już tylko czekać na karę, na wyrok.

Przez długą, długą chwilę stała bez ruchu, pogrążona w morzu rozpacz.

Nagle u jej boku pojawiła się Agnes. Czy ktoś po nią zadzwonił? Słyszała słowa Adriana - mówił coś o jej złym samopoczuciu. Nie była w stanie na niego spojrzeć - nie teraz, już nigdy. March mówił coś, stojąc nad nią z zatroskaną miną, a potem wyprowadzono ją z pokoju, na górę.

Pokojówka przebrała ją w ciepłą koszulę nocną, położyła do łóżka. Zaciągnięto zasłony, odcinając jasne, popołudniowe słońce. Horacy szczeknął. Od kiedy zaczęły się jej kłopoty z Adrianem, pies stał się stałym gościem w jej pokojach. Włączył się za nią w ciągu dnia, spał z nią w nocy.

Teraz też podszedł do łóżka, wcisnął zimny, mokry nos pod jej dłoń i zaskomlał niespokojnie.

Przytuliła się do niego. I zaczęła płakać.

Cały dzień spędziła w łóżku, w nadziei, że jeśli będzie spała dość długo, po przebudzeniu przekona się, że to wszystko było tylko strasznym snem.

Gdy wstała następnego ranka, podeszła boso do jednego z okien sypialni i wyrzała na trawnik. To, co zobaczyła, sprawiło, że senny koszmar znów stał się rzeczywistością. Na podjeździe czekał powóz.

Adrian wracał do Londynu.

Chwyliła kurczowo zasłony i wbijając paznokcie w materiał, patrzyła, jak jej mąż wsiada do powozu. Rozległo się przytłumione trzaśnięcie zamykanych drzwiczek, stangret wskoczył na koziół. W końcu Josephs strzelił z bata i popędził konie.

Przypływ bólu ścisnął serce w jej piersi, gdy powóz zniknął z pola widzenia.

Chwilę później do sypialni wpadła Agnes z tacą ze śniadaniem. Odgrywając wesołe przedstawienie na jej użytek, pokojówka krzątała się, nie przestając mówić. Wyłożyła śliczną, różową suknię, pantofelki i wełniany szal, mający chronić panią od przeciągów.

Violet wmusiła w siebie kilka kęsów grzanki i popiła herbaty, tylko tyle, by posiłek nie utknął jej w gardle. Apatycznie pozwoliła Agnes ubrać się w dzienny strój.

Z Horacym drepzczącym u boku snuła się po domu, z każdym krokiem dobitniej zdając sobie sprawę, że już tu nie przynależy, że nie ma już prawa nazywać siebie panią. Jeśli podejrzenia Adriana były prawdziwe, nigdy nie była jego żoną, a tytuł księżnej nosiła wyłącznie dzięki swemu oszustwu. Wciąż jeszcze trudno było jej pojąć, że to wszystko- nawet jej małżeństwo- było kłamstwem.

Zabłądziwszy do galerii portretów, zaczęła studiować twarze przodków Adriana. Idąc wzdłuż długiej sali, zauważała zmianę strojów i uczesań, tu i ówdzie podobieństwo rysów.

Wspaniały portret Adriana pędzla Lawrence'a wisiał w centralnym miejscu. Obraz został ukończony niedługo po tym, jak Adrian odziedziczył tytuł książęcy. Smukły jak trzcina, zaledwie dziewiętnastoletni, nie był jeszcze w pełni dojrzałym mężczyzną. Jakże niewinnie wyglądał, pomyślała. I jak poważnie, pozując w plenerze, obok swego ulubionego konia, na tle okolonego drzewami jeziora w Winterlea. Już wtedy przytłaczała go odpowiedzialność, konieczność sprostania obowiązkom, które mogłyby powalić człowieka mniejszego kalibru.

Wiosną miał zostać zamówiony nowy portret, wraz z dodatkowym malowidłem przedstawiającym ją, jego księżną. Ale teraz nie będzie już nowych obrazów, a ich następne spotkanie zapewne będzie ostatnim.

Ile dni pozostało, dumiała, nim on wróci, by wygłosić wyrok? Nim wygna ją na zawsze ze swojego życia? Rozpaczliwy ból ścisnął jej serce na tę myśl.

Okryła go hańbą - widziała to teraz. Skalała jego dziedzictwo, jego ród, jego nazwisko. Fakt, że nigdy nie miała takiego zamiaru, nie czynił wielkiej różnicy. A co gorsza, zrobiła z niego kompletnego głupca — tak jak i z siebie. Poniżyła się, błagając go, by ją zatrzymał, mając się nadzieją wbrew rozsądkowi, że może on kocha ją dość mocno, by jej wybaczyć. Ale powinna być mądrzejsza. Ta miłość zawsze była jednostronna. Cóż, znała ryzyko, teraz musiała zapłacić.

Czekanie tutaj w roli posłusznej żony z pewnością byłoby spodziewanym zachowaniem w tych okolicznościach. Ale posłuszeństwo przestało jej się nagle uśmiechać. Zadrżała na myśl, że zostanie odesłana do rodziców jak niegrzeczne dziecko, które przyłapano na brzydkim postępku.

Nagle w jej głowie zrodził się pomysł, uformowany i dojrzały, inspirowany strachem i desperacją. Nie, mówiła sobie, gdy myśl zagnieźdżała się w jej umyśle, przecież nie mogę. Ale teraz musiała sama troszczyć się o siebie, czyż nie? Adrian wyraził się dość jasno, że nie chce mieć z nią więcej nic wspólnego. Gdy wróci do domu, ona w jego oczach będzie jak martwa. I wiedziała, że jej rodzina będzie czuć to samo.

Wiedziona impulsem, posłała jego portretowi ostatnie tęskne spojrzenie, zawróciła na pięcie i wybiegła z sali.

- Wasza Książęca Mość może oczywiście liczyć na moją całkowitą dyskrecję w tej materii. Podejmę odpowiednie kroki, gdy tylko Jej Książęca Mość... to znaczy gdy tylko panna Brantford podpisze dokumenty unieważniające. - Horace Jaxon z kancelarii prawnej Jaxon, Jaxon i Pritchard, z której usług księżęta Raeburn korzystali od trzech pokoleń, podał Adrianowi nad biurkiem gruby plik papierów. - Z prawnego punktu widzenia unieważnienie nie powinno przedstawiać wielkiej trudności. Z tego, co Wasza

Książęca Mość mówi, wynika, że małżeństwo było nieważne od samego początku. Podczas zapowiedzi musi być podane prawdziwe nazwisko, co w tym wypadku nie miało miejsca. Jednak, jako że w księdze ślubów u Świętego Pawła został złożony autentyczny podpis, a osobiście udałem się do katedry ledwie dwa dni temu, by obejrzeć dokument, Jej Książęca Mość... och, proszę wybaczyć... panna Brantford musi się zgodzić na unieważnienie.

- A jeśli odmówi?

- Wtedy sprawa będzie musiała zostać rozpatrzona przez sąd. Zamknięta sesja z jednym sędzią powinna wystarczyć. Tak czy inaczej, małżeństwo zostanie rozwiązane, z jej zgodą czy bez. - Jaxon zamknął skórzaną torbę zdecydowanym ruchem, który nie zdradzał jego wieku. - Należy się również skonsultować z sądem kościelnym. Pozwoliłem sobie poruszyć tę sprawę z biskupem Canterlym, niezmiernie uczoną i godną zaufania osobistością. Wasza Książęca Mość musi jedynie wyrazić zgodę, a biskup rozpocznie proces unieważniania małżeństwa.

Adrian skinął głową.

- Może go pan powiadomić o mojej zgodzie.

- Więc to zamyka nasze sprawy na dziś, Wasza Książęca Mość. Nie będę zabierał więcej czasu. - Jaxon wstał z fotela, przygładził dłonią rzednące siwe włosy. - Za pozwoleniem Waszej Książęcej Mości, pozwolę sobie wyrazić moje ubolewanie z powodu tej smutnej sprawy. Ogromnie niefortunne zrządzenie, doprawdy, ogromnie niefortunne.

Adrian posłał mu niewzruszone spojrzenie.

- Dziękuję za pański czas, Jaxon. Będziemy w kontakcie. Smythe odprowadzi pana do drzwi.

Adwokat ukłonił się, mocno ściskając w dłoni torbę. Ruszył za służącym, który niczym zjawa stanął w drzwiach gabinetu.

Gdy tylko Jaxon wyszedł, Adrian odsunął na bok pakiet dokumentów.

To skandaliczne, pomyślał. Być zmuszonym omawiać własne prywatne życie z bandą biskupów i adwokatów. Wyjawiać in-

tymne szczegóły swojego oszukańczego małżeństwa, publicznie przyznawać się do własnej łatwowierności i wstydu. A gdy małżeństwo zostanie już anulowane, będzie musiał znieść jeszcze gorszy wstyd. Była niewielka szansa na zachowanie w tajemnicy faktu, że nigdy nie był legalnie zaślubiony z żadną z sióstr Brantford.

W całym towarzystwie będzie wrzało jak w ulu. Wszyscy będą zdumieni oszustwem bliźniaczek, będą plotkować jak najęci o jego nieumiejętności odróżnienia jednej kobiety od drugiej. Już sobie wyobrażał sprośne żarty, sypiące się jak z rękawa po klubach i tym podobnych miejscach. Zacisnął dłonie w pięści, gdy ogarnęła go nowa fala gniewu. Boże, cóż za pasztet.

Jeannette i Violet będą zrujnowane, oczywiście. Szczególnie Violet, gdyż zostanie uznana za, brzydko mówiąc, uszkodzony towar. Mógłby jej niemal żałować, gdyby nie wiedział, co robiła. Gdyby sam nie był świadkiem bezczelnej gry i rozmyślnych oszustw, którymi go zwodziła, wykazując się taką zręcznością.

Wciąż nie mógł pojąć, jak tego dokonała. Wystrychnęła na dudka nie tylko jego, ale wszystkich dookoła, nawet własnych rodziców. Omamiła też londyńskie towarzystwo. A tego socjeta z pewnością nie zapomni jej i nie wybaczy tak szybko.

Co do niego, to pogrzebał już wszelką miłość, jaką kiedykolwiek czuł. Jeśli pozostanie rana od czasu do czasu brocząca krwią, i ona się zagoi. Z czasem.

Wiedział też, że zapomni o niej. Z czasem.

Zapewne mógłby ją zatrzymać, by uniknąć skandalu. Poślubić ją potajemnie. Zapłacić prawnikom i duchownym, by zachowali milczenie, a potem upchnąć ją w jakimś odludnym miejscu, gdzie mogłaby dożyć swoich dni w zapomnieniu i samotności. Może to byłaby bardziej rozważna droga. Ale nie potrafił się zmusić, by dać jej tę satysfakcję. By nawet w tak minimalny sposób nagrodzić ją za hańbę i ból, jakie na niego sprowadziła.

A co do jej siostry - pięknej, zakłamaney Jeannette - lepiej by było dla niej, gdyby nigdy więcej nie weszła mu w drogę. Jeśli będzie naprawdę sprytna, zostanie we Włoszech i nakłoni Markhama, by się z nią ożenił. Toddy, co prawda, nie miał grosza przy duszy, ale może w tych okolicznościach pieniądze będą miały mniejsze znaczenie dla jej wyrachowanej duszyczki niż dobre imię.

Jęknął i oparł głowę na dłoniach. Dlaczego Violet to zrobiła? Czy naprawdę sądziła, że zdoła mydlić mu oczy w nieskończoność? Twierdziła, że go kocha, ale nie mógł sobie pozwolić, by w to uwierzyć. Jak mógł wierzyć w cokolwiek, co mówiła czy co powie w przyszłości?

Cóż, wkrótce to nie będzie miało znaczenia. Kiedy podpisze papiery - a na Boga, już on dopilnuje, by je podpisała - odeśle ją do rodziny. Niech oni zdecydują, co z nią będzie.

A potem on zacznie z powrotem składać swoje życie w całość. Może wybierze się w podróż. Był właścicielem plantacji trzciny cukrowej na Karaibach. Może kilka miesięcy pieczenia się pod gorącym, tropikalnym słońcem to właśnie to, czego mu potrzeba. Tak, może tam pożeglować. Słyszał wspaniałe relacje o tym miejscu. Kryształowo czyste wody, wspaniałe, błękitne niebo i plaże pełne miękkiego, różowego piasku.

Gdy on będzie tam, Anglia ze wszystkimi nieszczęściami znajdzie się na drugim końcu świata.

Ona też pozostanie na drugim końcu świata.

20

Adrian wrócił do Winterlea po dwutygodniowej nieobecności.

Przywiózł ze sobą dokumenty unieważniające ślub zarówno przez kościelne, jak i angielskie sądy. Zakładał, że jego wizyta

będzie krótka - Violet miała podpisać dokumenty, spakować się i towarzyszyć mu w drodze do posiadłości jej rodziców w Surrey. Na miejscu zamierzał wyjaśnić sytuację i odjechać. Wszelkie dalsze sprawy prawne dotyczące małżeńskich kwestii majątkowych miały być omawiane przez prawników obu stron.

Po przyjeździe przebrał się, zjadł lekki posiłek i przejrzał stosik korespondencji, który zgromadził się pod jego nieobecność. Gdy nie mógł już dłużej zwlekać z rozmową, szybko zadzwonił po Marcha.

- Bądź tak miły i poproś moją... hm... żonę, by dotrzymała mi towarzystwa w bawialni - zarządził.

Sztynny jakby kij połknął, oficjalny do niemożliwości major-domus wbił spojrzenie w punkt tuż nad ramieniem Adriana.

- Obawiam się, że nie mogę tego uczynić, Wasza Księżęca Mość.

Adrian się nachmurzył.

- Jak to, nie możesz? Co chcesz przez to powiedzieć?

Dezaprobatą buchała od sługi lodowatą falą.

Od razu po przybyciu do domu zauważył wyraźny chłód bijący ku niemu od całego personelu.

- Chcę powiedzieć to, że księżna pani jest w tej chwili nieobecna, Wasza Księżęca Mość.

- Słucham? Nie rozumiem?

- Jej Księżęca Mość jest nieobecna...

- Tak, tak, to słyszałem. Dokąd pojechała? Czy udała się z wizytą do kogoś z sąsiedztwa?

- Nie, Wasza Księżęca Mość.

- Więc gdzie ona jest, u diabła?

- Jak już informowałem Waszą Księżęcą Mość, tego nie wiem. Księżna pani spakowała część swoich rzeczy niemal dwa tygodnie temu i wyjechała ze swoją pokojówką i psem.

- Dwa tygodnie! I zabrała Horacego?

- Owszem. Poprosiła o powóz i kazała Wartonowi zawieźć się do zajazdu pocztowego w Derby.

Mars na czole Adriana się pogłębił.

- I co potem?

- Kazała mu odjechać. Jako że Warton słusznie martwił się o jej bezpieczeństwo, uparł się, że poczeka, aż pani i pokojówka wsiądą do powozu pocztowego. Była jakaś drobna trudność z psem, ale rozwiązała ją, wykupując wszystkie siedzenia.

- I on ją puścił?

- Tak, Wasza Księżęca Mość. Poza użyciem siły niewiele mógł zrobić, by zapobiec jej odjazdowi.

W żyłach Adriana wezbrała furia, i coś jeszcze. Coś znacznie gorszego.

Strach.

Dokąd mogła się udać? O to, dlaczego jechała, niestety *nie* musiał pytać.

- W jakim kierunku się udała? - dociekał.

- Na południe, o ile mi wiadomo. Woźnica wspominał coś o Bristolu.

Bristol? Kogo mogła znać w Bristolu? Och, oczywiście, nikogo! Pojął, że to miasto stanowiło dla niej tylko początek podróży. Z tak ruchliwego węzła komunikacyjnego mogła się udać dokądkolwiek w Anglii. Dokądkolwiek na świecie.

- Dlaczego nie zostałem natychmiast powiadomiony?

March zawahał się po raz pierwszy.

- Księżna pani bardzo wyraźnie zaznaczyła, że mam Waszej Księżęcej Mości nie informować. Może posunę się za daleko, mówiąc to, ale ostatnie nieporozumienia między Waszą Księżęcą Mością i księżną panią nie pozostały niezauważone przez służbę.

- Masz rację, posunąłeś się za daleko. Nic nie wiesz o naturze tych nieporozumień.

March się wyprostował.

- Wiem, że księżna pani była zrozpaczona, kiedy odjeżdżała. Wiem także, że była ogromnie przybita od tamtego dnia, kiedy wyprowadzaliśmy ją z gabinetu Waszej Księżęcej Mości. Prosiła mnie, bym dał to Waszej Księżęcej Mości. - Wyjął list.

Adrian chwycił go niecierpliwie.

- Przybyłem tu niemal dwie godziny temu. Dlaczego, u diabła, zwlekałeś tak długo, nim mi to przekazałeś?

March spojrzął na niego złowrogo.

- Chciałem się przekonać, ile czasu minie, nim Wasza Księżca Mość zauważy, że jego żona odeszła. - To powiedziawszy, nieznacznie skinął głową i wyszedł.

Gdyby stary dobry March nie pracował dla rodziny już za czasów ojca, Adrian zwolniłby go z miejsca za taką bezczelność. Nie myśląc więcej o tym, zawrócił na pięcie i przeszedł do bawialni, gdzie wcześniej planował przedstawić Violet papiery unieważniające ślub.

Podszedł do okna, do miejsca, gdzie słońce zapewniało najlepsze światło. Otworzył list.

Adrianie!

Kiedy będziesz to czytał, ja będę już daleko. Zabrałam ze sobą Agnes i Horacego; zapewnią mi odpowiednią ochronę podczas podróży. Nie zdradzę Ci miejsca jej przeznaczenia, choć zakładam, że i tak nie dbasz już, dokąd pójdę, jeśli tylko będę z dala od Ciebie. Nie martw się, że jeszcze kiedykolwiek będę Ci się narzucać. Wiem, że bardzo mnie teraz nienawidzisz. Ja sama nienawidzę siebie za to, że Cię zwiodłam, że sprowadziłam wstyd na Ciebie i Twoją rodzinę. Nigdy nie zamierzałam wyrządzić Ci krzywdy. Wiem, że to, co uczyniłam, jest niewybaczalne i że resztę życia spędzę, próbując odpokutować za to zło, którego byłam przyczyną. A jednak skłamałabym, twierdząc, że żałuję wszystkiego. Miłość pchnęła mnie do decyzji, które podjęłam, i już choćby dlatego nie mogę żałować czasu, który spędziłam z Tobą. Zachowałam zbyt wiele pięknych wspomnień, by teraz to wszystko odrzucić.

Mam nadzieję, że mój ojciec spłaci wiano, choć, ku mojemu nieustającemu wstydowni, muszę Cię ostrzec, że

pieniądze te zapewne są już wydane. Zabrałam tylko kilka osobistych rzeczy. Resztę zostawiłam, łącznie z pierścionkiem zaręczynowym i obrączką. Jeśli nie jesteśmy małżeństwem, jak twierdzisz, to i tak nigdy nie miałam prawa ich nosić.

Proszę, bądź szczęśliwy.

Violet

Przeczytał list dwukrotnie, ale nie znalazł nawet najmniejszej wskazówki, dokąd Violet mogła się udać.

Zgniół kartkę w dłoni i podszedł do drzwi bawialni.

- March! - huknął. - Zbierz służących. Chcę z nimi porozmawiać. Wszystkich, co do jednego.

Sześć tygodni później Adrian szedł londyńską ulicą, równie daleki od odnalezienia Violet jak w dniu, kiedy dowiedział się o jej zniknięciu.

Jak nawiedzony szukał wskazówek, gdziekolwiek się dało, poczynając od służących. Wypytał wszystkich, nawet ogrodników i podkuchenne. Ale nikt nie wiedział nic, co miałyby związek ze sprawą, choć nawet niepytani zapewniali, jak bardzo uwielbiali księżną panią i jak modlili się za jej bezpieczny i rychły powrót.

Przeczesał jej pokoje, przekopał każdą szufladę, szafkę i szafę. Odnalazł jej pierścionki i przypomniał sobie, jak wyglądały na jej szczupłej dłoni. I naszyjnik, który jej kupił, ten, który tak pragnął ujrzeć w łożu na jej uroczej szyi. Tak jak napisała, wzięła bardzo niewiele rzeczy: trochę ubrań, szczotki do włosów, do zębów i inne przybory toaletowe. Gdyby potrzebował dodatkowego dowodu na to, kim jest, to widok tych wszystkich pięknych sukien, wiszących tęczowym rzędem w jej szafie, byłby wystarczający. Prawdziwa Jeannette nigdy by się nie zdobyła na pozostawienie tak eleganckiej garderoby.

Sfrustrowany pojechał do Derby, do zajazdu, z którego wyruszyła. Przepytał stajennych, gospodarza, posługacza, który przy-

niósł jej i pokojówce podwieczorek, gdy czekały na przybycie pocztowego powozu. Pamiętali ją; niewiele eleganckich dam zatrzymywało się tutaj, a tym bardziej dam z psami wielkości kuczka. Nikt jednak nie miał pojęcia, dokąd mogła się udać.

Przez kolejne dwa tygodnie, posmarowawszy hojnie kilka dłoni - łącznie z łapą woźnicy powozu pocztowego, który zabrał z Derby pamiętne trio - zdołał prześledzić jej drogę aż do Londynu.

Potem jednak rozplynęła się niczym zjawa.

Spędził w Londynie wiele dni, odwiedzając wszystkie jej ulubione miejsca - bez skutku. Dotarł do niego fakt, że w większości były to ulubione miejsca Jeannette, nie Violet. Nie zdradzając prawdziwych intencji, wybadał kilka jej przyjaciółek - a raczej przyjaciółek Jeannette. I znów nic. Wysłał nawet list do jej rodziców, wymyśliwszy bajeczkę, jakoby odwiedzała znajomych niedaleko Surrey, i czy aby nie wpadła z wizytą? Oczywiście nie wpadła.

Nareszcie, zmuszony przełknąć upokorzenie, pojechał do Oxfordshire, by odwiedzić brata. Kit spojrzął na niego ponuro, zażądał podania szczegółów i w końcu smętnie pokiwał nad nim głową.

Nie, odparł, ani jej nie widział, ani *nie* gościł i nie miał pojęcia, kto mógłby to robić. A potem sam zadał kilka pytań.

Skoro Adrian naprawdę gardził Violet i nie chciał mieć z nią więcej do czynienia, to dlaczego teraz poszukiwał jej tak rozpaczliwie?

Kit miał rację. Biorąc pod uwagę całe zło, jakie mu wyrządziła, dlaczego robił wszystko, by ją odnaleźć? Okłamała go, wykorzystała, upokorzyła. Miał wszelkie prawo jej nienawidzić. I nienawidził.

A przynajmniej powinien.

Jej zniknięcie jednak nie dawało mu spokoju. Chciał wiedzieć, gdzie przebywa. Co porabia. Czy jest bezpieczna i zdrowa. Szczęśliwa.

Śnił o niej niemal co noc. Czasami była w straszliwym niebezpieczeństwie. Zagubiona, bez grosza przy duszy i przestraszona. Wystawiona na łaskę jakiegoś łajdaka, wołała o pomoc. Lecz on nie zdążył przybyć na czas i wtedy gwałtownie się budził. Mokry od potu, z łomoczącym sercem, wpatrywał się w ciemność z głową przepełnioną wspomnieniami.

Kiedy indziej sny były słodkie i uwodzicielskie. Violet - teraz już myślał o niej Violet - przychodziła, by go drażnić, kusić, dawać mu rozkosz. Niezwykle realne sny i ona w nich taka rzeczywista. I przez chwilę znów należała do niego, tak jak przez tych kilka pierwszych, cudownych miesięcy. Po tych snach przebudzenie było jeszcze gorsze - przepełniało go pożądanie, a umysł dręczyła świadomość, że wbrew własnej woli wciąż jej pragnie.

Ale jak mógł marzyć o niej po tym, co zrobiła? Przez wiele miesięcy udawała Jeannette. Robiła wszystko, co w jej mocy, by go zwieść. Ale jednak teraz, gdy jego gniew nie płonął już tak gwałtownie, Adrian potrafił spojrzeć wstecz i dostrzec, jak bardzo Violet różniła się od swej siostry.

Jej niewinność. Jej nieśmiałość. Jej śliczne, ujmujące rumieńce wstydu. Wycieczki do biblioteki, których, jak sądziła, nie zauważał. Akceptacja jego obowiązków, zrozumienie, że on nie może skakać wokół niej przez całą dobę. Spokojne, ciche towarzystwo, jakie zapewniała mu wieczorami. Jej dobroć dla służby. Upodobanie do prostych przyjemności, natury, muzyki, sztuki. Jej miłość do wielkiego psiska, które inni najpewniej pozostawiliby w biedzie i rozpaczy.

Patrząc wstecz, nie rozumiał, jak mógł przeoczyć te wszystkie sygnały. Może nie chciał ich widzieć, bał się poznać prawdę. Gdyby ją dostrzegł, musiałby przyznać, że popełnił straszną pomyłkę przy wyborze żony.

Jeannette - prawdziwa Jeannette - unieszczęśliwiłaby go.

Violet sprawiła, że był szczęśliwy. A on ją wygnął.

Gdzie ona się podziewa? Przecież Anglia nie była aż tak wielką wyspą, by nie dało się na niej odnaleźć jednej małej kobiety.

Chyba że opuściła już Anglię. Czyżby pojechała do siostry? Czy teraz we dwie kąpią się w blasku ciepłego słońca Italii?

Zatrzymał się, uniósł wzrok i dopiero wtedy zorientował się ze zdziwieniem, że doszedł do księgarni Hatcharda. Był tak zaprzątnięty myślami, że nie zdawał sobie sprawy z własnej wędrówki po ulicach. Wszedł do środka, zapowiadany łagodnym dźwiękiem dzwonka.

Kilka miesięcy temu zamówił książki, które nareszcie sprowadzono. Gdy subiekt po nie poszedł, Adrian udał się między regały, by obejrzyć inne pozycje.

Młoda kobieta odwróciła się, słysząc jego kroki, i spojrzała znad książki, którą przeglądała. Wykonała głęboki dyg.

- Wasza Książęca Mość, jakże się pan miewa?

Skłonił się.

- Panna Hammond. Nie zdawałem sobie sprawy, że jeszcze ktoś tu jest. O tej porze dnia mało osób tu zagląda.

- Toteż właśnie. Lubię pooglądać książki, gdy nikt mi nie przeszkadza. - Umilkła niezręcznie, gdy dotarło do niej znaczenie własnych słów. Pospiesznie zatuszowała gafę. - Jak się miewa pańska rodzina?

- Dobrze, dziękuję. A pani?

- Zupełnie dobrze. Moja ciotka i kuzyn rozważają aktualnie, czy mądrze jest pozostawać dłużej w mieście. Kolejny sezon będzie kosztowny, rozumie Wasza Książęca Mość.

Rozumiał. To byłby już trzeci występ Elizy Hammond na matrymonialnym „ryнку”. O ile się orientował, przez cały ostatni sezon *nie* otrzymała ani jednej propozycji. Zamierzał już w grzeczny sposób zakończyć rozmowę, gdy nagle dziewczyna powiedziała coś, *co* przykuło jego uwagę.

- Dostałam list od szwagierki Waszej Książęcej Mości.

- Od Violet? - Czy też miała na myśli Jeannette?

- Tak. Wciąż bawi się świetnie na kontynencie. Wraz z cioteczną babką przeniosły się ostatnio do Rzymu i miasto ogromnie jej się podoba. Piszę, że zapewne niedługo powrócą do Anglii.

- Doprawdy? Cóż za miła wiadomość.

- A tak przy okazji, bardzo proszę podziękować żonie, gdy Wasza Księżęca Mość się z nią zobaczy. To niezwykle uprzejme z jej strony, że przesyła mi listy Violet.

Adriana przeszły dreszcz.

- Tak? Nie wiedziałem o tym.

- Och tak, już od kilku miesięcy. Zapewne Wasza Księżęca Mość dołączy do niej w Dorset, gdy zakończy swoje interesy w mieście.

- W Dorset?

Eliza zmarszczyła brwi.

- Ostatnio tam właśnie wysłałam listy. Podobno pojechała na jakiś czas na wybrzeże, do pięknego domu, który należy do Waszej Księżęcej Mości.

Krew zaszumiała mu w głowie. Violet była w domu w Dorset. Boże święty.

Pospiesznie zatuszował swój lapsus.

- Istotnie. Pojechała na kilka tygodni na południe. Właśnie się do niej wybieram. — I to niezwłocznie, obiecał sobie. - Moje książki są już pewnie gotowe - ciągnął. - Bardzo było miło panią spotkać, panno Hammond. - Skłonił się i odwrócił szybko. Wybiegł ze sklepu, zapominając o zakupach, śledzony spojrzeniem zdumionego subiekta.

Horacy sadił przez kępy traw, którymi usiane były pola na zboczach klifu. Zatrzymywał się od czasu do czasu, by obwąchać jakieś interesujące miejsce, po czym gnał dalej. Violet podążała za nim bardziej statecznym krokiem. Chłodny, silny wiatr ciągnął ją za szpilki we włosach i targał spódnice, jak jakiś chochlik skory do psot. Nie miała nic przeciwko temu, pozwalając wiatrowi robić, co chce; wichura była idealnym tłem dla jej rozpaczliwego, melancholijnego nastroju.

W oddali morze burzyło się, białe grzywy pędziły na szczytach stalowoniebieskich fal, toczących się do brzegu. Popołu-

dniowe słońce starało się świecić z całych sił, jednak bez wielkiego efektu, gdyż co chwilę przesłaniały je grube, niskie chmury, które zmieniały niebo w obszar ponurej szarości.

Po kilku minutach zawołała Horacego, który natychmiast nadstawił uszu.

- Chodź, piesku. Chodź tutaj. - Pies ruszył biegiem w jej kierunku. Pora wracać do domu, pomyślała. I pora wreszcie stąd ruszać.

Fakty były faktami. Jej życie z Adrianem skończyło się. Jakimś cudem, choćby śmiertelnie ją to przerażało, będzie musiała znaleźć własną drogę przez świat, odwagę, by działać, by żyć dalej. Nie mogła ukrywać się tu w nieskończoność, choć bardzo tego pragnęła.

Gdy przybyła tu wynajętym wozem niemal dwa miesiące temu, jedynie w towarzystwie pokojówki i psa, Grimmowie przyjęli ją bez pytania. Istne wcielenie dyskrecji, nawet nie mrugnęli okiem na jej prośbę, by nie zawiadamiać księcia pana o jej pobycie. Pani Grimm, jak zawsze ciepła i zapobiegliwa, zajęła się nią troskliwie, przygotowała smaczny, gorący posiłek i namówiła ją do jedzenia, widząc, że Violet ledwie skubie potrawy.

Przygotowano pokoje. Dla Agnes izdebkę w służbowych kwaterach, a dla Violet główny apartament, ten sam, w którym spędziła miesiąc miodowy. Wspomnienia wzywały z każdego kąta, pełne obrazów z dawnych, cudownych czasów. Wizerunków Adriana, kiedy jeszcze patrzył na nią oczyma płonącymi z pożądania. Gdy jego zimna nienawiść nie mroziła jej do szpiku kości.

Wspomnienia o nim były wszędzie. W każdym pokoju. Na zewnątrz, na wrzosowiskach. W łóżku, w nocy, kiedy płakała, aż sen przewyciężał smutek.

Nie powinna była tu przyjeżdżać. Wiedziała to.

A jednak ten dom dawał jej pociechę w czasie samotności.

Zdesperowana, nie miała pojęcia, dokąd powinna się udać. Jej rodzice nie wchodzili w grę. Gdy się dowiedzą, co zrobiła... Violet drżała na samą myśl.

Jej brat zwyczajnie wyśmiałby ją, gdyby się do niego zwróciła. A potem by ją wydał.

Co do Jeannette - ona nie mogła zaoferować Violet nic, nie mając ani własnych nieruchomości, ani pieniędzy.

A cioteczna babka Agatha zadenuncjowała by ją, dowiedziawszy się, dlaczego uciekła z Anglii i zostawiła męża. Nim Violet by się obejrzała, staruszka pisałaby listy do wszystkich znajomych.

Nie, nikt z rodziny nie udzieliłby jej pomocy.

Pomyślała o Kicie. Ale jako kawaler - i student na dodatek - nie był w stanie jej pomóc, nawet gdyby chciał.

Eliza również - choćby nawet wybaczyła jej wszystkie kłamstwa i zlitowała się nad przyjaciółką - nie mogła nic zrobić, gdyż jako niezamężna kobieta żyła całkowicie na łasce krewnych.

Choć było to przerażające, Violet została sama na świecie.

Pamiętając o tym, przez ostatnie dwa miesiące rozważała różne możliwości. Miała drobną kwotę, zaoszczędzoną z hojnego miesięcznego uposażenia, które wyznaczył jej Adrian. Jeśli będzie żyła oszczędnie, może wystarczy jej pieniędzy na kilka miesięcy. Potem jednak będzie musiała poszukać sobie jakiejś posady. Agnes oczywiście trzeba będzie zwolnić. Dziewczyna dostanie wspaniałe referencje.

I Horacy. Serce pękało jej na myśl, że będzie musiała go zostawić, ale jaki miała wybór? Jadł tyle co dorastający chłopak, a nawet gdyby nie chodziło o pieniądze, przeszkodą były jego rozmiary. Kto zechce udostępnić jej kwatere, gdyby jej towarzyszył? A jeśli zostanie zatrudniona jako dama do towarzystwa czy guwernantka, chlebodawcy nigdy nie pozwolą jej go zatrzymać. Będzie musiała odesłać go do Winterlea z listowną prośbą do Adriana, by zaopiekował się jej psem. Wiedziała, że choć nią pogardza, nie będzie tak okrutny, by obrócić gniew przeciw bezbronemu zwierzęciu. Horacy znajdzie opiekę.

Zatrzymała się i przykucnęła na ziemi obok wielkiego psa. Uściskała go, przytulając policzek do ciepłego, gładkiego boku.

Zaciskając powieki, próbowała zatamować łzy, które siłą napływały jej do oczu.

Kiedy opanowała emocje na tyle, by uniknąć komentarzy spostrzegawczej pani Grimm, wstała i ruszyła dalej. Dom za niewielkim wzniesieniem błyszczał jak ze złota w zbłąkanym promieniu słońca. I nagle ujrzała powóz na podjeździe, z książęcym herbem na drzwiczkach.

Zatrzymała się jak wryta; serce dziko załomotało jej w piersi. Adrian ją odnalazł.

21

Czekał w głównej bawialni, kiedy weszła do środka.

Nie spieszyła się, zdejmując płaszcz, przygładzając włosy, poprawiając spinki przed lustrem w holu. Pomruk niskiego głosu Adriana dotarł do jej uszu. Mówił do Horacego, który rozradowany pognał do salonu, gdy tylko zorientował się, że Adrian jest w domu.

Uszczypnąwszy się w policzki, by dodać im trochę koloru, poprawiła okulary, które znów zaczęła nosić na stałe, i wyprostowała ramiona. Może to zrobić, powiedziała w duchu. Zrobi to i nie rozpadnie się na kawałki. Już raz zrobiła z siebie idiotkę na jego oczach. Nie zamierzała tego powtórzyć.

Horacy wciąż kiwał ogonem, gdy weszła do pokoju. Odwrócił się, przyczłapał do niej na wielkich łapach, z szerokim psim uśmiechem, demonstrując swoją lojalność. Pogłaskała go po głowie i odesłała, by położył się przy kominku.

Przyniesiono tacę z podwieczorkiem dla księcia; zapobiegliwa pani Grimm pomyślała również o dodatkowym talerzyku i filiżance dla Violet.

Rozejrzała się po pokoju, patrząc wszędzie, tylko nie na niego. W końcu przemówiła, zdając sobie sprawę, że nie może dłużej odwlekać powitania.

- Wasza Książęca Mość
- Violet.

Jak dziwnie było po tak długim czasie usłyszeć swoje imię w jego ustach. Ileż by dała kiedyś, by wypowiedział to imię, wiedząc, kim ona naprawdę jest. Teraz, kiedy to zrobił, żałowała, że musiała zapłacić tak drogo za tę jego wiedzę.

- Jak mnie znalazłeś?

Weszła głębiej do pokoju, starając się zachowywać godnie. Nie zamierzała kulić się zestrachu.

- Może najpierw podwieczorek. - Podeszedł do tacy. - Wyglądasz na zmarzniętą.

- Nie, dziękuję. - Jej żołądek zaprotestował przeciwko jedzeniu czy picciu.

Ignorując jej słowa, unióśł dzbanek.

- Pani Grimm powiedziała mi, że spacerowałaś po klifach.
- Tak.

Dlaczego był taki grzeczny? Spodziewała się po nim gniewu, a co najmniej zimnej uprzymości. Może jego oburzenie z powodu afrontu zbladło nieco podczas jej nieobecności. Może przez ostatnie tygodnie zupełnie już zubożał.

Niepewna, jak długo zdoła utrzymać się na nogach, podeszła do fotela stojącego najdalej od Adriana i opadła nań z ulgą.

- Twoja herbata. - Podał jej filiżankę.

Przyjęła ją i ostentacyjnie odstawiła na bok. Czego on chce? Dlaczego ją torturuje? Dlaczego po prostu nie powie, co ma do przekazania, i nie skończy całej sprawy.

- Kto ci powiedział, że tu jestem?

Adrian usiadł.

- Twoja przyjaciółka Eliza Hammond. - Gwałtownie uniosła wzrok. - Wybacz jej. Niezdawała sobie sprawy, że zdradza twój

sekret. Natknąłem się na nią zupełnie przypadkiem w Londynie. Wspomniała, że dostała list od ciebie, przesłany przez Dorset.

- Wiedziałam, że nie powinnam była do niej pisać, ale nie sądziłam, że akurat ona kiedykolwiek będzie miała okazję powiedzieć ci o tym. - Złożyła dłonie na podołku, by powstrzymać ich drżenie. - Czy wszyscy już wiedzą? Powiedziałeś o mnie całemu światu?

Uniósł brew.

- Nie. Nikomu, prócz mojego prawnika, jednego biskupa i ich nielicznych, najbardziej zaufanych asystentów. Byłem zmuszony porozumieć się z nimi w sprawie ważności naszego małżeństwa.

Violet poczuła w gardle rosnącą kulę. Zapatrzyła się w swoje buty.

- I?

- Jest tak, jak podejrzewałem. W świetle prawa nie jesteśmy mężem i żoną. Nasze małżeństwo jest nieważne. Zostały przygotowane dokumenty, by nadać temu prawną formę. - Ostatni promyk nadziei zgasł w jej sercu. - Przynosiłaś mi niemało zgrzyzoty - powiedział - kiedy wróciłem do Winterlea i odkryłem, że uciekłaś. Miałem prawo być wściekły.

- Dostałeś od Marcha mój list?

- Tak, wręczył mi go, okraszając własną opinią, że byłem dla ciebie okropny. Reszta służby zdaje się podzielać jego zdanie.

- Mam nadzieję, że przekażesz im moje pozdrowienia. Wy tłumacz im, jak bardzo jest mi przykro, że tak ich wszystkich zawiodłam. - Nie mogąc usiedzieć na miejscu, wstała z fotela i stanęła w oknie, by popatrzeć na smagany wiatrem krajobraz. - Podpiszę dokumenty i wyjadę jutro - powiedziała. W jej głosie słychać było niezmierny smutek.

- Dokąd pojedziesz?

- Chyba na północ, do Yorkshire, może do Szkocji. Tamtejsi ludzie nie powinni być zbyt wybredni, jeśli chodzi o referencje

i tym podobne drobiazgi. Mam nadzieję, że znajdę sobie posadę jako guwernantka przy jakiejś szanowanej rodzinie.

- A co z twoją własną rodziną?

Obróciła się na pięcie.

- Nie wrócę do nich. Nie próbuj mnie przymuszać. Wyrzuciliby mnie z powrotem, ledwie byś odjechał. Nigdy nie miałam z rodziną tak dobrych stosunków, jak ty z matką i rodzeństwem. Gdy tylko dowiedzą się, co zrobiłam, jaką hańbę na nich ściągnęłam, nie będą chcieli mieć ze mną więcej do czynienia. Zostanę wydziedziczona. Dla nich równie dobrze mogłabym nie żyć.

- A Jeannette?

Jej usta drgnęły.

- Jeannette to Jeannette. Jej nic nie będzie.

- To się nie uda - powiedział po chwili. — Twój plan, by zostać guwernantką.

- Nie rozumiem, czemu nie. Jestem przyzwoicie wykształcona jak na kobietę. Już nie muszę tego przed tobą skrywać. Znam języki... włoski, francuski, hiszpański i trochę niemieckiego.

- Nie zapominaj o łacinie i grece.

- I owszem - przyznała, kiwając głową. - Ale to języki dla chłopców i wątpię, by mi się przydały, szczególnie w rodzinie kupieckiej. Znam matematykę, geografę, historię i literaturę. Nie szyję zbyt dobrze, ale maluję całkiem przyzwoicie, a moja kaligrafia jest celująca.

- Nie chodzi o twoje kwalifikacje.

- O co więc?

- O urodę.

Wysunęła podbródek.

- Co jest nie w porządku z moją urodą?

- Nic. I to właśnie problem. Żadna żona, która zobaczy cię na własne oczy, nie pozwoli ci się zbliżyć do jej rodziny. Byłabyś zbyt wielką pokusą dla męża.

- Dla ciebie nie byłam. - Gorzkie słowa wypłynęły z jej ust, nim zdążyła je powstrzymać. - Ty dostrzegłeś tylko moją siostrę.

Podszedł do niej.

- Mylisz się. Dostrzegałem cię, nawet pod okularami. Ale uważałem, że jesteś zbyt nieśmiała.

- By być księżną? O to chodzi? - Zaśmiała się twardo. - Najwyraźniej się myliłeś.

- Najwyraźniej. W bardzo wielu sprawach.

Zamknęła oczy i odwróciła głowę, by ukryć łzy, którym nagle zachciało się płynać.

- Nie mam do ciebie żalu, że mnie nienawidzisz - wyjaśniła ochrypłym szeptem.

Podszedł jeszcze bliżej.

- Naprawdę? Dziwna sprawa, bo choć chciałem cię znienawidzić... i wierz mi, naprawdę bardzo się starałem... jakoś nie mogę wyrzesać z siebie tego uczucia.

Jej powieki otworzyły się, łza popłynęła po policzku.

Adrian wyciągnął rękę i starł ją kciukiem.

- Nie płacz.

Nowa łza pobiegła w ślady pierwszej, a potem następna. Jego dobroć zupełnie ją rozkleiła. I nagle znalazła się w jego ramionach.

- Adrianie, przepraszam. Tak mi przykro - szlochała w jego ramię.

Objął ją mocno, huśtając delikatnie.

- Cśś, już dobrze. Nie płacz. Nie płacz, najdroższa. - Muskał pocałunkami jej skroń, pocierał plecy dłońią, kreśląc powolne, kojące kręgi.

Trzymał ją tak, aż płacz ucichł. W końcu wetknął jej w dłoń chusteczkę, by mogła otrzeć oczy. Wydmuchała nos w jedwab w sposób zupełnie niegodny damy i wtuliła się w Adriana, wyścieńczona.

Stali tak, obejmując się w milczeniu, przez bardzo długą chwilę.

W końcu Adrian przemówił.

- Czy mówiłaś prawdę?

Pociągnęła nosem.

- W jakiej sprawie?

- Kiedy mi powiedziałaś, że mnie kochasz. Czy naprawdę tak czujesz, czy to miało być tylko balsamem dla moich zranionych uczuć?

Uniosła wzrok, by spojrzeć mu w oczy.

- Och, Adrianie, czy sam tego nie widzisz? Uwielbiam cię. To nigdy nie było kłamstwo. Jeśli nie wierzysz w nic innego, uwierz choć w to.

- A jeśli cię poproszę, byś odeszła?

Poczuła, że zaczyna się dusić.

- Wtedy odejdę. Czy właśnie tego chcesz?

Przytulił ją mocniej, przycisnął policzek do jej policzka.

- Nie. Wcale tego nie chcę. Jestem taki wdzięczny, że tu przyjechałaś, że uciekłaś. Gdybyś tego nie zrobiła, obawiam się, że popełniłbym największy błąd mojego życia, pozwalając ci odejść. Kocham cię, Violet. - Odsunął ją na tyle, by móc spojrzeć jej w oczy. - Zaczniemy od początku? Od nowa, bez nieprawdy, bez kłamstw między nami?

- Tak, jeśli to ja jestem tą, której naprawdę pragniesz. Powiedziałaś, że mnie nie znasz, że nie potrafisz oddzielić prawdziwej mnie od granej przeze mnie roli. Jesteś pewien, że kochasz właściwą kobietę?

- Nigdy nie kochałem twojej siostry, to pewne. Może właśnie dlatego nie kwestionowałem różnic między wami dwiema, między kobietą, do której się zalecałem, a tą, którą poślubiłem. Byłem zbyt zadowolony, pławiłem się we własnym niespodziewanym szczęściu. Nigdy nie śniłem, że będę kiedykolwiek żywił takie uczucia, ale wiem, że cię kocham. Całą resztę, o której chcę się dowiedzieć, mogę przemyśleć po drodze.

Pochylił się, by ją pocałować, i uderzył nosem w jej okulary. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Zdaje się, że zaczniemy od nich. Pozwolisz? - Położył palce na drucianych oprawkach.

Skinęła głową, dając mu przyzwolenie, by je zdjął. Zamknęła oczy, kiedy zsunął okulary, i poczuła dreszcz słodkiej rozkoszy, gdy jego usta stopiły się z jej ustami.

Ach, minęło tyle czasu. Całe życie. Wieczność. Jakże ona za nim tęskniła. Jak bardzo go kochała. Ogarnęła ją błogość na myśl, że w tej chwili trzyma w ramionach wszystko, czego najbardziej pragnęła. Uniósł ją z podłogi, niemal zmiażdżył w objęciach; pożądanie zapłonęło w nich potężnym płomieniem.

Jej myśli rozpiezchły się, członki zwiotczały, oddała się całkowicie w jego władanie.

- Zabierz mnie na górę - szepnęła.

- Kocham cię, Violet.

Leżeli wtuleni w siebie w wilgotnej, zmiętej pościeli. Adrian przykrył ich kołdrą i położył się, głaszcząc jej włosy, składając powolne pocałunki na jej ciele.

Uśmiechnęła się, zarumieniona i oszołomiona, z zamkniętymi oczyma, zachwycając się pieszczotą. Jednak po niecałej minucie gwałtownie otworzyła oczy.

- Adrianie, właśnie sobie przypomniałam.

- Co sobie przypomniałaś? - zapytał leniwym głosem, rozluźniony.

Usiadła.

- Nie jesteśmy małżeństwem.

Uniósł brew.

- Na Jowisza, masz rację. A sądząc z tego, co właśnie odbyło się w tym łóżku, mamy chyba powód, by być małżeństwem. - Pogłaskał dłonią jej ramię, naga pierś. W jego oczach błysnęło psotne światło. - Chyba że wolałabyś być moją kochanką?

- Adrianie! - Policzki jej zapłonęły.

Roześmiał się gromko.

- Z twojej miny wnioskuję, że taka możliwość nie wchodzi w grę.

Wysunęła wojowniczo podbródek.

- Absolutnie.

Znów się roześmiał i przysunął się, by ją pocałować.

- Świetnie, bo i ja chcę ciebie wyłącznie jako żonę.

Sturlał się z łóżka, chwycił ją za rękę i pociągnął tak, by siadła na brzegu materaca. Bez ostrzeżenia przykląkł na jedno kolano, i, goły jak święty turecki, ujął jej dłoń.

Spróbowała się wyrwać.

- Co ty robisz?

Ścisnął mocniej jej dłoń.

- To, co powinienem być zrobić za pierwszym razem. Proszę właściwą kobietę o rękę.

Jej wargi ułożyły się w zdumione „O”, gdy dotarło do niej znaczenie jego słów.

- Jannette Violet Brantford - zaintonował uroczyście - jesteś mi światłem za dnia. Słodyczą moich nocy. Jedyłą znaną mi kobietą, która potrafiła wywrócić mój świat do góry nogami i sprawić, bym był z tego zadowolony. Może nie zaczęliśmy dokładnie tak, jak należało. Ale cóż, oboje jesteśmy istotami ludzkimi, a istoty ludzkie czasem popełniają błędy. Przrzekam, że wszystko ci wybaczę, jeśli i ty obiecasz wybaczyć mnie, kiedy zajdzie taka konieczność. Kocham cię. Zrozumienie tego zajęło mi trochę czasu, ale teraz to wiem. Przrzekam przez resztę moich dni udowodniać ci, jak bardzo. Proszę, powiedz, że uczynisz mnie najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi i zgodzisz się zostać moją żoną.

Łzy płynęły po jej policzkach, gdy uśmiechnęła się drżącymi wargami.

- To najpiękniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszałam. Tak, och, tak, oczywiście, że za ciebie wyjdę. - Rzuciła się naprzód, otoczyła ramionami jego szyję i obsypała całą twarz pocałunkami. — Tak bardzo cię kocham. Nigdy nie dam ci powodu, byś tego żałował.

- I nie będę żałował, nigdy. - Roześmiał się i przycisnął jej usta do swoich, miażdżąc ją w objęciach. Gdy oderwali się od

siebie, bez tchu, posadził ją wygodnie i wstał. Przeszedł przez pokój. - Jeszcze jedno. - Wrócił, niosąc małe, kwadratowe pudełeczko, które wyłowił z kieszeni żakietu. Gdy je otworzył, ukazał się złoty pierścionek z najbardziej intensywnym, fioletowym ametystem, jaki w życiu widziała.

- Jest piękny, ale z jakiej okazji?

- To twój pierścionek zaręczynowy. Szmaragd był przeznaczony dla innej kobiety. Ten jest specjalnie dla ciebie. Kamień nie jest tak drogi, ale pomyślałem, że pasuje do...

Wyskoczyła z łóżka i rzuciła się w jego ramiona.

- Jest cudowny. Nie mogłeś wybrać lepszego. Jest fiołkowy, jak moje imię.

Adrian uśmiechnął się szeroko i wsunął pierścionek na jej palec.

- Zgadza się, i dzięki niemu już nigdy nie będę miał wątpliwości, że to ty, Violet.

Pięć dni później, uzyskawszy specjalne pozwolenie, wzięli ślub w małym kościółku na obrzeżach Londynu. Ceremonia była krótka i bardzo kameralna; Kit jako jedyny członek rodziny wziął w niej udział. Gdy tylko dostał zawiadomienie, przyjechał konno z Oksfordu, by z dumą i radością służyć bratu jako drużba.

Zona pastora, przyjazna dusza o figurze okrągłej i miękkiej jak brzoskwinia, wystąpiła w roli drugiego świadka. Takie improwizowane śluby lubiła najbardziej, gruchała ze łzami w niebieskich oczach. Takie pary, jak zauważyła, były zawsze zakochane po uszy.

I tym razem też miała rację. Gdy Violet i Adrian wzięli się za ręce, by wyrecytować przysięgę, spojrzeli sobie w oczy i patrzyli już do końca. Wyzierała z nich miłość, oczywista dla każdego obserwatora.

- Ja, Adrian Philip George Stuart Fitzhugh, biorę ciebie, Jannette Violet, za małżonkę...

- Ja, Jannette Violet, biorę ciebie, Adrianie Philipie George'u Stuarcie Fitzhugh, za małżonka...

Uroczyste słowa, wypowiedziane niegdyś pod przymusem i w grzechu, dziś nabrały nowego znaczenia, gdy płynęły ze szczerego, radosnego serca.

Violet nie drżała, była całkowicie spokojna. Teraz nie miała niczego do ukrycia, nie musiała niczego udawać.

A kiedy Adrian wsunął obrączkę na jej palec, powtórzył jej imię - Violet - stanowczym, dźwięcznym głosem, by nikt nie mógł go pomylić czy źle zrozumieć.

Teraz, gdy byli już naprawdę mężem i żoną, Adrian pocałował ją. I oderwał się od niej, by zaczerpnąć tchu dopiero, gdy pastor odchrząknął głośno, marszcząc z wyrzutem siwiejące brwi.

Violet i Adrian roześmiali się; on z psotnym błyskiem w oku, ona pąsowa ze wstydu.

Niewielka grupka weselników przeszła do skromnie udekorowanego salonu, gdzie czekały na nich słodki poczęstunek i herbata.

Kilka minut przed odjazdem, Adrian odciągnął duchownego na stronę. Nie wdając się zbyt w szczegóły, wyjaśnił konieczność zachowania dyskrecji w sprawie ślubu, który właśnie się odbył. Powiedział, że poczyta sobie za osobistą przysługę, jeśli pastor i jego żona nie wspomną o ceremonii, gdyby ktokolwiek o nią pytał. Pokażny datek do parafialnej szkatuły i uścisk dłoni przypieczętowały umowę.

Przed ceremonią Adrian zawarł podobny układ ze swoim prawnikiem. Jaxon bez zwłoki usunął wszelkie prawne przeszkody, wynikające z pierwszego ślubu Adriana i Violet, który daleki był od legalności. Pozostałe osoby wtajemniczone w sprawę zostały zaprzysiężone do zachowania tajemnicy.

Po zakończonej ceremonii cała trójka powróciła do Raeburn House w Londynie na cichą, uroczystą kolację.

Potem Kit pożegnał się i wyruszył w powrotną drogę do Oksfordu.

Dużo później Violet leżała w szerokim łożu Adriana, zarumieniona i rozpromieniona po godzinach miłości. W duchu przeżywała na nowo wydarzenia ostatnich kilku dni.

- Myślisz, że słusznie postąpiliśmy?

Adrian splótł palce z jej palcami; ich złączone dłonie spoczęły na jej brzuchu.

- Co masz na myśli?

- To, że nie zdradziliśmy mojej tożsamości. W dalszym ciągu jestem moją siostrą.

Poruszył się, przechylając głowę tak, by widzieć jej twarz.

- To ty tego chciałaś. Czyżbyś zmieniła zdanie?

Przypomniała sobie, jak niezłomne było jej postanowienie jeszcze dwa dni temu. Przekonywała Adriana, że powinni kontynuować tę grę. On przedstawiał kontrargumenty. Pragnął, a właściwie wręcz domagał się, by wyjawić prawdę przed światem. Violet jest jego żoną, mówił, pełnoprawną księżną. Wszyscy, począwszy od rodziny, a na przyjaciółach i znajomych skończywszy, powinni o tym wiedzieć.

Ale ona namawiała go do milczenia, bojąc się koszmarnego skandalu, jaki z pewnością wybuchłby po takim wyznaniu. Wszak ona i Adrian żyli przez wiele miesięcy w grzechu, nawet jeśli wtedy o tym nie wiedzieli. Nawet jeśli teraz byli mężem i żoną w świetle prawa.

Jeśli chodziło o nią, to nie dbała, co myślą inni. Ona mogła wieść doskonale szczęśliwe życie w Winterlea, z mężem, książkami i dziećmi, które miała nadzieję kiedyś urodzić. Nawet gdyby socjeta posunęła się do najgorszego i wykluczyła ją ze swych kręgów, by ukarać ją za oszustwo, za wystrychnięcie wszystkich na dudka. Jej prawdziwi przyjaciele, jak Eliza, wybaczyliby jej po otrząśnięciu się z pierwszego szoku.

Ale musiała brać pod uwagę uczucia innych. Ludzi, którzy odczuliby skutki jej czynów, czy sobie tego życzyli, czy nie.

Jej rodzice byliby oburzeni i śmiertelnie zawstydzeni. Matka zapewne ukryłaby się w swoich pokojach na miesiąc albo i dłużej. Ojciec, oczywiście, nadal spędzałby czas, jeżdżąc konno i polując - były to dwa jego ulubione sporty - z pozoru zupełnie nieprzejęty zamieszanem. Ale koniec końców oboje ponieśliby

straty. Zapewne wielu najbardziej wpływowych przyjaciół odwróciłoby się od nich. A wycieczki do Londynu, niegdyś tak dla nich przyjemne, zmieniłyby się w gehennę, której żadne z nich nie chciałoby znosić.

Darrin, jak podejrzewała, wyśmiałyby całą tę nieszczęsną historię, a potem z nowym upodobaniem rzuciłyby się w wir hulańek, samemu wywołując niejednen skandal.

A Jeannette... cóż, Jeannette wyszłaby z tego poturbowana, ale niepokonana.

No i był jeszcze Adrian.

Choć powstrzymała się przed wyjawieniem mu swych obaw, wiedząc, że zbyłby je lekceważeniem, przede wszystkim martwiła się o niego. On, jakimś boskim zrządzeniem, jej wybaczył. Inni mogli nie być tak łaskawi.

Swoimi postępkami rzuciła cień na jego nazwisko i reputację. Mimo ugruntowanej pozycji towarzyskiej księcia na pewno znaleźliby się tacy, którzy by uznali, że należy odciąć się od niego.

Adrian przekonywał ją, że nie dba o takich ludzi - pewnych własnej nieomyślności, moralizujących hipokrytów. Ale jeśli zamierzał kiedyś aspirować do wysokiego politycznego stanowiska, jak przewidywała jego matka, Violet nie chciała mu być przeszkodą na drodze kariery.

Tak więc, by zaoszczędzić wszystkim wstydu i hańby, przekonała Adriana, by milczał, by zachował ich tajemnicę.

Przekręciła się i oparła przedramiona na jego piersi.

- Nie zmieniałam zdania. Wiem, że mogą być trudności. Ale myślę, że będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli nic nie powiemy.

- A co z twoją siostrą? Jeśli zechce wyjść za mąż? Co wtedy?

- Wtedy będzie musiała powiedzieć o wszystkim narzeczonemu. I razem zdecydują, co dla nich najlepsze.

Adrian westchnął ciężko.

- Wciąż uważam, że powinniśmy wyznać prawdę, nawet gdyby miała oburzyć wiele osób. Ale skoro tak stanowczo się temu sprzeciwiasz, zgadzam się, by kontynuować tę farsę. Ale wyłącz-

nie w towarzystwie. Tutaj, w domu, masz być sobą, całkowicie sobą. Czy to jasne?

- Tak, Wasza Książęca Mość. Jasne jak słońce.

Trzepnął dłonią w jej nagie pośladki, dając lekkiego, żartobliwego klapsa.

- Nie bądź taka mądra.

Roześmiała się.

- Ależ ja zawsze jestem mądra, nie zauważyłaś?

W pokoju, na stolikach i fotelach leżało z sześć książek w trzech językach. Od swojego powrotu przed kilkoma dniami znów zaczęła czytać, teraz już jawnie, choć ostatnio nie miała na to zbyt wiele czasu.

Wychyliła się przez niego, wzięła okulary z nocnej szafki i założyła je na nos.

- Proszę, jestem sobą. - Dosiadła go, przerzuciwszy nogę przez jego biodra. - I co myślisz?

Jego oczy zmieniły się w dwa gorące, brązowe jeziora; omiotły spojrzeniem jej nagie ciało z góry na dół i z powrotem. Wyzierał z nich zachwyt i nieskrywana żądza.

- Myślę, że te okulary mają w sobie niezwykły urok, którego do tej pory w pełni nie doceniałem. - Przeciągnął dłońmi w górę jej ud i chwycił za biodra, by posadzić ją wygodniej, w pozycji, która wyrwała jęk spomiędzy jej warg. - Nie zdejmujemy ich - wymruczał, przywierając ustami do jej piersi - a tymczasem ja zbadam tę kwestię bardziej dogłębnie.

22

Zima łagodnie zmieniała się w wiosnę. Delikatne zielone pędy wykłuły się z czarnej, wilgotnej gleby, by zakwitnąć, nasycając kolorem i życiem każdy metr ziemi. Zwierzęta zmieniały ciężkie

futra na lżejsze. Ptaki wyśpiewywały radosne trele, by powitać cieplejsze dni.

Winterlea tętniło gwarem od świtu do zmierzchu. Ogrodnicy porządkowali tereny, jednakową opieką otaczając stare drzewa i młode oraz wiosenne byliny. Cieśle, malarze i murarze roili się na murach domu niczym pracowite mrówki, dokonując najróżniejszych drobnych reperacji, by utrzymać rezydencję w doskonałym stanie. We wnętrzu domu pani Litton komenderowała służbą, wysyłając oddziały swojej małej armii do gruntownego sprzątnia przed nadchodzącym świętem.

Już za cztery dni mieli się zacząć zjeżdżać goście na wielkie przyjęcie, które wydawała Violet. Rozesłano zaproszenia do sąsiadów, rodziny i kilku tuzinów przyjaciół - z których większość przyjeżdżała tylko na wystawny bal, mający się odbyć ostatniej nocy. Feta, urządzana z okazji trzydziestych trzecich urodzin Adriana, miała być pierwszym solowym popisem Violet w dziedzinie formalnych imprez towarzyskich.

Mijając drzwi głównej sali balowej, Violet nasłuchiwała cichych rozmów i krzątania pokojówek. Kilka służących na kolanach szorowało i froterowało rozległe parkiety. Reszta odczepiła ciężkie draperie z granatowego aksamitu, by wynieść je na powietrze i wytrzeć z kurzu.

Nie mogła się pozbyć lekkiej tremy, która przeszywała ją dreszczem za każdym razem, gdy myślała o nadchodzącym wydarzeniu. Ale to ambitne przedsięwzięcie było jej pomysłem.

Wyłącznie jej.

Gdy wspomniała o tym Adrianowi, przekonywał ją, by wstrzymała się kilka miesięcy. By zaczęła od niewielkiego przyjęcia pod koniec lata, kiedy panowie będą mogli sobie postrzelać, a panie zabawiać się na powietrzu, malując akwarele czy ćwicząc łucznicstwo.

Ale Jeannette wydałaby już do tej pory co najmniej jeden bal. I choć Violet nikt nie naciskał, by zrobiła to samo, ona chciała udowodnić - Adrianowi i sobie - że potrafi.

On mówił, że nie zależy mu na imprezach, i tak na pewno było. Ale pozycja żony i księżnej Raeburn wiązała się z pewnymi towarzyskimi obowiązkami. Violet musiała im sprostać. Szczególnie teraz, kiedy on wiedział, kim naprawdę jest. Nie chciała dać mu żadnego powodu, by żałował swej decyzji. Chciała też, by był z niej dumny.

No i był jeszcze jeden powód.

Jeśli jej podejrzenia były słuszne, to pod koniec lata mogła wcale nie mieć ochoty na wydawanie przyjęć. Wtedy, być może, będzie się już robiła okragła, nosząc w sobie dziecko Adriana.

Położyła dłoń na brzuchu, zamyślona, rozmarzona. Nie miała kobiecej przypadłości pod koniec zeszłego miesiąca i teraz spóźniała się już prawie trzy tygodnie. W przeszłości wszystko zawsze było punktualnie jak w zegarku. Jeszcze tydzień spóźnienia i nie będzie miała już dwóch menstruacji. Wtedy zyska pewność.

I dopiero wtedy powie Adrianowi.

Oczywiście bardzo chciała poinformować go już teraz. Ale gdyby się okazało, że to fałszywy alarm, nie chciała sprawiać mu zawodu, mówiąc, że jednak się pomyliła. Poza tym uznała, że ta wieść będzie wspaniałym prezentem urodzinowym. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak miała nadzieję, zamierzała podzielić się z nim swoją radosną nowiną ostatniej nocy, na balu.

Hołubiła tę informację w duszy. Jej myśli znów rozplynęły się w marzeniach, jak to miały ostatnio w zwyczaju, a jej twarz rozjaśnił niemądry uśmiech.

Godzinę później, kiedy razem z Francois wprowadzali ostatnie poprawki do menu, rozległo się pukanie do drzwi jej gabinetu.

Uniosła spojrzenie na Marcha, który stanął w otwartych drzwiach.

- Goście, Wasza Księżęca Mość. Pani rodzina przyjechała.

- Kochanie, jak cudownie cię widzieć - powiedziała matka, biorąc ją w ciepłe, pachnące gardeniami objęcia.

March umieścił ich w rodzinnym saloniku na piętrze. Była cała czwórka: rodzice, Darrin, który stał przy oknie ze swoją zwykłą, znudzoną miną, i Jeannette - czy też „Violet” - której pojawienie się było lekkim wstrząsem.

W modnym stroju, choć wciąż bardziej konserwatywnym niż kreacje, jakie wybierała dla siebie prawdziwa Jeannette, siostra Violet wyglądała na wyraźnie nieszczęśliwą. Była milcząca, kąciki jej ust opadały smętnie, oczy wydawały się zgaszone i posępne za prostokątnymi okularami zatkniętymi na nosie.

I to był najbardziej zaskakujący widok. Jeannette wciąż nosiła okulary Violet.

Violet odwzajemniła uścisk matki; przerwała go dopiero po długiej chwili.

- Mnie też miło was widzieć. Spodziewaliśmy się was z Adrianem dopiero za kilka dni.

Hrabina podeszła do szerokiej sofy i usiadła.

- Taki był pierwotnie nasz plan, ale w Londynie przez ostatni tydzień tylko padało. Postanowiliśmy więc przyjechać wcześniej i zrobić ci niespodziankę. Udało nam się?

- Oczywiście. Ale to miła niespodzianka. Pozwólcie, zadzwonię po podwieczorek i każę przygotować wasze pokoje. Na pewno jesteście zmęczeni po podróży. - Podeszła do sznura dzwonka.

- Droga strasznie wyboista - pożalił się ojciec ze swojego fotela, na którym rozłożył się wygodnie. - Muszę koniecznie porozmawiać o tym z twoim mężem. Nie może tak być, żeby powozy się ludziom rozlatywały w drodze do was i z powrotem.

- Jak powiedziała mama, to była dżdżysta wiosna. - Violet wiedziała, że Adrian utrzymywał drogę w doskonałym stanie. Zaledwie parę dni temu wysłał ludzi, by załatali dziury w podjeździe ziemią, piaskiem i kamieniami. Nie warto było przypominać, iż Adrian nie ma kontroli nad głównymi gościńcami, tym bardziej że ojciec tylko nadałaby się i zrobił jeszcze bardziej drażliwy. Zawsze taki był, kiedy zgłodniał. - A jak tam Londyn? - zapytała,

siadając na krześle na wprost sofy. - Nie mogłam się już doczekać wieści, co tam słyshać nowego.

Jeannette w milczeniu zajęła miejsce obok matki. Darrin pozostał przy oknie, z nachmurzoną miną wyglądając na dwór.

- Sezon jakoś nie mógł się w tym roku rozkręcić, choć nie potrafię powiedzieć, dlaczego - zaczęła matka. - Córka Hilary Asquith zadebiutowała. Dziewczyna z twarzą jak serwatka, nie sądzę, by miała jakieś propozycje. I córka DeBerettów. Ładna cera, znośne oczy, ale ten głos. Boże, kiedy się śmieje, aż ciarki człowieka przechodzą. Jeśli matka będzie mądra, poradzi jej, by nie otwierała ust, dopóki nie znajdzie sobie przyzwoitej partii.

- A Włochy? Nie powiedziałaś ani słowa o swoich wspaniałych przygodach, „Violet”.

„Violet” uniosła głowę i dziwna iskra błysnęła w jej oczach.

- We Włoszech było bardzo przyjemnie. Babka Agatha przesyła pozdrowienia.

I tyle.

Co się stało we Włoszech? - zastanawiała się Violet. Pierwsze listy Jeannette z kontynentu były entuzjastyczne. A potem Toddy Markham dowiedział się prawdy, wyjechał do Europy. Od tamtej pory w ogóle nie było listów. Czy między nimi coś poszło źle? Czy to był powód niezbyt radosnego, oględnie mówiąc, nastroju Jeannette?

Hrabina poklepała Jeannette po ręce.

- Mam wielkie nadzieje co do „Violet” w tym roku. Kilku dżentelmenów zdawało się pod niemałym wrażeniem. I nareszcie postanowiła okazać trochę zainteresowania garderobą. Czyż ten kolor nie jest twarzowy? - Matka wskazała ruchem głowy brzoskwiniowobiały indyjski muślin, w który odziana była prawdziwa Jeannette.

- Wspaniały! - Violet zmusiła się do okazania zainteresowania. - U której modystki zamówiłyście tę suknię?

- Boże uchroni mnie od tej babskiej paplaniny! - wykrzyknął ojciec nachmurzony. - Gdzie się podziewa ten twój mąż?

- Adrian wyjechał rano ze swoim agentem ziemskim, papo. Na inspekcję jakichś nieruchomości dzierżawców, o ile mi wiadomo. Mówił, że postara się wrócić na podwieczorek, który, zdaje się, właśnie przyniesiono.

Do saloniku weszły pokojówki, niosąc dwie ciężkie srebrne tace, wyładowane przekąskami.

- Najwyższy czas - burknął hrabia, ożywiając się na widok jedzenia.

Darrin podszedł, by wziąć sobie talerz.

Jeannette przyjęła filiżankę herbaty i jeden półprzejrzysty plaster westfalskiej szynki na maleńkim krakersie. Nic więcej.

- Nie jestem głodna - mruknęła w odpowiedzi na pytające spojrzenie Violet.

Violet popijała tylko herbatę, gdyż jej żołądek burzył się na zapachy faszerowanych jajek i zimnego placka z wołowiną, które wszyscy uznali za przepyszne.

Uznała, że to kolejny dowód jej odmiennego stanu.

W końcu zjawił się Adrian.

Przywitali się szerokimi uśmiechami. Zauważyła, że zmienił ubranie. Kiedy pochylił się, by złożyć szybki pocałunek na jej ustach, poczuła przyjemny aromat mydła do golenia, którym pachniała jego skóra.

Odwrócił się, by powitać jej rodzinę.

Najpierw podszedł do matki, którą uściskał serdecznie, po synowsku, i przywitał miłym słowem. Z kolei podał dłoń ojcu i bratu. Obaj zdołali się jakoś oderwać od talerzy, by zadośćuczynić dobrym manierom.

Nareszcie zwrócił się do Jeannette.

Zawahał się przez chwilę, zesztyniał. Violet nie sądziła, by ktoś prócz niej zauważył jego ociąganie i niechęć.

Jeannette wyciągnęła rękę.

Schylił się nad nią pospiesznie, zdawkowo.

- Lady „Violet”.

Jeśli nawet Jeannette usłyszała zjadliwość, z jaką wypowiedział jej „imię”, to nie dała niczego po sobie poznać. Posłała mu śliczny, słodki uśmiech.

- Wasza Książęca Mość. A może powinnam mówić Waszej Książęcej Mości po imieniu? Wszak jesteśmy teraz rodziną.

- Jak pani sobie życzy, milady.

Spełniwszy obowiązek, przyjął filiżankę herbaty, którą przygotowała mu Violet, i usiadł na sofie naprzeciw tej, którą zajmowały hrabina i Jeannette.

Adrian odgrywał rolę gościnnego gospodarza, zabawiając wszystkich rozmową. Violet zauważyła jednak, że mówiąc i śmiejąc się, ledwie zerka na Jeannette.

Nim pani Litton zjawiła się, by odprowadzić gości do pokojów, na czole Jeannette zarysowała się głęboka zmarszczka. Mogła sobie udawać swoją siostrę, ale nie znosiła być ignorowana.

Na szczęście trzymała język za zębami.

Gdy rodzina ruszyła za ochmistrzynią na korytarz, Jeannette podeszła do Violet.

- Przyjdź wieczorem do mojego pokoju - szepnęła. - Musimy porozmawiać.

Violet na moment odnalazła wzrokiem oczy siostry i szybko skinęła głową. Jeannette poszła za resztą.

Po chwili Violet poczuła na ramieniu znajomą dłoń.

- Czego ona chciała? - zapytał Adrian.

- Rozmawiać ze mną na osobności.

- Zapewne irytuje się, że musi odgrywać swoją rolę. Może powinniśmy po prostu wyznać wszystko twojej rodzinie i zakończyć tę farsę.

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Nie. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Coś się stało we Włoszech. Jest nieszczęśliwa, nigdy jej takiej nie widziałam.

- Hm, i właśnie to mnie niepokoi. Twoja siostra jest dość zepsuta i samolubna, by chcieć odegrać się za swoje nieszczęście na

tobie. Nie pozwolę, żeby zepsuła ci radość z imprezy, nad którą tyle się napracowałeś.

- Nie zrobi tego. Nie uda się jej. - Położyła dłonie na jego piersi. — Kocham cię. Ty kochasz mnie. I żadne jej słowa nie zdołają zniszczyć naszego szczęścia.

- Nie byłbym tego taki pewny, ale dobrze. - Westchnął. - W końcu to twoja siostra i będę musiał pogodzić się z faktem, że czasem będę ją widywał.

- Owszem, będziesz musiał. I postaraj się nie ignorować jej całkowicie. To tylko podsycza złość.

- I dobrze. Zasłużyła sobie na trochę złości od czasu do czasu. - Pochylił się, przycisnął usta do jej warg w powolnym, słodkim pocałunku. - Mimo to chyba powinienem być jej wdzięczny.

- Jak to?

- Gdyby cię nie namówiła do tej zamiany, mógłbym teraz być jej mężem. - Zadrżał teatralnie.

Violet roześmiała się i zarzuciła mu ręce na szyję, by skraść kolejnego, długiego całusa.

Było późno, dom ogarnęła już nocna cisza, gdy Violet zapukała delikatnie do sypialni swojej siostry.

Jeannette wyjrzała zza drzwi.

- Gdzieś ty była? Myślałam, że postanowiłaś nie przychodzić. - Otworzyła drzwi szerzej, by wpuścić Violet

- Coś mnie zatrzymało - odparła Violet, przekraczając próg. - Pani Litton chciała omówić kwestię jutrzejszego śniadania. A potem musiałam się przebrać z wieczorowej sukni.

Zmierzyły się wzrokiem. Obie miały na sobie koszule nocne i peniuary, wyszczotkować włosy, związane wstążkami. Były identyczne, z wyjątkiem koloru nocnych strojów: Violet był granatowy, a Jeannette kremowobiały

Violet przypomniało się dzieciństwo, kiedy sypiały razem w pokoju dziecięcym na drugim piętrze i prowadziły szeptane rozmowy jeszcze długo po tym, jak położono je do łóżek. Nia-

nia często przychodziła, by je uciszyć i skarcić za nieposłuszeństwo.

Ale teraz były dorosłymi kobietami i mogły robić, co im się podobało. Dni dziecięcej zażyłości dawno przeminęły.

Jeannette wskazała fotel.

- Siadaj, siadaj. Mam coś dla ciebie.

Violet przycupnęła na brzegu fotela.

- Nie musiałaś mi przywozić prezentów.

Jeannette pogrzebała wśród swoich rzeczy w sakwojażu.

- Nie bądź niemądra, oczywiście, że musiałam. Chciałam.

Proszę. - Podała jej małe pudełeczko przewiązane wstążką w kolorze żonkili.

Violet zawahała się, ale w końcu je wzięła. Otworzyła wieczko, pod którym ukazała się misternie rzeźbiona broszka na aksamitnej poduszeczce.

- Kamea. Jaka piękna.

- Podoba ci się?

Violet przeciągnęła palcem po obrazku przedstawiającym małe ptaszki i kwiaty, wycięte w owalu z karneolu.

- Jest przepiękna. Jakże mogłaby mi się nie podobać?

- Wiedziałam. - Jeannette się rozpromieniła. - Znalazłam ją w małym sklepiku w Toskanii i natychmiast pomyślałam o tobie. Prawie się nie targowałam o cenę. Po prostu musiałam ją kupić.

- Dziękuję. Jest śliczna. Naprawdę. - Violet wstała i uściskała siostrę. - Bardzo mi się podoba.

- Zobaczmy, jak wygląda. — Jeannette przypięła broszkę do peniuaru Violet. - Doskonale.

Zapadło milczenie.

- Więc to podarek jest powodem twojego zaproszenia? - zapytała Violet po chwili.

- Naturalnie. I oczywiście plotki - dodała Jeannette.

- Plotki?

- Tak, nie widziałyśmy się prawie rok. Pomyślałam, że pogadamy. Czy siostra nie może chcieć pogawędzić z siostrą?

To stwierdzenie kompletnie zaskoczyło Violet, jako że już wiele lat temu porzuciły zwyczaj nocnego dzielenia się zwierzeniami.

- No dobrze. O czym będziemy rozmawiać? Może o Włoszech? Ledwie wspomniałaś o swojej podróży.

Jeannette westchnęła.

- Nie wspomniałam, bo nie ma o czym wspominać. Z wyjątkiem w miarę przyzwoitych zakupów, tam nie ma dosłownie nic do roboty. Podróżowałyśmy z babką Agatha po całym kraju, oglądając ruinę za ruiną, zamek za zamkiem. Jadłyśmy dziwne potrawy o dziwnych nazwach, jak linguini czy cannelloni. Połowę czasu spędzałyśmy, siedząc i machając wachlarzami w upale, i strzepując ze spódnic pyłek z tych wszystkich okropnych drzew oliwnych.

- Z twoich listów wynikało, że bawisz się dobrze. Myślałam, że chodziłaś na wiele przyjęć i balów.

- Owszem, i z początku rzeczywiście bawiłam się świetnie. Ale urok nowości wkrótce zbladł.

- Żadnych fascynujących zalotników? Co z tym księciem, o którym wspominałaś?

Jeannette lekceważąco machnęła ręką.

- Miałam mnóstwo zalotników, nawet udając ciebie. Czołgali się u moich stóp jak stado miauczących kocurów.

- Ale ty nie byłaś zainteresowana?

- Nie mam najmniejszej ochoty utknąć na stałe w tym dusznym kraju.

- Więc tęskniłaś za Anglią?

- Oczywiście, że tęskniłam za Anglią.

- I nie wydarzyło się nic więcej?

- Co masz na myśli? - zapytała Jeannette, mrużąc oczy.

- Toddy'ego Markhama. Wiem, że pojechał do Włoch, by cię odszukać. Udało mu się?

Siostra odwróciła się gwałtownie ku Violet.

- Proszę, nigdy więcej nie wypowiadaj imienia tego łajdaka w mojej obecności. Podły wieprz. Ta kanalia nie zasługuje nawet na to, by lizać podeszwy moich butów. On... on... - Urwała, niezdolna mówić dalej. Łza popłynęła po jej policzku.

Violet pospiesznie otoczyła siostrę ramieniem.

- Óóó, musisz mi powiedzieć, czym cię tak zranił. Czy dlatego jesteś taka nieszczęśliwa? Nie mogłam nie zauważyć.

Usiadły razem na łóżku.

- Myślałam, że mnie kocha - szlochała Jeannette. - Mówił, że nie może beze mnie żyć. A potem poznał ją. - Otarła oczy ręką peniuaru. - Contessę de Venetizzo. Spasiona włoska krowa. Przyszła na bal maskowy na którym bawiliśmy się z Markhamem, i uwiodła go.

- Nie rozumiem. Dlaczego miałyby tak nagle zmienić zdanie, odmienić swoje uczucia?

- Nie wiem -jęknęła Jeannette. - Bo jest bydlęciem. Łasą na pieniądze bestią o zgniłym sercu. Teraz już nie pamiętam wszystkich szczegółów, ale chyba wspomniałam mu, że jako ty nie dostanę prawie żadnego posagu. A i gdybym była sobą, nie byłoby wiele lepiej. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że kieszenie papy są aż tak wydrenowane. Wyobrażał sobie, że jeśli się pobierzemy, dostanie mu się spory majątek. Powiedziałam mu, że niczego takiego nie będzie. Gdy to usłyszał, cóż, zaczął się rozglądać i jego oczy spoczęły na tamtej.

- Jeannette, tak mi przykro. - Wzięła siostrę za rękę, by ją pocieszyć.

Jeannette strząsnęła jej dłoń i zerwała się na nogi.

- Ona jest bogatą wdową. Młoda i, jak twierdzą niektórzy, piękną, choć ja sama jakoś nie dostrzegłam, żeby była szczególnie urodziwa z tą szopą czarnych włosów i piersiami jak przejrzałe melony. Zapewne niektórzy mężczyźni lubią takie rzeczy. - Zaczęła chodzić po pokoju, doprowadzając się do białej gorączki. - No więc, niech ją sobie bierze, i mam nadzieję, że się nawzajem unieszczęśliwią. Sądzę, że ona się nim znudzi i wykopie go na

ulicę, by żebrał z nędzarcami. I pomyśleć, że mu się oddałam - wykrztusiła, od nowa zanosząc się płaczem. - Och, jak mogłam być taka głupia?

Violet podeszła znów, by ją pocieszyć.

- Cśś, wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Z czasem o nim zapomnisz i znajdziesz kogoś lepszego. Kogoś, kogo pokochasz, i kto naprawdę pokocha ciebie.

- Nie, już nie będzie nikogo lepszego. Nic już nigdy nie będzie dobrze. - Jeannette pociągnęła nosem i wydmuchała go w chusteczkę. Łzy powoli wysychały. - I dlatego podjęłam decyzję.

- Jaką decyzję? - zapytała ostrożnie Violet, nagle nieufna.

- Moje postęпки... porzucenie narzeczonego przed ołtarzem, zmuszenie ciebie, byś zajęła moje miejsce, byś żyła moim życiem... To wszystko było złe. Samolubny, niedojrzały wybryk głupiej, zdesperowanej kobiety. Więc postanowiłam wszystko naprawić. - Jeannette wyprostowała się, spojrzała siostrze w twarz. - Wiem, jak *straszne* musiały być dla ciebie te *ostatnie* miesiące. Jak musiałaś cierpieć. Zarządzanie domem, kontakty towarzyskie, obowiązki żony jednego z najbardziej wpływowych ludzi w Anglii. Wiem, jakim ciężarem to udawanie było dla mnie. Mogę sobie tylko wyobrażać tę koszmarną mękę, jaką ty musiałaś znosić.

- Nie było tak złe. - Nerwowy, ostrzegawczy dreszcz przemknął Violet po plecach.

- Och, nie musisz udawać. Nie ze mną. Chcę ci powiedzieć, że wspaniale się spisałaś, pełniąc rolę księżnej Raeburn. Poradziłaś sobie tak doskonale, że zaskoczyłaś nawet mnie. Ale jestem gotowa zdjąć *ten ciężar* z twoich barków *Jestem* gotowa spełnić swój obowiązek i przyjąć tę odpowiedzialność, która od początku powinna była spaść na mnie.

Violet zmarszczyła brwi z niedowierzaniem.

- Chyba nie całkiem cię rozumiem.

- Jestem tu, by cię ratować, nie pojmujesz? Zamierzam znów być sobą, zamienić się z powrotem. Ty będziesz lady Vio-

let Brantford, a ja będę Jej Księżącą Mością Jeannette Brantford Winter, księżną Raeburn.

Violet zerwała się na równe nogi.

- Niedoczekanie.

- Ależ oczywiście, że tak. Jestem zmęczona udawaniem ciebie. Chcę być znowu sobą.

- Możesz sobie być zmęczona, ale mnie to mało obchodzi.

Po pierwsze, nie jesteś żoną Adriana. Ja nią jestem. A po drugie, on wie.

Teraz z kolei Jeannette zmarszczyła brwi.

- Co wie?

- O nas. O tobie i o mnie, i o tym, co zrobiliśmy. Wie, że zamieniliśmy się rolami i która jest która.

- No proszę, nic dziwnego, że tak na mnie patrzył przez cały wieczór. Oczywiście, kiedy w ogóle postanowił spojrzeć. Nie myśl, że nie zauważyłam, jak mnie unika. Zaczynałam się już zastanawiać, co takiego zrobiłaś, że jest na ciebie obrażony.

- Ja nie zrobiłam niczego - odcięła się Violet, starając się opanować wzbierający gniew. — To my obie razem go obraziłyśmy. Był bardzo zagniewany, kiedy dowiedział się prawdy. - Zadrzała na wspomnienie, jak bliska była jego utraty. - Prawdę mówiąc, był wściekły i miał ku temu pełne prawo. Niemal anulował nasze małżeństwo, czy raczej to, co uważaliśmy za małżeństwo. Okazało się, że nie byliśmy legalnie zaślubieni.

- Co takiego?

- Posłużyłam się fałszywym nazwiskiem, pamiętasz? Twoim nazwiskiem. A to sprawiło, że w świetle prawa małżeństwo było nieważne. Musieliśmy od nowa wypowiedzieć przysięgę, by je zalegalizować, ale teraz to nieistotne. Musisz zrozumieć, że Adrian wie, kim jestem. Wie, że jestem Violet.

Jeannette otworzyła szeroko oczy.

- I jest skłonny kontynuować tę grę?

- Przekonałam go, by nie ujawniał prawdy. Och, Jeannette, pomyśl tylko o skandalu. To by było nie w porządku, ściągać

wstyd na nasze rodziny, ranić naszych przyjaciół tylko dlatego, że my popełniłyśmy tak haniebną oszustwo.

Jeannette podjęła niespokojną wędrówkę po pokoju. Głęboki marszpecił jej czoło.

- Co oznacza, jak sądzę, że mam dalej wieść życie jako ty.

- A ja jako ty. Podtrzymanie tej maskarady może nie jest najlepszym wyjściem, ale jedynym uczciwym.

- Uczciwym? Ja w tym nie widzę nic uczciwego. - Dolna warga Jeannette zadrżała. - Ty zawsze miałaś socjetę za nic, ale ja nie. To ja miałam być księżną. To ja powinnam być panią tego pięknego domu. I gdybyśmy się nie zamieniły w dniu ślubu, byłabym nią. Moim zdaniem to ty jesteś nieuczciwa. Nie masz prawa być żoną mojego męża.

Violet zachłysnęła się z oburzenia.

- Twojego męża? Jestem żoną mojego męża, człowieka, którego ty nie chciałaś. Człowieka, którego odrzuciłaś bez skrpułłów i omal nie upokorzyłaś w okrutny sposób w obliczu całej socjety. Zdradziłaś go i porzuciłaś dla innego. W dniu, w którym się zamieniłyśmy, zrzekłaś się wszelkich praw do Adriana. - Musiała głęboko zaczerpnąć powietrza, nim mogła mówić dalej. - Poza tym tak naprawdę wcale go nie chcesz. Pragniesz tylko jego bogactwa, tytułu i wpływów. No więc, nie możesz mieć ani tych rzeczy, ani jego. Ja jestem jego żoną, kobietą, którą poślubił. Kobieta, którą kocha.

Zawziętość błysnęła w oczach Jeannette.

- Jesteś tego taka pewna? O ile wiem, Raeburn był całkiem zadowolony przez wiele miesięcy, wierząc, że ma za żonę mnie. Nawet teraz z ledwością nas rozróżnia. Założę się, że gdybym przestała nosić te twoje głupie okulary, nie umiałby nas rozpoznać.

Ta insynuacja trafiła Violet jak policzek. Dawna niepewność, dawne wątpliwości na temat swojej osoby opadły ją na nowo z całą intensywnością. Siłą odsunęła rodzące się obawy. To nieprawda, powiedziała sobie. To absolutna nieprawda.

- Rozróżnia nas z łatwością - oznajmiła, pocierając błyszczący pierścionek z ametystem niczym talizman. - Adrian wie, kim jestem. Kocha mnie.

Jej siostra wzruszyła ramionami.

- Więc nie powinnaś mieć nic przeciwko ponownej zamianie, by to sprawdzić.

Violet pokręciła głową.

- Nie ma mowy.

- Dlaczego? Boisz się, że mam rację? - rzuciła drwiąco Jeannette.

- Nie. Ja wiem, że nie masz racji, ale poddawanie go jakiejś sekretnej próbie jest wielkim absurdem - odparła pewnie, choć wcale się tak nie czuła. - On jest moim mężem i nic tego nigdy nie zmieni.

- Może i nie - wycedziła Jeannette. - Mimo to, gdybym ja była jego żoną, chciałabym to wiedzieć. Dla mnie osobiście byłoby straszne przez całe życie zastanawiać się, czy mój mąż rzeczywiście potrafi mnie rozpoznać. Już same wątpliwości i niepewność doprowadziłyby mnie do obłądu.

Violet uniosła rękę.

- Ja nie potrzebuję takich sprawdzianów. Adrian cieszy się moim absolutnym zaufaniem, i jeśli o mnie chodzi, ta rozmowa jest skończona.

- Jak sobie życzysz. Ale pamiętaj, że zawsze możesz zmienić zdanie.

- Nie zmienię.

Roztrzęsiona, niemal chora z nerwów, Violet uciekła z pokoju. Nieco dalej w korytarzu zobaczyła krzesło i siedziała długo, starając się opanować emocje. Dopiero kiedy jej oddech się wyrównał, kiedy minęły dreszcze, poszła do łóżka.

Adrian spał. Zdjęła peniuar z kameą, której już nie chciała, wciąż przypiętą w kłapie. Wsunęła się pod kołdrę obok męża, modląc się, by go nie zbudzić.

Po chwili otoczył ramieniem jej talię, przyciągnął ją bliżej, tak by leżeli wtuleni w siebie jak dwie łyżeczki. Złożył zaspany pocałunek na jej karku.

- Przepraszam, że zasnąłem. Długo cię nie było?

- Nie wiem. dość długo. - Violet otoczyła ręką jego przedramię, wtulając się w jego ciepło. - Śpij. Porozmawiamy rano. - Zamknęła oczy, siłą woli przywołując sen. Wiedziała jednak, że to na nic.

- Czego chciała Jeannette?

Otworzyła oczy. Opanowała się z trudem, by nie zeszywnieć najego pytanie.

- Dała... dała mi prezent.

- Jaki prezent?

- Kameę. Z karneolu. Naprawdę śliczną. A potem opowiedziała mi o pobycie we Włoszech. Wychodzi na to, że Toddy Markham uwiódł ją, a potem uciekł z inną kobietą. Jakaś bogatą włoską wdową, contessa.

- Łajdak - warknął Adrian. - Nie wiem, jak mogłem uważać go za przyjaciela. Jeśli jeszcze kiedykolwiek postawi stopę w Anglii, dopilnuję, by jego draństwa wyszły na jaw. Ktoś taki jak on nie powinien być tolerowany w przyzwoitym towarzystwie.

- Na szczęście nikt nie wie, że miała z nim romans. I proszę, nie wspominaj jej, że ci o tym powiedziałam.

- Nie martw się, nie pisnę ani słówka.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Jeszcze coś? — zapytał.

Przez chwilę zastanawiała się nad jego pytaniem. Czy powinna mu powiedzieć? Zrelacjonować kłótnię z Jeannette? Opowiedzieć o jej irracjonalnym, bezczelnym żądaniu powtórnej zamiany, by mogła zostać księżną? Nie, toby go tylko zagniewało. Mógłby powiedzieć jej wprost, co o niej myśli. Mógłby rozpocząć okropną awanturę, z której nie wynikłoby nic prócz wstydu dla rodziny. Wizyta stałaby się absolutnie nieznośna. Lepiej było

przemilczeć całą tę sprawę, nawet jeśli przemilczenie owo wydawało się niemal równoznaczne z kłamstwem.

- Nie - skłamała cicho - nic poza tym. - Czekała, bojąc się, że będzie ją naciskał dalej.

- No cóż — powiedział, układając się wygodniej za jej plecami. - Choć bardzo mi przykro, że ma kłopoty jest w tym dużo jej winy. Może to wszystko okaże się dla niej dobrą nauką.

- Tak, być może.

Ziewnął.

- Późno już. Powinniśmy wypocząć.

- Tak, racja. - Przekręciła się na plecy i przechyliła głowę, by go pocałować. - Kocham cię.

- Hm - mruknął niemal już przez sen. - Ja ciebie też. - Przytulił policzek do jej włosów i zamknął oczy. Po niecałej minucie jego oddech pogłębił się i wyrównał, gdy ogarnął go sen.

Violet leżała w ciemności, w jego mocnych ramionach. Choć bardzo się starała, nie mogła przestać myśleć o kłótni z Jeannette. Czy jej siostra miała rację? Czy Adrian naprawdę nie potrafiłby ich rozróżnić, gdyby poddać go próbie?

W jej myśli podstępnie wkradł się obraz Jeannette, leżącej tutaj, na jej miejscu. Wygnała go równie szybko, jak się pojawił. Nie, zapewniała samą siebie, Adrian kocha ją i tylko ją. Czyż nie dowiódł już tego swoimi czynami, słowami?

Mimo to podstępna myśl trzymała się jej uparcie, budząc niepokój, który wkręcił się pod jej skórę jak jakiś wstrętny, podstępny insekt.

A jeśli Jeannette miała rację?

Minęła prawie godzina, nim wreszcie przyszedł sen, przynosząc niespokojne majaki, które gnębiły ją całą noc.

Zachęcona wyjątkowo przyjazną aurą, Violet postanowiła przenieść popołudniowy lunch na dwór, na wschodni trawnik. Przykryte obrusami stoły ustawiono tak, by zapewnić miły widok na glorię i gładkie jak szkło, błękitne jezioro za nią. Otaczające trawnik drzewa rzucały cień pod rozłożystymi gałęziami, porośniętymi delikatnym, młodym listowiem.

Wszyscy goście już się zjechali. Prócz kilkorga członków rodziny - matki Adriana i dwóch jego siostr z mężami i dziećmi - z Londynu przybyło wielu znajomych, by wziąć udział w radosnej uroczystości. Wśród nich był również przyjaciel Adriana, Peter Armitage.

Violet jeszcze raz podziękowała mu serdecznie za użyczenie im domu na pierwszą noc ich miesiąca miodowego. Armitage, z błyskiem w zielonych oczach, rozśmieszył ją i zmusił do rumieńca swoimi pikantnymi uwagami. W końcu jednak towarzyskie obowiązki odciągnęły ją do pozostałych gości.

Zastanawiała się nad zaproszeniem Elizy Hammond wraz z jej ciotką i kuzynem, obawiała się jednak, że mogłoby to wywołać zbyt wiele pytań i komentarzy. Wszyscy wszak wiedzieli, że Jeannette i Eliza są zaledwie znajomymi. Zaproszenie jej i goszczenie w domu jako bliskiej przyjaciółki spowodowałoby, że niejedna brew uniosłaby się ze zdumienia.

No i oczywiście problem z Jeannette. Oczekiwanie od niej, że jako Violet będzie udawać przyjaźń wobec Elizy, było nie-realne. Violet ciężko pracowała nad odbudowaniem zażyłości i nie zamierzała pozwolić, by siostra znów namieszała w ich znajomości.

Ożywczy wietrzyk igrał w powietrzu, gdy Violet dała znak wszystkim, by usiedli do stołów. Gdy i ona ruszyła za gośćmi, jej siostra wyszła z domu i podeszła ku nim przez trawnik.

Spóźnienie Jeannette w najmniejszym stopniu nie zdziwiło Violet. Zdumiał ją za to jej wygląd.

Fryzura siostry była identyczna jak Violet - włosy zaczesane do góry w elegancki złoty zawijas, z kilkoma luźnymi lokami na policzkach. Co gorsza, ich suknie też wyglądały tak samo, czy też prawie tak samo. Krój i styl, nawet kolor pastelowej, zielonej jak wiosna sukni Violet był prawie identyczny z kreacją Jeannette. Ale najgorszy ze wszystkiego był brak okularów. Bez nich błękitne jak ocean, błyszczące oczy Jeannette wyglądały jak lustrzane odbicie jej własnych. Jedyną różnicę stanowił psotny błysk w spojrzeniu siostry.

Nie ubierały się tak samo od dziesiątego roku życia, gdy ich matka wystroiła je na przyjęcie jak dwie identyczne laleczki z porcelany.

Jak Jeannette tego dokonała? - zastanawiała się Violet. Może przekupiła którąś z pokojówek? Albo wyglądała przez okno, a potem pospiesznie skompletowała identyczny strój?

Surowa zmarszczka przecięła czoło Violet.

- Co ty wyprawiasz?

- O co ci chodzi? - Jeannette uśmiechnęła się niczym wcielenie niewinności.

- Dobrze wiesz, o co.

- Och, o toaletę? Pomyślałam, że będzie zabawnie. - Jeannette spojrzała w bok. - Nie patrz teraz, ale nadchodzi Raeburn z przyjaciółmi.

Violet obróciła się powoli; przerażenie, niczym lodowate palce, ścisnęło jej serce. Stanęła ramię w ramię z siostrą.

Adrian szedł w ich stronę z szerokim uśmiechem na twarzy. Uśmiech zniknął jednak, gdy księżę podszedł bliżej. Zatrzymał się. Zawahał. Niepewność wyraźnie odmalowała się w jego oczach.

Violet uśmiechnęła się do niego ciepło i zapraszająco.

Jeannette zrobiła to samo.

Omiótł wzrokiem ją, potem Jeannette, i znów ją.

Violet zaklinała go w duchu, by ją poznał i wybrał. Ale jego niepewność nie znikwała. Obie patrzyły na niego, zdając sobie sprawę, że on zaraz podejmie decyzję. Co będzie, jeśli podejmie niewłaściwą? Jeśli wybierze Jeannette?

Nagle wyciągnął rękę, postąpił krok naprzód.

- Jesteś głodna, skarbie? Jedzenie pachnie wspaniale nawet tutaj.

Z wyraźną ulgą ujął jej rękę i przełożył ją sobie pod łokciem.

- Rzeczywiście. Umieram z głodu.

Powoli ruszyli ku stołom.

Armitage podszedł, by odprowadzić Jeannette.

- Co ona knuje? - mruknął Adrian, gdy tylko znaleźli się z dala od Jeannette.

- To tylko psikus - zapewniła go. - Nic wielkiego.

Ale szkoda już się stała. Kolejna porcja wątpliwości została zasiana w jej umyśle jak dobrze podlane nasionko. Dokładnie tak, jak chciała Jeannette.

Trzy dni później, rankiem w dniu balu, Violet zapukała cicho do sypialni swojej siostry.

Drzwi uchyliły się odrobinę. Jeannette wyjrzała na korytarz.

- Jesteś sama?

Jeannette skinęła głową.

Violet wepchnęła się do środka.

- Zgoda - powiedziała pospiesznie. - Zrobię to.

Jej siostra zamknęła drzwi i weszła głębiej do pokoju, unosząc wysoko złocistą brew.

- Co zrobisz?

Violet splotła kurczowo dłonie.

- Zamienię się z tobą. Ale tylko na ten wieczór. Kiedy po balu wrócimy na górę, wszystko będzie jak przedtem. Ja znów będę księżną Raeburn, a ty lady Violet. Czy to jasne?

- Och, całkowicie. - Jeannette uśmiechnęła się przebiegle. - Co cię skłoniło do zmiany zdania?

- Wiem, że Adrian potrafi nas odróżnić. Po prostu... chcę, by ta sprawa została ostatecznie zakończona, tylko tyle.

- A jeśli nie zda testu?

- Zda - powiedziała Violet z naciskiem.

Oby jej słowa się sprawdziły!

Sala balowa błyszczała, rozświetlona setką woskowych świec. Żwawe dźwięki muzyki rozlegały się w powietrzu, pary wirowały do taktu melodii granej przez orkiestrę.

Violet stała pod ścianą, widząc wszystko wyraźnie przez okulary, które znów znalazły się na jej nosie. Jak dziwnie było nosić je publicznie. Jak dziwnie było być sobą. A jednak nie sobą.

Ten wieczór był jak sen. A raczej jak koszmar. Od chwili, gdy zeszła na dół w lawendowej sukni, którą zamierzała dziś wieczór włożyć Jeannette, nic nie szło tak, jak powinno.

Większość rodziny stała zgromadzona we frontowym holu, ciesząc się ostatnimi chwilami rozmowy, nim przyjdzie czas ustawić się w szeregu i witać przybywających gości. Violet czekała w milczeniu, niemal niewidzialna, jak dawniej. Nikt nie zauważył, że zamieniły się z Jeannette. Nawet pani Litton podeszła do jej siostry, by omówić ostatnie szczegóły dotyczące przyjęcia, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że rozmawia z niewłaściwą osobą.

Potem pojawił się Adrian, skupiając na sobie wszystkie spojrzenia, gdy schodził po schodach. Dumny i piękny, poruszał się niczym mroczny książę z bajki, olśniewający w swej czerni. Jego bielizna - fular, koszula, pończochy i rękawiczki - była śnieżnobiała; jedyny kolorowy akcent stanowiła szmaragdowa spinka, mrugająca niczym kocie oko z perfekcyjnie zawiązanego fularu. Był to jeden z jej prezentów urodzinowych dla niego.

Położyła dłoń na drugim prezencie, ukrytym bezpiecznie w jej łonie. Teraz była już pewna. Tej zimy wyda na świat dziecko Adriana. Jego dziedzica, jeśli będzie to chłopiec. Ta świadomość sprawiała, że kręciło jej się w głowie ze szczęścia i podniecenia.

Rozkoszując się w duchu wspaniałym sekretem, zapomniała na chwilę, co zrobiła. Że zamieniła się rolami ze swoją bliźniaczką. Znów!

Adrian szedł dalej.

Czekała, by podszedł do niej, by ją pocałował, ją, swoją żonę.

Ale on ją minął. Ujął dłoń Jeannette, musnął pocałunkiem kostki jej palców i gładki policzek. Jeannette uśmiechnęła się i powiedziała cicho coś, co sprawiło, że się roześmiał.

Żółć podeszła Violet do gardła, pałaca i gorzka. Nie rozpoznał jej. Po tym wszystkim, co wspólnie przeżywali, co razem przeszli -jak mógł jej nie poznać? Jak mógł nic dostrzec prawdy, patrzącej mu prosto w twarz z tak bliska?

Potem zrobiło się jeszcze gorzej.

Goście przybyli, bal się rozpoczął, wszystko szło jak w dobrze nakręconym zegarku. Komplementów, które należały się jej, wysłuchiwała Jeannette. Jej siostra promieniała dumą, jakby sama urządziła to wszystko.

Violet zносиła to z goryczą, prześladowana świadomością, że sama ściągnęła to na siebie. Nigdy nie powinna była pozwolić, by Jeannette namówiła ją na tę zamianę. Nie powinna dopuścić, by siostra podsyciła jej wątpliwości i lęki i nakłoniła ją do tego głupiego kroku. Ale musiała zaspokoić swoją ciekawość.

I zaspokoiła.

Adrian zawiódł.

Jej mąż i siostra objęci wirowali w tańcu. Jeannette wyglądała elegancko i uroczo w złotej sukni, którą miała dziś włożyć Violet. A Adrian, najdroższy Adrian, mężczyzna, którego kochała nad życie, nie miał o niczym pojęcia. Znów dał się wystrychnąć na dudka.

Niezdolna patrzeć na to dłużej, odwróciła się i wybiegła z sali balowej.

Coś tu jest nie tak, myślał Adrian.

Przez cały wieczór dręczyło go dziwne uczucie. Niepokój, który sprawiał, że skóra na karku zaczynała go mrowić w najdziwniejszych momentach.

Z pozoru bal udał się doskonale; wszystko było jak należy. Wspaniała zabawa z tłumem radosnych gości, spędzających miło czas przy jedzeniu, piciu, w tańcu, na miłej konwersacji. Z początku miał wątpliwości, czy powinni wydawać w domu przyjęcie i bal, ale Violet dopięła swego i spisała się naprawdę wspaniale. Lady Jersey czy jakakolwiek inna wytworna dama z towarzystwa nie poradziłaby sobie lepiej.

Wiedział, że Violet uparła się przy tej imprezie, by udowodnić, że potrafi stanąć na wysokości zadania jako księżna - choć jeśli o niego chodziło, nie musiała tego robić. Kochał ją i podziwiał taką, jaka była. Był jednak zadowolony, że dzisiejszy wieczór okazał się takim sukcesem. Wiedział, że to osiągnięcie doda jej pewności siebie, której tak potrzebowała i którą słusznie powinna czuć.

Spojrzał na nią, gdy wirowali w walcu wokół sali. Dziwne mrowienie na karku wróciło z całą mocą. Spojrzał w jej oczy - oczy, które zwykle błyszczały niczym głębokie, ciepłe, ogrzane słońcem morze. Tylko że dziś nie było w nich ciepła. Jej oczy były jedynie ładnym, kolorowym szkliwem, samą powierzchnią, bez zwykłej głębi wyrazu.

Mrowienie nasiliło się, dziwny wewnętrzny niepokój nabrał intensywności.

W głowie błysnęła mu nagle pewna myśl, którą natychmiast odrzucił. Ale owa myśl powróciła, łomocząc w jego czaszkę niczym pięść do drzwi.

- Moja droga - zaczął tonem rozmyślnie wyważonym i spokojnym - czy gratulowałem ci już dzisiejszego wieczoru? To prawdziwy triumf.

- To pani Litton wykonała prawie całą pracę, ale cieszę się, że jesteś zadowolony. Czy urodziny spełniają wszystkie twoje oczekiwania?

- Och, nawet z nawiązką.

Jej lewa dłoń spoczęła na jego piersi. Sięgnął w górę nakrył ją swoją dłonią. Potarł kciukiem ametyst, który miała na palcu.

- Pamiętasz, jak dałem ci ten pierścionek? - zapytał poufałym tonem.

Jej usta wygięły się w słodkim uśmiechu.

- Oczywiście.

- Jak poszliśmy razem do Rundella i Bridget, by go wybrać? Jak zakochałaś się w nim, ledwie go zobaczyłaś?

- Było tak romantycznie. Jakżebym mogła zapomnieć?

Jeannette.

Dobry Boże, to była Jeannette, udająca jego żonę.

Bliźniaczki znów się zamieniły.

Co oznaczało, że Violet - o ironio losu - udawała dziś samą siebie. Gniew rozgorzał w jego sercu jak podmuch z ognistego pieca.

- Nie mogłaś zapomnieć - szepnął przez zaciśnięte zęby - bo nie było czego zapominać. To się nigdy nie stało. - Ścisnął jej dłoń. Pisnęła cicho. - Zdradziło cię twoje kłamstwo - powiedział. - Violet nie wybierała tego pierścionka. Ja go dla niej wybrałem. A gdy go wręczyłem, nie byliśmy nawet w pobliżu Londynu.

Jeannette zachłysnęła się, spróbowała się wyrwać.

Ale trzymał ją mocno.

- O nie, Jeannette, nigdzie nie pójdziesz. Dokończymy ten taniec, jak gdyby nigdy nic, a potem udasz się ze mną.

Najeżyła się, ale przestała się szamotać. Opuściła z rezygnacją ramiona i tańczyła dalej.

Gdy taniec się skończył, Adrian pociągnął ją za sobą.

Oczyma poszukał w tłumie Kita, który przyjechał tego ranka, by wziąć udział w balu i uczcić urodziny Adriana. Odnalazł go bez większych trudności.

Kit stał na uboczu, flirtując z najstarszą córką Lyle'ów, ładną brunetką, która ledwie skończyła pobierać nauki. Chichotała z jakiegoś żartu Kita, trzepocząc wachlarzem.

- Panno Lyle - powiedział Adrian - proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale potrzebuję na chwilę porwać mojego brata.

- Och, oczywiście. - Dziewczyna obrzuciła ciekawskim spojrzeniem rodzinne trio.

Kiedy sobie poszła, Kit obrócił się na pięcie z wyrazem lekkiej irytacji na twarzy.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego. Panna Lyle i ja snuliśmy właśnie plany, by spotkać się jutro we wsi.

Adrian odciągnął brata i Jeannette do spokojnego kąta.

- Twoje plany mogą poczekać. Mam dla ciebie inne zadanie. Kit, poznaj swoją szwagierkę, Jeannette. Prawdziwą Jeannette. - Kit otworzył szeroko oczy. - Pilnuj jej. Nie spuszczaaj z oka.

Kit założył ręce na piersi i spojrzał gniewnie na Jeannette.

- Bez obaw. Nigdzie nie pójdzie.

- Bardzo dobrze. A teraz muszę odnaleźć żonę i wbić jej do głowy trochę rozumu. - Oddalił się, ale nagle zatrzymał się i wrócił. Bez pytania o pozwolenie chwycił lewą rękę Jeannette i ściągnął z jej palca obrączkę i pierścioneek. - One nie należą do ciebie - powiedział. - I nie waż się ich więcej zakładać. - Schował biżuterię do kieszeni i odszedł.

Violet otarła łzę z kącika oka i zaczerpnęła gwałtownie chłodnego nocnego powietrza. Zapach bzu niósł się po ogrodzie słodką, intensywną chmurą.

Wiedziała, że powinna wrócić do sali balowej, nim ktoś zauważy jej nieobecność.

Robiło się późno. Trzeba było przetrwać jeszcze ze dwie godziny, a potem wszystko wróci do normy i będzie tak, jak było, gdy zbudziła się dziś rano. Ona i Jeannette zamienią się z powrotem i nikt się nie zorientuje.

Tylko że ona nie będzie już taka, jak była.

Poznała prawdę, i ta prawda z pewnością będzie ją prześladować do końca życia. Jej mąż, człowiek, którego kochała ponad wszystko, nie potrafił odróżnić swej żony od jej siostry. Twierdził, że ją uwielbia, mówił, że rozumie ją i zna, jak może znać tylko kochanek, a mimo to dał się oszukać.

Czy naprawdę była tak nierozpoznawalna? Tak pospolita? Tak łatwa do zastąpienia?

Czy Adrian mimo wszystkiego, co mówił, byłby równie zadowolony, mając za żonę Jeannette? W głębi duszy wiedziała, że to nieprawda. Ale mimo to pozostawał cień wątpliwości i niemały cios zadany jej dumie.

Ale i to z czasem przestanie boleć. Będzie żyła dalej, dalej będzie żoną i odsunie tę nieistotną kwestię w niepamięć. Nauczy się o tym nie myśleć. Nie będzie sensu rozdrapywać tego, jak strupa na zaognionej ranie. Takie działanie mogło doprowadzić jedynie do katastrofy, zatruć wszystko, co było dobre i uczciwe w jej miłości do niego.

Adrian jest jej mężem. I zawsze nim będzie, powiedziała sobie. Jej przyjacielem i kochankiem, ojcem dziecka, które w sobie nosiła, i, jeśli Bóg zechce, wszystkich, które zjawią się w przyszłości.

A ona będzie zadowolona, szczęśliwa, mimo tego, czego się dziś dowiedziała.

Naciągnęła szal na ramiona i zrezygnowana postanowiła wracać na przyjęcie. Ale nagle cichy odgłos kroków na żwirze kazał jej spojrzeć za siebie.

Adrian.

Omam nie podbiegła do niego, tak pragnęła, by ją przytulił.

Nie wstała jednak z kamiennej ławki, boleśnie świadoma, że on ma ją za jej siostrę.

- Dobry wieczór, Wasza Książęca Mość. Cóż cię sprowadza do ogrodu o tej późnej godzinie?

Usiadł obok niej, rozprostował swe długie nogi.

- To samo co ciebie, jak sądzę. Łyk świeżego powietrza i kilka chwil z dala od tłumu. - Zwrócił ku niej głowę. - Choć ty wolisz tłumy, o ile dobrze pamiętam.

Jeannette, przypomniała sobie. Miała udawać Jeannette.

- Uwielbiam tłumy - skłamała. - Ale zabawa robi się męcząca, jeśli człowiek nie może się zachowywać tak, jak chce. Violet mówi, że znasz prawdę o niej i o mnie, czy tak?

- Hm, w rzeczy samej, znam.

- Mówi też, że byłeś ogromnie na nią zagniewany, gdy prawda wyszła na jaw, ale już jej przebaczyłeś. - Umilkła na chwilę. - Czy i mnie przebaczyłeś?

Jego białe zęby błysnęły w ciemności.

- Jeszcze nie zdecydowałem.

- Cóż, nieważne. Cieszę się po prostu, że jesteś tak szczęśliwy z moją siostrą.

- Doprawdy? Pomyślałem sobie, że możesz być trochę zazdrosna, biorąc pod uwagę to wszystko, z czego zrezygnowałaś, decydując się nie wychodzić za mnie.

- Ani trochę - odparła z wymuszoną lekkością. - Wy dwoje o wiele lepiej do siebie pasujecie. Przykro mi tylko, że wcześniej nie zdałam sobie z tego sprawy.

- Wcześniej niż w dniu ślubu?

- Tak.

- Bez wątpienia masz rację. - Patrzył chwilę w ogród, ale nagle odwrócił głowę, spojrzał jej w oczy. - Choć czasami sam się zastanawiam.

- Nad czym?

Przysunął się kilka centymetrów bliżej.

- Co by było, gdybyśmy to my dwoje związali się węzłem małżeńskim, jak to było planowane. - Jego głos stał się miękki, ochrypli. - Gdybyśmy to my dwoje byli teraz mężem i żoną. Nie jesteś tego choć trochę ciekawa?

Violet poczuła dławienie w gardle. Co on wygadywał? Przecież chyba nie pragnął Jeannette?

- Nie - odparła pospiesznie. - Ani odrobinę.

- Naprawdę? Zawsze miałem cię za dziką, namiętą istotę. - Otoczył ją ramieniem, przyciągnął bliżej. - Ty i twoja siostra jesteście podobne pod tak wieloma względami. To budzi moją ciekawość, do jakiego stopnia. Może powinniśmy przeprowadzić eksperyment i dowiedzieć się tego.

Zniżył głowę, by ją pocałować, ale ona odwróciła się, uniknęła pocałunku. Wcisnęła łokieć między ich ciała, by go powstrzymać. Ale on był zbyt silny i po kilku sekundach miał ją już na kolanach.

- Nie rób tego - płakała z sercem roztrzaskanym na tysiąc okruchów. - Nie.

Zmiażdżył jej usta pocałunkiem, zawładnął nią, nagiął do swojej woli. Supeł bólu zacisnął się w jej piersi. Choć z całych sił próbowała mu się opierać, nie była w stanie. Kochała go, wciąż go pragnęła. Na chwilę poddała się i pozwoliła zawładnąć swoimi ustami. Jego język wtargnął *do* środka, by pić jak pszczoła zbierająca nektar.

Nareszcie i ona zebrała dość siły, by go odepchnąć.

- Przestań - wyszlochała ochryple, ze łzami na policzkach. - Przestań.

- Dlaczego? Co się stało, miła? Nie lubisz się całować z mężem? - Przemknął wargami po jej mokrych policzkach, musnął szczególnie wrażliwe miejsce za lewym uchem.

Violet zadrżała, targnięta przyjemnością. I nagle dotarły do niej jego słowa.

- C-co? - wyjąkała. - Co ty powiedziałeś?

Odsunął się na tyle, by spojrzeć jej w oczy w rozświetlonej księżycem ciemności.

- Słyszałaś, co powiedziałem, Violet. - Potrząsnął nią, zaciskając gniewnie szczęki. - Tak, poznaję cię. Naprawdę myślałaś, że nie poznam? Jak długo miała trwać ta maskarada?

- Dziś wieczór. Tylko na czas balu. Po wszystkim miałyśmy się zamienić ostatecznie.

- I porządnie się obśmiać, że znów dałem się nabrać. - Niezbyt delikatnie zsadził ją z kolan.

Otoczyła go ramieniem, by go powstrzymać, gdyż chciał już odejść.

- Nie, *to nie tak*. Ja *nie* chciałam tego robić. Ale Jeannette powiedziała, że ty nie potrafisz nas rozróżnić, i...

- I co? Uwierzyłaś jej? W głębi duszy zaczęłaś się zastanawiać, czy to aby nie prawda?

Nagle zawstydzona, spuściła oczy.

- Wydawało mi się, że nie wiesz, która jest która, tamtego dnia na pikniku... kiedy rozmyślnie ubrała się jak ja.

- I dlatego postanowiłaś znów mnie okłamać?! - huknęła.

- To było złe. Wiem, że to było złe, ale musiałam wiedzieć.

- Co wiedzieć? - Położył dłonie na jej ramionach. - Ze widzę cię jako odrębną osobę, a nie jakiś duplikat twojej siostry? Że wielbię cię i tylko cię? Ze mogę spojrzeć w twoje oczy i poznać różnicę między tobą, jedyną miłością mego życia, a nią, kobietą, która nigdy nie dałaby mi szczęścia? To chciałaś wiedzieć?

Skinęła głową. Nowa, bezbronna łza potoczyła się po jej policzku.

Adrian otarł ją kciukiem.

- Violet, dlaczego nie potrafisz mi zaufać? Dlaczego nie wierzysz, kiedy ci mówię, że kocham cię i nie chcę nikogo innego?

- Wierzę ci. Od tej chwili nigdy nie zwątpię. Chodzi o to, że...

- Że co?

Zniżyła głos niemal do szeptu.

- Nikt nigdy nie wolał mnie od niej. Przez całe nasze życie najpierw była ona, a potem dopiero ja. Nawet ty na początku mnie nie wybrałeś. Za pierwszym razem znalazłeś się ze mną przed ołtarzem, nawet nie wiedząc, że to ja.

- Ale za drugim razem już tak nie było. - Otoczył ją ramionami. - Wybrałem cię. Ciebie, która jesteś moją miłością, moją jedyną miłością. I rozpoznaję cię. Potrafiłbym cię rozpoznać nawet z opaską na oczach, gdyby zaszła taka konieczność.

Uśmiechnęła się, ostatnie łzy obeschły.

- Tak myślisz? Więc dlaczego dziś trwało to tak długo?

- Musisz dać człowiekowi odrobinę czasu, kiedy zastawiasz na niego pułapkę. Jesteście bliźniaczkami, było nie było.

Położyła dłoń na sercu.

- Nie chciałam cię zwodzić. Pragnęłam udowodnić Jeannette, że potrafisz nas rozróżnić. I zdałeś egzamin celująco. - Umiłkła na chwilę i nagle dziobnęła go palcem w pierś, gdy sobie przypomniała. - A ten figiel, który ty spłatałeś mnie? To udawanie, że uwodzisz moją siostrę?

- Zasłużyłaś sobie na to całkowicie po tym, jak znów próbowałaś wystrychnąć mnie na dudka. - Spojrzał na nią gniewnie. - A skoro już o tym mowa, nie ważcie się więcej wypróbować na mnie tej swojej sztuczki.

- Przysięgam, że już nigdy, przenigdy cię nie okłamię. Jeannette i ja skończyłyśmy z zamianą miejsc, masz na to moje uroczyste słowo. I mówię poważnie, Adrianie. Już nigdy nie wprowadzę cię w błąd w tej sprawie, czy w jakiegokolwiek innej.

- Będę cię trzymał za słowo. I uważaj, bo mogę się uciec do mojej ulubionej kary.

- To znaczy?

- Stłukę ci *derriere* tak, że nie będziesz mogła usiąść przez tydzień. Prawdę mówiąc, może dam ci od razu kilka klapsów, tak na dobry początek. - Pociągnął ją ku sobie, jakby naprawdę zamierzał spełnić swoją groźbę.

- Nie! - krzyknęła. - Zaszkożysz dziecku.

Znieruchomiał.

- Dziecku? Jakiemu dziecku? - Omiótł wzrokiem jej figurę. - Jesteś przy nadziei?

Skinęła głową; jej twarz pojaśniała.

- Chciałam ci powiedzieć dziś, trochę później.

Wydał z siebie głośny wiwat, zerwał się na nogi i porwał ją w ramiona. Zakręcił nią wokół siebie jak dziki, aż obojgu zaszumiało w głowach. Wybuchnęli śmiechem.

- Rozumiem, że jesteś szczęśliwy. - Rozpromieniona objęła go rękami za szyję.

- Ekstacycznie. A ty?

- Tak samo.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. On odpowiedział jej tym samym. Zachowywali się jak parka podchmielonych wariatów. Całował ją długo, głęboko, aż obojgu brakło tchu.

- Musimy powiedzieć rodzinie - oznajmił, kiedy mógł już przemówić. - *Maman* będzie zachwycona.

- Może powinniśmy to zachować dla siebie jeszcze przez chwilę. Ja sama dopiero się dowiedziałam.

Pokręcił głową.

- Nie. Koniec z sekretami, koniec z kłamstwami na jakikolwiek temat. - Postawił ją na ziemi i chwycił za rękę, pociągnął za sobą.

- Adrian, co ty robisz? Dokąd mnie prowadzisz?

- Z powrotem na bal.

- Ale nie możemy iść. Nie razem. Wszyscy myślą, że ja jestem Violet.

- Przecież jesteś Violet.

- Wiesz, o co mi chodzi. Powinieneś być mężem Jeannette.

Zatrzymał się i odwrócił ku niej.

- Ale nie jestem mężem Jeannette i mam dość udawania przed światem, że jestem. A, byłbym zapomniiał. - Sięgnął do kieszeni. - Proszę, załóż to.

Na jego dłoni leżały obrączka i pierścionek, które zabrał Jeannette. Złoto i klejnoty błysnęły słabo w świetle księżyca.

- Ależ ja nie mogę.

- Oczywiście, że możesz. To twoje. Załóż je i przysięgnij, że nigdy więcej ich nie zdejmiesz.

Ręka jej zadrżała, zawahała się.

- Nie powinniśmy tego robić.

Spojrzał jej w oczy.

- Owszem, powinniśmy. Koniec gierki. Przynieś mi to dzisiaj.

- Ale co z naszymi rodzinami? Przyjaciółmi? Co z twoją karierą?

- Jaką karierą? Jestem księciem Raeburn, i to wszystko.

- Z polityczną karierą. Z twoimi aspiracjami, by zająć kiedyś wysokie stanowisko rządowe.

Westchnął ciężko, rozpaczliwie.

- Nie mam politycznych aspiracji, nie jestem zainteresowany żadnym stanowiskiem, wysokim czy niskim. Skądże wzięłaś tak nonsensowny pomysł? - Uniósł rękę. - Nie, poczekaj. Niech zgadnę. Od mojej matki.

- Mówiła, że twoim marzeniem jest zrobić karierę w Izbie Lordów, może nawet zostać któregoś dnia premierem.

- Boże uchojaj. - Zadrżał. - Polityka od dawna była marzeniem mojej matki, nie moim. Droga *maman* ma dobre intencje, ale w tej kwestii myli się na całej linii. Proszę, nie wierz nigdy więcej w tak błędne sugestie, dla dobra nas obojga.

- Więc tak naprawdę nie chcesz być premierem?

- Nie. I powtarzam to z całą mocą. - Uniósł brew. - Chciałaś mnie chronić, czy tak?

Skinęła głową.

- Próbowałam, choć trochę.

- No więc, niepotrzebnie, w każdym razie w tej kwestii. A następnym razem, kiedy zechcesz poznać moje marzenia, po prostu pytaj. Powiem ci, czy naprawdę są moje. - Podrzucił pierścionki na dłoni. - A teraz załóż to.

Zrobiła, co kazał. Było jej lekko na duszy, czuła, że jest w pełni sobą po raz pierwszy od długiego czasu. Spojrzała mu w oczy.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie. - Pocałował ją. - Cokolwiek się stanie, pamiętaj, że cię kocham.

Chwyciła jego twarz w dłonie.

- A ja kocham ciebie, Adrianie. Tak bardzo, tak ogromnie.

Pojeszcze jednym, ostatnim pocałunkiem, trzymając się za ręce, ruszyli do sali balowej.

W środku znaleźli Jeannette, siedzącą na uboczu, z dolną wargą wysuniętą w nieszczęśliwym grymasie.

Kit zajmował krzesło obok niej i, kiwając elegancko obutą stopą w rytm muzyki, odganiał niedoszłych partnerów do tańca, którzy podchodzili do jego bratowej w nadziei, że uda im się porwać ją na parkiet.

Właśnie odesłał kolejnego dżentelmena, kiedy podeszli do niego Adrian i Violet.

- Widzę, że ją znalazłeś - powiedział Kit, obrzucając badawczym spojrzeniem zbłąkaną parkę. - I co?

- I prawie wszystko jest już wyjaśnione. Trzeba dopilnować jeszcze tylko jednej kwestii. - Adrian wyciągnął rękę do Jeannette. - Milady, za pozwoleniem, proszę z łaski swojej pójść ze mną i swoją siostrą.

Jeannette założyła ręce na piersi, wysunęła podbródek.

- Nie rozumiem, dlaczego miałabym to zrobić po tym, jak paskudnie mnie potraktowałeś. Odszedłeś, zostawiając mnie pod strażą tego bezczelnego wyrostka.

- Wyrostka? Kogo nazywasz wyrostkiem? - Rozhuśtana stopa Kita huknęła o podłogę, gdy zerwał się z krzesła.

- Ciebie, ty piesku kanapowy.

- Dość - rozkazał Adrian, ucinając zaperzoną parkę. Przyszpilił Jeannette wściekłym spojrzeniem. - Albo pójdziesz z nami z dobrej woli, albo zawlokę cię siłą. Wybór należy do ciebie. Ale tak czy inaczej, idziesz ze mną i z Violet.

- A dokąd to? - rzuciła wyzywająco Jeannette.

- Zaraz się dowiesz.

Zaczęła się cicha bitwa woli. Kiedy już się wydawało, że Adrian będzie musiał użyć siły, Jeannette wstała z krzesła i ruszyła za nimi. Adrian poprowadził obie siostry na przód sali balowej, dając znak muzykom, by przestali grać.

- Co on robi? - szepnęła Jeannette do Violet.

Ale Violet nie miała czasu odpowiedzieć; Adrian pociągnął ją dalej. Ustawił siostry po swoich bokach i położył im dłonie na ramionach.

Cały zgromadzony tłum zwrócił oczy na tę trójkę.

Violet odnalazła wzrokiem rodziców, brata, członków rodziny Adriana łącznie z jego matką. Wszyscy spoglądali na nich z uprzejmym zainteresowaniem i lekkim zdziwieniem. Kit stanął z boku, z wyczekującą miną.

- Panie i panowie - zaczął Adrian. - Dziękuję za przybycie na dzisiejszą uroczystość. To wielka przyjemność gościć was w naszym domu. Mam nadzieję, że wszyscy dobrze się bawicie dziś wieczór. Chciałbym powiadomić was o pewnej sprawie, dosyć istotnej, która od dawna wymagała sprostowania. Jak wszyscy wiecie, wszelkie pochwały za dzisiejszy bal, a właściwie cały tydzień wspaniałych atrakcji, należą się mojej żonie. Kobiecie, którą podziwiam, szanuję i gorąco kocham.

Violet uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, które ogarnęły ją ciepłym spojrzeniem. Ścisnęła porozumiewawczo jego rękę, pytając w milczeniu, czy jest całkowicie pewien, że chce mówić dalej.

Spojrzeniem, w którym nie było śladu wątpliwości czy lęku, potwierdził swoje postanowienie.

I ona nabrała pewności, czerpiąc siłę od niego.

Adrian mówił dalej:

- Nie wiecie jednak, że kobieta, którą braliście dziś wieczór za gospodynię, nie jest moją żoną.

Przez tłum przeszedł pomruk.

Jeannette pisnęła, próbując się wyrwać. Przytrzymała ją mocno na miejscu.

- Kobieta, której składaliście podziękowania za dzisiejszy wieczór, to tak naprawdę moja szwagierka, lady Jeannette Brantford.

Rozległ się kolejny pomruk, tym razem zdumienia.

- Nie dziwię się wam, że jesteście zdezorientowani. Wiem, że wielu z was było na moim ślubie, brało udział w ceremonii, podczas której pojąłem za żonę -jak się wydawało — lady Jeannette. W rzeczywistości jednak poślubiłem kogoś innego.

Chwycił dłoń Violet, lodowatą ze zdenerwowania, i wystąpił naprzód.

Puścił Jeannette, która natychmiast umknęła z sali.

- Przedstawiam wam moją żonę - oznajmił - kobietę, którą poślubiłem, którą kocham i którą z dumą nazywam swoją małżonką, Violet Brantford Winter.

Salę wypełniły okrzyki zdumienia.

Ponad nie wzniosł się przenikliwy pisk.

Violet przeniosła spojrzenie na drugi koniec sali, w samą porę, by dostrzec, jak jej matka mdleje i pada w ramiona ojca, który ułożył jej bezwładne ciało na posadzce w morzu jedwabiu i piór. Dwie przyjaciółki pospieszyły ku niej, uzbrojone w wachlarze i sole trzeźwiące.

- Zapytacie pewnie, jak to możliwe - ciągnął Adrian mocnym głosem. - Naprawdę to całkiem proste. Bliźniaczki zamieniły się miejscami, i owszem, zwiodły nawet mnie na krótki czas. Ale gdy wszystko się wydało, było już za późno. Moje serce zostało wzięte w niewolę przez najcudowniejszą kobietę, jaką zesłał mi dobry los.

Odszukał wzrokiem jej oczy i Violet na chwilę zapomniała o tumultie wokół, szczęśliwa i bezpieczna w przystani jego miłości.

Uśmiechnęli się do siebie.

Po krótkiej chwili Adrian jeszcze raz zwrócił się do zebranych.

- Jest jeszcze jedna nowina, którą chcielibyśmy się podzielić, i mam nadzieję, że i w tej kwestii będziecie nam życzyć szczęścia. Otóż dziś wieczór moja żona powiadomiła mnie, że będziemy mieli dziecko. - Otoczył ramieniem Violet, przygarnął ją do siebie. — Jeszcze w tym roku przyjdzie na świat nowy Winter.

Jej matka, która przychodziła powoli do siebie, ocknęła się w samą porę, by usłyszeć nowinę. Wydała z siebie kolejny krzyk i padła znów zemdlona.

Violet położyła dłoń na ramieniu Adriana.

- A więc zrobiłeś to - stwierdziła. - Lecz jeśli grozi nam ruina, przynajmniej marny siebie.

Spojrzał w jej oczy; uśmiechnęli się do siebie czule.

- Nigdy w to nie wątp moja miła. Nigdy w to nie wątp.

I na oczach rodziny i przyjaciół pocałował ją, nie zważając na okulary.